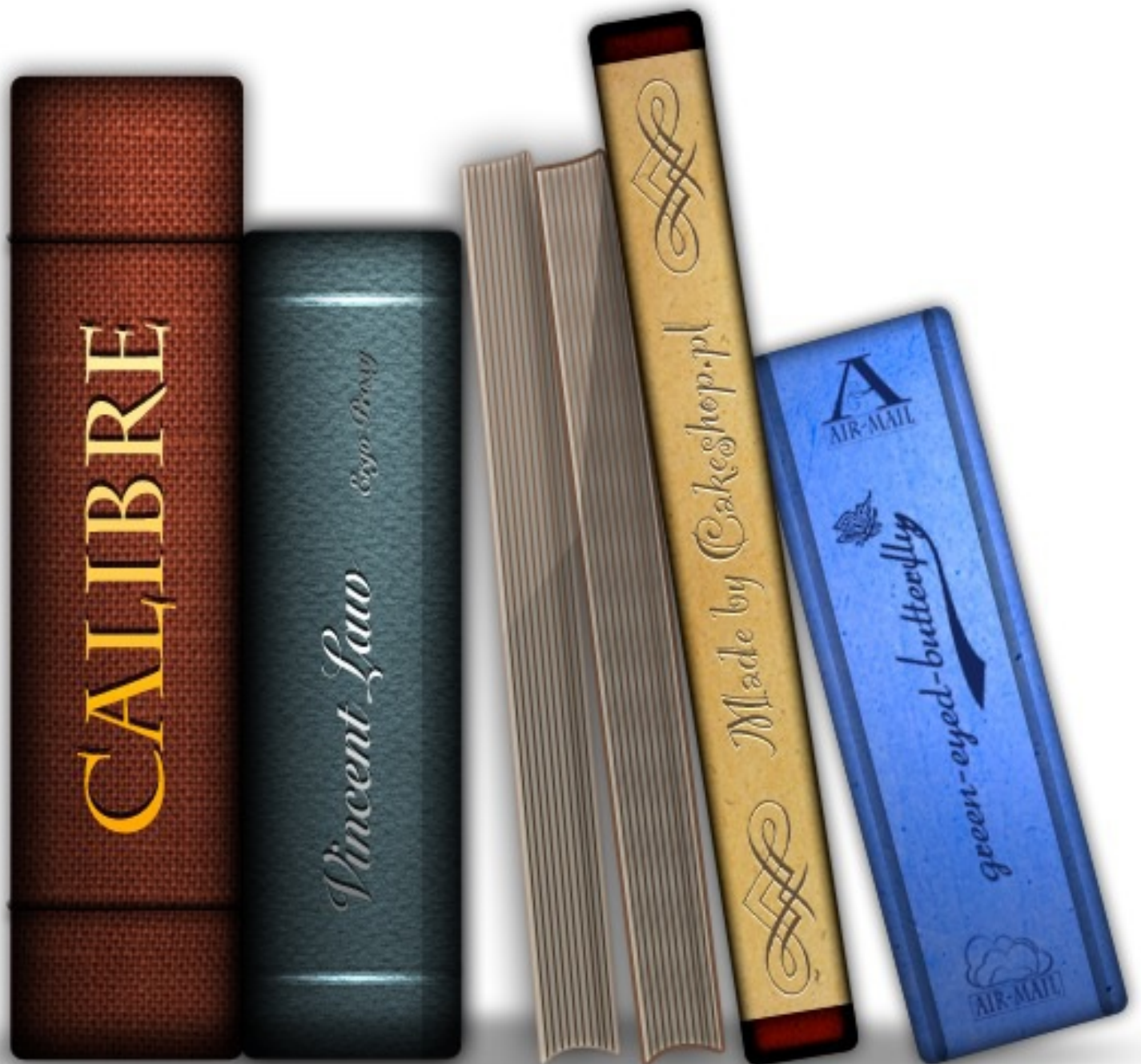


Czas zabójców

MacLean Alistair



calibre 0.8.24

Alistair MacLean

&

Alastair MacNeill

Czas zabójców

(Alistair MacLean's Time of the Assassins)

Przełożył Krzysztof Sokołowski

Prolog

Pewnego dnia we wrześniu 1979 roku – dokładnej daty nigdy nie ujawniono – sekretarz generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych przewodniczył niezwyklej zebraniu, w którym uczestniczyło czterdziestu sześciu delegatów reprezentujących dosłownie każdy kraj na ziemi. Na porządku dziennym znajdował się tylko jeden punkt: eskalacja fali przestępstw o charakterze międzynarodowym. Zbrodniarze i terroryści po dokonaniu ataku uciekali za granicę, pewni, że pościg nie naruszy suwerenności kraju, w którym się schronią. Co więcej, wystąpienie o ekstradycję (a nie wszystkie państwa miały przecież podpisane odpowiednie umowy!) było procedurą zarówno kosztowną, jak i czasochłonną, oprócz tego prawo zawierało dziury, które prawnicy wykorzystywaliby bez trudu uwalniać klientów. Wszystkie te problemy należało jakoś rozwiązać.

Uzgodniono powołanie specjalnych międzynarodowych sił uderzeniowych, operujących pod egidą Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych. Otrzymały one nazwę: ONZ-owska Organizacja do Walki z Przestępczością (United Nations Anti-Crime Organization – UNACO). Ich celem było: „Powstrzymywanie, neutralizowanie i/lub zatrzymywanie osób albo grup osób zaangażowanych działalność przestępczą o charakterze międzynarodowym”. Następnie delegaci przedstawili życiorysy kandydatów, uważanych za ich rządy za odpowiednich na stanowisko dyrektora UNACO, a sekretarz generalny dokonał ostatecznego wyboru. UNACO rozpoczęło swą tajną działalność 1 marca 1980 roku.

Nim dojechał na miejsce, zrobiło się ciemno. Wsiadł z taksówki, zapłacił kierowcy i grzbietem dłoni otarł pot z czoła. Zdążył już zapomnieć, jak upalny i wilgotny bywa Bejrut o tej porze roku. Odczekał, aż taksówka odjedzie, po czym przeszedł przez ulicę i ruszył w kierunku Windorah – małego baru prowadzonego przez Dave’a Jenkinsa, Australijczyka, który nazwał go tak na cześć swego rodzinnego miasteczka w Queensland. Cóż, w każdym razie przypuszczał, że Jenkins nadal prowadzi bar. Przyjechał do Bejrutu po raz pierwszy od czterech lat.

Kiedy pchnął drzwi i wszedł do środka, stwierdził, że nic się tu nie zmieniło. Dwa wielkie, wiszące u sufitu wiatraki nadal leniwie mieszały powietrze, prostytutki nadal oblegały zagranicznych dziennikarzy, a Jenkins nadal stał za kontuarem. Spojrzeli sobie w oczy.

– No, niech mnie diabli. Mike Graham! Co u diabła sprowadza cię do Bejrutu?

– Interesy – odpowiedział, lustrując wzrokiem wnętrze baru.

– Szukasz kogoś?

– Owszem.

– Russella Laidlawa?

Utkwione w Jenkinsie oczy zwęziły się lekko.

– Powiedział ci, że przyjeżdżam?

Barman potrząsnął głową.

– Jako człowiek inteligentny sam się domyśliłem. Jest jedynym ze znanych mi twoich przyjaciół, który nadal tu zagląda co noc. Na którą się umówiliście?

– Na ósmą. – Graham zerknął na zegarek. Pozostało jeszcze dziesięć minut.

– Zazwyczaj pojawia się o tej porze. Piwa, póki czekasz?

Choć Graham nie uznawał alkoholu, stwierdził, że w tym upale jedno piwo nie zaszkodzi.

– Byle zimnego – powiedział.

– Już się robi. – Jenkins pochylił się, by wyjąć butelkę z lodówki za ladą.

Prostytutka zerknęła znacząco na nowego gościa, lecz on pokręcił głową, nim zdążyła zsunąć się ze stołka. Odpowiedziała więc obojętnym spojrzeniem i odwróciła się ku kolejnemu potencjalnemu klientowi.

– Budweiser zimny jak lód – powiedział Jenkins wręczając butelkę Grahamowi, a kiedy ten sięgnął po portfel, powstrzymał go. – Ja stawiam – oświadczył.

– Dzięki. – Mike uśmiechnął się z przymusem.

– Wiem, co się stało z twoją rodziną. Bardzo mi przykro i... – zaczął Jenkins.

– Usiądę tam – przerwał mu gość, wskazując stojący w rogu stół. – Skieruj Russella do mnie, kiedy przyjdzie.

– Jasne – odparł barman, lecz przybysz już się oddalił. Barman tylko wzruszył ramionami i odszedł do klienta siedzącego przy drugim końcu lady.

Graham ciężko usiadł przy stole. Ten trzydziestoosmioletni mężczyzna miał młodą przystojną twarz oraz wijące się, kasztanowate włosy, nieporządnie opadające na kołnierzyk rozpiętej pod szyją białej koszuli. Dobrze zbudowany, swą kondycję utrzymywał biegając codziennie pięć kilometrów, a potem ćwicząc ciężko w prywatnej sali gimnastycznej.

Z UNACO związał się przed dwoma laty. Mimo pewnych skłonności do indywidualizmu koledzy uważali go za najlepszego agenta terenowego. Nie od razu jednak zyskał tę opinię. Sam gotów był jako pierwszy przyznać, że kiedy przenosił się do UNACO z elitarnego amerykańskiego oddziału antyterrorystycznego Delta, znajdował się w fatalnym stanie psychicznym, spowodowanym zresztą ostatnią akcją, w której wziął udział. Otrzymali wtedy zadanie spenetrowania obozu terrorystów w Libii i zlikwidowania członków tej grupy – w tym także Salima Al-Makesha, doradcy Czarnego Czerwca, ruchu założonego przez Abu Nidala w 1976 roku w proteście przeciw zaangażowaniu się Syrii w wojnę domową w Libanie, oraz Jean-Jacquesa Bernarda, ważnego członka Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. Graham miał właśnie wydać rozkaz ataku, kiedy dowiedział się, że żona i pięcioletni syn zostali porwani przed domem, w którym mieszkali w Nowym Jorku, przez trzech zamaskowanych, łowiących po arabsku mężczyzn. W ten sposób próbowano wymusić wstrzymanie akcji, on jednak się nie załamał. Baza stała zniszczona, Al-Makeshemu i Bernardowi udało się jednak uciec. FBI natychmiast zarządziło ogólnokrajowe poszukiwania rodziny Grahama, lecz o losie kobiety i dziecka nigdy niczego się nie dowiedziano.

Miesiąc później komandosi izraelscy zabili Al-Makesha w jego domu w Damaszku. Bernard zszedł do podziemia, wszelki śluch o nim zaginął do chwili, gdy Mossad uzyskał informację, jakoby zginął od podłożonej w samochodzie bomby. Informacja ta pochodziła z pewnego źródła, nie było więc powodu, by w nią wątpić. Graham jednak nie dał się przekonać. Wydawało mu się to zbyt proste. Dopiero wczoraj otrzymał telefon, który usprawiedliwiał jego uparty wieloletni sceptycyzm.

Do baru wszedł Laidlaw. Powoli rozejrzał się po sali i podszedł do stolika, przy którym siedział Mike. Graham nie wierzył własnym oczom. Nieprawdopodobne, jak dalece zmienił się ten człowiek od czasu, gdy widzieli się po raz ostatni, jeszcze w okresie służby w Delcie. Laidlaw był

wówczas fanatykiem sprawności fizycznej, ćwiczył ciężiej niż ktokolwiek inny, by utrzymać w formie szczupłe, muskularne ciało. I zawsze był taki schludny, nazywali go nawet strojnisiem. Teraz mocno przytył, nie dogoloną twarz miał nalaną, a tłuste brązowe włosy spadały mu w strąkach na zgarbione plecy.

Graham wstał i ujął wyciągniętą na powitanie dłoń – jej uścisk nadal był mocny. Gestem wskazał krzesło naprzeciw siebie i usiadł.

– Tylko przyniosę sobie piwo – powiedział Laidlaw. – Zaraz wracam.

– Nie ruszyłem swojego. Masz. – Mike pchnął butelkę w jego kierunku.

Laidlaw przysunął sobie krzesło i usiadł.

– Nieźle wyglądasz, przyjacielu – powiedział po chwili.

– A ty nie – padła szczerą odpowiedź. – Russ, co u diabła się z tobą stało?

Były komandos nalał sobie piwa.

– Długo by mówić, Mike – powiedział z westchnieniem. – Kiedyś wszystko ci wyjaśnię. – Wypił, odstawił szklankę. – Jak tam lot z Nowego Jorku?

– Nieźle. – Graham nawet nie silił się na uprzejmość. Wyprostował się na krześle i oparł łokcie o stół. – Wiesz coś więcej o Bernardzie?

Laidlaw tylko potrząsnął głową.

– Próbowałem dowiedzieć się jeszcze czegoś dziś rano, ale nic z tego nie wyszło. Ja go widziałem, Mike. Zmienił się, oczywiście. Nie ma brody ani tych długich włosów. Przyglądałem mu się przez dłuższą chwilę, nim nabrałem pewności, że to rzeczywiście on. Nie myłę się. Postawiłbym na to własne życie.

– Nie byłoby mnie tu, gdybym ci nie wierzył – upewnił go cichym głosem dawny towarzysz broni. – To co robimy teraz?

– Barak – rzucił Laidlaw.

Graham zmarszczył brwi.

– Nazar Barak? Odpowiedziało mu skinienie głowy.

– Najlepszy informator, jakiego Delta kiedykolwiek miała w Bejrucie. Nadal go widuję. Jeśli ktokolwiek wie, gdzie jest Bernard, to tylko on.

– To dlaczego nie pogadałeś z nim dziś rano?

Laidlaw znów napił się piwa.

– Może tobie udałooby się umówić z nim z dnia na dzień. Ja tylko wiem z pewnego źródła, że będzie w domu dziś wieczorem, około dziewiątej.

– Zdumiewające, że jeszcze tu się kręci. Dałbym głowę, że już dawno ktoś załatwił go strzałem w plecy.

– Zbyt wiele wie. Zapisał sobie wszystko i schował notatki w sejfie w którymś z miejscowych banków.

– Chyba kpisz – mruknął Graham.

– To on rozpuścił tę historyjkę. Wątpię, czy jest prawdziwa, ale za to z pewnością skuteczna. Na razie nikt nie ośmielił się jej sprawdzić.

– Na razie.

Laidlaw uśmiechnął się drwiąco, dopił resztę piwa, wytarł usta grzbietem dłoni i wstał. Jeśli się nie spóźnimy – oznajmił – dorwiemy go pod domem. Tylko tak uda nam się zmusić go do gadania.

Graham pomachał Jenkinsowi na pożegnanie, po czym wraz swym towarzyszem wyszedł na ulicę.

Niewielki parterowy dom Nazara Baraka znajdował się w zachodnim Bejrucie, niespełna kilometr od Mar Elias Camp. Prowadzący samochód Laidlaw minął go i zatrzymał się dopiero przy końcu gruntowej drogi. Sięgnął po paczkę papierosów i zapalił kolejnego – trzeciego od chwili, gdy wyszli z Windorah. Graham wysiadł i nagle, instynktownie, uchylił się na dźwięk wybuchu pocisku z moździerza. Prostując się dostrzegł, jak ponad dachem samochodu kolega przygląda mu się z lekkim uśmiechem.

– W końcu się przyzwyczaisz – powiedział tylko i zamknął drzwi.

– Nie wiem, jak możecie tu mieszkać – Mike skrzywił się, dysząc kolejny wybuch.

– Bejrut zdążył wejść mi w krew. Nie potrafiłbym wyjechać. Tam, w domu, dowiadujecie się tylko o tym, co tu najgorsze. A przecież... – Laidlaw przerwał. W kiepsko oświetlonej uliczce ukazał się samochód.

Graham spojrzał na dawnego przyjaciela chcąc się upewnić, że to rzeczywiście Barak. Russell osłonił oczy dłonią, starając się w jaskrawym świetle reflektorów rozróżnić markę i kolor. Zielony peugeot. Upuścił papierosa i rozgniół niedopałek butem.

Barak zaparkował przed domem i wysiadł. Był to niski, tęgi mężczyzna około pięćdziesiątki o tłustych czarnych włosach, oczy przysłaniały mu bardzo grube szkła. Drzwi od strony pasażera

także się otworzyły – z samochodu wysiadła prostytutka.

– Co to, będzie zabawa?

Słyszając te słowa Barak obrócił się, a kiedy dostrzegł Laidlawa wynurzającego się z cienia wielkiego dębu, stojącego po przeciwnej stronie ulicy, westchnął z ulgą.

– Ależ mnie pan przestraszył – powiedział po angielsku i przyłożył dłoń do serca, jakby chciał pokazać jak bardzo. – Co pan tu robi?

– Musimy porozmawiać.

– Możemy porozmawiać jutro – odparł i spojrzał pożądliwie na prostytutkę. – Dziś jestem zajęty.

– Dziś byłeś zajęty – poprawił go Laidlaw. – Pozbądź się jej. Na twarzy informatora odmalowało się niezadowolenie.

– Zapłaciłem jej za całą noc z góry.

– Nie skrzywdzimy cię.

Nie rozumiejąca po angielsku prostytutka zapragnęła dowiedzieć się, o co tu właściwie chodzi. Barak zdołał ją jakoś uspokoić, po czym zwrócił się do Laidlawa:

– Powinna dostać pieniądze na taksówkę. Musi jakoś wrócić do miasta.

– Więc jej zapłać.

– Ja? – zapytał zdziwiony Barak. – A czemu to ja miałbym jej płacić?

– Powiedziałem, że cię nie skrzywdzimy – odparł Laidlaw ze zniecierpliwieniem. – Zapłać jej i niech się wynosi.

W dłoni informatora pojawił się plik banknotów. Oddzielił kilka z nich i wręczył prostytutce. Dziewczyna wyrwała mu je, zaklęła głośno i poszła szukać taksówki.

Laidlaw odczekał, aż zniknie im z oczu, po czym skinął na przyjaciela, czekającego do tej pory w cieniu drzewa. Na jego widok oczy Baraka aż rozszerzyły się ze zdumienia. Spojrzał na Laidlaw, jakby oczekiwał od niego wyjaśnień, ten jednak nie odezwał się ani słowem.

– Skąpy jak zawsze, co? – Mike wskazał gestem plik banknotów.

Barak natychmiast wepchnął je do kieszeni i nerwowo zatarł ręce.

– Co pana sprowadza do Bejrutu, panie Graham? – spytał.

– Wejdźmy do środka – Mike skinął głową w kierunku domu.

Za gospodarzem przeszli wąską betonową ścieżką. Barak otworzył nie pomalowane drzwi, gestem zaprosił ich do środka i natychmiast zamknął je za sobą. Wprowadził gości do dużego pokoju, przed zapaleniem światła nie zapominając zaciągnąć przetartych zasłon. Wnętrze było skromnie urządzone: stała tu jedynie jasnozielona sofa, dwa drewniane krzesła i stolik do kawy na trzech nogach, oparty o ścianę, bo inaczej natychmiast by się wywrócił.

– To bardzo nie w porządku – powiedział w końcu Barak. – Nigdy nie prowadzę interesów u siebie. Pan o tym wie, panie Laidlaw, więc dlaczego pan tu przyjechał? Czy ktoś widział, jak...

– Nikt nas nie widział – przerwał mu Graham. Gospodarz natychmiast spojrzał w jego kierunku. – A pana co tu sprowadza?

– Bernard.

Informator podrapał się po niestarannie ogolonej brodzie i usiadł na brzegu sofy.

– Jean-Jacques Bernard?

– Właśnie.

– Przecież on nie żyje! Zginął...

– Wczoraj rano widziałem go przed Amerykańskim Szpitalem Uniwersyteckim – wtrącił szybko Laidlaw. – Zmienił się, ale bez wątplenia to był on.

– Musiał się pan pomylić – Barak potrząsnął z niedowierzaniem głową. – Bernard nie żyje.

– Russell twierdzi, że widział go wczoraj i mnie to wystarcza – oznajmił ostro Mike.

Gospodarz zdjął okulary i przetarł oczy gestem świadczącym o zmęczeniu.

– Dobrze znałem Bernarda. Sądzicie, że nie wiedziałbym, gdyby nadal żył... zwłaszcza gdyby zamieszkał tu, w Bejrucie?

– Przecież nie powiedziałem, że tu mieszka. Mógł przyjechać w interesach. Ale to z pewnością był Bernard.

Graham wyjął z kieszeni kopertę i cisnął ją na sofę.

– Tu jest pięć tysięcy dolarów. Znajdź mi go, a dostaniesz drugie tyle.

Barak otworzył kopertę. Przeliczył banknoty, dotykając palcem ich krawędzi.

– Do czego tak bardzo potrzebny jest panu Bernard?

– Nie twoja sprawa. Znajdź go, a dostaniesz resztę.

– Gdzie pan się zatrzymał?

– Jeśli czegoś się dowiesz, dzwoń do mnie – powiedział Laidlaw. – W dzień lub w nocy.

Barak skinął głową. Kopertę natychmiast wsadził do kieszeni.

– Nadal twierdzą, że marnujecie czas. Bernard nie żyje.

– Tak byłoby lepiej dla niego – szepnął Graham, idąc za przyjacielem w kierunku wyjścia.

Barak czekał, aż jego goście odjadą, a potem wsiadł do samochodu i skierował się w stronę wielkiego, białego domu w stylu hiszpańskim, stojącego na samej granicy miasta, nad morzem. Zatrzymał się przed kutą żelazną bramą, na jego spotkanie wyszedł natychmiast brodaty mężczyzna w dżinsach i spłowiałym czarnym podkoszulku, z kałasznikowem AK-47 zawieszonym na ramieniu.

– Muszę natychmiast zobaczyć się z panem Devereux – oznajmił informator przez otwarte okno.

Strażnik przyjrzał mu się z widoczną pogardą.

– Czy on cię oczekuje?

– Nie, ale sprawa jest pilna.

– Pan Devereux udzielił bardzo wyraźnych instrukcji, by mu nie przeszkadzano – odparł strażnik zerkając w kierunku domu.

– Proszę powiedzieć mu, że Barak...

– Wiem, kim jesteś. – W słowach tych kryła się niechęć. – Wróc rano. Pan Devereux cię przyjmie.

– Muszę zobaczyć się z nim natychmiast!

Strażnik sięgnął po kałasznikowa.

– Powiedziałem, że nie wolno mu dziś przeszkadzać!

Barak obrzucił go groźnym spojrzeniem.

– Jego życie jest w niebezpieczeństwie. Jeśli cokolwiek się zdarzy, dopilnuję, by ciebie obciążono za to odpowiedzialnością.

Mężczyzna w bramie zawahał się wyraźnie.

– Co to za niebezpieczeństwo?

– Wyjaśnię wszystko panu Devereux, kiedy się z nim zobaczę.

Krótką wymianę zdań przez krótkofalówkę załatwiła sprawę.

Po chwili brama, sterowana zdalnie z posiadłości, otworzyła się powoli. Wartownik niechętnie spojrział przez szybę na Baraka.

– Masz jechać drogą wprost pod dom. Ktoś będzie tam na ciebie czekał.

Barak ruszył. Przejechał sto metrów, zatrzymał się przy prowadzących do wejścia kamiennych schodach i wysiadł. Czekający już ochroniarz obszukał go sprawnie, po czym wprowadził do wnętrza.

Wielki hol robił niezwykle wrażenie. Jedyne trójramienny, kryształowy czeski kandelabr świadczył o jego minionej świetności, choć łatwo było wyobrazić sobie drogie obrazy lub tkaniny na ścianach oraz cenne dywany na podłodze.

– Dom ten należał do tureckiego księcia, gdy Liban był jeszcze częścią imperium otomańskiego – usłyszał Barak.

Na schodach pojawił się mężczyzna, zawiązujący pasek szlafroka. Dobiegał czterdziestki, był wysoki, przystojny, miał krótkie czarne, siwiejące na skroniach włosy i schludnie przycięte czarne wąsy. Na lewym policzku była ledwie widoczna blizna. Zszedł ze schodów i leniwie rozejrzał się dookoła.

– Niektórzy nazwaliby go pięknym – dodał, nadal mówiąc po arabsku. – Ja widzę tylko dekadencję.

– Przykro mi, że musiałem panu przeszkodzić, panie Devereux...

Mężczyzna podniósł dłoń przerywając tyradę. Obrócił się w kierunku ochroniarza, krótkim skinieniem głowy nakazując mu odejść. Odczekał, póki mężczyzna nie znalazł się za drzwiami, a następnie wprowadził gościa do małego gabinetu.

– Powiedziałem, że nie wolno ci tu przyjeżdżać!

– Nie miałem wyboru. Musiałem zobaczyć się z panem osobiście.

– Co się stało?

Barak niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– Został pan rozpoznany, panie Bernard.

Gospodarz wsadził ręce w kieszenie szlafroka, podszedł do okna i przez chwilę przyglądał się pustemu basenowi. W końcu odwrócił się.

– Przez kogo?

– Amerykanina nazwiskiem Russell Laidlaw.

Imię to najwyraźniej nie obudziło w terroryście żadnego wspomnienia.

– Nie znam go. Kim jest? Dziennikarzem?

Barak przecząco potrząsnął głową.

– Służył niegdyś w Delcie. Teraz mieszka tu, w Bejrucie. Ale nie on jest pańskim problemem. Był z nim ktoś, Mike Graham. Obiecał mi dziesięć tysięcy dolarów za odnalezienie pana. To musi mieć coś wspólnego z zamordowaniem jego bliskich, prawda? Czy pan był w to wplątany?

Wszystkie te pytania zostały zlekceważone.

– Gdzie się zatrzymał?

– Nie powiedział mi. Gdybym coś znalazł, mam się kontaktować z Laidlawem.

Barnard wyjął papierosa z leżącej na stoliku paczki. Powoli wypuścił dym i rozsiadł się na stojącym w kącie pokoju fotelu.

– Powiedz Grahamowi, że pytałeś tu i tam i że coś dla niego masz. Każ mu przyjechać do siebie dziś w nocy.

– Do mnie? – Barak aż się zająknął. – Nie chcę się mieszać...

– Już jesteś wmieszany – przerwał mu ostro terrorysta. – Nie bój się, nie zabiję go na miejscu. Nie mogę pozwolić sobie na to, by policja znalazła u ciebie jakieś dowody. Brak ci ikry, byś się jakoś z tego wyłgał.

Informator doskonale zdawał sobie sprawę, że jakikolwiek sprzeciw nie ma sensu.

– O której mamy się spotkać? – spytał z westchnieniem.

– O dwunastej. To mi da czas na poczynienie koniecznych przygotowań. Ale nie dzwoń do niego przed jedenastą trzydzieści. W ten sposób będzie wyglądało na to, że rzeczywiście o mnie pytałeś.

Barak nerwowo zatarł ręce.

– A co z tymi dodatkowymi pięcioma tysiącami dolarów, które obiecał mi Graham?

Barnard zdusił papierosa i wstał.

– Na wszystkim, co robisz, musisz zarobić, prawda?

Informator zrobił krok do tyłu. Patrzył nerwowo to na rozmówcę, to na podłogę.

– Muszę jakoś żyć...

– Zarabiasz więcej niż większość ludzi w tym mieście!

– Chyba powinienem już sobie pójść. O pieniądzach możemy porozmawiać innym razem...

Bernard złapał go za koszulę i pchnął na ścianę.

– Płacę ci miesięczną pensję, żebyś informował mnie o wszystkim, co się dzieje w Bejrucie i okolicach. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, jak załatwiasz inne sprawy, ale możesz być pewien, że nie wyciągniesz ode mnie ani jednego dodatkowego centa. Czy to jasne?

Barak skwapliwie pokiwał głową i w nagrodę został uwolniony z uścisku. Otarł twarz brudną chustką, w oczach miał przerażenie.

– Nie myśl sobie, że zdołasz mnie wykiwać. Wiesz, co zrobiłby z tobą Hezbollah, gdyby cokolwiek mi się przytrafiło?

– Nawet mi to nie przyszło do głowy, panie Bernard...

– Devereux – przerwał mu gniewnie mężczyzna. – Ile razy ci powtarzać, że Jean-Jacques Bernard nie żyje? Nazywam się Alain Devereux.

Bardzo przepraszam, panie Devereux. Siła przyzwyczajenia, Skinieniem głowy terrorysta wskazał mu wyjście.

– Wynoś się – powiedział jeszcze.

Barak znikł z pokoju tak szybko, że zapomniał zamknąć za drzwiami.

Alin Devereux zapalił kolejnego papierosa. Żył ze świadomością tego, iż pewnego dnia Graham znowu go odnajdzie. Nie sposób było tego uniknąć. Teraz jednak miał nad nim przewagę i był zdecydowany jej użyć.

Nadal uważam, że powinienem pójść z tobą – stwierdził Laidlaw, parkując samochód w pobliżu domu, w którym wyznaczono spotkanie.

Graham potrząsnął głową.

– Już o tym mówiliśmy. Barak wyraźnie zaznaczył, że mam przyjść sam. Muszę grać według jego reguł. Tylko on jest w stanie pomóc mi znaleźć Bernarda.

– To może być pułapka.

– Sądzisz, że ta myśl nie przyszła mi do głowy? Nie mam wyboru, muszę ryzykować.

Laidlaw tylko westchnął głęboko i skinął głową.

– W porządku. Ale jeśli w ciągu pierwszych kilku minut nie pokażesz się w oknie, wchodzę.

– Zgoda – powiedział Graham wysiadając z samochodu.

Przyjaciół obserwował go do chwili, gdy Mike zniknął w domu. Potem dotknął automatycznego P220, jakby w ten sposób chciał dodać sobie odwagi. Nie spodziewał się, że będzie w stanie go użyć. Nie, nie po tragicznej misji w Hondurasie. Nawet próbował kilka razy tu, na miejscu, na strzelnicy, ale nie potrafił przemóc się i nacisnąć spustu. Wiedział, że problem ten ma podłoże psychologiczne. To dlatego musiał opuścić Deltę. Ale nie mógł wyjawiać swej słabości dawnemu towarzyszowi broni. Bo i jak? Mike na nim polegał. Wytarł pot z czoła i wysiłkiem woli próbował przywołać Grahama do okna.

Nagle we wnętrzu domu rozległ się strzał, po którym zapadła cisza. Laidlaw gniewnie uderzył dłonią w kierownicę. Więc to jednak pułapka! Dlaczego Graham go nie posłuchał? Otworzył drzwi i ostrożnie wysiadł z samochodu, starając się, by nie zauważył go ktoś, kto mógłby obserwować okolicę z mieszkania Baraka. Wyjął pistolet, lecz nie potrafił położyć palca na spuście. Pocąc się wysunął głowę ponad dach. Niewiele mógł zobaczyć w panujących ciemnościach. Postanowił wejść do środka od tyłu. Pochylony, przebiegł do sąsiedniego domu. Był także nie oświetlony, ale to go nie zdziwiło – w Bejrucie mogli przeżyć tyłka ci, którzy po prostu nie dostrzegali kłopotów. Przeskoczył ogrodzenie i pobiegł wąskim podjazdem. Działki rozdzielał nie strzyżony, gęsty żywopłot. Znalazł w nim dziurę, przez którą zdołał się przecisnąć.

Kuchenne wejście do domu Baraka znajdowało się w odległości zaledwie dziesięciu metrów od miejsca, w którym się ukrył. Jeszcze raz otarł pot z czoła, jeszcze raz spojrzął na trzymany w dłoni pistolet. Nadal nie potrafił się zmusić, by położyć palec na spuście. Przeklął samego siebie w milczeniu. Co będzie, jeśli strzelec jest jeszcze w środku? Czy potrafi się przed nim obronić? Oddychał ciężko, lecz nie ze zmęczenia. Po prostu bał się. Delta nauczyła go, że strach to zjawisko czysto psychologiczne i że można go przezwyciężyć. Uwierzył w to, ale wówczas potrafił jeszcze nacisnąć spust.

Przełknął ślinę i pobiegł ku kuchennym drzwiom. Przywarł plecami do ściany tuż obok nich. Zagryzając wargi jeszcze raz próbował zmusić nieposłuszny palec do dotknięcia spustu. Czuł się niemal tak, jakby jakaś dłoń z całej siły przyciskała go do magazynka. Zaciskając zęby poruszył klamką. Drzwi były otwarte. Kopnął je i wpadł do niewielkiej kuchni. Przetoczył się w bezpieczne miejsce obok starej, poobijanej lodówki, gdzie przez chwilę leżał nieruchomo, po czym powoli wstał i ostrożnie ruszył w kierunku wyjścia prowadzącego na korytarz. Wyjrzał – w panującym tu mroku w pierwszej chwili nie dostrzegł nic, dopiero gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczył rękę leżącą na progu drzwi do dużego pokoju. Miał właśnie zamiar wślizgnąć się do holu, kiedy usłyszał dobiegający z zewnątrz ryk samochodowego silnika. Rozpoznał ten dźwięk – to peugeot Baraka.

Przy oknie znalazł się wystarczająco szybko, by przez szczelinę w zasłonach dostrzec

odjeżdżający w stronę miasta samochód. Wewnątrz siedziała tylko jedna osoba, jednak nie był w stanie rozpoznać kto. Być może prowadził sam Barak. A może zabójca. Chyba że to właśnie Barak był zabójcą, choć Laidlaw w to wątpił – Informator nienawidził przemocy, a przede wszystkim broni palnej.

Przeszedł ostrożnie korytarzem do dużego pokoju. Mocno przyciśnięty do ściany zajrzał do środka. Natychmiast dostrzegł ciało rozciągnięte w pobliżu wejścia. Był to Barak. Leżał na brzuchu, a z dziury na karku jeszcze się sączyła krew. Laidlaw poszukał pulsu, lecz ten człowiek był martwy. Przez chwilę patrzył zamyślony na ciało. Słyszał tylko jeden strzał. Gdzie się podział Graham?

Wyprostował się i wszedł do pokoju. Nikogo. Szybko sprawdził pozostałe pomieszczenia. Nikogo. Zawołał: „Mike!”, lecz nie doczekał się odpowiedzi. Graham znikł, a Barak nie żył. Istniało tylko jedno wyjaśnienie – to Graham siedział w peugeocie, to on zabił informatora. Russell Laidlaw nie potrafił w to uwierzyć. Bo i jaki mógł być motyw tego zabójstwa? Nagle coś mu się przypomniało. Co takiego Graham powiedział o Baraku tam, w barze? Przez chwilę słowa Mike’a umykały mu, ale wreszcie zdołał je przywołać: „Myślałem, że ktoś załatwił go już strzałem w plecy”.

Nic go nie obchodziło, że informator nie żyje. Obchodziło go natomiast, że został wykorzystany przez Mike’a Grahama, który chciał się dobrać do Baraka. Myśl o tym bolała, zwłaszcza że tyle razem przeszli.

Znów spojrzał na trupa. Z pewnością sąsiedzi już zadzwonili do policję i zawiadomili o strzelaninie. Wkrótce ktoś się tu z pewnością pojawi.

Laidlaw wyszedł z domu tą samą drogą, którą do niego wszedł. Nie mógł dać się wplątać w tę sprawę. Za wiele musiałby wyjaśnić.

Nowy Jork kąpał się w promieniach słońca. Temperatura dochodziła niemal do trzydziestu stopni, przy całkowitym braku wiatru powietrze było nieznośnie wilgotne i lepkie.

Na dwudziestym drugim piętrze gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych, w pokoju z oknami wychodzącymi na East River, Malcolm Philpott także czuł upał. Ten pięćdziesięciosześcioletni Szkot o kanciastej twarzy oraz falujących włosach był dyrektorem UNACO od momentu powstania organizacji w 1980 roku. Sięgnął po chusteczkę i wytarł czoło. Od mniej więcej pół godziny był zlany zimnym potem. Czyżby infekcja? Wcale by go to nie zdziwiło. Philpott nie potrafił żyć bez pracy, zdawał sobie sprawę, że jego wyczerpany organizm gwałtownie domaga się wypoczynku. Lecz jak mógłby pozwolić sobie na urlop, gdy w Kwaterze Głównej UNACO tyle się akurat dzieje? A zwłaszcza od czasu szalonego wyczynu Mike'a Grahama w Bejrucie,

Schował chusteczkę do kieszeni i zerknął na swego zastępcę, Siergieja Kolczynskiego, Rosjanina, który przed czterema laty przeszedł do organizacji z KGB i był jej niezastąpionym członkiem. Wspaniały taktyk, ułatwił UNACO rozwiązanie kilku najtrudniejszych spraw w dziejach firmy.

Obaj mężczyźni od paru chwil milczeli. Obaj także palili – Philpott fajkę, Kolczynski zaś papierosa. Na biurku szefa leżały trzy zamknięte teczki. Na okładce każdej z nich było wypisano nazwisko: na jednej „Mike Graham”, na drugiej „C.W. Whitlock”, na trzeciej: „Sabrina Carver”. Ta trójka należała do elitarnego oddziału uderzeniowego UNACO, takie oddziały składały się z najlepszych agentów terenowych, przeniesionych z policji, wywiadu cywilnego i wywiadu wojskowego państw całego świata. (Otrzymywali oni od administracji wszystko, czego tylko zażądali w związku z toczącą się właśnie akcją. Zamówienia powinny zasadniczo przechodzić albo przez Philpotta, albo przez Kolczynskiego, ci jednak zdecydowali ostatecznie, że rezygnują z tej biurokratycznej rutyny i dają swym ludziom wolną rękę. Teraz obaj żalowali, że podjęli tę decyzję.

Właśnie odkryli, że Graham zamówił trzy fałszywe paszporty na nazwiska: Michael Green, Miles Grant i Mark Gordon, i że użył jednego z nich, by dostać się do Bejrutu. Od kontaktu UNACO w tym mieście dostał berettę, znajdującą się w tej chwili w rękach miejscowej policji. Na broni znaleziono jego odciski palców. Wystrzelono z niej raz – kula utkwiała w ciele Nazara Baraka. Graham znikł. W Libanie wydano nakaz jego aresztowania, UNACO zaś nie mogło podjąć żadnej zdecydowanej akcji bez narażenia na ujawnienie swego, do tej pory tajnego, istnienia. Oznaczało to, że Graham musi sobie radzić sam. Przynajmniej przez jakiś czas.

– Dobrze się czujesz, Malcolm? – spytał Kolczynski, przerywając panujące w gabinecie milczenie. – Jesteś strasznie blady.

– Dobrze – odparł zirytowany Philpott, sięgnął po laskę, wstał i podszedł do okna. Wyraźnie kulał na lewą nogę – to dawała o sobie znać rana z ostatnich dni wojny koreańskiej. Odwrócił się ku

swemu zastępcy, oczy mu płonęły. – Nie wierzę, by mógł być aż tak głupi – orzekł. – Przez lata zrobiliśmy sobie wielu wrogów, należą do nich nawet politycy z Organizacji Narodów Zjednoczonych – teraz oni wszyscy mają materiał, by załatwić UNACO w atmosferze skandalu. Musimy go znaleźć przed Libañczykami. Jeśli dojdzie do procesu, obaj możemy zacząć się rozglądać za nową pracą. UNACO zostanie ukrzyżowane!

Rosjanin z rezygnacją skinął głową.

– I co proponujesz? – spytał.

– Powinniśmy wciągnąć w sprawę C.W. i Sabrinę. Tak szybko, jak to tylko możliwe. Ale nie możemy zacząć, póki nie skontaktuję się z Langley.

– A co ma z tym wspólnego CIA? – Kolczynski zmarszczył brwi.

– Wiem tyle co i ty, Siergiej. Dziś rano dostałem telefon od zastępcy dyrektora, Roberta Bailey. Nie chciał zdradzać szczegółów w rozmowie telefonicznej, ale powiedział, że ma to związek z Bernardem. Jeszcze dziś ma przyjechać i spotkać się ze mną.

– Chcesz, żebym to ja ściągnął C.W. i Sabrinę?

– Tak. Ogłoś im alarm czerwony. Chcę, żeby pojawili się tu najpóźniej o drugiej i... – Philpott umilkł. Klatkę piersiową rozdarł mu straszliwy ból, promieniujący na szyję, szczękę, ramiona. Wypuszczona z dłoni laska upadła na podłogę, Szkot zatoczył się i uderzył o ścianę.

Rosjanin skoczył i chwycił zwierchnika, nim ten osunął się na podłogę. Philpott przyciskał dłonie do piersi czując, że serce może wybuchnąć mu lada chwila, wił się z bólu tak silnego, że niemal nie do zniesienia. Próbował coś powiedzieć, lecz nie mógł wykrztusić słowa. Ból zwiększył się jeszcze i w oczach tego twardego człowieka pojawiły się łzy. Sądził, że umiera, i w tej chwili z radością powitałby śmierć jako ucieczkę przed straszliwym, rozdzierającym pierś cierpieniem.

Kolczynski delikatnie złożył go na podłodze, po czym włączył stojący na biurku interkom.

– Saro – rozkazał – natychmiast wezwij karetkę. Pospiesz się, pułkownik miał atak serca.

Rozłączył się nie dając sekretarce szans na odpowiedź, i pochylił się nad Philpottem. Pamiętał, czego uczono go na kursach pierwszej pomocy w KGB – ранego lub chorego należy trzymać w cieple oraz uspokoić. Zdjął marynarkę i przykrył nią szefa.

– Wszystko będzie dobrze, Malcolm – powiedział. – Sara właśnie dzwoni po karetkę.

Ból zmniejszył się, pozostało tylko uczucie ucisku. Philpott poczuł chłód, lecz wiedział także, że pot ścieka mu po policzkach. Od początku zdawał sobie sprawę z tego, co zaszło. Jego matka przeżyła dwa ataki serca, nim zabił ją trzeci. Znał symptomy. Lekarze nazywają to zawałem mięśnia sercowego. Dziwne. Jest najzupełniej przytomny, a jednak nie może wydobyć z siebie głosu. Jakby słowa nie docierały mu do ust.

Rosjanin dostrzegł, że Philpott chce coś powiedzieć, i ścisnął go za ramię, chcąc mu dodać odwagi.

– Nawet nie próbuj mówić, Malcolm. Wszystko będzie dobrze.

Otworzyły się drzwi. Do gabinetu wbiegła sekretarka Philpotta, Sara Thomas.

– Karetka już jedzie – powiedziała. – Powinni zjawić się za dziesięć minut.

– Wezwałaś ochronę?

– Oczywiście. Czy mogę jakoś pomóc? – powiedziała cicho.

Rosjanin pokręcił głową.

– Najgorsze za nami – orzekł. – Wszystko będzie dobrze, nie przejmuj się. Złap C.W. i Sabrinę – dodał jeszcze. – Zawiadom ich, że mają się u mnie zjawić najpóźniej o drugiej.

Sara wróciła do sekretariatu. Kiedy podnosiła słuchawkę, by nakręcić numer, ręce jej drżały.

Sabriny nie było w domu. Szła Piątą Aleją, zatrzymując się przy wystawach butików. Była to druga jej ulubiona rozrywka, po jazzie, którego słuchała zarówno na żywo, regularnie uczęszczając na koncerty w Ali's Alley i Mllage Vanguard, jak i w domu, godzinami siedząc ze słuchawkami na uszach. Uwielbiała Davida Sanborna oraz Yellowjackets, zwłaszcza tego pierwszego. Sanborn był jej idolem, chodziła na wszystkie jego koncerty, kiedy grał w Nowym Jorku. Jazz stanowił dla niej po prostu sposób na życie. Na sobie miała spłowiałe dzinsy, brązowe buty i biały, workowaty podkoszulek. Długie do ramion, jasne włosy przykrywała czapeczka baseballowa „Jankesów” – prezent od Mike'a Grahama. Ta dwudziestoośmioletnia, niezwykła dziewczyna zachwycała wszystkim wspaniałą figurą, o którą dbała, regularnie aerobik. Otwarta, szcera i przyjacielska, już dawno straciła rachubę propozycji małżeństwa, które od lat konsekwentnie odrzucała. Za bardzo ceniła sobie niezależność. Co więcej, związek zaszkodziłby jej pozycji w UNACO. Jeśli chodzi o przyjaciół, byli pewni, że jest ona tłumaczką w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Nikt nie wiedział, że przez dwa lata pracowała w FBI, gdzie specjalizowała się w strzelectwie, a potem, trzy lata temu, dołączyła do UNACO. Była jedyną agentką tej organizacji, lecz wytrwałością, determinacją i pewnością siebie zdobyła sympatię kolegów, którzy uważali ją za równie dobrą jak oni. Nie potrafiła wyobrazić sobie większego komplementu.

Zatrzymała się przed wystawą Barnes'a i Noble'a udając, że podziwia książki. Miała pewność, że ktoś ją śledzi. Jeszcze nie zdążyła nikogo zauważyć, zadziałał po prostu instynkt, którego się nabywa w tego rodzaju pracy. Odczekała chwilę, po czym skręciła we Wschodnią 48 Ulicę nadal udając, że interesują ją wyłącznie wystawy. Nie przyspieszyła kroku – w ten sposób tylko by ostrzegła idącego za nią człowieka. Kim był? Gdyby zaszła taka konieczność, doskonale potrafiłaby się obronić, lecz co będzie, jeśli ten ktoś rozpoznał ją z jakiegoś zadania, które wykonywała w UNACO, jeśli zdradzi jej tożsamość? Tylko tego się obawiała.

Znów zatrzymała się, tym razem przy wejściu do delikatesów, sięgnęła do torby, wyjęła okulary przeciwsłoneczne i założyła je. Teraz mogła w szybach obserwować, co się dzieje za jej plecami, nie wzbudzając przy tym najmniejszych podejrzeń. Kiedy odwróciła się, dostrzegła jakiś ruch, nim zdążyła zareagować, tuż koło niej przemknął na desce młody Murzyn, wyrywając jej z rąk torebkę. Prześlizgnął się wśród zaskoczonych ludzi, nikt nie spróbował nawet go zatrzymać.

Sabrina natychmiast ruszyła w pogon. Złodziej obejrzał się i uśmiechnął wiedząc, że nie zdoła go złapać, lecz kiedy znów spojrzął przed siebie, dostrzegł, że jedzie wprost na wystawione przed sklepem stoisko ze świeżymi owocami. Skręcił ostro, jednak zawadził o drewnianą skrzynkę i ciężko upadł na ziemię. Kiedy wstał rozglądając się nerwowo, dostrzegł, że pościg zbliżył się do zdecydowania. Ruszył przed siebie, twarz miał skrzywioną z bólu, dwadzieścia metrów dalej cisnął torbę ukrytemu w ciemnej uliczce współnikowi.

Dziewczyna zostawiła uciekającego Murzyna i ruszyła za jego współnikiem. Ściagała go labiryntem wąskich przejść, aż wreszcie popełnił błąd skręcając w ślepią uliczkę. Zbyt późno zdał sobie z tego sprawę – kiedy się odwrócił, już blokowała mu drogę.

Sabrina stała opierając ręce na biodrach. Dyszała ciężko. Spojrzała przeciwnikowi prosto w oczy – miała do czynienia z młodym Portorykańczykiem o długich, tłustych czarnych włosach przewiązanych czerwoną chustką. Chłopak wyjął z kieszeni nóż sprężynowy i otworzył go, rękę z bronią opuścił luźno wzdłuż uda.

– To co, próbujesz? – spytał, groźnie wymachując sprężynowcem.

– Nie szukam kłopotów – odparła, wyciągając ku niemu dłoń. – Oddaj mi torebkę i na tym wszystko się skończy.

Roześmiał się i splunął na ziemię.

– Chcesz torebkę, to mi ją odbierz.

Sabrina tylko wzruszyła ramionami, ruszając powoli w jego kierunku. Dopiero wtedy złodziej wypuścił łup i zacisnął dłoń na rękojeści noża. Wyczekał, aż ofiara znajdzie się w zasięgu ręki, i zadał cios, który tylko o milimetry minął jej twarz. Uśmiechnął się. Szkoda ciąc taką śliczną buźkę, lecz dziewczyna sama się o to prosiła. Uderzył jeszcze raz.

Sabrina czekała na to drugie pchnięcie. Lewym przedramieniem zablokowała mu nadgarstek, prawą, otwartą dłonią uderzyła go w brodę, kolanem zaś wymierzyła paraliżujący cios w krocze, portorykańczyk krzyknął z bólu i zatoczył się pod mur. Wypuścił nóż i – cicho pojękując – osunął się na ziemię, ręce trzymał głęboko między udami. Dziewczyna podniosła torebkę, sprawdziła, czy niczego w niej nie brakuje, i właśnie miała zamiar podnieść nóż, kiedy w oddali usłyszała syreny policyjnych radiowozów. Nie mogła sobie pozwolić na to, by przesłuchiwała ją policja. Sposób, w jaki pokonała przeciwnika, zapewniłby jej miejsce na czołówkach wszystkich gazet w mieście.

Skręciła w najbliższą uliczkę. Syreny się zbliżały. Dobiegła do trzymetrowej siatki i właśnie zamierzała ją pokonać, kiedy zadzwonił wiszący na pasku jej spodni sygnalizator. Kwatera Główna

UNACO. Nie mieli kiedy się odezwać – pomyślała zirytowana. Wyłączyła brzęczyk i przeskoczyła ogrodzenie. Zwinnie wylądowała po drugiej stronie, po czym kolejną uliczką bez przeszkód wydostała się na Madison Avenue.

Z budki zadzwoniła do kwatery i chwilę rozmawiała z Sarą. Kiedy odłożyła słuchawkę, podbiegła do krawężnika, złapała taksówkę i kazała jak najszybciej zawieźć się do domu.

- Dobry wieczór, Francois.
- Maître d’hôtel oderwał wzrok od książki rezerwacji i uśmiechnął szeroko.
- Och, dobry wieczór, panie Whitlock. Świetnie pan wygląda!
- Rzeczywiście? Bardzo ci dziękuję.
- Czy jest już moja żona?
- Jeszcze nie – odparł François.
- Będę w barze. Powiedz jej to, kiedy się zjawi.
- Oczywiście – padła skwapliwa odpowiedź.

Whitlock jadał w restauracji Chantily na Wschodniej 57 Ulicy od swego przyjazdu do Nowego Jorku w 1980 roku. Tam właśnie zaprosił na pierwszą randkę wesołą Portorykankę, lekarza pediatrę, Carmen Rodriguez. Dokładnie w rok później oświadczył się jej przy tym samym stoliku. Byli małżeństwem od siedmiu lat.

Ulokował się wygodnie na wysokim stołku i skinął głową barmanowi, zajętemu obsługiwaniem innego klienta. Barman odpowiedział uśmiechem, w ten sposób dając znać, że zaraz podejdzie.

Trzeci z agentów UNACO był czterdziestoczteroletnim Kenijczykiem o ostrych, nieregularnych rysach, nieco zlagodzonych schludnie przyciętym wąsem, który zapuścił przed dwudziestu laty, kiedy kończył studia. Fotofobia spowodowała, że zawsze nosił ciemne, chroniące oczy okulary. Po ukończeniu studiów w Anglii, w Oksfordzie, Whitlock powrócił do Kenii i przez dziesięć lat służył w wywiadzie, nim zaraz po powstaniu tej organizacji został przeniesiony do UNACO. Tylko on jeden ocalał z pierwszego zespołu agentów terenowych.

- Czego się pan napije, panie Whitlock? – Barman pochylił się nad ladą naprzeciwko C.W.
- Poproszę to co zwykle, Rick.

Barman skinął głową, wyjął z lodówki butelkę piwa, nalał je do szklanki i postawił przed

gościem.

– A co słyhać w polityce? – spytał. Nie tylko on uważał Murzyna za członka personelu ambasady kenijskiej przy Organizacji Narodów Zjednoczonych. Carmen jako jedyna spoza UNACO wiedziała, czym w rzeczywistości zajmuje się jej mąż.

– To, co zwykle, Rick.

Barman wyczuł, że gość nie ma ochoty na rozmowę, i się oddalił. Whitlock sięgnął po piwo, wypił niewielki łyk i zerknął w kierunku wejścia. Ani śladu Carmen. Kręcąc szklanką myślał o żonie. Ich małżeństwo niemal się rozpadło przed kilkoma miesiącami, w każdym razie wtedy właśnie doszło do decydującej kłótni. Jednak już kilka ostatnich lat nie należało do najspokojniejszych. A wszystko przez to, że Carmen chciała, by odszedł z UNACO! Lękała się o jego bezpieczeństwo. On zaś był nieubłagany. Chciał zostać. W końcu rzuciła go i tylko interwencja Philpotta spowodowała, że znów byli razem. Szkot oznajmił im, że kiedy odejdzie na emeryturę, właśnie Whitlock zostanie zastępcą dyrektora. Potem, po roku, gdy Kolczynski także opuści organizację, C.W. awansuje na dyrektora. Oprócz ich czterech wiedział o tym tylko sekretarz generalny oraz szef operacji europejskich, urzędujący w Zurychu, Jacques Rust. Carmen w pełni popada męża, mając świadomość, że niewiele ponad rok dzieli go od spokojnej pracy za biurkiem. Sam Whitlock zdawał sobie sprawę, że będzie mu brakowało akcji w terenie, zwłaszcza zaś obecności Mike'a i Sabriny, lecz wiedział także, że zapłaci niewielką cenę za utrzymanie małżeństwa. A małżeństwo było dla niego wszystkim.

– C.W.?

Odwrócił się raptownie, zaskoczony głosem, który rozległ się za jego plecami, a potem się uśmiechnął. Żona pocałowała go delikatnie.

– Jak długo stałaś tak za mną? – spytał.

– Załedwie chwilkę – odparła przyjmując jego pomoc przy zajmowaniu miejsca na sąsiednim stołku.

– Przepraszam. Przez moment byłem bardzo daleko stąd.

– Zauważyłam. – Zamówiła wino z wodą sodową, a potem spojrzała na męża. Twarz miała poważną.

– Mam złe wieści – oznajmiła. – Wczoraj wieczorem aresztowano Rosie.

Whitlock spojrzał na żonę z nie ukrywanym przerażeniem. Rosie była nastoletnią córką siostry Carmen, Racheli i jej męża, Niemca, Eddiego Krugera.

Barman przyniósł zamówionego drinka. Odczekała, aż się oddalił, i dopiero wtedy wyjaśniła:

– Złapali ją na Times Square, kiedy kupowała narkotyki. Nie wiem jakie. Rachel nie powiedziała.

Whitlock westchnął głęboko i potrząsnął głową.

– Chyba nie powinienem się dziwić.

– A co to właściwie ma znaczyć?

– Daj spokój, Carmen, doskonale wiesz, o czym mówię. Oboje nie są przecież wzorowymi rodzicami, prawda? Rachel ma kochanka, swego szefa, a Eddie od kilku lat pije coraz więcej i...

– Wdała się w tę przygodę właśnie dlatego, że Eddie pije – przerwała mu Carmen.

– Nie w tym rzecz. Spójrz na to z perspektywy Rosie. Nie rozumiesz? Używa narkotyków, bo rodzice zachowują się tak, jak się zachowują.

– Porozmawiasz z nią?

C.W. pokręcił głową.

– Nie. Eddie i Rachel powinni z nią porozmawiać.

– To Rachel poprosiła mnie, żebym cię do tego skłoniła.

– A co z Eddiem?

– Wyszedł na pokera i od tej pory go nie widziała.

– Też mi ojciec...

– Porozmawiaj z nią, C.W. Tylko z tobą Rosie zawsze się liczyła.

– Nie użyję UNACO, żeby ją z tego wyciągnąć. To musimy sobie wyjaśnić od razu.

– Po prostu porozmawiaj z nią – poprosiła go cicho żona. – Tylko porozmawiaj.

– Dobrze – zgodził się w końcu Whitlock. – Gdzie ją znajdę?

– W domu. Rachel wpłaciła kaucję...

Wiszący u pasa C.W. Whitlocka sygnalizator odezwał się nagle i został natychmiast wyłączony. Whitlock spojrzał na Carmen, był wyraźnie zły.

– Tylko tego mi teraz brakowało – stwierdził. – Wiesz, że muszę odpowiedzieć?

– Oczywiście – odparła i ścisnęła go za rękę.

– Porozmawiam z nią, obiecuję. Ale nie wiem kiedy. Wszystko zależy od tego, co się stało. – Poklepał sygnalizator.

– Czy chce pan skorzystać z naszego telefonu? – spytał barman, który mimo że stał dość daleko, usłyszał brzęczyk.

– Nie, ale bardzo ci dziękuję, Rick – odparł Whitlock i znów zwrócił się do żony. – Nagle zupełnie straciłem apetyt.

– Mnie wystarczyło usłyszeć o Rosie.

– No, to chodźmy.

Sara Thomas pełniła obowiązki sekretarki Philpotta od pięciu lat. Jej skromnie umeblowany pokój na dwudziestym drugim piętrze gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych był przedsiódką Kwatery Głównej UNACO. W znajdującej się naprzeciw wejścia ścianie wyłożonej boazerią z drewna tekowego umieszczono dwoje niewidocznych gołym okiem drzwi, które otwierały się wyłącznie na sygnał dźwiękowy specjalnych nadajników. Prawe prowadziły do punktu dowodzenia – dźwiękoszczelnego pokoju, w którym zespół analityków pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę, śledząc zmiany i wahania w polityce międzynarodowej. Z lewej strony znajdował się gabinet Philpotta.

Teraz za biurkiem pułkownika siedział Kolczyński, smutnym wzrokiem wpatrując się w Whitlocka i Sabrinę. Właśnie przekazał im wieść o ataku serca szefa.

– Wyzdrowieje? – spytała z niepokojem w głosie Sabrina, przerywając zapadłą nagle ciszę.

– Nim opuściłem szpital, rozmawiałem z lekarzami. Twierdzą, że istnieje duża szansa na to, by pułkownik całkowicie wrócił do zdrowia. Zostanie na parę dni. Zrobią mu dodatkowe badania.

– Chyba że zdoła im uciec. – Whitlock znacząco spojrzał na Rosjanina. – Zechce wrócić do pracy tak szybko, jak to tylko możliwe. Zna go pan przecież.

– Skontaktowałem się już z sekretarzem generalnym. Spotka się z Philpottem jeszcze dziś i oznajmi mu, że po wyjściu otrzyma miesięczny urlop.

– Życzę szczęścia. Pułkownik potrafi być strasznie uparty, kiedy już coś sobie postanowi.

– Nie sądzę, by tym razem szczególnie się sprzeciwiał. – Kolczyński przerwał, zapalił papierosa. – Jest przepracowany i doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Następny atak może być śmiertelny.

W gabinecie znów zapadła cisza. Po chwili Whitlock wstał, podszedł do stojącego pod ścianą ekspresu i spytał:

– Czy ktoś się napije kawy?

Ani Rosjanin, ani Sabrina nie mieli ochoty.

– A gdzie Mike? – zagadnął C.W., napełniając filiżankę.

– Bardzo dobre pytanie – odburknął Kolczyński. – Kiedy słyszałem o nim po raz ostatni, uciekał przed libańską policją.

– Co? – Zdumienie niemal odebrało Sabine mowę.

– Bejrut? – Whitlock podszedł do biurka i spojrzał wprost w oczy zwierzchnika. – Miał tam do wykonania jakieś zadanie?

– Nie, nie miał. – Wybuchł Rosjanin, akcentując każde słowo osobno. – Ściga Bernarda.

– Jean-Jacquesa Bernarda? – Wzrok Sabriny biegał od jednego mężczyzny do drugiego. – Przecież on nie żyje, prawda?

– Siadaj, C.W. – Kolczyński wskazał obitą czarną skórą kanapę, na której siedziała Sabrina. – Powiem wam wszystko, co sam wiem. Możecie mi wierzyć, że to bardzo niewiele.

Odczekał chwilę, po czym otworzył leżącą przed nim na biurku teczkę i zreferował z wszystkimi, nielicznymi szczegółami to, czego Philpott dowiedział się rano od kontaktu UNACO w Bejrucie.

– Mike nigdy nie strzeliłby temu Barakowi w plecy – stwierdziła Sabrina, gdy tylko Kolczyński umilkł. – To morderstwo z zimną krwią. Zastawiono na niego...

– Oszczędź mi kazań – przerwał jej brutalnie szef. Odłożył papierosa do popielniczki i dopiero wtedy spojrzał dziewczynie w oczy. – Słuchaj, wiem, co chciałaś powiedzieć. Jeśli cię to pociesza, ja też nie sądzę, by zastrzelił Baraka. Ale dopóki go nie odnajdziemy, nie możemy być pewni niczego. Musimy to zrobić szybko.

– A co, jeśli morderca Baraka zabił także i Mike’a? – zainteresował się Whitlock i natychmiast dostrzegł przerażenie na twarzy Sabriny. – To możliwość, którą musimy wziąć pod uwagę – powiedział łagodnie.

– Więc dlaczego najpierw wystawiono Mike’a, robiono z niego mordercę? Gdyby chciano go zabić, wystarczyło zastrzelić go w domu Baraka.

Kolczyński skinął głową.

– To oczywiste. Jeśli Mike’a wystawiono, z pewnością chciano go także zachować przy życiu.

– Co z tym Laidlawem? – zainteresowała się Sabrina. – Czy ktoś od nas już się z nim skontaktował?

– Nie możemy ponosić aż takiego ryzyka – wyjaśnił Rosjanin. – Policja wie, że wieczorem spotkał się z Michaeliem. Nie mają żadnego dowodu, iż coś go łączy z morderstwem, ale na pewno jest obserwowany. W tej sytuacji pojawisz się ty.

– Jak?

– Wyjedziesz do Libanu w roli dziewczyny Michaela. Musisz rozgrywać grę zgodnie z wszelkimi regułami. Natychmiast po wylądowaniu skontaktuj się z policją, poinformuj ich, po co przyjechałaś. W ten sposób zdołasz spotkać się z Laidlawem nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Nie twierdzę, że czegoś się od niego dowiesz, ale przecież musisz gdzieś zacząć.

– A co ja mam do roboty? – zainteresował się C.W.

– Zaraz się dowiesz. – Rosjanin wcisnął przycisk interkomu. – Saro, wprowadź pana Bailey'a – powiedział, a następnie użył miniaturowego nadajnika otwierającego drzwi. W chwilę później stanęła w nich Sara wraz z pięćdziesięciokilkuletnim mężczyzną w jasnoszarym garniturze, o czarnych, wijących się włosach i poznaczonej na policzkach oraz wokół ust śladami po młodzieńczym trądziku, pomarszczonej twarzy. Gość uśmiechem podziękował sekretarce, która natychmiast wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Kolczyński wstał i wyszedł zza biurka, wymieniając z nowo przybyłym uścisk dłoni, po czym przedstawił mu Sabrinę i Whitlocka – Kiedy dopełniono prezentacji, mężczyzna zajął miejsce na drugiej, również obitej czarną skórą kanapie, wyjął z kieszeni cygaro i rozpakowując je powiedział:

– Wstrząsnęła mną wiadomość o tym, co zdarzyło się pułkownikowi Philpottowi. Jak się on czuje?

– Powiedziano mi, że wyzdrowieje – odparł Rosjanin.

– To doskonała wiadomość. Kiedy znów się pan z nim zobaczy, proszę przekazać mu pozdrowienia ode mnie, zgoda? W przeszłości nie zawsze się zgadzaliśmy, lecz mimo to bardzo go szanuję. – Bailey zapalił cygaro, wydmuchując dym w górę. – Miał pan okazję przejrzeć dossier, które przysłałem panu dziś rano?

– Przeczytałem je. – Kolczyński nie zdołał całkowicie ukryć brzmiającej w jego głosie niechęci.

– Czy poinformował pan o wszystkim swych pracowników? – Gestem ręki gość wskazał siedzących obok C.W. i Sabrinę.

– Dopiero przyszli. Omawialiśmy właśnie zdarzenia z Bejrutu.

– To zrozumiałe. – W stwierdzeniu tym można było wyczuć kpinę. – Nieźle wdepnęliście, prawda?

– To nasze zmartwienie – padła bardzo chłodna odpowiedź. – Panu pozostawiam przyjemność wtajemniczenia C.W. i Sabriny w szczegóły waszej brudnej roboty.

Bailey wstał i podszedł do okna. Przez chwilę palił cygaro zbierając myśli, po czym zwrócił się do dwójki agentów.

To, co mam zamiar wam powiedzieć, nie może wydostać poza te cztery ściany. Poznacie jeden

z najbliższej strzeżonych sekretów CIA. Ma on pozostać sekretem. Jakakolwiek niedyskrecja z waszej strony...

– Z ich strony nie będzie żadnej niedyskrecji – przerwał mu Kolczynski. Oczy mu zabłyśły.

Bailey tylko wzruszył ramionami, jakby te gniewne słowa wcale go nie przekonały. Nie zaprotestował jednak.

– W ogóle nie musielibyśmy omawiać tej sprawy, gdyby Graham nie popędził do Bejrutu szukać Bernarda. – Przerwał zaciągając się cygarem, jakby myśl o tym, co ma za chwilę powiedzieć, sprawiała mu fizyczny ból. Kiedy wreszcie przemówił, wyszeptał, jakby się bał, że jego słowa wydobiją się poza ściany gabinetu: – Jean-Jacques Bernard pracuje dla mnie.

– Bernard jest agentem CIA? – Whitlock nie próbował nawet ukryć zdumienia.

Za całą odpowiedź musiało mu wystarczyć potakujące skinienie głowy.

– Czy pracował dla pana, kiedy porwano rodzinę Mike’a? – spytała Sabrina.

– Tak. – Bailey podniósł dłoń, nie pozwalając jej zadać kolejnego pytania. – Nie miał nic wspólnego z porwaniem. Nakazał je Salim Al-Makesh, chcąc zyskać na czasie i uciec z obozu, nim zaatakowała go Delta.

– A teraz Al-Makesh nie żyje. Bardzo wygodne.

– Oszczędź sobie tego sarkazmu. – Szef wyciągnął ostrzegawczo palec w jej stronę. Dziewczyna chciała coś powiedzieć, lecz rozmyśliła się, poruszyła się tylko gniewnie i skrzyżowała dłonie na piersiach.

– Dlaczego nigdy nie powiedziano o tym Mike’owi? – C.W. nieprzyjaźnie wpatrywał się w funkcjonariusza CIA. – Przez dwa lata chłopak przeżywał piekło próbując pogodzić się z tym, co go spotkało. Gdyby znał prawdę, może by mniej cierpiał.

– Bernard poinformował nas o tym, co zaszło, a ponieważ tylko jemu i Al-Makeshowi udało się uciec, musieliśmy milczeć, by nie narazić naszego źródła.

– Ty sukinsynu! – warknęła Sabrina.

Bailey westchnął ze zdumienia i spojrzał na Kolczynskiego, najwyraźniej oczekując od niego kolejnej interwencji. Nie doczekał się.

– Co właściwie się z nimi stało? – Whitlock przerwał panujące w pokoju, napięte milczenie.

– Nie znam szczegółów. – Człowiek z CIA wzruszył ramionami. – Wiem jedynie, że zostali zabici w akcie zemsty za atak. Tylko tego Bernard dowiedział się od Al-Makesha.

C.W. przygryzł wargi i zerknął na swego szefa.

– Kiedy zapytałem, co będę miał do roboty, powiedział pan, że dowiem się wkrótce. Chodzi o coś więcej niż odnalezienie Mike’a, nim on dopadnie Bernarda, prawda?

– Tak – stwierdził po prostu Rosjanin, wyciągnął z paczki następnego papierosa, zapalił go i gestem wskazał Bailey’a. – Proszę wszystko im wyjaśnić.

– Doskonale. Czy ktoś z was słyszał kiedyś o Zimbali?

– Jasne – odpowiedział natychmiast Whitlock. – To niewielkie państwo afrykańskie. Graniczy z Czadem i Nigrem.

– Jest pan niezwykle dobrze poinformowany. – Bailey nie starał się nawet ukryć sarkazmu.

– Jestem Afrykaninem – odparł Whitlock. – Urodziłem się w Kenii, ale kształciłem w Anglii. Tam właśnie dowiedziałem się o Zimbali.

– Więc wie pan także, że był to kraj rządów jednej partii od czasu, gdy przed czterdziestu pięciu laty Francuzi dali mu wolność.

– Dyktator nazywa się Alphonse Mobuto – wtrąciła Sabrina.

– Nazywał. Zmarł przed miesiącem.

– Tego nie wiedziałem – stwierdził Whitlock.

– Ja także – zawtórowała mu Sabrina.

– I nic dziwnego. Ta śmierć nie była wydarzeniem – oczywiście poza granicami Zimbali.

– A kto teraz rządzi krajem? – zainteresował się C.W.

– Jego najstarszy syn, Jamel. Dziś wieczorem przybywa do Nowego Jorku z oficjalną trzydniową wizytą.

– A gdzie tu pasuje Bernard? – spytała wyraźnie wyprowadzona z równowagi Sabrina.

– Właśnie do tego zmierzam. Jamel Mobuto ma zamiar wprowadzić w Zimbali rządy demokratyczne. W niektórych regionach kraju wywołało to spory sprzeciw, zwłaszcza wśród najbogatszych obywateli, którzy mogą stracić wiele, jeśli Mobuto przeprowadzi zamierzone reformy. Zespół czterech zabójców, rekrutujących się spośród funkcjonariuszy rozwiązanych Sił Bezpieczeństwa, złożył przysięgę zabicia go podczas wizyty w USA. Groźbę tę potraktowaliśmy bardzo poważnie. Poleciliśmy Bernardowi rozpracować ten zespół tak, by z góry znać wszystkie jego ruchy. Zaoferował im możliwość treningu. Oczywiście przyjęli ją wiedząc, że rady takiego eksperta są wręcz bezcenne. Teraz ufają mu bez zastrzeżeń. Poinformuje nas o czasie i miejscu zamachu, gdy tylko pozna je sam, w ten sposób zdołamy zapobiec mu bez problemów. Dlatego właśnie trzeba jak najszybciej odnaleźć Grahama. Jeśli uda mu się dopaść Bernarda, nim ten udzieli nam informacji, pozostaniemy ślepi i głusi. A jeśli Mobuto zginie na amerykańskiej ziemi, skompromituje to nie tylko

nas, lecz i prezydenta. W końcu zostaliśmy przecież uprzedzeni.

– Mam zaopiekować się Mobuto – Whitlock postawił kropkę nad „i”.

Bailey skinął głową potakująco.

– Będzie pan pracował z dwoma moimi ludźmi. On sam przyjeżdża z sześcioma ochroniarzami, ale to zwykli amatorzy, wybrani spośród oficerów zimbalskiej armii. Jeśli coś się zdarzy, wy trzej będziecie musieli sobie z tym poradzić.

– Ty będziesz szefem – powiedział Kolczynski.

– Wszyscy trzej będą szefami – sprostował Bailey.

– C.W. zostanie dowódcą – oznajmił Rosjanin. – Ważne jest, by kierował wszystkim jeden człowiek. Czytałem akta pańskich ludzi. Może i są najlepsi spośród tych, którymi dysponuje CIA, ale nie mają odpowiedniego doświadczenia. Jeśli chce pan dyskutować tę sprawę dalej, proponuję, by zwrócił się pan do prezydenta. Sekretarz generalny już z nim rozmawiał. Dowodzi C.W.

– Powiem to moim ludziom. – Funkcjonariusz CIA nie krył irytacji.

– Będę w kontakcie. Załatwimy to tak, by zespół ochrony spotkał się jeszcze przed pojawieniem się Mobuto. – Kolczynski podniósł nadajnik i otworzył drzwi.

Bailey wyszedł.

– Co za oślizgły drań – stwierdziła Sabrina, gdy tylko drzwi się za nim zamknęły.

Jej szef uśmiechnął się.

– Mógł siedzieć za tym biurkiem zamiast mnie.

– Jak to?

– Znałaś mojego poprzednika, Gronskina?

– Nie – potrząsnęła głową. – To się zdarzyło, nim zaczęłam pracować w firmie.

Cóż, kiedy odesłano go do Rosji za szpiegostwo na rzecz Radzieckiego, CIA zasugerowała, że Bailey mógłby zostać zastępcą pułkownika w UNACO. KGB wysunęło moją kandydaturę. Sekretarz generalny początkowo skłaniał się do powierzenia tego stanowiska Baileyowi, co w zaistniałej sytuacji było chyba zrozumiałe, ale pułkownik zagroził rezygnacją, jeśli to on dostanie tę pracę. Jak powiedział Bailey, nie we wszystkim się zgadzają. Gdyby się tu pojawił, byłaby to katastrofa dla organizacji. Więc w końcu padło na mnie.

– Nic o tym nie wiedziałem – zdziwił się Whitlock.

– A ja cieszę się, że pułkownik postawił sprawę na ostrzu noża – orzekła Sabrina, spoglądając na drzwi.

Whitlock wstał. Ręce wcisnął w kieszenie. Podeszedł do ściany naprzeciw biurka, odwrócił się i spojrzał na szefa.

– Studiowałem z Jamelem Mobuto – oznajmił.

– Czemu nic o tym nie powiedziałaś, kiedy jeszcze był tu Bailey?

– Ponieważ niezbyt dobrze się zgadzaliśmy.

– Jak to?

C.W. westchnął, przeszedł lalka kroków i usiadł z powrotem na kanapie.

– Jamel przyjechał do Oksfordu wprost z Zimbali. Nigdy przedtem nie był za granicą. Można powiedzieć, że przeżył coś w rodzaju szoku kulturowego. Jednak zamiast próbować zaadaptować się jakoś do brytyjskiego sposobu życia, zbuntował się przeciw niemu i powrócił do swych korzeni. Nosił afrykańskie stroje, zamienił pokój w świątynkę Afryki i nawet nie spróbował zaprzyjaźnić się z żadnym Anglikiem. Stał się swego rodzaju pariasem, choć co bardziej radykalni lewicowcy mieli go za kogoś w rodzaju guru.

– Został komunistą? – zainteresował się Kolczyński.

– Dziwne, ale nie. Był po prostu fanatycznym wielbicielem Czarnego Łądu i zwolennikiem afrykańskiego sposobu życia. Miał młodszego brata, który także przyjechał studiować w Oksfordzie, i ten rzeczywiście został komunistą. Ale ja wróciłem już wtedy do domu. Nic o tym nie wiem.

– Ten brat nazywa się Remy. – Kolczyński postukał w leżące przed nim na biurku akta. – Tu jest wszystko. Oboje dostaniecie kopie.

– Nadal nie wyjaśniłeś, dlaczego nie zgadzaliście się z Mobuto – zauważyła Sabrina.

– Urodziłem się w Kenii, ale studiowałem w Anglii. Dla niego byłem kimś niewiele lepszym od zdrajcy. Zaprzedałem swą rasę. Spójrzmy prawdzie w oczy – jestem bardziej Anglikiem niż Kenijczykiem. Tego właśnie nie potrafił zaakceptować. Skończyło się na tym, że po prostu schodziliśmy sobie z drogi.

– Czemu siedział w Europie, choć tak strasznie jej nienawidził? – pytała dalej dziewczyna.

– Bo ojciec mu kazał. Gdyby wrócił do domu, okryłby niesławą rodzinę. Dla Afrykanina klęska to coś znacznie poważniejszego niż dla was, tu, na Zachodzie. No cóż – Whitlock machnął ręką – to wszystko działo się bardzo dawno temu. Ja z pewnością nie chowam urazy.

– Miejmy nadzieję, że Mobuto myśli podobnie – powiedział Kolczyński.

– A wie, że to ja mam się nim opiekować, kiedy przyjedzie do Nowego Jorku?

Rosjanin pokręcił głową.

– Bailey udzielił mi wszystkich informacji przez telefon, ale dopiero po wylądowaniu w Nowym Jorku Mobuto dowie się, że to ty dowodzisz operacją. Będziesz musiał sam mu o tym powiedzieć.

– Z góry cieszę się na tę chwilę – C.W. uśmiechnął się lekko. Potem i on, i Sabrina wzięli akta dotyczące ich zadania (do zniszczenia po przeczytaniu), dziewczyna dostała także bilet lotniczy, plany Bejrutu, pisemne potwierdzenie rezerwacji hotelowej, nazwisko jej kontaktu i pewną sumę pieniędzy w funtach libańskich. Spojrzała na zegarek i poderwała się na równe nogi.

– Samolot startuje dziś o wpół do piątej – powiedziała. – Powinnam się pospieszyć. Przekaż pułkownikowi najlepsze życzenia ode mnie, dobrze, Siergiej?

– Oczywiście. – Kolczyński otworzył drzwi. – Aha, Sabrino? Odwróciła się i spojrzała w jego kierunku.

– Przywieź Michaela, nim wpędzi się w jeszcze większe tarapaty.

Skinęła głową, choć minę miała ponurą, i wyszła. Drzwi zamknęły się za nią.

– Pułkownik może nie wrócić – oznajmił Rosjanin. – Sekretarz generalny nie podejmie decyzji przed zapoznaniem się z raportami medycznymi.

– I tak miał przejść na emeryturę z końcem roku. Być może dla wszystkich lepiej będzie, jeśli nastąpi to wcześniej.

– Spróbuj wytłumaczyć to pułkownikowi. Przecież nie zdecyduję się na wcześniejszą emeryturę dobrowolnie! Lekarze go do tego zmuszą! Możesz być pewien, że będzie chciał dotrwać za tym biurkiem do końca, choćby po to, by udowodnić im, iż się mylili

– Nawet za cenę życia.

Kolczyński zapalił kolejnego papierosa.

– Dlatego właśnie sekretarz generalny zwleka z podjęciem decyzji – Chce dać Philpottowi szansę udowodnienia, że będzie miał dość sił, by powrócić do pracy.

– A jeśli nie, opuszczę Oddział Uderzeniowy Trzy i dołączę do ciebie tu, w biurze?

– Nie wydajesz się tym zbytnio zachwycony.

– Bo i nie jestem. Cały dzień za biurkiem... nie tak wyobrażam sobie dobrą zabawę, Siergiej. – C.W. wziął swą teczkę. – Wypuść mnie, dobrze?

– Pułkownik powiedział, że podskoczyłeś z radości, kiedy wtajemniczył cię w nasze plany.

– A co miałem zrobić? Carmen stała obok. – Whitlock obrócił się już w drzwiach. – Nie obawiaj się. Nie mam zamiaru zawieść nikogo. A zwłaszcza jej.

Remy Mobuto żył zawsze w cieniu brata. Od najmłodszych lat wiedział, że to Jamel – jako najstarszy – obejmie po śmierci ojca rząd w Zimbali. To nigdy go nie martwiło. Nie miał najmniejszej ochoty zajmować się polityką. Gdy w ślad za bratem znalazł się w Oksfordzie, natychmiast zapisał się do partii komunistycznej, co było raczej objawem buntu niż jakichkolwiek przemyśleń. Ojciec zareagował na to nie tylko przestając przysyłać synowi pieniądze, lecz także zabraniając mu powrotu do kraju, póki nie wyrzeknie się swych przekonań. Remy nie ugiął się, po pierwszym roku rzucił studia i podjął pracę w „Guardianie”. Po sześciu latach przeniósł się na stanowisko reportera w jednej z lewicowych gazet francuskich, to właśnie wtedy zasłynął jako nieubłagany krytyk wielu afrykańskich dyktatorów, w tym także ojca. Został za to publicznie wydziedziczony, władca Zimbali oświadczył, że póki żyje, jego syn nie ma prawa powrotu do Zimbali.

Młodszy z braci Mobuto wrócił do ojczyzny na pogrzeb ojca – po siedemnastu latach nieobecności. Jamel skłonił go do pozostania w kraju i objęcia stanowiska nowego redaktora naczelnego największego miejscowego dziennika, „La Voix”.

Remy pracował tu dopiero od miesiąca, a już trafił mu do rąk znakomity materiał. Dotyczył on planu zamachu stanu, pozbawiającego przywództwa jego brata i tworzącego w Zimbali nową dyktaturę, dowiedział się także, że sprawa ta ma dodatkowy, groźny wymiar, którego ujawnienie mogło zainteresować cały świat. Przed opublikowaniem swych odkryć, nawet przed poinformowaniem Jamela, potrzebował jednak dowodu na poparcie oskarżeń, które zamierzał wysunąć. I właśnie miał ten dowód uzyskać.

Jechał główną ulicą Habane, stolicy Zimbali. Skręcił na podziemny parking, gdzie umówił się na spotkanie z informatorem. Wieczorem o tej porze stało tu zaledwie kilka samochodów. Remy zerknął na zegarek. Za trzy dziewiąta. Spotkanie było wyznaczone dopadnie na dziewiątą. Zaparkował w umówionym miejscu, wypadł, z kieszeni marynarki wyciągnął papierosy i zapalił.

Nieznacznie rozejrzał się dookoła. Na parkingu panowała złowroga cisza. Zaciągnął się głęboko i po raz kolejny spojrzął na zegarek. Jeszcze dwie minuty. Przeklął swój niepokój. Nie było przecież żadnego powodu. Nie potrafił się jednak opanować. Ponownie rozejrzał się dookoła, tym razem dostrzegając więcej szczegółów. Zobaczył także niebieskiego fiata, samochód informatora. Stał zaparkowany tuż przy murze, niemal całkiem ukryty za czerwonym studebakerem. Remy podniósł papierosa do ust, mimo wszystko lekko się uśmiechając. Wydało mu się typowe, że informator stosuje tak przesadne środki ostrożności.

Zduślił papierosa obcasem i wolnym krokiem ruszył w kierunku fiata. Mógł już dostrzec sylwetkę informatora, siedzącego za kierownicą. Dlaczego się nie pokazał? Remy nawet nie próbował znaleźć odpowiedzi na to pytanie, przynajmniej przyjechał. Doszedł na miejsce, pochylił się, zajrzał do środka.

Gardło kierowcy poderżnięto od ucha do ucha, koszula i spodnie były przesiąknięte krwią. Odskoczył, przerażony, boleśnie uderzając w studebakera. Żołądek odmówił mu posłuszeństwa, skulony pod murem zwymiotował. Dopiero po jakiejś minucie wyprostował się powoli. Otarł z czoła zimny pot.

Nagle za plecami usłyszał jakiś dźwięk. Obrócił się, oczy miał rozszerzone strachem. Za samochodem stało dwóch mężczyzn, obaj byli ubrani w niebieskie robocze kombinezony, a na rękawie z nich dostrzegł plamę krwi. Morderca? Nim zdążył się kątem oka dostrzec jakiś ruch. Obracał się, kiedy pałka trafiła go w głowę za uchem.

Potem nie widział i nie czuł już nic.

Główne więzienie Zimbali, La Tambier, znajdowało się niespełna dziesięć minut jazdy samochodem od centrum miasta, jego nazwa pochodziła od nazwy dzielnicy, w której się znajdowało. Zbudował je Alphonse Mobuto zaraz po zdobyciu władzy. Wkrótce w mieście zaczęto nazywać je „La Boucherie” – rzeźnia – bowiem zniechęceni, siejące przerażenie Siły Bezpieczeństwa torturowały i zamordowały tam wielu dysydentów. Teraz – o ironio historii – najśłynniejszym jego „pensjonariuszem” był sam *le boucher* – rzeźnik, Tito Ngune, przez ostatnie dwadzieścia trzy lata szef policji politycznej. Obywatele donośnie domagali się jego publicznej egzekucji, Jamel Mobuto nie krył jednak zamiaru wytoczenia Rzeźnikowi uczciwego procesu i – w razie udowodnienia winy – skazania go na dożywocie. Nie chciał kolejnej egzekucji, po tak wielu wykonanych za rządów jego ojca.

Ngune leżał na cienkim materacu w rogu celi. Był to przysadzisty pięćdziesięciosześcioletni mężczyzna o siwych włosach i koziej bródce jakby przyklejonej do twarzy, którą, podobnie jak całe ciało, pokrywały sińce – czterdziestoosobowy tłum wpadł do jego domu i dokonałby linczu w pięknym niegdyś ogrodzie, gdyby nie pojawili się żołnierze, którzy uratowali mu życie i przewieźli do La Tambier.

Podniósł się niezręcznie i powoli rozejrzał po celi. Takiej doczekał się nagrody za lata lojalnej służby dla Alphonse’a Mobuto! Dyktator miał tylko jedną słabość – przywiązanie do rodziny. Choć wydziedziczył Remy’ego i nie znosił praworządnego Jamela, swego naturalnego spadkobiercy, nakazał ludziom Ngune trzymać się od nich z daleka. Mimo to Siły Bezpieczeństwa zorganizowały trzy zamachy na życie jego najstarszego syna – wszystkie nieudane. Chłopakowi nie brakowało odwagi, Ngune musiał to przyznać jako pierwszy. Każdy, kto odważył się krytykować reżim Mobuto, był natychmiast aresztowany, osadzany w La Tambier lub nie używanym teraz więzieniu Branco, znajdującym się w drugim co do wielkości mieście Zimbali, Kondese, leżącym na południu kraju, po czym zniknął bez śladu.

Gdzieś poza murami więzienia odezwał się młot pneumatyczny – punktualnie, jak zawsze od kilku dni. Jego dźwięk początkowo irytował więźnia, lecz w końcu zdążył się do niego przyzwyczaić, a nawet – dziwne – polubił go, w końcu była to jakaś odmiana po panującej tu niezmiennej ciszy. Ciekawe, co dzieje się tam, na zewnątrz? Budowa drogi? Rozbiórka części więzienia? Ta druga możliwość wydaje się całkiem prawdopodobna, w końcu krajem rządzi teraz liberał. Oczywiście, nie miało to żadnego praktycznego znaczenia, ale przynajmniej mógł na czymś skupić myśli. Postanowił, że zapyta któregoś ze strażników, kiedy przyjdzie czas na kolejny posiłek.

Michael Sibebe wiedział, czym od dwóch dni zajmowali się robotnicy. Reperowali pękniętą rurę. W tym tygodniu właśnie on pełnił służbę przy bramie. Nadszedł jej ostatni dzień. Jutro wraca do więzienia – z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony cieszyło go towarzystwo robotników, z drugiej zaś męczył ciągły huk maszyn, a zwłaszcza młota pneumatycznego. Robotnik chciał mu dać zatyczki do uszu, lecz dowódca straży zabronił przyjęcia ich, więc Michaelowi pozostało tylko przyzwyczaić się do hałasu. No, do końca służby zostało jeszcze tylko parę godzin...

Jeden z robotników odłączył się od grupy i ruszył w jego kierunku. Sibebe znał tylko jego imię – Johnny, lecz naprawdę był to Thomas Massenga, prawa ręka Ngune, ukrywający się od czasu dojścia Jamela do władzy. Dopiero gdy znalazł się on całkiem blisko, strażnik dostrzegł krew na rękawie niebieskiego kombinezonu. Rzekomy robotnik wyciągnął ukrytą pod nim broń – mini-uzi i zastrzelił Sibebe z bezpośredniej odległości.

Buldożer, przez dwa dni nieruchomy, ożył teraz i z warkotem ruszył ku bramie więzienia. Pobiegli ku niej dwaj strażnicy, zaalarmowani hukiem wystrzałów – obaj uzbrojeni w samopowtarzalne karabiny FN FAL. Massenga zastrzelił ich, nim zdążyli choćby wymierzyć w buldożer, który uderzył w bramę, wyrywając ją z zawiasów i miażdżąc, jakby była z plastyku, po czym gestem nakazał sześciu swym ludziom, by ruszyli za nim na teren więzienia. Wszyscy mieli mini-uzi.

Niewielka grupa strażników nie stanowiła zagrożenia dla siódemki doskonale wyszkolonych byłych agentów Sił Bezpieczeństwa. Walka skończyła się po minucie i oddział ruszył dalej. Dwaj strażnicy trzymający wartę przed celą Ngune po prostu rzucili broń – nie mieli innego wyjścia. Massenga zabrał klucze jednemu z nich, otworzył drzwi i podbiegł do materaca. Z przerażeniem wpatrzył się w siną, opuchniętą twarz dowódcy. Natychmiast kazał swym ludziom wynieść go, po czym zamknął dwu przerażonych strażników w sąsiedniej celi i wyrzucił klucz.

Kiedy opuścili więzienie, spojrzął na zegarek. Doskonale. Akcja nie trwała zbyt długo. Choć tuż przed atakiem przecięto linie telefoniczne, wiedział, że władze z pewnością zostały zaalarmowane i że wojsko już spieszy na odsiecz.

Czarna ciężarówka wjechała tyłem przez strzaskaną bramę. Troskliwie podtrzymywany przez dwóch byłych agentów, Ngune wsiadł do środka, gdzie czekała już na niego warstwa materacy i poduszka. Massenga zajął miejsce obok kierowcy, samochód ruszył natychmiast.

Plan zakładał zmianę pojazdów na przedmieściu Habane, a potem ucieczkę do Kodense, gdzie kilkuset mężczyzn, głównie członków rozwiązanych Sił Bezpieczeństwa nadal lojalnych wobec Ngune, tylko czekało rozkazu rozpoczęcia miażdżącego ataku na nieporadne, zdeorganizowane oddziały rządowe, składające się w dużej mierze z rekrutów, którzy zaciągnęli się dopiero po dojściu do władzy Jamela. Dzięki mordercom czekającym na Jamela Mobuto w Stanach za lalka dni Tito Ngune rozpocznie rządy jako nowy prezydent Zimbali.

Plan ten nie mógł się nie powieść.

Departament Policji miasta Nowy Jork, odpowiedzialny za bezpieczeństwo na lotnisku im. Johna F. Kennedy'ego, zaangażował pięćdziesięciu agentów do ochrony delegacji, której przewodniczył Jamel Mobuto. Piętnastu snajperów, uzbrojonych w karabiny M16 (z celownikami laserowymi), rozlokowano w strategicznych punktach, tak że panowali nad pasem startowym, a kolejnych piętnastu (w cywilnych ubraniach) kręciło się wśród tłumów w samym terminalu. Część pasa odgrodzono już po południu – czuwało nad nim dwudziestu agentów, mających rozkaz nie przepuszczać nikogo nie posiadającego oficjalnej przepustki. Władze postanowiły ograniczyć ryzyko do minimum. Gra toczyła się o zbyt wysoką stawkę.

Whitlock dojechał na lotnisko na dwie godziny przed spodziewanym przybyciem delegacji, by upewnić się, że przedsięwzięto wszystkie środki zapewniające bezpieczeństwo. Sytuację, którą zastał, uznał za zadowalającą. Spojrzał na zegarek – dwie godziny niemal już upłynęły, a zgodnie z informacjami otrzymanymi z wieży kontrolnej samolot prezydenta miał wylądować o czasie.

Rozejrzał się. Z lewej strony miał policyjne radiowozy, zaparkowane zderzak przy zderzaku. Za nimi stał żywy łańcuch funkcjonariuszy, uzbrojonych w broń krótką i karabiny. Po prawej znajdowały się cztery czarne limuzyny, którymi będzie podróżować po Nowym Jorku delegacja Zimbali. Ich nieprzezroczyste, ciemne szyby, podobnie jak cała karoseria były kuloodporne, a w razie próby przewrócenia samochodu każdy z kierowców mógł także wysunąć szereg ostrych jak brzytwa noży ukrytych w podwoziu. Zabezpieczono się na każdą ewentualność.

Osobistości mające przywitać delegację rozmawiały z ożywieniem stojąc w pobliżu limuzyn. Zimbalski przewodniczył nowo mianowany ambasador przy Organizacji Narodów Zjednoczonych, administrację amerykańską reprezentował szef protokołu.

C.W. poszukał wzrokiem dwóch ubranych w garnitury mężczyzn, stojących nieco na uboczu – Paula Bretta i Jacka Rogersa. Ludzie Baileya. Obaj pełnili rolę goryli prezydenta podczas rządów Reagana, żaden jednak nie przeszedł chrztu bojowego, żaden z nich nigdy nie wyciągnął broni w sytuacji rzeczywistego zagrożenia. Whitlock spędził z nimi większość tego popołudnia i nabrał pewności, że obaj nie cenią go szczególnie wysoko. Choć nie wspomnieli o tym ani słowem, wiedział, że ich gorycz wzięła się stąd, iż to on dowodzi ochroną. Musieli słuchać rozkazów kogoś spoza CIA. Brett nagle spojrzał mu w oczy. Twarz miał kamienną. Rogers powiedział mu coś i obaj się roześmieli.

Whitlock nie spuścił wzroku. Nie da się onieśmielić żadnemu z popychadeł Baileya. W końcu to agent CIA odwrócił oczy.

C.W. zorientował się nagle, że obserwuje go dziewczyna z delegacji zimbalskiej: ładna, dwudziestoletnia, o skórze jasnej jak na Murzynkę, ubrana w niebieską garsonkę i białą bluzkę. Tłumaczka. Oficjalnymi językami Zimbali były francuski i suahili, niektórzy członkowie misji nie mówili po angielsku. Uśmiechnął się do niej. Dziewczyna odpowiedziała mu uśmiechem, a potem szybko odwróciła wzrok, jakby przyłapano ją na czymś niestosownym. Whitlock przypomniał sobie o Rosie. Całe popołudnie był tak zapracowany, że na śmierć zapomniał do niej zadzwonić. Czuł się winny z tego powodu, choć wiedział, że i tak nie zdołałby się z nią porozumieć. Postanowił, że kiedy wreszcie do niej zadzwoni, umówią się na rozmowę gdzieś z dala od jej rodziców.

Ktoś go zawołał, przerywając tok jego myśli. Samolot prezydencki podchodził do lądowania. Rozkazał policjantom zająć wyznaczone miejsca przy pasie, po czym podszedł do Bretta i Rogersa. Obaj spojrzeli na niego, lecz nie odezwali się ani słowem.

Biały gulfstream jeden wylądował idealnie, lecz dopiero gdy podkołował bliżej, Whitlock dostrzegł wymalowaną na zbiorniku paliwa niebiesko-czerwono-białą flagę i słowa „Air Zimbala”. Najwyraźniej przemalowano go przed lotem – ciekawe, czy zrobiono to, by wymazać z pamięci wspomnienia o poprzednim reżimie? Nie zastanawiał się nad tym dłużej, samolot bowiem już się zatrzymał – niespełna sześć metrów od limuzyn. Otwarto wejście, podjechały schodki. Szef protokołu podszedł do nich, czekając na Jamela Mobuto.

Pierwszy mężczyzna, który stanął w wejściu, musiał pochylić głowę, by przejść – miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu. Rozejrzał się uważnie dookoła, znikł we wnętrzu i po chwili pojawił się z powrotem, za nim zaś, niemal całkowicie ukryty, szedł człowiek, w którym Whitlock natychmiast rozpoznał Jamela Mobuto. Ten wysoki, przystojny mężczyzna, roztaczający wokół siebie wyraźnie wyczuwalną atmosferę władzy, świetnie wyglądał w drogim, szarym garniturze od Diora. Aż trudno było uwierzyć, że ma czterdzieści dwa lata. Po zejściu ze schodów zdjął okulary przeciwsłoneczne i potrząsnął wyciągniętą ręką szefa protokołu. Rogers wraz z Brettem już czekali, błyskawicznie zajęli miejsca po obu stronach prezydenta i szli obok niego, gdy witał się po kolei ze wszystkimi członkami misji. Wtedy właśnie dostrzegł Whitlocka, stojącego dyskretnie z tyłu. Poprosił ochroniarzy, by zaczekali na niego i podszedł do swego dawnego znajomego.

– Wiele lat minęło, Clarence – powiedział nienaganną angielszczyzną.

Whitlock stłumił ogarniający go gniew. Nigdy nie wybaczył rodzicom, którzy dali mu imiona Clarence Wilkins.

– Przeszło dwadzieścia lat – odparł, ściskając dłoń prezydenta. – Dobrze wyglądasz, Jamel.

Mobuto westchnął głośno i obejrzał się na wielkiego ochroniarza, stojącego nieco z tyłu. Kiedy się odwrócił, powiedział gniewnie:

– Przy moich ludziach masz mówić do mnie „panie prezydencie”!

– Przy moich zaś zwracaj się do mnie „C.W.”! – Whitlock nie spuścił wzroku.

Prezydent uśmiechnął się chłodno.

– Nie zmieniłeś się. Jak zawsze jesteś nieugięty.

– A ty arogancki jak zawsze.

C.W. spojrzął ponad ramieniem Mobuto i gestem nakazał zbliżyć się Brettowi i Rogersowi. Przedstawił ich, a potem wyjaśnił, że w każdej minucie pobytu w Stanach jeden z nich będzie przy boku pana prezydenta.

Mobuto nie przerywał mu, a kiedy skończył, zadał tylko jedno pytanie:

– A ty?

– Jestem szefem ochrony. Brett i Rogers składają meldunki mnie. Podobnie jak twoi ochroniarze.

Jamel Mobuto milczał przez chwilę, jakby chciał to rozważyć.

– Doskonale – odrzekł wreszcie i w towarzystwie szefa protokołu ruszył w kierunku limuzyn.

– Brett, bierzesz pierwszą zmianę, prawda?

Agent skinął głową.

– Rogers, zwalniasz go jutro o siódmej rano.

– Świetnie – padła krótka odpowiedź.

Whitlock zezwolił mu odejść, Brett zaś pospieszył, by dogonić Mobuto i wsiadł na przednie siedzenie pierwszej limuzyny. C.W. również zbliżył się do prezydenta, lecz podczas rozmowy z szefem protokołu trzymał się dyskretnie z tyłu. Mobuto zamienił jeszcze parę słów w suahili z ambasadorem Zimbali, po czym wezwał do siebie wysokiego ochroniarza. Przedstawił go jako Masalę, swego osobistego strażnika, i oznajmił, że szefem jego i trzech innych członków ochrony będzie Whitlock.

– Jadę z prezydentem drugą limuzyną – zwrócił się do Masali C.W. – Pan pojedzie na przednim siedzeniu trzeciej. Proszę rozdzielić swych ludzi między pozostałe samochody.

Ochroniarz skinął głową i odszedł, by przekazać dalej otrzymane rozkazy.

Mobuto wsiadł do samochodu. Obok niego zajął miejsce ambasador, kierowca zamknął za nimi drzwi. Gdy tylko C.W. zajął miejsce na siedzeniu pasażera, samochód ruszył. Zaraz potem Whitlock powiedział przez ramię:

– Za chwilę podniosę szybę. Jest nie tylko kuloodporna, lecz także dźwiękoszczelna, a więc umożliwi panom spokojną rozmowę. Na półce z przodu znajduje się telefon, jeśli któryś z panów zechce porozmawiać z kimś z zewnątrz. Gdybyśmy mogli się na coś przydać, proszę wykręcić zero.

Mobuto tylko skinął głową.

Po przyciśnięciu guzika na desce rozdzielczej szyba podniosła się, izolując od siebie przednią i tylną część limuzyny. C.W. westchnął głęboko i poprawił się na siedzeniu. Kierowca zerknął na niego, lecz wyczuł, że nie ma on ochoty na rozmowę, więc włączył radio i znalazł stację nadającą wyłącznie muzykę. Za pierwszą limuzyną skręcił w Grand Central Parkway, kierując się w stronę Manhattanu.

Konwój, prowadzony przez samochód policyjny oraz dwa motocykle przejechał Long Island City, przez most Queensboro wjechał na Manhattan i dotarł wreszcie do United Nations Plaza, hotelu,

w którym delegacja Zimbali miała mieszkać podczas trzydniowej wizyty w Nowym Jorku. Hotel znajdował się w pobliżu siedziby Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz zaledwie trzy przecznice od Instytutu Afrykańsko-Amerykańskiego, który Mobuto zapragnął odwiedzić podczas swej wizyty. Ponieważ miał on także wygłosić mowę w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ, trudno było znaleźć lepsze miejsce.

Samochody zatrzymały się przy wejściu do hotelu, Whitlock wyskoczył z limuzyny i niespiesznie rozejrzał się dookoła. Dziennikarze, zaalarmowani anonimowym telefonem do agencji Reutersa – dzwonił rzekomo jeden z morderców – stawili się na miejscu w dużej liczbie, marząc o wyłączności na materiał o zamachu, lub przynajmniej jego nieudanej próbie, dla porannych wydań swych gazet. C.W. polecił dwóm policjantom odsunąć fotoreporterów o jakiś metr, aby Mobuto mógł wysiąść. Natychmiast rozpoczęła się przepychanka z niesubordynowanymi przedstawicielami środków masowego przekazu. Brett i Masala stanęli przy tylnych drzwiach, pozostali ochroniarze zajęli miejsca po drugiej stronie samochodu, twarzą do fotoreporterów. Wreszcie C.W. zezwolił Masali na otwarcie drzwi.

Mobuto wysiadł powoli, odwrócił się i pomachał do fotoreporterów. Zabłyły światła fleszów – Whitlock z trudem skupiał wzrok na morzu obiektywów, rozglądał się, szukając czegoś, co było tu nie na miejscu.

Nagle jeden z członków zimbalskiej ochrony krzyknął coś i skoczył w stronę dziennikarzy. C.W. przewrócił Mobuto na ziemię i w tej samej chwili w mur za ich plecami uderzyła kula. Dziennikarze rozbiegli się w panice, ochrona zaś rzuciła się na zamachowca. Rozległ się drugi strzał i jeden z jej członków upadł, trzymając się za brzuch. Pozostali dwaj Zimbalscy wyciągnęli płaskonose smith & wessony, ruszając w pogoń za uciekającym zabójcą.

Ze stojącego na uboczu niebieskiego forda posypały się kule, ochroniarze padli na ziemię. Nim zdążyli się pozbierać, zamachowiec wskoczył do samochodu, który ruszył z piskiem opon i zniknął sprzed hotelu.

Whitlock skoczył na jeden z policyjnych motocykli, kopnął rozrusznik, dodał gazu, obrócił go na tylnym kole o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył w pogoń za uciekającym fordem. Przez radio wezwał pomoc, podając markę samochodu i jego numer rejestracyjny.

Ford skręcił ostro we Wschodnią 34 Ulicę, wjechał na krawężnik, gdzie omal nie potracił pary nastolatków czekających przy pasach na zielone światło, a następnie ruszył Drugą Aleją. Nagle wóz wpadł w poślizg, więc kierowca w panice mocno przycisnął hamulec i na zablokowanych kołach przeleciał w poprzek ulicy. Samochód uderzył w nadjeżdżający autobus Greyhonda, przewrócił się kołami do góry i rąbnął w wóz pocztowy. Kierowca ze zmiażdżoną klatką piersiową leżał bez ruchu.

Zamachowiec zdołał rozpiąć pas i próbował wydostać się z samochodu. Dopiero przechodnie pomogli otworzyć drzwi. Z rany na czole sączyła mu się krew, otarł ją ręką i wymierzył do gapiów z walthera P5, ludzie natychmiast się cofnęli. Gdy ujrzał Whitlocka, wjeżdżającego właśnie w Drugą Aleję, strzelił na ślepo. C.W. stracił kontrolę nad motocyklem i ciężko upadł na asfalt. Przeszpeca dziko rozejrzał się dookoła, przebiegi wśród rozstępującego się przed nim tłumu i skręcił w wąski zaułek. Agent UNACO, stał krzywiąc się z bólu – na lewej nodze spodnie były rozdarte, a z rany nad

kolanem ciekła krew. Nieźle się urządziłem – pomyślał – wyciągając browning Mk2 i ruszając w pościg – ale niech diabli, jeśli pozwolę temu facetowi uciec. Nie zważając na ból, nasilający się z każdym krokiem, dobiegł do miejsca, w którym uliczka rozchodziła się w dwóch kierunkach. Nie dostrzegł nikogo. Zaklął pod nosem, myśląc, że pogoń najprawdopodobniej dobiegła kresu.

Nagle świsnęła kula. C.W. uskoczył za rząd metalowych pojemników na śmiecie. Nie widział zamachowca, ale teraz już wiedział, gdzie się on ukrył. Padł drugi strzał, równie niecelny. Świadczyło to, że przestępcę ogarnęła panika, która zawsze prowadzi do błędu. I rzeczywiście, mężczyzna wybiegł zza osłony metalowej drabinki. Whitlock wymierzył w nogi. Potrzebował go żywego.

Wtem z uliczki wynurzył się wóz policyjny i zatrzymał niespełna dziesięć metrów od niego, na linii strzału. Agent UNACO zaklął podrywając się na równe nogi. Z samochodu wysiadł kierowca z coltem pythonem w rękę i krzyknął „Rzuć broń!” Na nic nie zdały się próby wyjaśnienia, o co chodzi – zaciśnięta na rewolwerze dłoń stawała się tylko coraz bielsza. W końcu C.W. zaklął ponownie i rzucił na ziemię browning. Policjant kopnął go, gestem nakazując agentowi zbliżyć się do radiowozu.

– Rączki na dach – rzucił. – No!

– Pracuję z wami, ludzie – wściekał się Whitlock. – Na litość boską...!

– Jasne, przyjacielu. A teraz rączki na dach.

– Nazywam się Whitlock. Możesz sprawdzić to u swojego szefa – dowodzę ochroną prezydenta Zimbali!

Funkcjonariusz cierpliwie przeczekał wyjaśnienia, a kiedy jego więzień położył wreszcie ręce na dachu, kopniakiem rozsunął mu nogi.

– Kazano mi ścigać czarnego, podejrzanego o dokonanie zamachu. Nie widzę tu innego kandydata. A ty?

– Przez ciebie zwiął. – C.W. próbował się odwrócić, lecz policjant bardzo stanowczo nakazał mu jednak stać bez ruchu twarzą do samochodu. Obszukał go i sięgnął po kajdanki. Whitlock stwierdził, że nadeszła właściwa chwila: powalił funkcjonariusza jednym ciosem, odebrał mu broń, rzucił ją na przednie siedzenie radiowozu, po czym zamknął samochód, podniósł swój browning i ruszył w dalszą pogoń. Kiedy dotarł do miejsca, w którym po raz ostatni widział zamachowca, nie było już tam nikogo, z sąsiedniej uliczki dobiegł go jednak brzęk przewracanych pojemników. Ścigany próbował sforsować ogrodzenie z siatki. Agent UNACO strzelił, pudłując z rozmysłem. Osiągnął jednak spodziewany efekt – ofiara spadła z ogrodzenia, ciężko lądując na plecach. Nim sam zdołał przeleźć przez siatkę, mężczyzna już pokonał dziesięć metrów dzielących go od zrujnowanego magazynu.

Whitlock zeskoczył na ziemię miękko jak kot. Obok ogrodzenia dostrzegł walthera P5 – najpewniej zamachowiec zgubił go przy upadku. Choć nie wydawało się prawdopodobne, by ścigany

miał przy sobie jakąś broń, C.W. zbliżał się do magazynu z ostrożnością prawdziwego profesjonalisty.

Otworzył drzwi i zajrzał do wnętrza. Jego oczy musiały się przyzwyczaić do panującego w środku mroku. Po chwili wślizgnął się do środka i przykucnął za zardzewiałym pudłem stojącym obok wejścia. Dokładnie obejrzał pomieszczenie – nigdzie jednak nie dostrzegł człowieka, którego ściagał, nie było go nawet na zawieszonych pod dachem ażurowych galeryjkach. Ruszył powoli po cementowej podłodze, mocno ściskając w garści broń i rozglądając się wokół siebie. Dotarł pod przeciwległą ścianę, przystanął i otarł pot z czoła. Gdzie, do diabła, się podział ten facet?

Nagle twarz zasypał mu spadający z góry pył. Nim zdążył zareagować, zamachowiec skoczył na niego, z biegnącego wokół ścian wąskiego parapetu. Obaj ciężko upadli na ziemię, przy upadku C.W. stracił swój pistolet. Mężczyzna zamachnął się zardzewiałym łańcuchem, trafił nim jednak w podłogę – Whitlock przetoczył się błyskawicznie i kopnął napastnika w nogę. Zamachowiec stracił równowagę i ciężko walnął w mur, upuszczając łańcuch. Agent UNACO miał dość czasu, by wstać i wymierzyć mu cios sierpowy w głowę, a po nim kilka potężnych nokautujących prostych w korpus. Jego przeciwnik skulił się, przyciskając dłonie do brzucha, nagle jednak dostrzegł leżący na ziemi browning i natychmiast rzucił się w jego kierunku. W ostatniej chwili Whitlock uderzył w lufę – strzał chybił.

Teraz walka toczyła się już tylko o posiadanie broni, która wyśliznęła się zamachowcowi z ręki i upadła mu pod nogi. C.W. odepchnął go aż na leżącą w kącie brezentową płachtę, schylił się po pistolet, wymierzył i... opuścił dłoń nie oddając strzału. Jego i leżał nieruchomo – nadział się na zardzewiałe ostrza bramy, przykryte płachtą.

Agent UNACO przełknął ślinę, by zwilżyć zaschnięte gardło i podszedł do zamachowca. Dostrzegł plamy krwi na jego koszuli, sprawdził puls i pozwolił ręce opaść bezwładnie. Schował broń, po czym powoli ruszył w stronę wrót, zza których dobiegał już dźwięk syren. Wyszedł na zewnątrz, strzepnął pył z drewnianego pudła i usiadł na nim ciężko, czekając na policję.

Kiedy C.W. wrócił do hotelu, w holu czekał już na niego Kolczynski. Bez zbędnych wstępów zapytał:

– Jak noga?

– W porządku. – Whitlock uśmiechnął się ponuro. – Nie trzeba było nawet zakładać szwów. Z nadmiaru ostrożności zaszczepili mnie przeciw tężcowi. Dzięki za załatwienie wszystkich formalności z nowojorską policją. Już wydawało mi się, że spędzę w celi całą noc.

Szef poklepał go po ramieniu.

– Chodź – powiedział. – Mobuto czeka na ciebie.

– A on jak się miewa?

– Zdumiewająco dobrze, biorąc pod uwagę okoliczności. – Obaj ruszyli w stronę wind. – Aż trudno uwierzyć, że ktoś właśnie próbował go zabić. Udaje, że nic się nie stało.

– Udaje, to najwłaściwsze słowo – stwierdził Whitlock, kiedy wsiadali do windy.

– Naprawdę go nie lubisz, co?

– Jako człowieka, nie. Ale on najwyraźniej chce wprowadzić w Zimbali demokratyczne rządy, więc warto go chronić.

Dojechali na trzydzieste piętro i kiedy wyszli na korytarz, natychmiast zatrzymał ich mundurowy policjant, żądający przepustki. Delegacja Zimbali wynajęła całe piętro, choć zajmowała tylko dziesięć pokoi. Kwestia bezpieczeństwa.

Kolejny policjant czuwał przed apartamentem prezydenta – znów musieli pokazać przepustki. Kiedy formalnościom stało się zadość, Kolczynski zapukał. Masala otworzył nie zdejmując łańcucha, gdy jednak poznał, z kim ma do czynienia, natychmiast zaprosił ich do środka, następnie dyskretnie się wycofał, zamykając za sobą drzwi.

Mobuto był sam. Siedział na kanapie i przeglądał stos papierów. Na widok gości zdjął okulary i gestem zaprosił ich, by zajęli miejsca naprzeciw niego. Rosjanin usiadł i zapytał, czy może zapalić.

– Proszę się nie krępować – odparł prezydent, a zwracając się do Whitlocka dodał: – Ocaliłeś mi dzisiaj życie. Dziękuję. Poinformowano mnie, że podczas pościgu za zamachowcem zostałeś ranny. Mam nadzieję, że to nic poważnego?

C.W. potrząsnął głową.

– Skaleczyłem się w nogę spadając z motocykla – wyjaśnił. – Drobiazg. Przykro mi z powodu twojego człowieka. To on ocalił ci życie, nie ja.

– Zmarł nie odzyskując przytomności. Przynajmniej nie cierpiał. – Mobuto schował okulary do futerału i odłożył je na niski stolik. – Macie ochotę napić się czegoś?

Kolczynski przecząco pokręcił głową.

– Nie, dziękuję – powiedział.

– A ty, Clarence?

– Nie. – Whitlock usiadł obok szefa. – A gdzie jest Brett? – zainteresował się.

– W sąsiednim pokoju. – Głos prezydenta Zimbali brzmiał zupełnie obojętnie.

– Masala też. Nie masz ochrony...

– Chroni mnie połowa sił policyjnych Nowego Jorku rozlokowana w korytarzu oraz

ochroniarze w każdym z sąsiednich pokoiów – przerwał mu ostro Mobuto. – Czuję się jak więzień.

– Najważniejsze jest, by zawsze, ale to zawsze, jeden ze strażników był wraz z tobą.

– Nawet kiedy śpię?

– Nawet kiedy śpisz – zdenerwował się Whitlock. – Najwyraźniej mordercy są gotowi poświęcić życie, by cię zabić. Oznacza to, że nie cofną się przed niczym.

– Co właściwie chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę przez to powiedzieć, że nawet w tym pokoju nie jesteś bezpieczny. Mogą dostać się przez okno...

– Na miłość boską, jesteśmy na trzydziestym piętrze! – przerwał Mobuto i lekko się uśmiechnął. – Sądzę, że nieco dramatyzujesz.

– Nie, proszę pana, on nie dramatyzuje – wyjaśnił poważnie Kolczynski. – Mówi najzupełniej poważnie. Zawsze, ale to zawsze, musi pan mieć przy boku przynajmniej jednego strażnika. Proszę wziąć pod uwagę to, co dziś się stało.

Prezydent westchnął ciężko.

– Doskonale. Wy się na tym znacie.

– A gdzie jest Brett? – Whitlock wstał z miejsca.

– Tam – Mobuto wskazał na lewo.

Agent UNACO podszedł do drzwi i zastukał w nie. Złapał Bretta, gdy tylko ten mu otworzył, i cisnął nim o ścianę.

– Powinieneś dotrzymywać towarzystwa prezydentowi, a nie siedzieć na tyłku oglądając mecz w telewizji.

Brett uwolnił się i przeszył Whitlocka gniewnym spojrzeniem.

– Prezydent mnie zwolnił. To co do diabła miałem zrobić?

– Powinieneś wyjaśnić mu, że twoim obowiązkiem jest zostać u jego boku. Nie uczysz go jego pracy, to niech on nie uczy cię twojej. Podobno jesteś zawodowcem. Zachowuj się więc jak zawodowiec!

Agent CIA odpowiedział mu wściekłym spojrzeniem, a potem wziął broń, włożył marynarkę i opuścił pokój. Whitlock poszedł za nim. Dyskretnie i cicho Brett zajął miejsce w kącie pokoju.

– Prezydent otrzymał właśnie telefon z Zimbali – powiedział Kolczynski. – Porwano jego

brata.

– Co się właściwie stało? – C.W. spojrzął na Jamela Mobuto.

– Remy udał się na spotkanie z informatorem. W godzinę później jego zastępca dostał anonimowy telefon z informacją, że porwali go ludzie Ngune. I to wszystko. – Prezydent spojrzął na agenta. – Zakładam, że poinformowano cię o ucieczce Ngune?

– Tak, poinformowano. Czy ma on wystarczające poparcie, by dokonać zamachu stanu?

– Ma ludzi i pieniądze – padła rzeczowa odpowiedź. – Może posłużyć się byłymi funkcjonariuszami Sił Bezpieczeństwa. Pieniądze pochodzą od zamożnej muzułmańskiej mniejszości, zamieszkałej na południu kraju. Wielu jej przedstawicieli pod rządami mego ojca zgromadziło ogromne fortuny, pragnę dodać – nielegalnymi środkami. Wiedzą, że jeśli wprowadzę w kraju nowe, demokratyczne rządy, fortuny te zostaną skonfiskowane. Z pewnością wiecie panowie, że chciwość nie zna granic. Ci ludzie zrobią wszystko, by przywrócić dyktaturę, taką jak dyktatura mojego ojca, która chroniła ich przez czterdzieści pięć lat. Na ich drodze jedyną przeszkodą jestem ja. Obywatele Zimbali patrzą na mnie jak na nowego mesjasza. Nie zdradzę ich.

– Jedno mnie dziwi – stwierdził Whitlock po chwili milczenia. – Panie prezydencie, pański ojciec – gdy tylko zdał sobie sprawę, że nie pójdzie pan w jego ślady – wydał edykt, mocą którego utracił pan prawo dziedziczenia władzy. Jakim cudem po jego śmierci udało się panu odebrać ją rządowi?

– Rządem był mój ojciec. On decydował o wszystkim, on ustanawiał prawa. Ministrowie tylko mu przytakiwali, byli marionetkami. Kiedy zmarł, zabrakło kogoś pociągającego za sznurki. Marionetki wpadły w panikę. Użyłem ich paniki do swych celów, ale musiałem działać szybko. Największym zagrożeniem był dla mnie Ngune. Tylko jemu mój ojciec ufał, naprawdę ufał. Na szczęście dla kraju policja i Siły Bezpieczeństwa nigdy ze sobą nie współpracowały. Mając po swej stronie policję i wojsko, zdołałem przeszkodzić Ngune w realizacji jego planów. Niestety, nie doceniłem sił, jakimi dysponował. Nie mogę jednak pozwolić sobie na skrócenie wizyty w Ameryce. Zrobiłbym mu tylko przysługę. Ludzie pomyśleliby, że spanikowałem. A to oznaczałoby utratę zwolenników. – Mobuto wstał i podszedł do barku, by nalać sobie burbona. – Panowie, jeśli pozwolicie, mam dziś jeszcze sporo pracy.

– Oczywiście – Kolczynski wstał.

Whitlock podszedł do siedzącego w kącie agenta CIA.

– Nie spuszczaaj go z oczu – polecił cicho.

– Nie spuszczę – padła wypowiedziana kwaśnym głosem odpowiedź.

Pożegnali się z Jamelem Mobuto i wyszli na korytarz.

– Byłbym znacznie szczęśliwszy, gdybyśmy do opieki nad nim mogli użyć naszych ludzi – stwierdził Whitlock, gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły.

Rosjanin przytaknął z ponurą miną.

– Doskonale cię rozumiem. Obawiam się jednak, że jesteśmy skazani na tych od Baileya. Niestety, nic na to nie mogę poradzić.

– Wiem. – C.W. przycisnął guzik windy.

– Mam zamiar zatrzymać się przy szpitalu i zobaczyć, jak się miewa pułkownik. Pojedziesz?

Whitlock wzruszył ramionami.

– Czemu nie? Carmen nie wróciła jeszcze do domu. We wtorki pracuje po południu. – Spojrzał na zegarek. – Ale przecież godziny odwiedzin już się skończyły.

– Sekretarz generalny rozmawiał z administracją szpitala. Zdecydowali, chociaż niechętnie, by w wypadku pułkownika nie przestrzegać normalnych godzin odwiedzin. Tylko pod tym warunkiem zgodził się pozostać w lecznicy.

C.W. spojrzął na szefa porozumiewawczo, po czym obaj weszli do windy.

Szybko i bez przeszkód dojechali do szpitala Bellevue, wygodnie usytuowanego w odległości około dwóch kilometrów zarówno od hotelu, jak i od gmachu ONZ. Recepcjonista skierował ich do prywatnej sali na trzecim piętrze.

Kolczyński lekko zapukał do drzwi.

– Proszę – usłyszeli głos Philpotta.

Pułkownik siedział na łóżku zasłonięty płachtą „New York Timesa”.

– Proszę położyć je na stoliku – powiedział gderliwie. – Później wezmę.

– To ja, Malcolmie – odezwał się Rosjanin.

Philpott opuścił gazetę i uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Przepraszam, myślałem, że to znowu któraś z tych cholernych pielęgniarek. Cały dzień nic tylko tu wążą. – Spojrzał na Whitlocka. – Więc i jego udało ci się przyholować?

C.W. z uśmiechem przyciągnął sobie krzesło.

– Jak się pan czuje? – spytał.

– Nieco osłabiony, ale poza tym doskonale.

Kolczyński również usiadł, po czym wręczył Szkotowi opakowaną w brązowy papier paczuszkę.

– Z delikatesów na 44 Ulicy – oznajmił.

– Winogrona! – krzyknął pułkownik. – A ja już miałem nadzieję na odrobinę tytoniu! Doktorzy skonfiskowali moje zapasy. – Odłożył paczuszkę i wziął ze stolika pustą fajkę. – Umieram bez niej – oznajmił. – C.W...

– Nie przemycę tu ani grama tytoniu. Najpierw musi pan wyzdrowieć, a później będzie pan palił tę swoją ukochaną fajkę, kiedy tylko przyjdzie panu na to ochota.

– Już wyzdrowiałem. Dziś rano sam powinienem się wypisać. – Philpott westchnął z rezygnacją. – Macie jakieś wiadomości o Mike’u?

Kolczyński zrelacjonował mu wydarzenia dnia, kończąc opisem próby zamachu na Jamela Mobuto.

– Mój Boże – westchnął Szkot, który słuchał go bardzo uważnie. – Nic ci nie jest? – spytał Whitlocka.

– Skaleczyłem się w nogę spadając z motocykla. Drobiazg. Tylko garnitur nie nadaje się do niczego. Mój krawiec będzie niepokieszony.

– Przynajmniej z tobą wszystko dobrze. Wiecie coś o zamachowcu i jego współpracownikach?

– Na razie nic – odparł Kolczyński. – Nie mieli przy sobie żadnych dokumentów, lecz jest niemal pewne, że przyjechali z Zim – bali. Prawdopodobnie byli to funkcjonariusze Służb Bezpieczeństwa. Ich fotografie i odciski palców przesłałem faxem policji w Habane. Miejmy nadzieję, że do jutra czegoś się o nich dowiedzą.

– A to, co powiedziałaś wcześniej? Że Bernard jest agentem CIA?

Kolczyński przytaknął skinieniem głowy i otworzył teczkę. Podał pułkownikowi kopię akt przyniesionych mu przez Bailey’a.

– Masz tu wszystko – stwierdził. – Zostawiam ci je na noc. Interesująca lektura.

– Z pewnością – syknął Philpott. – Siergiej, musisz bardzo uważać na tego faceta. Mów wyłącznie to, co absolutnie konieczne. I nie ufaj mu!

– Gdy tylko go spotkaliśmy, natychmiast wszyscy zdaliśmy sobie sprawę, że nie jest godny zaufania – Kolczyński zerknął na Whitlocka.

– A jeśli chodzi o tych jego dwóch goryli... – C.W. tylko pokręcił głową z dezaprobatą.

– Co z nimi?

– Powiedzmy, że nie chciałbym, żeby to mnie strzegli. Jeszcze w hotelu powiedziałem Siergiejowi „żałuję, że nie możemy użyć naszych ludzi do ochrony Mobuto”. Spałbym spokojniej.

– Próbowałem – Philpott wzruszył ramionami bezradnie. – Chciałem, by ochraniała go Grupa Uderzeniowa Siedem. Mógłbyś pojechać z Sabriną do Bejrutu. Ale prezydent wolał, by tę operację przeprowadzić wspólnie z CIA, a Bailey zdołał go przekonać, że ma najlepszych ochroniarzy. Nic nie mogłem zrobić. Przynajmniej prezydent wykazał tyle zdrowego rozsądku, że zgodził się, byś to ty dowodził operacją. Wiem, że mnie nie zawiedziesz, C.W. Miej oko na tych gości od Bailey’a. Gdyby prezydent Mobuto zginął dziś, już zostalibyśmy ukrzyżowani.

– Przed nami całe trzy dni, panie pułkowniku. A oni spróbują jeszcze raz.

– Z pewnością. Co z tym ostrzeżeniem, które Bernard miał podobno przekazać Bailey’owi?

– Rozmawiałem z Bailey’em już po próbie zamachu – wyjaśnił Kolczyński. – Twierdzi, że Bernard jeszcze się z nim nie skontaktował. Ma taką teorię, że dzisiejsi zamachowcy albo działali na własną rękę, albo postanowili dobrać się do skóry prezydentowi Mobuto, nie informując o tym innych.

– To brzmi raczej nieprawdopodobnie – stwierdził Whitlock.

– Rzecz jasna – przytaknął gniewnie Szkot. – Pamiętajcie, że mamy do czynienia z Bailey’em!

Kolczyński tylko skinął głową i przetarł zmęczone oczy.

– Cóż, dziś nic już nie załatwimy – stwierdził. – A ja padam z nóg. Co to był za dzień!

C.W. wstał.

– Przed nami jeszcze tylko trzy – stwierdził. – Mógłbyś po drodze podrzucić mnie do domu, Siergiej? Jeśli pojedę metrem, zasnę i obudzę się dopiero na Washington Heights.

Rosjanin poklepał go po ramieniu.

– Oczywiście. Chodź.

Philpott popatrzył na teczkę, którą zostawił mu Kolczyński. Był pewien, że Bailey prowadzi jakąś swoją grę – tylko jaką? Myślał o tym otwierając akta i zabierając się do lektury.

Sabrina zatrzymała się przed drzwiami, zapukała i weszła. Siedzący za biurkiem mężczyzna miał niewiele ponad czterdzieści lat, szczupłą, ciemną twarz oraz czarne, podkrecone na końcach włosy. Spojrzał znad dokumentu, który właśnie czytał, przez chwilę taksował ją wzrokiem, a potem usiadł wygodniej i podniósł brwi w wyrazie zdziwienia. Czekał, by odezwała się pierwsza.

– Czy pan kapitan Farouk? – spytała.

– Jeśli wierzyć temu czemuś – odparł bezbłędną angielszczyzną, wskazując stojącą na biurku tabliczkę z nazwiskiem – to tak.

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie.

– Trzeba jeszcze znać arabski. Dzwoniłam dziś do pana i...

– Ach, tak – Farouk przerwał jej i zerknął do leżącego przed nim notesu. – Panna Cassidy, prawda?

– Sabrina Cassidy – powtórzyła, używając nazwiska z dostarczonego przez UNACO paszportu.

– Może zechce pani usiąść – kapitan gestem wskazał stojące naprzeciw biurka krzesło.

– Dziękuję, chętnie.

– Pani pierwszy raz w Bejrucie?

– Tak – odparła zgodnie z prawdą. – Nie wiedziałam, od czego powinnam zacząć poszukiwania Mike'a, więc zadzwoniłam na policję, a tam skierowano mnie do pana. Powiedzieli, że to pan prowadzi śledztwo. – Udawała zdenerwowanie, zwijając pasek leżącej na jej kolanach torby. – Jakie śledztwo? Co się stało? Co...

Farouk uciszył ją podnosząc w górę dłoń.

– Wydano nakaz aresztowania Michaela Greena – oznajmił, podając nazwisko z jednego z paszportów Grahama.

Sabrina wyprostowała się na krześle.

– O co jest oskarżony?

– O morderstwo.

Znów się zgarbiła, pozornie straszliwie przygnębiona.

– Mój Boże! Morderstwo? Nie wierzę! Jasne, Mike jest kimś w rodzaju buntownika, ale nigdy nikogo nie zabił!

Policjant przygotował przybory do pisania i rzekł:

– Chciałbym zadać pani kilka pytań, panno Cassidy. Czy mogę?

– Ależ oczywiście. – Nadal udawała, że bardzo się denerwuje. – Proszę pytać. Oczywiście.

– Przez telefon powiedziała mi pani, że Michael Green dzwonił do pani do Nowego Jorku. Co właściwie powiedział?

– Tylko tyle, że ma kłopoty i potrzebuje pieniędzy, by móc wydostać się z Libanu. Potem połączenie zostało przerwane.

– Wie pani, czemu tu przyjechał?

– Dowiedziałam się, że jest w Bejrucie, z jego telefonu. – Westchnęła głęboko. – Mike to samotnik. Nie po raz pierwszy wyjechał nic mi o tym nie mówiąc.

– I ma firmę w Nowym Jorku? – Kapitan zajrzał do notatek.

– Whitaker Haulage – przytaknęła. – Jest tam szefem.

– Tak, wiem. W jego pokoju znaleźliśmy wizytówki. – Farouk z namysłem stukał piórem w notatnik. – A rada nadzorcza, wspólnicy... nie mają nic przeciwko temu, by wyjeżdżał nie powiadamiając ich nawet dokąd? Co by było, gdyby w firmie zdarzyło się jakieś nieszczęście?

– Przyzwyczaili się do jego dziwactw. A poza tym to on płaci im pensje. Co mogą zrobić?

– Czy wie pani o jakichś jego przyjaciółach w Bejrucie?

Potrząsnęła głową.

– Nigdy mi o tym nie wspominał.

– Russell Laidlaw?

Udawała, że zastanawia się przez chwilę. Potem znowu potrząsnęła głową.

– Nie. To nazwisko nic mi nie mówi. Czy to on właśnie został zamordowany?

– Nie. Właśnie on jako ostatni widział pani przyjaciela tu, w Bejrucie. Służył z nim w Siłach Specjalnych, w jednostce Delta.

– Czy sugeruje pan, że Mike był niegdyś żołnierzem Delty? – Sabrina z niedowierzaniem potrząsnęła głową. – Nigdy w to nie uwierzę.

– Nie próbuję niczego sugerować, panno Cassidy. Po prostu wydaje mi się to dziwne, bo Laidlaw służył w Delcie, a zamordowany, mężczyzna nazwiskiem Barak, był jej informatorem. Istnieje tu tylko jeden element wspólny, prawda?

– Czy pytał pan tego Laidlawa o Mike’a?

– Twierdzi, że spotkał go w Windorah, barze, który odwiedzają głównie cudzoziemcy. Właściciel to potwierdził. Nadal nie mam żadnego punktu zaczepienia.

– A nie może pan zwrócić się do Deltę?

– Już to zrobiłem. Odpowiedzieli, że żaden Michael Green nie był nigdy żołnierzem ich formacji. Wydobyć od nich nawet tego wymagało sporego wysiłku.

– A skąd pan wie, że Mike w ogóle był wmieszany w morderstwo? Czy ktoś go widział?

– Jego odciski palców znaleźliśmy na broni, z której został zabity Barak. Interpol potwierdził, że należały one właśnie do niego.

– Interpol? – zdziwiła się. – Czy chce pan powiedzieć, że Mike jest jakimś... międzynarodowym przestępcą?

– Nie, ale nowojorska policja ma w aktach jego odciski palców.

Policja miała w aktach odciski palców Michaela Grahama. Tak jak wszystkich agentów UNACO. Był to prosty środek ostrożności na wypadek, gdyby któryś z nich został ranny lub zginął nie mając przy sobie żadnego dowodu tożsamości. Ale... Michael Green? Nagle zrozumiała. Dlaczego nie pomyślała o tym, gdy Kolczyński wprowadzał ich w sprawę? UNACO musiało udzielić nowojorskiej policji pozwolenia na zidentyfikowanie odcisków pod fałszywym nazwiskiem Mike’a. Tylko czemu? Coś się tu nie zgadzało. Wydawali swego agenta? Pilnie potrzebowała odpowiedzi na kilka pytań i zamierzała wyciągnąć je od Kolczyńskiego przy pierwszej okazji.

– Czy coś się stało, panno Cassidy? – Farouk dostrzegł jej zmieszanie.

Przeklęła się w duchu za tę nieostrożność.

– Przepraszam... nie. Tylko zaskoczyło mnie, że mieli jego odciski palców.

– Zatrzymano go kiedyś za prowadzenie po pijanemu.

– Nie wiedziałam. – Nagle wyprostowała się i spojrzała wprost w oczy policjanta. – Nadal nie wierzę, by Mike zabił tego człowieka. To po prostu do niego nie pasuje!

– Cóż, jeśli nie odda się dobrowolnie w nasze ręce, będziemy musieli przyjąć, że to on jest mordercą. Im dłużej będzie się ukrywał, tym gorzej dla niego.

– Sądzę, że może być przetrzymywany wbrew swej woli – stwierdziła Sabrina.

– A może już uciekł za granicę? Zawiadomiliśmy Interpol.

– Jak mógłby uciec nie mając grosza przy duszy? – Potrząsnęła głową. – Nie, wszystko wskazuje na to, że jest gdzieś przetrzymywany. Mike nigdy nie wyjeżdżał bez dużej sumy w gotówce i kart kredytowych, więc po co miałby dzwonić z prośbą o pieniądze? Zgubił je? A może został okradziony?

– Naprawdę wierzy pani, że jest niewinny?

– Tak, wierzę. – Sabrina wstała. – Czy mogę mu jakoś pomóc?

– Teraz to już nasza sprawa. – Farouk zamknął pióro i wymierzył je w jej kierunku. – Gdyby do pani zadzwonił, proszę mu powiedzieć, żeby skontaktował się i ze mną. Leży to w jego właściwie pojętym interesie.

– Wątpię, by miało to nastąpić – Sabrina lekceważąco wzruszyła ramionami. – Przecież nawet nie wie, że tu jestem.

Farouk wyszedł zza biurka i uściśnął jej dłoń.

– Dziękuję, że poświęciła mi pani tyle czasu – powiedział.

Skinęła głową i ruszyła w stronę drzwi.

– Panno Cassidy? – Kapitan odczekał, aż dziewczyna odwróci się ku niemu, po czym dodał: – Jeśli złapiemy panią na próbie udzielenia mu pomocy, zostanie pani oskarżona o współudział w morderstwie po fakcie. Proszę o tym pamiętać.

– Nie zapomnę – obiecała zamykając za sobą drzwi.

Laidlaw został zatrzymany przez policję zaledwie kilka godzin po zamordowaniu Baraka i choć przesłuchiowano go regularnie co cztery godziny, nie powiedział nic, co mogłoby zaprzeczyć wymyślonej przez niego historyjce. Spotkał Grahama – czy też Greena, to nazwisko podawał przy każdym przesłuchaniu – w Windorah. Rozmawiali trochę, a później odwiózł go do hotelu. Potem już się nie spotkali. Wiedział, że nie dostrzeżono go pod domem Baraka – inaczej natychmiast wniesiono by oskarżenie.

W końcu, po trzydziestu sześciu godzinach, został zwolniony. Po powrocie do domu próbował zasnąć, lecz bez powodzenia. Prześladował go głos, głos tego policjanta, Farouka. Nie widział twarzy, lecz to Farouk zadawał pytania podczas każdego przesłuchania, ukryty za światłem silnej, stojącej na stole lampy. Dlaczego ani razu mu się nie pokazał? Laidlaw nie potrafił przestać o nim myśleć, nie udało mu się jednak dopasować głosu do osoby. Więc czemu człowiek ten był aż tak ostrożny? Były komandos zdawał sobie sprawę, że z powodu braku snu może przesadnie reagować na sytuację, może była to po prostu próba złamania go, ten tajemniczy głos bez twarzy. Jednak to go nie uspokoiło. Kim właściwie jest Farouk?

Gniewnie uderzył pięścią w poduszkę. Zapomnij o Farouku – nakazał sobie. Spróbuj zasnąć. Lecz sen nie przychodził. Cały czas słyszał ten monotony, zgrzytliwy głos – nie potrafił go uciszyć. Zdarł z ciała prześcieradło, opuścił stopy na podłogę, odgarnął włosy z twarzy i spojrzał na stojący przy łóżku zegarek. Minęło już pięć godzin od chwili, gdy dotarł do domu, a nie przespał nawet minuty. Wszystko przez ten cholerny głos. Stłumił ziewnięcie, wstał i poszedł do kuchni. Z lodówki wyjął zimne piwo oraz resztkę kurczaka, kupionego jeszcze przed spotkaniem z Mike'em. Puste opakowanie rzucił do stojącego w kącie, przepełnionego kosza na śmieci. Usiadł przy stole, właśnie miał zamiar otworzyć piwo, kiedy u drzwi wejściowych rozległ się dzwonek. Wściekły poszedł otworzyć.

– Kto tam?

– Pan Russell Laidlaw?

– Zgadza się – odparł burkliwie. – Pani nie jest dziennikarką, prawda?

– Nazywam się Sabrina Cassidy. Jestem przyjaciółką Mike'a.

– Mike'a?

– Grahama. – W głosie Sabriny pojawiła się nutka irytacji. – Musimy porozmawiać – dodała.

– Proszę przyjść później. Jestem zmordowany. Policja przetrzymywała mnie przez trzydzieści sześć godzin, a wszystko dzięki pani przyjacielowi.

– Ma kłopoty. Proszę, musimy porozmawiać!

Laidlaw stał, pocierając oczy. W końcu jednak otworzył drzwi.

– O, do diabła! – warknął. – I tak nie mogłem zasnąć.

– Dzięki. – Sabrina natychmiast weszła do środka.

– Proszę wybaczyć mi ten bałagan. Nie należę do stworzeń udomowionych.

Poszła za nim do kuchni i usiadła na krześle, które jej wskazał.

– Napije się pani piwa?

– Kawy, jeśli ma pan kawę.

– Gdzieś jest. – Laidlaw nastawił wodę, po czym zaczął szperać na półkach. W końcu odnalazł puszkę i nasypał z niej kopiastrą łyżeczkę do jedyne go czystego kubka, jaki udało mu się znaleźć.

– Mówi pani, że jest przyjaciółką Mike'a? Pracujecie razem?

– Tak.

Laidlaw otworzył piwo. Pociągnął długi łyk prosto z butelki.

– I przyjechała pani, żeby go odnaleźć? No, to życzę szczęścia.

– Spotkaliście się, prawda?

– No tak, spotkaliśmy. W Windorah – to taki bar w mieście. Pogadaliśmy trochę, a potem odwiozłem go do hotelu. Później już się nie widzieliśmy.

Dziewczyna westchnęła ciężko.

– Jak mam pana przekonać, że gramy w tej samej drużynie? Nalał wody do kubka i postawił go przed nią na stole wraz z butelką mleka.

– Proszę się poczęstować. Panno Cassidy, spotkałem pani przyjaciela...

– Niech pan da spokój tym gierkom – przerwała mu gniewnie. – Razem służyliście w Delcie. Razem byliście w Libii, kiedy arabscy terroryści porwali mu żonę i dziecko, próbując zmusić go do odwołania rozkazu ataku. Porwanie zarządzili Salim Al-Makesh i Jean-Jacques Bernard. Al-Makesha zabili Żydzi. Bernard zginął podobno półtora roku temu, gdy w jego samochodzie wybuchła bomba. Mike najwyraźniej odkrył, że jednak on żyje, i przyjechał do Libanu, by go zabić. Dlatego się z panem skontaktował. Tylko tyle wiemy. Jestem tu, żeby dowiedzieć się, co zaszło naprawdę, i ściągnąć go z powrotem do Stanów.

Laidlaw usiadł okrakiem na krześle naprzeciw niej.

– Carrie dała Mike’owi zegarek pod choinkę. Jakiej firmy?

– Piaget. Złoty. I nie pod choinkę, lecz na urodziny. Zadowolony?

Skinął głową.

– Zadowolony. Co to za „my”, o których pani wspomniała?

– Obawiam się, że tego nie mogę panu powiedzieć.

– A zatem to jakaś tajna operacja?

– Coś w tym rodzaju.

– Jest pani jego partnerką?

Sabrina skinęła głową.

– A pan przekazał mu wiadomość o Bernardzie?

– Taaa... Zobaczyłem go przed Amerykańskim Szpitalem Uniwersyteckim. Wiedziałem, że

Mike chciałby się o tym dowiedzieć.

– A co robi w tym wszystkim Barak?

– Od lat był tu kontaktem Deltę. Jeśli ktokolwiek mógł odszukać Bernarda, to właśnie on. Mike strzelił mu w plecy i tak skończyły się poszukiwania.

– Nie zabił go, o czym pan dobrze wie – rzuciła zirytowana.

– Wiem tylko, że kiedy wszedłem do tego domu, Barak nie żył. Potem zobaczyłem, jak ktoś odjeżdża w jego samochodzie. Mike znikł. Ile to jest dwa razy dwa?

– Przecież to musiała być pułapka. Po co miałyby zabijać jedynego człowieka mogącego doprowadzić go do Bernarda? Zupełnie bez sensu.

– Nie byłem z nim, kiedy spotkał się z Barakiem. Zostałem w samochodzie – na jego wyraźne życzenie. Kto wie, o czym rozmawiali?

– Tylko Mike. Dlatego musimy go odnaleźć.

– Nie „my”. Na mnie niech pani nie liczy. Już raz nadstawiłem za niego karku i proszę tylko spojrzeć, dokąd mnie to zaprowadziło. Trzydzieści sześć godzin w areszcie, co cztery godziny przesłuchanie. Nie, panno Cassidy, jeśli chce pani znaleźć Grahama, niech go pani szuka. Sama.

– Nie znam Bejrutu.

– To proszę wziąć przewodnika. Jest ich mnóstwo. I nie kosztują wcale tak drogo.

– Jeśli chodzi panu o pieniądze, to...

– Niech mnie pani nie obraża – warknął gniewnie Laidlaw.

Sabrina uniosła rękę w geście przeprosin.

– Przykro mi. Nie powinnam tego powiedzieć. Potrzebuję pańskiej pomocy, panie Laidlaw. Mike też. Jeżeli policja znajdzie go pierwsza, resztę życia spędzi w więzieniu.

– A jeśli rzeczywiście zabił Baraka? Jeśli jest winny? Pomoże pani mordercy w ucieczce przed sprawiedliwością?

– Nie wiem, jak dobrze pan go zna, wiem natomiast, że ja znam go całkiem nieźle. To prawdziwy zawodowiec, jest cholernie dobry i nie naraziłby całej swej kariery, strzelając w plecy jakiemuś nieważnemu informatorowi.

– Mike się zmienił. – Laidlaw bawił się butelką piwa, tocząc ją po stole. – Zauważyłem to, kiedy tylko się spotkaliśmy. Kiedyś był najbardziej zrównoważonym człowiekiem, jakiego znałem. Nic nie mogło nim wstrząsnąć. A potem stracił rodzinę. Zgorzkniał, jego zachowanie jest zupełnie

nieprzewidywalne, powiedziałbym, że ma poważne kłopoty natury psychologicznej. Nie zgadzam się z pani oceną, panno Cassidy. Sądzę, że był więcej niż zdolny strzelić w plecy Barakowi. Zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że złapał trop człowieka, który porwał i najprawdopodobniej zamordował jego żonę i dziecko. Wolę nie mieć z nim nic wspólnego. Nie pragnę tego rodzaju kłopotów.

Sabrina odepchnęła krzesło. Wstała, oczy jej płonęły.

– Mike przynajmniej nie uciekł przed swą przeszłością – syknęła. – A pan? Kryje się pan w tym chlewie próbując zapomnieć, co zdarzyło się w Hondurasie. – W oczach byłego komandosa Deltę dostrzegła błysk zdumienia. – Och, wiem o panu wszystko, panie Laidlaw – stwierdziła. – W samolocie przeczytałam pańskie akta. Wiem, dlaczego opuścił pan Deltę. Nie sądzą, by miał pan prawo sądzić kogoś takiego jak Mike.

– Proszę wyjść – wycedził gospodarz przez zaciśnięte zęby.

– Z przyjemnością! – W drzwiach obróciła się jeszcze, rzucając mu gniewne spojrzenie. – I proszę nie zapomnieć, że to właśnie pan skontaktował się z Mike'em. To dzięki panu wpadł w to bagno. Niech pan myśli o tym otwierając następne piwo!

Laidlaw ukrył twarz w dłoniach. W chwilę później usłyszał trzask zamykanych drzwi. Chwyć pustą butelkę, z wściekłością cisnął nią o ścianę, przewrócił stół, który uderzył w kuchenkę. Opanował się, gdy już miał kopniakiem usunąć sobie z drogi krzesło, powoli przeszedł do sypialni i padł na łóżko. Włożył ręce pod głowę, zamknął oczy. Zasnął niemal natychmiast, lecz była to tylko niespokojna drzemka.

– Wyglądasz jak sama śmierć – powitał go Jenkins, kiedy tego samego dnia wieczorem wszedł do Windorah.

– I tak też się czuję – odparł Laidlaw, gramoląc się na jeden z wysokich stołków. – Piwo, Dave.

– Już się robi. – Barman otworzył butelkę budweisera i postawił ją na ladzie. – Gdzie się podziewałeś wczoraj? Postanowiłem, że jeśli i dziś cię nie będzie, wyślę na pomoc kawalerię.

– Miło być oczekiwanym gościem. – Laidlaw pociągnął długi łyk.

– No więc gdzie byłeś wczoraj wieczorem?

Za odpowiedź musiało mu wystarczyć wzruszenie ramion.

– Nie miałem ochoty na wizytę u ciebie. Czy to przestępstwo?

– Obniżasz mi zyski, więc tak. – Jenkins uśmiechnął się szeroko, popychając ku gościowi podkładkę pod kufel. – Co o tym myślisz? Paczka tych podkładek przyszła dziś rano.

– Co? – Laidlaw nie miał zielonego pojęcia, o co tu właściwie chodzi.

– Tylko przyjrzyj się temu wzorowi. – Jenkins rozdał jeszcze cztery podobne podkładki siedzącym przy barze gościom.

Laidlaw obejrzał ją dokładnie i miał już odłożyć, kiedy dostrzegł wypisane na grubej tekturze litery. Podniósł wzrok, lecz Jenkins zawzięcie dyskutował na temat znaku firmowego z kilkoma mężczyznami. Przeczytał: „Idź na górę do pokoju nr 4. Zapukaj dwukrotnie, potem przerwa i jeszcze dwa razy”.

– Fajne, nie? – Właściciel zrećnie wyjął mu podkładkę z ręki i dyskretnie wsunął ją do stojącej pod ladą skrzyni. – Ale ja, oczywiście, nie jestem obiektywny.

Laidlaw wypił jeszcze jeden łyk piwa, wstał i podszedł do znajdujących się pod przeciwległą ścianą schodów. Stał, trzymając dłoń na poręczy. O co tu do diabła chodzi? Westchnął, wszedł na górę i powoli rozejrzał się dookoła. Gdy siedem lat temu Jenkins wykupił ten lokal, Windorah był małym, rodzinnym hotelem. Wszystkie dziesięć pokoi znajdowało się na pierwszym piętrze. Australijczyk skoncentrował się na barze, rezygnując z prowadzenia hotelu. Pierwsze dwa pokoje przerobił na toalety, pozostałych zaś używali ci klienci – niemal wyłącznie zagraniczni dziennikarze – którzy kończyli zabawę zbyt pijani, by wracać do domu. Nie płacili za nocleg i odwiedzali się właścicielowi reklamując jego bar.

Zatrzymał się przed pokojem nr 4, rozejrzał sprawdzając, czy w pobliżu nie ma nikogo i zastukał dwukrotnie, a po króciutkiej przerwie jeszcze dwukrotnie. Szczęknął odsuwany od środka rygiel, między drzwiami i framugą pojawiła się najpierw maleńka szczelina, a potem dłoń, która błyskawicznie wciągnęła go do środka, po czym drzwi zostały natychmiast zamknięte.

– Mike? – Laidlaw, zdumiony, patrzył na przekręcającego klucz w zamku Grahama.

– Musiałem się naczekać! Gdzieś ty był wczoraj wieczorem?

– Na przesłuchaniu w sprawie o morderstwo. Trzydzieści sześć godzin i ani chwili snu! Serdecznie ci za to dziękuję. Mam wrażenie, że powinieneś mi coś wyjaśnić.

Graham usiadł na nie posłanym łóżku.

– Nie zabiłem go – stwierdził po prostu.

– Więc gdzie byłeś, kiedy wszedłem do domu? I kto odjechał peugeotem?

Mike pogładził nie ogolone policzki.

– Wiem tylko, że kiedy znalazłem się w środku, ktoś dał mi w łeb. Ocknąłem się w jakiejś bocznej uliczce – ciągle nie wiem, gdzie to właściwie było. Zabrali mi berettę.

– Policja ją znalazła – poinformował go chłodno dawny towarzysz broni. – Właśnie z niej zastrzelono Baraka.

– Wiem – warknął Graham. – A myślisz, że czemu ukrywam się od wczoraj? Kiedy zobaczyłem swe zdjęcie na pierwszej stronie tutejszej gazety, od razu wiedziałem, że oznacza to kłopoty.

– Dlaczego przyszedłeś właśnie tu?

– Najpierw poszedłem do ciebie, ale gliniarze obserwowali twój dom. Widziałem też, jak zakładali ci podsłuch na telefon. Dlatego nie dzwoniłem. Zaraz pomyślałem o Jenkinsie. Oprócz ciebie mogę tu ufać tylko jemu jednemu.

Laidlaw podszedł do okna i wyjrzał przez szczelinę między firankami. Policyjny radiowóz, który jechał za nim aż do Windorah, nadal stał po przeciwnej stronie ulicy.

– Śledzili cię.

– Tak. – Laidlaw opuścił firankę. – Ale tego można się było spodziewać. Cholera, nadal nie wiem, czy mam wierzyć w tę twoją historyjkę. Przecież to zupełnie bez sensu. Jeśli Bernard załatwił Baraka, to dlaczego nie i ciebie? Co może zyskać wystawiając cię policji?

– Zastanawiam się nad tym od chwili, kiedy obudziłem się w tej alejce.

– I co?

– Nic. Zupełnie nic. Jak słusznie zauważyłeś, nie ma to za grosz sensu. Póki żyję, jestem dla niego zagrożeniem.

– A jeśli to nie sprawka Bernarda?

– Niemożliwe. Jednak wiele bym dał, by się dowiedzieć, dlaczego to zrobił.

Laidlaw uważnie przyjrzał się przyjacielowi.

– Nie tylko gliniarze cię szukają. W mieście pojawił się twój partner.

Mike przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Partner?

– Raczej partnerka. Przedstawiła się jako Sabrina Cassidy. Wygląda jak z tych reklam coca-coli, tylko lepiej.

Mike uśmiechnął się lekko.

– No tak, to ona. Kiedy przyjechała?

– Nie mam pojęcia. Nie pokochaliśmy się raczej od pierwszego wejrzenia.

– No, to akurat potrafię zrozumieć. Ja też na początku za nią nie przepadałem. Walczyliśmy jak

pies z kotem. Do diabła, jeszcze teraz zdarza się nam pokłócić. Ale mimo wszystko prawdziwa z niej profesjonalistka.

– Ona też dobrze się o tobie wyraża, wiesz? Popełniłem błąd krytykując cię, a natychmiast spadła na mnie jak lawina.

– Jest wyjątkowo macierzyńska. Bywa to dość dokuczliwe.

– Macierzyńska? – powtórzył były komandos podnosząc do góry brew.

Nim Mike zdobył się na odpowiedź, ktoś zapukał – dwa razy, przerwa i znów dwa razy.

– To z pewnością Dave. Mówił, że zajrzy. Prosiłem go, żeby sprawdził, gdzie zatrzymała się Sabrina.

Mike otworzył drzwi. Pojawił się w nich Jenkins... w towarzystwie dwóch Arabów w dżinsach i rozpiętych pod szyją koszulkach. Obaj byli uzbrojeni w pistolety Makarowa.

– Wybacz mi, Mike – powiedział barman, patrząc na przyjaciela z rozpaczą w oczach. – Zaskoczyli mnie. Siedzieli w sąsiednim pokoju.

– Zamknij się – warknął jeden z napastników mocno akcentowaną angielszczyzną. – Ty Mike Graham?

Graham przytaknął skinieniem głowy.

– A wy kto? – spytał. – Od Bernarda?

– Kapitan Farouk chce cię zobaczyć.

– To ten sukinsyn, który mnie przesłuchiwał – syknął Laidlaw.

– Ty nie przyjdiesz, dziewczyna ginie. – Arab wyjął z kieszeni paszport i rzucił go na łóżko. – Kapitan Farouk mówi: spójrz. Jest poważny.

Graham wziął paszport, obejrzał go i zerknął na przyjaciela.

– Tak, to Sabrina. – Zwrócił się do znajomego angielski Araba. – Jeśli któryś z was albo ten Farouk choćby ją dotknął, rozedrę go gołymi rękami.

Na twarzy Araba nie zadrżał ani jeden mięsień.

– Idziecie. Wszyscy.

– Farouk chce mnie. Pozwólcie innym odejść.

– Ty nie przyjdziecie, dziewczyna ginie.

– Równie dobrze można byłoby gadać z robotem – syknął Mike, po czym spojrział na Dave’a i Russella Laidlawa. – Trzeba będzie zrobić, jak sobie życzą. Bardzo mi przykro.

– A co z barem? – zapytał się Jenkins.

– Bar jest nieczynny.

– Nieczynny?

– Tak. Wychodzimy tylnymi drzwiami. Jeśli myślicie stawicie opór...

– Wiemy – przerwał mu gniewnie Graham.

– ...dziewczyna ginie.

Jenkins jako pierwszy zszedł po schodach do pustego już baru. Podniósł część kontuaru przy ścianie otwierając im przejście, a potem spytał:

– Czy mógłbym przynajmniej zamknąć interes?

Dostał zgodę i odszedł z jednym z Arabów. Kiedy wrócił, wszyscy znów poszli za nim, przez tylne wyjście wydostaje się na ciemną alejkę, przy której czekała czarna półciężarówka. Jenkins zamknął drzwi, schował klucze do kieszeni, po czym związano mu ręce i za pozostałymi dwoma wepchnięto do samochodu. Tylne drzwi zamknęły się od zewnątrz, pograżając ich w nieprzeniknionej ciemności. Obaj porywacze usiedli z przodu, zawarczał silnik i samochód ruszył, skręcając z alejki w ulicę.

– Mike, zdołasz sięgnąć mi do kieszeni marynarki? – Jenkins trącił Grahama łokciem.

– A po kiego diabła?

– Klucze. Przy kółku mam klucze i scyzoryk. Dlatego poprosiłem, by pozwolili mi zamknąć bar. Możemy się uwolnić.

– Szybko myślisz, Dave, ale nie możemy ryzykować.

– O co ci chodzi? Jeśli się uwolnimy, będziemy mogli zaatakować tych dwóch, kiedy otworzą tylne drzwi. Nas jest trzech. Mamy szansę!

– Skąd możesz wiedzieć, że tam, dokąd jedziemy, będzie ich tylko dwóch? A jeśli oczekuje nas komitet powitalny?

– Z pewnością warto spróbować.

– Jest coś jeszcze. Nie wiemy, gdzie trzymają Sabrinę. Nawet jeśli się nam uda pokonać ich wszystkich, Sabrina może zginąć. Nie możemy podejmować takiego ryzyka.

– Świetnie. Więc będziemy tu siedzieli jak trusie...

– Jeśli przestaniesz jęczeć, Dave, to powiem ci, co obmyśliłem.

– Tak mi się odwdzięczasz, Mike? Dałem ci...

– Zamknij się, Dave. – Przerwał Laidlaw i zwrócił się do Grahama – co obmyśliłeś?

– Rozluźnimy więzy. Kiedy upewnimy się, że Sabrina jest bezpieczna, będziemy mogli działać. Wiem, że to niewiele, ale w tych okolicznościach nie możemy zrobić nic więcej.

– Zgadza się z tobą. Miejmy nadzieję, że ci tam, Flip i Flap, nie mają talentów telepatycznych.

– Musimy zaryzykować – stwierdził poważnie Graham. Zabrali się do rozluźniania więzów – nieznacznym, na tyle, by sięgnąć do węzłów na dany przez Mike'a znak. Mieli tylko jeden kłopot – w ciemności niektóre linki zostały rozluźnione za bardzo, co natychmiast mogliby dostrzec strażnicy. Cóż, pozostało im czekać i mieć nadzieję. Dwadzieścia minut później samochód zatrzymał się, silnik jednak pozostawał włączony. Usłyszeli, jak jeden z porywaczy wysiada i otwiera bramę. Przejechali kilka metrów, po czym stanęli – prawdopodobnie, by zabrać tego, który przedtem wysiadł. Znów ruszyli i po mniej więcej stu metrach zatrzymali się definitywnie. Silnik zgasł. Tym razem wysiedli obaj Arabowie. Otworzyli tylne drzwi samochodu.

Łamaną angielszczyzną kazano więźniom wysiąść. Jenkins zszedł na ziemię jako pierwszy, po nim wyszli także Graham i Laidlaw. Rozejrzeli się dookoła. Znajdowali się na obszernym, dobrze oświetlonym dziedzińcu, otoczonym rzędem sześciu czarno-czerwonych samochodów dostawczych. Graham nie rozumiał napisu na najbliższym z nich – nie znał arabskiego.

Porywacze zamienili ze sobą kilka słów i ten, który władał angielskim, cofnął się o krok, wymierzając broń w więźniów. Jego towarzysz zatrzymał się za Jenkinsem, szarpnął za krępujący go sznur, zaklął i zacisnął go. Graham i Laidlaw stali nieruchomo, nie śmiąc nawet wymienić spojrzeń. Były komandos został obrócony jako pierwszy, Arab sprawdził więzy i odepchnął go, następnie podobnie postąpił z Mike'em. Kiwnął głową sygnalizując, że wszystko w porządku.

– Środek – powiedział strażnik, pistoletem wskazując znajdujące się za nimi drzwi.

Laidlaw i Graham spojrzeli na siebie – w ich wzroku wyraźnie była widoczna ulga – po czym podążyli za Jenkinsem. Wkrótce znaleźli się w wielkiej sali, pełnej porysowanych drewnianych ław, na których stały maszyny. Z sufitu zwisały na łańcuchach haki, którymi można było manewrować wzdłuż pomieszczenia. Wszędzie panował wyjątkowy porządek.

Jeden z Arabów znikł za drzwiami, po chwili pojawił się z powrotem prowadząc przed sobą Sabrinę, która miała ręce związane za plecami, ale nie sprawiała wrażenia rannej. Pchnięta przez porywacza, usiadła na krześle przy drzwiach. Mike zrobił krok w jej stronę, lecz porywacz znający angielski wycelował do niego z pistoletu i nakazał mu nie ruszać się z miejsca.

– Wszystko w porządku? – zawołał więc.

– Tak – odkrzyknęła. – Nie wiedziałam, że Farouk... – przerwała widząc, że i Graham, i Laidlaw nagle przestali się nią interesować. Obaj wpatrywali się w mężczyznę, który – pojawił się dopiero teraz.

– Miło mi znów pana spotkać, panie Graham. Minęło tyle czasu...

Sabrina patrzyła to na jednego, to na drugiego, najwyraźniej nie mając pojęcia, o co tu w ogóle chodzi.

– Znacie Farouka? – spytała, zdumiona.

– Farouka? – Michael prychnął pogardliwie. – To Salim Al-Makesh!

– Co? Przecież izraelscy komandosi zabili go w Damaszku!

– Z pewnością bardzo starali się, byśmy w to uwierzyli. – Graham nie spuszczał wzroku z Al-Makesha. – Pozostaje tylko jedno wytłumaczenie. Pracujesz teraz dla Żydów, prawda?

Terrorysta ruszył w głąb sali. Ręce miał wciśnięte głęboko w kieszenie spodni.

– Miałem do wyboru albo to, albo śmierć – stwierdził. – A przecież najważniejsze to przetrwać.

– No, nareszcie zrozumiałem – westchnął Laidlaw kiwając głową. – Przynajmniej wiem, dlaczego ani razu nie pokazałeś mi się podczas przesłuchania. Zdawałeś sobie sprawę, że rozpoznałbym cię natychmiast.

– Wcale nie byłem tego taki pewny. Zmieniłem się mocno od czasu, gdy walczyłem wraz z Czarnym Czerwcem... no, ale najwyraźniej podjąłem właściwą decyzję.

– A kto zabił Baraka? – nie wytrzymał Graham. – Ty czy Bernard?

– Bernard. Ja nie miałem z tym nic wspólnego. Kiedy dostał od niego informacje, że jesteś w Bejrucie...

– To Barak pracował dla niego?

– Barak pracował dla każdego, kto mu płacił. – Arab tylko wzruszył ramionami. – Ale ostatnio za dużo pił i Bernard uznał go za zbędnego, więc kiedy dowiedział się, że jesteś w mieście, wymyślił, jak pozbyć się was obu: informator zostanie zabity, ty zaś... wystawiony, tak chyba nazywacie to wy, Amerykanie. Miał dać ci w łeb, kiedy wejdiesz do domu, potem załatwić faceta, a ciebie wywieźć i zostawić w uliczce koło ronda Cola w zachodnim Bejrucie. Wystarczyło, żebym pojawił się we właściwej chwili i zaaresztował cię. Ale nim dojechałem, zniknąłeś.

– A dlaczego Bernard po prostu nie pozbył się mnie, kiedy miał szansę?

– Żeby ściągnąć do Bejrutu jednostki UNACO? – Al-Makesh uśmiechnął się, widząc zdumienie na twarzy Grahama. – Mam swoje źródła, tak jak wy. Jednak gdybyś został aresztowany za morderstwo, twoi zwierzchnicy musieliby działać bardzo ostrożnie, starając się pozostać w ukryciu. Tego rodzaju reklama rozślawiłaby istnienie UNACO we wszystkich gazetach świata.

– Rozpoznałbym cię na pierwszy rzut oka – stwierdził Graham.

– I kto by ci uwierzył? Mossad natychmiast potwierdziłby, że zginąłem w Damaszku. Mam niepodważalne alibi na wszystkie lata spędzone z Czarnym Czerwcem. Władze uznałyby, że załamałeś się wreszcie po tym, co zdarzyło się twojej rodzinie. Prawdopodobnie skończyłbyś w szpitalu dla wariatów.

– Ja bym go poparł – powiedział Laidlaw.

– Moi przełożeni potraktowaliby twierdzenia Grahama jako brednie nieszczęsnego szaleńca, gdyby jednak poparł je ktoś jeszcze, z pewnością wszczęto by śledztwo. Z tego powodu należałoby cię uciszyć zaraz po osadzeniu Grahama w więzieniu. Wypadek. Jednak kiedy plan Bernarda załamał się, potrzebowałem cię żywego, żebyś zaprowadził mnie do niego. I okazało się, że rzeczywiście mnie do niego zaprowadziłeś.

– Czy CIA miała z tym coś wspólnego? – spytała Sabrina.

– CIA? – zdumiał się Mike i spojrzał na swą partnerkę.

– Bernard dla nich pracuje – wyjaśniła dziewczyna.

– Co?!

– Oczywiście. – Al-Makesh szerokim gestem ogarnął wnętrze sali. – To wszystko należy do niego. Rzeźnia, opłacona z tajnych funduszy CIA. Bernard jest teraz uczciwym biznesmenem.

– A jak się udało Żydom wkręcić cię do policji? – spytała Sabrina.

– Nim związałem się z Czarnym Czerwcem, przez dwanaście lat byłem policjantem w Jordani. Łatwo przyszło mi zacząć od nowa tutaj. Nie tylko wykonuję pracę, na której się znam, lecz także zajmuję pozycję, pozwalającą mi przekazywać Mossadowi istotne informacje. Idealna sytuacja.

– A teraz będziesz musiał nas zabić, by ochronić samego siebie – stwierdził spokojnie Laidlaw.

– Za dużo wiecie.

– Zabij nas, a siły UNACO z całą pewnością stawią się w Bejrucie.

– Muszę zaryzykować. Nawet jeśli UNACO zjawi się tu rzeczywiście, nie znajdzie ciał. Transport wołowny rusza jutro do Syrii. Pojedziecie wraz z nim. – Al-Makesh wskazał drewnianą skrzynię stojącą w kącie sali. – Zapieczętują ją rano i załadują na ciężarówkę. Po przekroczeniu

granicy bardzo wygodnie znikniecie. Kto wie, jak długo potrwa, nim zostaniecie odnalezieni?

– Cóż za genialne rozwiązanie! – zakpił Graham. – Z pewnością jesteś z siebie bardzo dumny?

– Bo to wszystko mój pomysł. Bernard nie wie nawet, że tu jesteście. Umówiliśmy się, że używam rzeźni, ilekroć chcę się kogoś pozbyć. Krew zmywa się co rano, nie zostaje więc żaden dowód na to, że zbrodnia w ogóle została popełniona. Szef zmiany już troszczy się o to, by skrzynie załadowano na właściwe samochody i wyrzucono za granicą. Nikt o nic nie pyta. Rzeczywiście, genialne rozwiązanie.

Terrorysta zwrócił się do Araba stojącego obok Grahama:

– Samir, wiesz, co robić.

Graham zdołał oswobodzić ręce zaraz po wejściu do sali i teraz rzucił się na Samira, pięścią trafiając go w skroń tak silnie, że ten uderzył o ścianę, upuszczając pistolet na podłogę. Laidlaw, który także uwolnił się z więzów, skoczył na drugiego porwacza. Graham podniósł broń i postrzelił Araba w momencie, gdy zwracał on pistolet w stronę Russella. Laidlaw miał już w dłoniach automatycznego P220, wiedział jednak, że nie potrafi pociągnąć za spust. Samir, oprzytomniawszy po ciosie złapał Mike'a z tyłu, a w tym czasie Al-Makesh sięgnął po berettę. Graham zdołał się uwolnić i obrócił przeciwnika tak, że gdy padł strzał, kula terrorysty trafiła go w pierś. Sabrina także włączyła się do walki, skoczyła uderzając Al-Makesha barkiem, nim zdążył wystrzelić po raz drugi, beretta z hałasem upadła na beton.

Graham wymierzył makarowa w Al-Makesha, próbującego podnieść broń z ziemi. Pomyślał o Carrie i Mikeyu, poczuł, jak zalewa go gwałtowna fala nienawiści, nacisnął spust... nic. Pistolet się zaciął.

– Strzelaj! – krzyknął do Laidlawa, gapiącego się na trzymaną w dłoni broń. – Zabij go, Russ!

Al-Makesh miał już w rękach berettę. Sabrina rzuciła się na niego, więc wymierzył w jej stronę. Kopnęła go w przegub – kula poszła w sufit, nie czyniąc krzywdy nikomu. Mike wyrwał P220 z ręki Laidlawa i strzelił terrorystę w głowę. Al-Makesh padł, był martwy, nim dotknął podłogi.

Mike złapał przyjaciela za koszulę i zaczął nim wściekle potrząsać.

– Na miłość boską, w co ty, cholera, grasz! Russ, on omal nie pozabijał nas wszystkich, a ty tylko stałeś i gapiłeś się na ten cholerny pistolet! Co ci się stało?

Sabrina uznała, że czas interweniować. Trąciła partnera łokciem.

– Może byś tak mnie rozwiązał – zaproponowała. Graham odepchnął dawnego towarzysza broni, po czym uwolnił dłonie Sabriny.

– Kim jest ten trzeci facet? – spytała, masując obolałe przeguby.

– Dave Jenkins, właściciel Windorah, takiego baru w mieście. Ukrywał mnie przez ostatnich

kilka dni.

Jenkins zaczekał, aż Laidlaw i jemu rozwiąże ręce, i zwrócił się do Grahama:

– Mike, specjalnie rozluźniłeś mi więzy bardziej, niż to było konieczne. Dlaczego?

– Nie jesteś żołnierzem, Dave. Nie chciałem, żebyś brał udział w walce. Chodziło także o efekt psychologiczny. Wiedziałem, że automatycznie sprawdzą, czy nasze sznury są równie luźne jak twoje. W ten sposób udało się nam ich oszukać. – Spojrzał gniewnie na Russella Laidlawa. – Ciebie też chyba muszę rozwiązać!

– Masz prawo się na mnie wściekać. Wiem, że powinienem ci powiedzieć, ale... – Russell umilkł, wzruszył ramionami i opuścił głowę.

– Powiedzieć co? Że odrodziłeś się jako jakiś pacyfista?

– Nie możemy porozmawiać o tym później? – Sabrina zdecydowanie wkroczyła między nich. – Musimy się stąd wynosić. Co będzie, jeśli usłyszano strzały?

– Już Al-Makesh to załatwił – stwierdził Graham. – Chyba nie zależało mu, by ktoś zawiadamiał władze o przeprowadzanych tu egzekucjach.

– Pewnie masz rację. – Wskazała leżące na podłodze ciała. – A co z nimi?

– Zajmą nasze miejsce w transporcie, który jutro wyruszy do Syrii.

– A jeśli sprawdzą pojemnik? – wtrącił Jenkins.

– Nie sprawdzą, jeżeli go zamkniemy. Po prostu założą, że leżymy w nim my. Dobra, wsadzamy ich do środka.

W milczeniu załadowali ciała do drewnianej skrzyni. Graham przybił wieko gwoździami.

– Możemy już stąd wyjść?

– Jasne, Dave. – Mike próbował uśmiechem dodać barmanowi odwagi.

– Musimy porozmawiać – oznajmiła Sabrina. – W cztery oczy.

– To wracajmy do Windorah – zaproponował Jenkins. – Tam będziecie mogli pogadać sobie bez przeszkód.

– Trzymamy cię za słowo – Graham nagle spojrzał z rozpaczą na zabitą gwoździami skrzynię. – Kluczyki do samochodu!

– Tu są – Sabrina pomachała mu nimi przed nosem.

– I co ja bym bez ciebie zrobił? – zakpił Mike.

– No właśnie – rzuciła i ruszyła w stronę drzwi.

Jenkins otworzył jeden z pokoiów, sprawdził, czy zasłony są zasunięte, i dopiero wtedy zapalił światło.

– Spragnieni? – spytał.

– Z rozkoszą napiłabym się kawy – oznajmiła Sabrina.

– Niech będą dwie – dodał Graham.

– A ty, Russell?

– Poproszę o piwo, Dave.

Jenkins wyszedł.

– Czy ja też mam was opuścić? – spytał Laidlaw.

– Nie – odparł Graham siadając na łóżku. Patrzył wprost w oczy dawnego towarzysza broni – przynajmniej póki nie wyjaśnisz mi, co takiego ci się przytrafiło, że boisz się teraz pociągnąć za spust. No?

Były komandos zerknął niepewnie na Sabrinę. Ona wiedziała. Czytała jego akta. Zza łóżka wyciągnął drewniane krzesło i usiadł.

– W zeszłym roku dostaliśmy zadanie do wykonania w Hondurasie. Mieliśmy pomóc miejscowemu rządowi w zapobieżeniu zamachowi stanu, do którego przygotowywali się wspomagani przez komunistów rebelianci. Byliśmy tam od jakiegoś tygodnia, kiedy dowiedzieliśmy się, że dowódca buntowników spotka się ze swą radą na farmie pod Choluteca – to takie miasto na południu, na terenie zajęтым przez komunistów. Poproszono nas, byśmy się tam dostali i zdobyli tyle dokumentów, ile się nam uda. Mieliśmy nie brać jeńców. Nie wiem dlaczego, po prostu takie dostaliśmy rozkazy. Poszliśmy w sześciu. Kiedy dotarliśmy na miejsce, zobaczyliśmy, że nie wystawili wartowników, ani jednego. Powinno nas to zastanowić, ale – jak mówiłem – mieliśmy rozkazy. Zaatakowaliśmy w chwili, gdy spotkanie miało się zacząć. Trzech od frontu, trzech od tyłu. Powiedziano nam, w którym pokoju się spotkają, nie musieliśmy więc przeszukiwać budynku. Wrzuciliśmy do środka granaty oszłamiające i zaczęliśmy strzelać. – Russell poruszył się niespokojnie na krześle i otarł pot ciekący mu po twarzy. – Nie było tam ani jednego rebelianta, tylko czterej misjonarze i trzydzieścioro pięcioro dzieciaków. Żadne z nich nie miało więcej niż dziesięć lat. Sieroty wojenne. Zorientowaliśmy się w sytuacji w kilka sekund, ale nim przerwaliśmy ogień, zginęło ich dwadzieścioro ośmioro i trzech misjonarzy. Jeszcze dwoje i czwarty misjonarz zmarli w szpitalu. Ocalała piątka dzieci. Piątka z trzydzieściorga pięciorga. Rebelianci obciążyli winą za masakrę rząd, rząd obciążył winą za masakrę rebeliantów i w końcu stało się to tylko jeszcze

jedną wojenną historią Ameryki Południowej. Nikt się specjalnie nie przejął. Znow otarł twarz dłonią.

– Naszą szóstkę natychmiast przetransportowano z powrotem do Stanów na leczenie psychiatryczne. Mnie trafiło najgorzej. Nie mogłem dotknąć broni. Boże, nie mogłem nawet oglądać kryminałów w telewizji! Inni zareagowali na leczenie pozytywnie – ja nie. Po sześciu miesiącach psychiatrzy opuścili ręce. Przeniesiono mnie na rentę. Minęło kolejne sześć miesięcy, nim byłem w stanie wziąć broń do ręki. Nadal nie potrafię nacisnąć spustu. Chciałem zastrzelić dziś tego sukinsyna, Mike! Mózg mówił mi „strzelaj”, ale palce go nie słuchały. Wiem, że powinienem powiedzieć ci wcześniej, ale myślałem: „powiem mu, to mnie ze sobą nie zabierze”, a przecież potrzebowałeś przewodnika. Nie przeżyłbyś nawet pięciu minut, gdybyś ruszył za Bernardem sam. Tu ludzie potrafią chronić się nawzajem.

– Tak, wiem. – Graham wstał i poklepał przyjaciela po ramieniu. – Przykro mi, stary. Żałuję tylko, że nic mi wcześniej nie powiedziałaś. Na przykład przy pierwszym spotkaniu. Nie denerwowałibyśmy się na siebie aż tak.

– Teraz to rozumiem. – Laidlaw wzruszył ramionami. – Tylko, jak powiedziałem, bałem się, że nie zechcesz wziąć mnie ze sobą.

Graham uśmiechnął się do niego niewyraźnie.

– Nie pozwoliłbym ci wyłgać się z tego tak łatwo.

Otworzyły się drzwi i wszedł Jenkins z tacą. Postawił ją na stoliku przy łóżku. Laidlaw wziął piwo, wypił łyk, po czym spojrzał na przyjaciela.

– No i co? Mam zostawić was samych?

Sabrina skinęła głową.

– Prosimy. Musimy pogadać.

– Jasne. – Laidlaw i Jenkins wyszli.

Graham zamknął za nimi drzwi i zwrócił się do Sabriny:

– Zjawiałaś się po mnie, prawda?

– Tak.

– Więc tylko marnujesz czas. Przyjechałem, żeby odnaleźć Bernarda i odnajdę go.

Wyjaśniła mu, o co chodzi, starając się nie pominąć żadnego, nawet najdrobniejszego szczegółu.

– Mówisz, że Bernard jest jedynym człowiekiem na świecie mogącym poinformować władze,

kiedy nastąpi zamach na Mobuto? – spytał.

Sabrina skinęła głową.

– Jeśli zastrzelisz go, nim zdoła poinformować Bailey'a, Mobuto nie przeżyje. Dla Zimbali z całą pewnością będzie to oznaczać powrót dyktatury wraz z rządami zawiązanymi od nowa Sił Bezpieczeństwa. Potrafiłbyś żyć z tą świadomością?

Graham potarł dłońmi twarz. Przez dłuższą chwilę siedział wpatrując się w dywan, a potem podniósł wzrok na Sabrinę i oznajmił:

– Zawrę z tobą układ.

– Układ? – powtórzyła marszcząc brwi.

– Pomożesz mi znaleźć Bernarda...

– Zapomnij o tym – przerwała mu gwałtownie.

– Wysłuchaj mnie do końca, proszę. Jeśli pomożesz mi znaleźć Bernarda, zaczekam z zastrzeżeniem go, aż przekaże wiadomość Bailey'owi. Jeśli odmówisz, będę go tropił i niech diabli wezmą Mobuto. Potrafisz żyć z tą świadomością przez resztę życia?

– Nie wierzę własnym uszom! Mike, co się do diabła z tobą dzieje! To nie koło fortuny, w którym walczysz z jakimś gościem o wielką nagrodę. Mówimy o życiu człowieka! Mówimy o przyszłości kraju!

– Jeśli Bernard przekaże wiadomość Bailey'owi, z pewnością dostanie od CIA nową tożsamość. Będzie mógł pojechać gdziekolwiek zechce i nigdy go już nie znajdę. Nigdy.

– Daj sobie spokój. Ta wendeta w końcu cię zniszczy. Nie zabiłeś Baraka, poświadczę to osobiście, kiedy wrócimy do Stanów. Nagadają ci za wycieczkę do Libanu, ale w końcu sprawa przyschnie. Jeśli jednak zabijesz Bernarda, wywalą cię z UNACO. Być może zostaniesz nawet oskarżony o morderstwo. Tego właśnie chcesz?

– Chcę Bernarda i tylko Bernarda. A jeśli mnie wywalą... – przerwał, wzruszył ramionami. – Znasz moje warunki. Możesz je przyjąć albo odrzucić.

– Zrobisz, co zechcesz, Mike – warknęła, poderwała się i ruszyła w stronę drzwi. – Próbowałam porozmawiać z tobą rozsądnie. Powinnam wiedzieć, że nie ma co się trudzić. Mam zamiar zadzwonić do Siergieja. Opowiem mu o wszystkim, co się tu zdarzyło.

Kiedy otwierała drzwi, Graham złapał ją za ramię.

– Pomóż mi, Sabrino – poprosił. – Błagam. Nie chcę, by cokolwiek przydarzyło się Mobuto, ale muszę dopaść Bernarda. Nie rozumiesz? Jestem to winien Carrie i Mikey'owi. Jestem im to winien!

Wyrwała mu się, podeszła do automatu i zdjęła słuchawkę. Słyszała, jak piętro niżej, w barze, rozmawiają Jenkins i Laidlaw. Przynajmniej mieli co robić. Zadzwoiła pod zastrzeżony numer, podała Sarze kod w Kwaterze Głównej UNACO wraz z numerem, z którego dzwoniła, odwiesiła słuchawkę i czekając na dzwonek nerwowo bawiła się kartami wystrzępionej książki telefonicznej. W drzwiach pojawił się Mike. Spojrzała na niego, lecz nim zdążyła się odezwać, telefon zadzwonił. Podniosła słuchawkę, musiała zidentyfikować się jeszcze raz, nim wreszcie odezwał się Kolczyński.

– Sabrina?

– Tak, to ja.

– Cudem mnie złapałeś. Właśnie wybierałem się do domu. Masz jakieś wieści o Michaelu?

Spojrzała na Mike'a, myśląc o postawionym przez niego ultimatum. Wiedziała, że jeśli mu pomoże, otrzyma naganę, a być może zostanie nawet zawieszona – lecz jeśli odmówi mu, Mobuto najprawdopodobniej zginie. Musiała dokonać wyboru. Potem pomyślała jeszcze o zdjęciu Mikeya i Carrie, które Graham nosił w portfelu. Jeśli Bernard zniknie, co będzie oznaczać słowo „sprawiedliwość”?

– Sabrino, jesteś tam? – warknął Kolczyński przerywając tok jej myśli.

– Przepraszam cię, Siergiej. Jakies zakłócenia – skłamała.

– Nic nie słyszałem. Pytałem, czy masz jakieś informacje o Michaelu.

– Nie, jeszcze nie. Dlaczego go wystawiono?

– Co? – Rosjanin wydawał się autentycznie zdumiony.

– Dokładnie wiesz, o czym mówię, Siergiej. Dziś po południu rozmawiałam z prowadzącym śledztwo policjantem. Powiedział, że nowojorska policja zidentyfikowała domniemanego zabójcę po odciskach palców. Przecież policja zna tylko Grahama, tu zaś przyjechał Green. Nie udałoby się im porównać odcisków bez autoryzacji UNACO.

Na chwilę w słuchawce zapadła cisza.

– Nie mieliśmy wyboru – wyjaśnił w końcu Kolczyński. – Gdyby bejrucka policja nadal grzebała się w sprawie, kto wie, czego mogłaby się dogrzebać? Musieliśmy chronić organizację.

– A co by było, gdyby Mike został aresztowany? Czy UNACO dopuściłoby, żeby gnił w jakimś bejruckim więzieniu, tylko po to, by chronić siebie?

– To on ponosi winę za ten bałagan. Nie autoryzowaliśmy jego misji. – W słuchawce rozległo się ciężkie westchnienie. – Nie, nie pozwolilibyśmy mu gnić w jakimś bejruckim więzieniu. Wyciągnęlibyśmy go. Jakoś. Nie pozwól, by do tego doszło, Sabrino. Znajdź go i przywieź ze sobą.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Na razie nadal znajduję się w punkcie wyjścia.

- Więc proponuję ci zmianę taktyki. On ciągle ściga Bernarda, prawda? Jeśli ty znajdziesz go pierwsza, nie będziesz musiała tropić Mike'a. Sam wpadnie ci w ręce. Nim dopadnie ofiarę.
- A jak niby mam go odnaleźć? Według dossier Bailey'a strzegą go fundamentaliści z Hezbollah. Nie potraktują uprzejmie kobiety wtykającej nos w ich sprawy, prawda?
- Fundamentalisci strzegą go tylko w Libanie. Wczoraj wieczorem odleciał do Habane. Używa nazwiska Alain Devereux.
- Poleciał do Zimbali? A po co?
- Nie mam pojęcia. Bailey poinformował mnie dziś rano. On sam dowiedział się o tym od jednego ze swych agentów, który widział Bernarda na bejruckim lotnisku.
- Więc nadal nie przekazał żadnych wiadomości o planowanym zamachu?
- Ani słowa. To krytyczne stadium operacji, Sabrino. Musisz powstrzymać Michaela, nim dobierze mu się do skóry.
- Złapię najbliższy lot do Habane – obiecała. – Kto jest moim kontaktem w Zimbali?
- Nie mamy tam nikogo. Bailey zaoferował nam pomoc jednego ze swych ludzi w ambasadzie jako łącznika, ale nie przyjąłem jego propozycji. Nie chcę, by CIA wtykała nos w nasze sprawy. Zostawię ci tylko kopertę w jednej ze skrytek na lotnisku. Będziesz w niej miała rezerwację hotelową, pieniądze, plan miasta – to, co zwykle. Kazałem mu także zaopatrzyć cię w berettę. Klucz będzie na dębie czekał w informacji. Poza tym działasz całkowicie samodzielnie.
- Nie po raz pierwszy – burknęła.
- Zadzwoń do mnie, kiedy już tam dotrzesz. Mam nadzieję, że do tej pory dowiem się jeszcze czegoś o Bernardzie.
- A jak tam pułkownik?
- Doskonale. Widziałem się z nim dziś rano.
- Pozdrów go ode mnie przy najbliższej okazji, dobrze?
- Oczywiście. I, Sabrino, proszę... uważaj.
- Na to możesz liczyć. – Odłożyła słuchawkę, obróciła się i spojrzała na stojącego w drzwiach pokoju Mike'a. – Wczoraj wieczorem Bernard wyjechał do Zimbali – oznajmiła mu.
- Tyle mniej więcej wywnioskowałem z rozmowy – odparł. – Odezwało się nagle twoje dobre serce? Mam wrażenie, że na początku chciałaś mu wszystko wygadać.
- Co by komu przyszło z poinformowania Siergieja, że cię odnalazłam? I tak byś ze mną nie

wrócił. Musiałabym ścigać cię, gdziekolwiek byś się udał. W końcu niczym nie różniłoby się to od niemych filmów o policjantach i złodziejach, a tak przynajmniej wiem, gdzie jesteś. I wiem też, że Bernard będzie miał szansę przekazać informacje Baileyowi, nim go dopadniesz. – Uśmiechnęła się krzywo. – No, w każdym razie to właśnie powiem na swą obronę, kiedy wrócę do domu. Nie sądzę jednak, by udało mi się uniknąć zawieszenia.

– A dlaczego mieliby cię zawiesić? Przecież nie dałem ci najmniejszej szansy. Zrobiłaś, co uważałaś za najlepsze w tych okolicznościach. Pułkownik nie może cię za to winić. A o co chodziło z tymi pozdrowieniami? Chyba nie zachorował?

– Nie wspomniałam o tym, prawda? Tyle się tu działo, że kompletnie wyleciało mi to z głowy.

– Co?

Wrócili do pokoju. Opowiedziała mu o ataku serca Philpotta, o tym, że dochodzi do siebie w szpitalu Bellevue i że ma pozostać w nim jeszcze przez kilka dni.

– Czasami strasznie z niego nudny stary dinozaur, ale mam nadzieję, że nie zmuszą go do odejścia na emeryturę. UNACO bez niego nie byłoby już takie jak przedtem.

– Lekarze zdecydują, czy będzie wystarczająco silny, by wrócić do pracy. Na razie wszystko toczy się tak, że lepiej nie można. – Sabrina gestem wskazała drzwi. – No, chyba powinnam wrócić do hotelu i spakować się.

– Jak się dowiem, gdzie się zatrzymałaś w Zimbali? Z pewnością dotrzesz na miejsce pierwsza.

– Nie musimy jechać oddzielnie. UNACO nie ma tam nikogo, więc Siergiej nie będzie wiedział, że pracujemy razem.

– Za to Bernard – tak. Pamiętaj, on nie wie, co się dziś zdarzyło w jego rzeźni. Nadal uważa, że jestem dla niego zagrożeniem. Z pewnością ma na lotnisku ludzi gotowych przejąć mnie, kiedy tylko się pojawię.

– A co ze mną? Jeśli Al-Makesh wiedział, że jestem z UNACO, Bernard też musi o tym wiedzieć. Może spokojnie nabrać przekonania, że tropimy go ręką w rękę.

Graham potrząsnął głową.

– Z pewnością zdaje sobie sprawę z prawdziwego celu twojego przyjazdu do Bejrutu.

– Jakim cudem? Siergiej powiedział, że od wielu dni nie skontaktował się z Baileyem, a więc nie dowiedział się od niego, że C.W. i ja zostaliśmy przydzieleni do tej sprawy.

– Wie, bo Al-Makesh wiedział, dlaczego się tu znalazłaś.

Baileyowi wystarczyło powiadomić Mossad o celu twojego przyjazdu, kazali mu przekazać tę

informację Bernardowi. A jak myślisz, skąd ten Arab wiedział, że jesteś z UNACO? Z pewnością nie powiedział mu tego uliczny informator. To mógł być tylko Mossad. – Graham usiadł na łóżku i popatrzył na nią uważnie. – Już Bernard zatroszczy się o to, żebyś miała w Zimbali całkowicie wolną rękę. Jesteś jego aniołem stróżem – kimś, kto trzyma mnie z dala od niego. Nie obawiaj się, w Zimbali jesteś całkowicie bezpieczna.

– A ty? Jak się tam dostaniesz?

– Nie mam pojęcia. Najlepiej chyba będzie, jeśli polecę do któregoś z sąsiednich państw i przejdę granicę nielegalnie, nocą. A to prowadzi wprost do pytania, które zadałem wcześniej. Jak mam się z tobą skontaktować na miejscu?

– Będę musiała użyć skrytki na lotnisku... – Sabrina westchnęła ciężko. – Nie, zapomnijmy o tym. Nie możesz nawet zbliżyć się do lotniska.

– Dobrze, zostaw mi wiadomość właśnie tam. Już coś wymyślę.

– Jakiego nazwiska użyjesz? Graham zastanawiał się przez chwilę.

– Michael Greenem być już nie mogę – powiedział w końcu. – Użyję paszportu Milesa Granta.

– Dobrze, zostawię klucz do skrytki w informacji. – Zerknęła na zegarek. – No, to lepiej już pojadę do hotelu. Nim pójdę spać, muszę jeszcze kupić bilet i zarezerwować miejsce.

– Do zobaczenia w Zimbali.

Sabrina zatrzymała się w progu i obrzuciła Mike'a podejrzliwym spojrzeniem.

– Nadstawiam za ciebie głowy – powiedziała. – Nie wygłup mi się przypadkiem i nie rusz za Bernardem sam!

– Nawet o tym nie pomyślałem – wyciągnął ku niej dłoń, prawdziwy obraz niewinności. Nagle spoważniał. – Zawarliśmy umowę – dodał. – Będę się jej trzymał.

– Jasne. – Dziewczyna obdarzyła go olśniewającym uśmiechem i znikła.

Wrócił do pokoju, wyciągnął spod łóżka torbę podróżną. Słyszał, jak niżej, w barze, partnerka rozmawia z jego przyjaciółmi. Potem zapadła cisza. Całą uwagę poświęcił zbieraniu porozrzucanych wszędzie rzeczy i pakowaniu ich.

– Puk, puk! – rozległ się z otwartych drzwi głos Laidlawa.

– Wejdz, Russ. – Graham nie podniósł nawet wzroku znad torby.

– A więc znowu wybierasz się w podróż? Może mógłbyś powiedzieć mi dokąd?

– Przecież znasz reguły gry.

– Nadal będziesz ścigał Bernarda, prawda?

Mike zapiął saszetkę z przyborami toaletowymi i wsadził ją do torby.

– Być może – stwierdził oszczędnie.

– A nie potrzebujesz przypadkiem dodatkowej pary rąk?

Obrócił się gwałtownie, mając zamiar bez wahania, ostro odrzucić tę propozycję, lecz zawahał się, rozważając wszystkie jej za i przeciw. Jechał w nieznane. Sam. Niech to diabli, ale nie wiedział nawet, dokąd właściwie ma pojechać! Doświadczenie byłego komandosa zdecydowanie za nim przemawiało, on sam nie znał nawet żadnego języka obcego, Laidlaw zaś mówił po francusku, który był także używany w Zimbali. Tylko... teraz znów pracował dla UNACO, a jego przyjaciel to człowiek z zewnątrz, który w dodatku najprawdopodobniej nie będzie w stanie wystrzelić, nawet w największej potrzebie. Cholernie trudna decyzja.

– Co wiesz o Zimbali?

– Małe państewko afrykańskie, graniczy z Czadem i Nigrem. Do niedawna dyktatura, teraz...

– Doskonale – przerwał, wyciągając przed siebie rękę. – Mam spotkać się z Sabriną w Zimbali. Ona przyleci tam samolotem, ja nie mogę ryzykować aż tak. Szpiedzy Bernarda z pewnością już mnie szukają. Muszę polecieć albo do Czadu, albo do Nigru i nielegalnie przekroczyć granicę. Nie mówię ani po francusku, ani po arabsku, więc będę wzbudzał najzupełniej zbędne zainteresowanie, w końcu mogę nawet zaalarmować Bernarda.

– Chcesz, żebym udał się z tobą do Zimbali?

– Mówisz po francusku.

– I po arabsku. – Laidlaw uśmiechnął się niewyraźnie. – Przypomną się dawne czasy!

– Chcę tylko, żebyś dowiózł mnie do Habane. Tam spotkam się z dziewczyną. Potem wracasz do siebie. – Graham dostrzegł wyraz rozczarowania na twarzy przyjaciela. – Kobra, a co będzie, kiedy na spotkaniu z Bernardem wywiąże się strzelanina?

Na nic się nie przydasz, możesz tylko narazić nas na niebezpieczeństwo. Nie chcę mieć cię na sumieniu. Zbyt wiele razem przeżyliśmy. Russell skinął głową. Twarz miał zaciętą.

– Rozumiem cię, Mike. Dotransportuję cię do Habane.

– Dzięki.

– Chodź na dół, to przedyskutujemy szczegóły podróży. – Laidlaw podszedł do drzwi. Kiedy obrócił się i spojrzął na Grahama, miał na ustach lekki uśmiech. – Nie pierwszy raz wyniosę cię za

tyłek spod ognia – dodał.

– Jak cholera. – W głosie Mike’a pobrzmiwał śmiech. Zabrał torbę i ruszył za Laidlawem, zamykając za sobą drzwi.

Whitlock zjechał białym BMW do garażu pod domem, w którym mieszkał na Manhattanie. Zaparkował na wyznaczonym miejscu obok porsche carrera, samochodu Carmen, wyłączył radio, zerknął na zegarek, właśnie minęło wpół do siódmej. Stłumił ziewnięcie – miał za sobą długi dzień: dwanaście godzin z Mobuto, w tym osiem w gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych, gdzie prezydent ze swą swiłą spędzili dzień.

Przemówienie prezydenta Zimbali do Zgromadzenia Ogólnego zaimponowało mu. Było doskonałe, pozbawione zbędnych akcentów emocjonalnych, Jamel Mobuto obiecał po prostu, że jako nowy przywódca Zimbali będzie przestrzegał zasad demokratycznych. Tylko jedno w tej mowie wydawało mu się zastanawiające. Ani razu nie wymienił nazwiska ojca, zabrakło także przeprosin za odrażające zbrodnie, popełnione pod jego rządami. Było tak, jakby nowy prezydent Zimbali zapomniał o przeszłości, skupiając się wyłącznie na tym, co będzie.

Delegaci zareagowali pozytywnie. Jednogłośnie zdecydowano, że za pół roku do Zimbali przyjedzie misja obserwacyjna, mająca na miejscu zbadać sytuację pod kątem przywrócenia temu państwu członkostwa w Organizacji Narodów Zjednoczonych (oryginalne członkostwo, datujące się od chwili powstania ONZ w 1945 roku, zostało cofnięte w roku 1956, kiedy Alphonse Mobuto uniemożliwił delegacji ONZ zbadanie oskarżeń o masowe morderstwa). Decyzja ta szczególnie ucieszyła Jamela, rozpaczliwie pragnącego wciągnąć swą ojczyznę w orbitę polityki światowej. Whitlock wiedział, że ambasadorowie dwóch zachodnich państw już zapowiedzieli swe oficjalne wizyty, gdy tylko kraj powróci na łono ONZ. Był to historyczny dzień w dziejach Zimbali – a wszystko dzięki taktowi i dyplomatycznym talentom jednego człowieka.

C.W. czuł, jak jego niechęć do Jamela słabnie z każdą chwilą. Najwyraźniej szczerze pragnął on zmian w państwie, w którym za rządów jego ojca dziesiątki tysięcy obywateli torturowano i zamordowano. Stosunki między nimi pozostawały chłodne, lecz powoli obaj zaczęli się traktować z szacunkiem, niczym dwaj doskonali profesjonaliści. A to już było coś.

Whitlock pragnął pozostać na posterunku podczas wydanego w gmachu ONZ bankietu na cześć Mobuto, lecz Kolczynski kazał mu wrócić do domu. Zgodził się na żądanie szefa, choć niechętnie.

Pierwszy dzień oficjalnej wizyty minął bez żadnych szczególnych wydarzeń, ale był to najłatwiejszy z wszystkich trzech. Jutro prezydent miał zwiedzić Instytut Afrykańsko – Amerykański na Wschodniej 47 Ulicy, a potem szkołę średnią w samym sercu Harlemu. Pojutrze jako gość uda się na targi handlowe w New Jersey. Dwa dni stale wśród ludzi – koszmar dla służb ochrony, lecz w końcu za to mu płacono, a po wysłuchaniu mowy Mobuto bardziej niż kiedykolwiek zapragnął zapewnić mu całkowite bezpieczeństwo. Miał do czynienia z człowiekiem traktującym swą pracę jak misję, z mesjaszem, z przyszłością Zimbali...

Tok myśli przerwało mu nagłe stukanie w szybę samochodu. Obejrzał się gwałtownie i westchnął z ulgą dostrzegając znajomą twarz Joshui Marshalla, strażnika parkingu od czasu, gdy

przed osiemnastu laty wybudowano ten gmach. Marshall wyrósł w slumsach Harlemu, był obiecującym bokserem wagi średniej, utopił swą karierę w alkoholu, a od dwudziestu lat nie wypił ani kropli i pracował uczciwie.

C.W. przycisnął guzik otwierający okno. Otwartą dłoń przyłożył do piersi.

– Omal nie dostałem przez ciebie ataku serca, Joshua – wychrypiął.

– Myślałem, że coś takiego właśnie się wydarzyło, proszę pana. Siedział pan w samochodzie zupełnie nieruchomo.

– Zamyśliłem się tylko. – Whitlock wyjął kluczyki ze stacyjki i wysiadł. – Moja żona... dawno wróciła?

Parkingowy z namysłem podrapał się po głowie.

– Jakąś godzinę temu – powiedział w końcu. – I chyba bardzo się spieszyła.

– Aha. – C.W. zamknął drzwiczki. – Mówiła coś?

– Nawet mnie nie zauważyła.

– Dziękuję ci bardzo.

Joshua dotknął służbiście daszka czapki i wycofał się do swej budki.

Whitlock użył karty magnetycznej, by przywołać windę. Czekając na nią niecierpliwie postukiwał stopą w beton. Czemu Carmen miałyby się spieszyć? Przecież nigdy tego nie robiła, zawsze była pełna wdzięku i spokoju. Co się stało?

Winda przyjechała wreszcie. Uśmiechnął się zdawkowo do wysiadającej pary, wszedł i nacisnął guzik siódmego piętra. Niecierpliwie spacerował z kąta w kąt, aż wreszcie dojechał na miejsce. Szybkim krokiem ruszył wyłożonym niebieską wykładziną korytarzem, nawet klucze trzymał już przygotowane do włożenia w zamek.

Drzwi wejściowe jego mieszkania prowadziły wprost do dużego pokoju. Wszedł i natychmiast dostrzegł stojącą przy oknie żonę. Jej siostra, Rachel, siedziała na kanapie, ciasno splecione dłonie złożyła na kolanach, oczy miała zaczerwienione – najwyraźniej płakała. C.W. od razu zrozumiał, że coś musiało się przydarzyć Rosie.

– Dzięki Bogu, wróciłeś! – krzyknęła Carmen, gdy tylko zamknął za sobą drzwi.

– Co się stało? – spytał, patrząc to na żonę, to na jej siostrę. – Rosie...?

Rachel przygryzła wargi, jakby z całej siły próbowała powstrzymać łzy.

– Znikła.

– Co to znaczy: „znikła”.

– Strasznie pokłóciła się z Eddiem i wybiegła z domu. Nie wiemy, gdzie jest.

C.W. usiadł ciężko.

– Kiedy to się zdarzyło? – spytał.

– Mniej więcej dwie godziny temu. Eddie właśnie wrócił z pracy. W kuchni doszło do awantury. Wybiegła z domu jak stała, w dżinsach i podkoszulku. Strasznie się o nią niepokoję. Nie ma pieniędzy. Na pewno wróciła na Times Square. Przez ostatnie kilka miesięcy tam właśnie spędzała najwięcej czasu.

– A jednym z warunków zwolnienia było, że ma się nie zbliżać do tego miejsca, póki jej sprawa nie trafi do sądu – dodała Carmen.

Whitlock zmęczonym gestem przetarł oczy.

– Co robi Eddie?

– Szuka jej. Ale on w ogóle nie zna Times Square!

– Wiesz, gdzie najczęściej spędzała czas?

Rachel bezradnie potrząsnęła głową.

– Ona nic już nam nie mówi – szepnęła.

C.W. poderwał się na równe nogi.

– No, to lepiej zacznę jej szukać od razu.

– Nie ma sensu, żebyś wychodził teraz. Nie wiesz nawet, gdzie jest Eddie. Dzwoni co dwadzieścia minut, żeby sprawdzić, czy już wróciłeś.

– Kiedy odezwał się po raz ostatni?

Carmen spojrzała na zegarek.

– Jakieś dziesięć minut temu.

– Przebiorę się.

– A nie jesteś głodny? Zrobiłam zapiekankę. Odgrzeję, może trochę przekąsisz, nim wyjdiesz.

– Nie, dziękuję. Zjadłem duży lunch.

– C.W.?

Whitlock zatrzymał się w drzwiach, patrząc na Rachel.

– Sprowadź ją do domu. Proszę. Uśmiechem dodał jej odwagi i wyszedł z pokoju.

Rosie Kruger siedziała w Rollercoasterze, jej ulubionym barze na Zachodniej 43 Ulicy, niespełna sto metrów od centrum Times Square. Po ojcu odziedziczyła jasne, niebieskie oczy, po matce ciemne, długie włosy i cerę koloru miodu. Miała szesnaście lat, lecz – drobna, zgrabna i bardzo ładna – mogła uchodzić i za dwudziestolatkę. Kenny Doyle, dwudziestoosmioletni barman Rollecoastera znał jej prawdziwy wiek, lecz jakoś nigdy nie przeszkodziło mu to podać jej drinka. Uważała go za swego dobrego przyjaciela i kiedy po awanturze z ojcem wybiegła z domu, pojechała wprost do baru, mając nadzieję się z nim spotkać. Kenny ją rozumiał. Sam, mając piętnaście lat, uciekł z domu w Chicago i nadal nosił na ciele ślady bicia, którego nie oszczędził mu ojciec, gdy rodzice dowiedzieli się, że jest homoseksualistą. Nigdy się już z nimi nie skontaktował. Uważał się za sierotę.

Rosie czuła coś podobnego w stosunku do swych rodziców. Ojciec był już niemal alkoholikiem, żalonym człowieczkiem, zdolnym stawić czoło życiu tylko z butelką w ręku. Wiedziała, że lada chwila wyleją go z pracy. I właściwie nic go to nie obchodziło, godność stracił całe lata temu. Matka okazała się zbyt słaba, by powstrzymać go od picia. To Rosie od półtora roku musiała noc w noc kłaść ojca do łóżka, podczas gdy jej matka szukała ucieczki w nędznym romansie z szefem, rozwodnikiem. Romans skończył się, bo szef postanowił jednak wrócić do żony. Nie, godność stracił nie tylko tata.

Nadal ze wszystkimi szczegółami pamiętała dzień, kiedy po raz pierwszy zdecydowała się spróbować narkotyków – dzień, kiedy szkolna koleżanka powiedziała jej o romansie matki. Czuła się rozgoryczona, zdegradowana, brudna. W toalecie wraz z kilkoma przyjaciółkami wypaliła skręta. Każda z nich zaciągnęła się kilkakrotnie i nim niedopałek zniknął splukany wodą, poczuła, że jest na haju – było to ciepłe, senne uczucie, wydające się ogarniać ją całą. Nie chciała, by skończyło się kiedykolwiek. W tydzień później u handlarza na Times Square kupiła pierwszą działkę. Nieco łatwiej było jej teraz nosić ojca do łóżka. Paliła marihuanę od roku, kupując ją za pieniądze zarabiane w weekendy w barze McDonalda.

Ale wczoraj wszystko nagle się popsuło. Spotkała handlarza w zwykłym miejscu, lecz kiedy przekazywała mu pieniądze, zatrzymali ich trzej policjanci w cywilu, którzy obserwowali transakcję z nie oznakowanego samochodu, stojącego po przeciwnej stronie ulicy. Przeszukano ich, skuto, aresztowano. Rosie przeżyła najbardziej przerażającą, najbardziej upokarzającą noc w życiu. Nigdy nie cieszyła się tak, jak kiedy rankiem w komisariacie zobaczyła matkę – marzyła wyłącznie o tym, by wreszcie wydostać się ze śmierdzącej moczem i wymiocinami celi. Przez kilka porannych godzin tego dnia mogła z nią nawet rozmawiać, nareszcie zrodziło się między nimi coś w rodzaju porozumienia.

Potem do domu wrócił ojciec. Jedyne, co potrafił, to wrzeszczeć na nią, obrzucać najwulgarniejszymi słowami, oskarżać o narażanie rodziny na „niesławę”. Oszłomiła ją jego dwulicowość i wtedy właśnie zrozumiała, że nie może zostać z rodzicami, nie zniesie dłużej

obecności ojca. Zdawała sobie sprawę, że siedząc w Rollercoasterze narusza warunki zwolnienia, lecz wiedziała także, że jeśli się w żaden sposób nie wychyli, będzie całkowicie bezpieczna. Już Kenny się nią zaopiekuje i...

– Co pijesz, skarbie?

Męski głos zaskoczył ją, a kiedy się obejrzała, ogarnął ją wstrętny zapach przetrawionego alkoholu. Mężczyzna miał na sobie szary garnitur i rozluźniony pod szyją krawat. Niewiele przekroczył czterdziestkę.

– Prawdziwa z ciebie ślicznotka – dodał i wyciągnął dłoń, chcąc pogłaskać ją po twarzy.

– Idź pan! – warknęła, odchylając się.

– Hej, człowieku, zostaw moją dziewczynę – zawtórował jej zza baru Kenny.

Mężczyzna obrzucił go pogardliwym spojrzeniem, mruknął coś do siebie, podszedł do sąsiedniego stolika i usiadł ciężko. – Dzięki. – Rosie uściśnęła dłoń przyjaciela.

– Zawsze do usług. Może burbona?

– Nie, nic mi nie jest. Mówiłam ci przecież, nie mam...

– Ile razy mam powtarzać, że dziś ja stawiam?

– Dlaczego najlepsi faceci albo są żonaci, albo... tacy ja ty?

– Za młoda jesteś na taki cynizm, Rosie. Pewnego dnia trafisz na kogoś odpowiedniego.

– I co wtedy? Zabiorę go do domu? Przedstawię rodzicom? – Przekonywająco udała przerażenie.

Doyle zachichotał i odszedł obsłużyć nowego klienta. Dziewczyna rozejrzała się po barze. Był dość pusty... na razie. Zacznie się wypełniać za jakąś godzinę. Już miała sięgnąć po szklaneczkę, gdy kątem oka dostrzegła parkujący po przeciwnej stronie ulicy samochód – białe BMW, dokładnie takie, jakim jeździł jej wuj. Kiedy otworzyły się drzwiczki, wstrzymała oddech. Tak, zza kierownicy wysiadł C.W., a w chwilę później z miejsca obok kierowcy Eddie Kruger. Obaj niemal jednocześnie zamknęli drzwi.

– Kenny! – syknęła, gestem przywołując barmana.

– Co się stało?

– Mój ojciec. I wuj. – Gestem wskazała samochód. Mężczyźni stali na chodniku, rozmawiając.

Doyle wyjął z kieszeni pęk kluczy. Dał jej jeden z nich.

– To od tylnego wejścia. Wiesz, gdzie jest?

– Koło męskiej toalety?

Przytaknął skinieniem głowy.

– Prowadzi na taki zaułek za barem. Zaczekaj. Pozbędę się ich, nie ma strachu. Kiedy wyjdą, przyślę kogoś po ciebie.

Wyszła z sali, co chwila oglądając się przez ramię, niemal pewna, że lada chwila zobaczy tropiącego ją ojca lub wuja. Drżącą dłonią otworzyła drzwi i wyslizgnęła się na dwór. Od chwili, gdy pojawiła się w Rollercoasterze, zimny wiatr przybrał na sile, potarła ramiona dłońmi i ruszyła przez morze starych gazet w stronę metalowego pojemnika na śmieci. Kucnęła za nim, wpatrując się w tylne wejście do baru. Wiedziała, że Kenny zrobi co w jego mocy, by ją ochronić, lecz jeśli oni zdecydują się mimo wszystko przeszukać bar? A także ten zaułek? Niesiony wiatrem strzęp gazety przywarł jej do nogi. Strzepnęła go, mocniej przywierając do ściany i obejmując się ramionami dla ochrony przed chłodem. W alejkę wbiegł beżpański kundel, nędzny, zagłodzony, podniósł pysk węższąc i ruszył wprost w jej kierunku. Dostrzegłszy dziewczynę stanął, w jego beznadziejnie smutnych oczach odbiło się wyraźne wahanie. Podszedł jednak i zaczął grzebać w śmieciach. Przez dziurę w pojemniku wybiegł szczur – w ostatniej chwili stłumiła okrzyk przerażenia, mocno zagryzając wargi. Kundel ruszył za nim, lecz szczur zdołał się skryć w kupie starych gazet, pies zaczął je gorączkowo rozkopywać, wypłaszając ofiarę, która pogoniła alejką, szukając bezpieczniejszego schronienia. Rosie straciła go z oczu, kiedy znikł za kartonowym pudłem, więc całą uwagę znów skupiła na drzwiach. Westchnęła, widząc w nich jakąś postać. Był to mężczyzna w szarym garniturze – ten, który już wcześniej usiłował ją poderwać. Patrzył na pojemnik, nie wiedziała jednak, czyją widzi.

– Możesz już wyjść – powiedział, kiwając na nią palcem. – Poszli sobie.

Rosie nie poruszyła się. Dlaczego Kenny wysłał po nią tego właśnie człowieka? A może wcale go nie wysłał? Może tylko ten facet podsłuchał ich rozmowę? Bała się, strasznie się bała.

– Wiem, że siedzisz za pojemnikiem – mężczyzna zrobił krok w jej kierunku. – Przecież mówię, że sobie poszli. Jesteś bezpieczna.

Wstała powoli, oczy miała rozszerzone ze strachu i wcale nie czuła już chłodu. Mężczyzna wyciągnął ku niej dłoń – cofnęła się instynktownie, przyciskając dłonie do piersi. W gardle jej zaschło, wargi też miała suche, on zaś podszedł bliżej, chwycił jej rękę i z całej siły szarpnął je w dół. Chciała uciekać, lecz nogi miała jak z gumy, chciała krzyczeć, lecz z zaciśniętego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Dostrzegła, jak napastnik uśmiecha się z zadowoleniem. Zamknęła oczy, czując dłoń wślizgującą się pod podkoszulek.

– Zostaw ją!

Prześladowca odwrócił się gwałtownie. Przy tylnym wyjściu z Rollercoastera pojawił się mężczyzna ubrany w sprane dżinsy, białą koszulę i czarną skórzaną kurtkę. Jego lewy policzek

przecinała niemal niewidoczna blizna.

– Jeśli cenisz swą skórę, przyjacielu, to wynoś się stąd!

Bernard zerknął na Rosie.

– Możesz wrócić. Ci dwaj odjechali – powiedział.

– Nie wrócisz! – syknął pijak, chwytając ją za ramię. Rozorała mu policzek paznokciami. Wrzasnął z bólu, zataczając się na ścianę. Wyrwała mu się i podbiegła do Bernarda.

– Wchodź! – rozkazał jej, wskazując drzwi.

Przez chwilę niepewnie patrzyła to na jednego, to na drugiego, po czym wbiegła do baru.

– Zapłacisz mi za to, sukinsynu – syknął przez zaciśnięte zęby pijak, grzbietem dłoni ocierając krew z twarzy.

Bernard tylko spojrział na niego pogardliwie, upuścił papierosa i rozgniół go czubkiem buta. Bez wysiłku uchylił się przed niezdarnym atakiem, uderzył napastnika w nerki, a kiedy ten, oszołomiony, zatoczył się na ścianę, poprawił jeszcze dwoma paraliżującymi ciosami w to samo miejsce. Jego przeciwnik opadł na kolana. Bernard chwycił mężczyznę za włosy i uderzył jego twarzą w mur, a kiedy ten zakrwawiony, nieprzytomny osunął mu się do stóp, otrzepał ręce, odwrócił się i miał właśnie sięgnąć do klamki, gdy otworzyły się drzwi. Stał w nich Doyle z baseballowym kijem w dłoni.

– Już wszystko w porządku – powiedział nieznajomy. – Dziś w nocy ten gość nie dotknie żadnej dziewczyny.

Kenny przyjrzał się leżącej na chodniku postaci.

– Sukinsyn. Kiedy Rosie powiedziała mi, co się stało, miałem ochotę rozwalić mu łeb.

– Zna go pan?

– Nigdy przedtem u mnie nie był. – Doyle przepuścił Bernarda. – Dziękuję, że pan jej pomógł. Większość ludzi stąd po prostu spojrzalaby w drugą stronę.

Ruszyli prowadzącym do baru korytarzem.

– To pańska dziewczyna? – spytał Bernard.

– Po prostu przyjaciółka. Dobra przyjaciółka.

Kelnerka, która zastąpiła Doyle'a przy barze, zerknęła pytająco na kij baseballowy.

– Nie, w ogóle nie musiałem go ze sobą brać – wyjaśnił jej Kenny. – Ten pan całkowicie

panował nad sytuacją. – Spojrzał na nieoczekiwane go sojusznika. – Jedyne, co mogę zrobić, to postawić panu drinka.

– Dietetyczną colę, jeśli pan ją ma. – Bernard przysiadł się do Rosie. – Nic ci nie jest? – spytał troskliwie.

– Nie, nic – odparła dziewczyna. – Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam się panu odwdzięczyć – dodała, walcząc ze łzami. – Gdyby się pan nie pojawił... – przerwała. Nie mogła mówić dalej.

– Napiłabyś się jeszcze? – Gestem wskazał jej pustą szklanę.

– Proszę – powiedziała i przyjrzała mu się po raz pierwszy od chwili, gdy się spotkali. – Nawet nie wiem, jak się pan nazywa.

– Marc Giresse – odparł, podając nazwisko z używanego właśnie paszportu.

– Ja jestem Rosie Kruger. – Obejrzała się. Kenny akurat przyniósł do ich stolika zamówioną colę. – Właśnie mówiłam – zwróciła się do niego – że gdybyś nie wysłał po mnie pana Giresse’a, mogłoby przytrafić mi się coś strasznego.

– Ja go nie wysyłałem. Właśnie miałem wyjść po ciebie sam.

Oboje jednocześnie spojrzeli na Bernarda.

– Siedziałem przy stoliku za tobą – wyjaśnił, zwracając się do dziewczyny. – Widziałem, jak ten gość próbował cię poderwać. Kiedy wyszłaś, a on poszedł za tobą, pomyślałem, że lepiej sprawdzić, czy nic ci się nie stało.

– Skąd wiedział pan o moim ojcu i wuju?

– Podśluchałem was. – Bernard uśmiechnął się przepraszająco. – To taki mój nałóg – oddaję się mu, kiedy jestem znudzony.

– I dzięki Bogu. – Rosie uśmiechnęła się promiennie.

Doyle zerknął na sąsiedni stół. Zajmowała go dwójka młodych ludzi, na oko dwudziestoletnich. Choć ich nie znał, mógłby przysiąc, że siedzą przy nim co najmniej od godziny. Poza tym ich stół był dwuosobowy. Spojrzał na wybawiciela Rosie, zmarszczył czoło, a potem obejrzał się – zawołał go ktoś siedzący przy barze.

– Drinka dla pani, jeśli znajdzie pan minutkę – powiedział jeszcze Bernard.

– Jasne. – Doyle odszedł obsłużyć klienta.

– Giresse – powtórzyła w zamyśleniu Rosie. – Czy to francuskie nazwisko?

Przytaknął skinieniem głowy.

– Nie mówi pan jak Francuz. I nie wygląda pan na Francuza. Jest pan bardzo śniady.

– Ojciec pochodził z Francji. Urodziłem się w Tarabulus.

– A gdzie to jest?

– W Libanie.

Dziewczyna uśmiechnęła się leciuteńko.

– Ale nie jest pan terrorystą, prawda?

– Oczywiście, że nie. – Bernard potrząsnął głową. – Wy, Amerykanie, nigdy nie przestaniecie mnie zdumiewać. Każdego musicie z góry zakwalifikować do określonej grupy. Jeśli jesteś Rosjaninem, musisz być komunistą. Jeśli jesteś Kolumbijczykiem, musisz handlować narkotykami. Jeśli jesteś Libijczykiem lub Libańczykiem, musisz być terrorystą.

– Przecież ja tylko żartowałam – Rosie niemal się roześmiała.

– Wiem. Szkoda, że tego samego nie da się powiedzieć o waszych politykach. – Bernard wypił trochę swej dietetycznej coli, a potem pochylił się, opierając łokcie na stole. – Jestem zwykłym, skromnym biznesmenem, ot co. Przetwórstwo żywności. Obawiam się, że to znacznie mniej romantyczne niż zawód terrorysty, prawda?

– A czy zna pan... jakichś terrorystów?

– W Libanie spotyka się wielu dziwnych ludzi. – Machnął tylko ręką i sam z kolei zapytał: – Uciekłaś z domu?

Zaskoczył ją. W normalnych okolicznościach po prostu by mu nie odpowiedziała. Za punkt honoru miała nie opowiadać ludziom o sobie. Nigdy nikomu się nie zwierzyła ze swych tęsknot i pragnień, nawet przyjaciółkom w szkole, które uważały ją za osobę bardzo tajemniczą. W towarzystwie Bernarda czuła się jednak całkiem swobodnie. Nigdy przedtem nie doznała podobnego uczucia, nawet przy Kennym, a był on prawdopodobnie jej najlepszym przyjacielem. Czuła, że może zaufać swojemu wybawcy, a jeszcze nigdy w życiu nikomu nie zaufała. Z tego powodu odczuwała nawet coś w rodzaju strachu. Zupełnie nowym doświadczeniem była dla niej ta chęć, by się przed kimś – zwłaszcza przed mężczyzną – otworzyć, przeważała jednak radość, iż oto znalazła pokrewną duszę, której może się ze wszystkiego zwierzyć.

– Przepraszam, nie zamierzałem być wścibski. – Bernard dostrzegł jej nieobecny wzrok.

– Nie, nie jest pan wcale wścibski – odparła z uśmiechem. – Chyba rzeczywiście uciekłam z domu. Dziś wieczorem.

– Na dobry początek! – Mężczyzna również się uśmiechnął. Wyciągnął ku niej szklanekę. – Witamy w klubie.

– Pan także uciekł kiedyś z domu? – spytała podniecona.

Przytaknął skinieniem głowy.

– Wiedziałaś. Pokrewna dusza – powiedziała cicho, do siebie.

– Słucham?

– Nie, nic. – Podniosła głowę, Kenny wrócił właśnie z jej burbonem. – Pan Giresse też kiedyś uciekł z domu – oznajmiła mu. – Jaki ten świat mały.

– Bardzo mały – odparł krótko barman, stawiając przed nią szklaneczkę i zerkając na jej towarzysza. Nie potrafił mu jakoś zaufać, a instynkt rzadko go mylił. – Skąd pan pochodzi?

– Z Bejrutu. – Nowy przyjaciel Rosie patrzył mu wprost w oczy. Nagle uśmiechnął się. – Ile płacę? – spytał.

– Rosie jest dziś moim gościem – padła natychmiastowa odpowiedź.

– Bardzo proszę. Nalegam. – Bernard wyjął z portfela pięciodolarowy banknot i położył go na barze. – Pan niech się też napije.

– Nie, dziękuję. – Kenny odszedł obsłużyć następnego klienta. Nie ruszył pieniędzy.

– Co się stało twojemu przyjacielowi? – „Pan Giresse” wzruszył ramionami i schował pieniądze.

Rosie pokręciła głową.

– Czasami tak to już z nim jest – wyjaśniła. – Pewnie zachowywałabym się podobnie, gdybym co noc musiała obsługiwać zachodzących tu wariatów.

– Serdecznie dziękuję!

– Przecież wie pan, co mam na myśli – zaczęła tłumaczyć i nagle dostrzegła uśmiech na jego twarzy. – Niech pan przestanie się ze mną drażnić.

Momentalnie spoważniał.

– Masz gdzie przespać dzisiejszą noc? – spytał.

Instynktownie poszukała wzrokiem Kenny’ego.

– Myślałam, że on będzie mógł przenocować mnie przez kilka dni – wyjaśniła. – Nim dogadam się jakoś z rodzicami. Ale nie, ma kogoś. Pozostali mi jeszcze przyjaciele – może któryś będzie miał dla mnie łóżko.

– A jeśli nie?

Rosie wzruszyła ramionami.

– Znajdę jakiś tani hotelik. Mam kilka dolców. Tylko proszę nie wspominać o tym Kenny'emu. Powiedziałam mu, że jestem spłukana.

– Toż to szaleństwo! Nie możesz sama snuć się po Nowym Jorku, nie o tej porze! Słuchaj, u mnie jest wolny pokój. Skorzystaj z niego, jeśli chcesz.

– Dzięki, ale... – przerwała niezręcznie, wzruszając ramionami. – To znaczny, przecież ja nic o panu nie wiem.

– I nawzajem. – Bernard w zamyśleniu przygryzł dolną wargę. – Słuchaj, mam pomysł – powiedział w końcu. – Zadzwoń do tych przyjaciół i dowiedz się, czy zdołają cię przenocować. Jeśli nie, to albo pojedziesz do mnie, albo dam ci trochę forsy i odwiozę do hotelu.

– Dlaczego właściwie pan to robi?

– Wychowywał mnie ojciec. Matki w ogóle nie znałem. Umarł, kiedy miałem czternaście lat. Żeby nie iść do sierocińca, uciekłem do Bejrutu. Pierwszej nocy napadło mnie trzech facetów. Zdołałem im uciec, ale – dotknął blizny na policzku – na pamiątkę zostawili mi to. Mnie z tym bardziej do twarzy niż byłoby tobie. Dziś, w tym zaułku, miałaś szczęście. Nie nadużywaj go.

Zastanowiła się nad jego słowami, po czym spojrzała na wiszący w rogu baru telefon.

– Ma pan kilka ćwierćdolarówek? – spytała w końcu.

Przeszukał portmonetkę i znalazł trzy. Rossie zadzwoniła pod pierwszy numer, lecz nikt jej nie odpowiedział. Spróbowała drugiego – słuchawkę podniósł mężczyzna. Troje to o jedno za wiele – pomyślała i przerwała połączenie. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że za nią stoi Doyle i patrzy jej w oczy.

– Masz, weź – poprosił, wręczając jej dziesięciodolarówkę.

– A to dlaczego? – spytała.

– Na taksówkę do mnie. Możesz zatrzymać się na noc.

– A twój przyjaciel?

– Zrozumie.

– Dzwoniłeś, żeby mu powiedzieć, że przyjeżdżam?

– Próbowałem, ale nie podnosi słuchawki. Pewnie nadal jest w klubie.

– Doceniam twoje poświęcenie, Kenny, ale nie mogę się wam narzucać. To nie byłoby w porządku.

– A czemu nie? – zaperzył się Doyle. – Przecież możesz posłać sobie na kanapie.

– To po prostu nie byłoby w porządku – powtórzyła, wzruszyła ramionami i wsunęła mu pieniądze do kieszeni.

– Więc gdzie masz zamiar nocować?

– Coś sobie znajdę – stwierdziła głosem, który miał brzmieć pewnie.

– Słyszałem, jak ten libańczyk oferował ci miejsce u siebie. Nie gódź się, Rosie. Z tym gościem coś jest nie tak.

– Co, na przykład? – zirytowała się.

– Nie wiem. Po prostu mam złe przeczucia.

– Naprawdę? – Dziewczyna była już zdecydowanie zła. – Od początku postępuje jak dżentelmen. A w tej dziurze to prawdziwa rzadkość.

– Ten gość oznacza kłopoty.

Gniewnie potrząsnęła głową.

– Dziwnie się zachowujesz od chwili, kiedy zaczęliśmy rozmawiać. O co ci chodzi, Kenny? Zazdrość cię zżera, że tak przypadliśmy sobie do serca?

– Zazdrość? – Doyle nie mógł się połapać, o co jej chodzi. – Rosie, dorośnij! Martwię się o ciebie, to wszystko.

– Ach, tak? To daj sobie spokój. Sama potrafię się o siebie zatroszczyć. – Odwróciła się na pięcie i wróciła do stolika, przy którym czekał na nią nowy przyjaciel. – Przyjmę ofertę noclegu, jeśli nadal jest aktualna – oznajmiła.

– Ależ oczywiście, że jest – zapewnił ją.

– Możemy pojechać do pana już teraz?

– Teraz? – zerknął na nią z niedowierzaniem. – Przecież jest dopiero wpół do dziewiątej.

– Więc zmieńmy lokal – poprosiła, zerkając na krzątającego się za barem Kenny'ego. – W ciągu ostatnich kilku minut zrobiło się tu jakoś chłodno.

Bernard tylko wzruszył ramionami.

– Będziesz musiała służyć mi za przewodnika. Jestem tu nowy.

– Znam kilka fajnych miejsc – oznajmiła i wychodząc z baru obrzuciła Doyle’a gniewnym spojrzeniem.

Bernard odprowadził ją wzrokiem. Aż tak korzystnego zbiegu okoliczności nie przewidział w najśmielszych snach. Śledził dziewczynę tak na wszelki wypadek, spodziewając się, że po zamachu na Mobuto może potrzebować zakładnika. Siostrzenica żony Whitlocka – wspinała broń przeciw UNACO! Jego amerykański kontakt poinformował go, gdzie ją znaleźć. Kontakt nie znał jego nazwiska, tylko pseudonim – „Albatros”.

Nie, nawet gdyby pan Bóg wysłuchał jego najśmielszych modlitw, sytuacja nie mogła ułożyć się lepiej. Odstawił nie dopitą colę i wstał ze stołka. Dostrzegł, że barman przygląda mu się uważnie. Pozwolił sobie na pełen satysfakcji uśmiech, po czym pod szklankę Rosie wsunął pięciodolarowy banknot.

Whitlock zamknął drzwi za wychodzącymi Rachel i Eddiem Krugerami, wrócił do pokoju i bezwładnie opadł na kanapę.

– Robiłeś, co mogłeś, C.W. – Carmen zaczęła masować mu plecy.

– A jednak zrobiłem za mało, prawda? We dwóch oblecieliśmy chyba wszystkie bary w promieniu półtora kilometra od Times Square. I nic.

– Być może to jednak dobra nowina. Jeśli ktoś ją kryje, to pewnie dzisiejszą noc Rosie prześpi w łóżku.

– Boże, mam nadzieję, że się nie mylisz. – Whitlock wstał i wyszedł na balkon, z którego mógł podziwiać nocną panoramę błyszczącego światłami Nowego Jorku.

– Już prawie północ. – W drzwiach stanęła Carmen. – A rano oboje musimy wstąpić.

– Wiem. – C.W. nie ruszył się od balustrady.

– Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, żeby ją znaleźć. Teraz ona sama musi się o siebie troszczyć.

– Nadal twierdzę, że powinniśmy zawiadomić policję.

– Przecież już o tym rozmawialiśmy. Eddie i Rachel sprzeciwili się, musimy uszanować tę decyzję. To ich córka, nie nasza.

– Gdyby była naszą córką, nie wpadłaby w to bagno!

– Jesteś pewien?

Whitlock obejrzał się przez ramię. Już miał coś powiedzieć, lecz opanował się przyznając żonie rację i tylko wzruszył ramionami.

– No, dobrze, idziemy do łóżka – rozkazała mu.

– Trzymaj się, mała – powiedział jeszcze, po czym wszedł do mieszkania i zamknął za sobą przesuwne drzwi.

Robert Bailey miał obsesję na punkcie bezpieczeństwa. Do pracy jeździł kuloodpornym mercedesem 500SL, codziennie inną trasą. Jego osobista ochrona zawsze była uzbrojona. Żonę i dwie córki woził do miasta uzbrojony szofer, zaś dom – w Georgetown, na przedmieściu Waszyngtonu – był prawdziwą fortecą. Otaczało go ogrodzenie pod napięciem, teren zaś dwadzieścia cztery godziny na dobę patrolowali strażnicy z psami. W każdym pokoju zainstalowano kamery telewizji przemysłowej, kontrolowane przez ochronę z umieszczonego w piwnicy centrum dowodzenia, w każdym, z wyjątkiem gabinetu.

Był to dźwiękoszczelny, pozbawiony okien pokój znajdujący się na końcu korytarza na drugim piętrze. Prowadziły do niego przesuwne stalowe drzwi, uruchamiane kodem wybieranym na znajdującej się w ścianie klawiaturze, Bailey zmieniał ów kod codziennie. W gabinecie znajdował się komputer, połączony z komputerami zarówno CIA, jak i Pentagonu – miał przezeń dostęp do setek specjalnie zabezpieczonych programów tworzonych przez CIA latami, włączając w to programy z danymi zdolnymi obalić kilka europejskich rządów, gdyby dostały się w niepowołane ręce. Bailey wymyślił jeszcze kilka dodatkowych środków bezpieczeństwa, mających przeszkodzić intruzowi, który zdołałby przedostać się przez jego ochronę. Komputer był uruchamiany dopiero po wprowadzeniu specjalnego kodu, znanego wyłącznie jemu. Zastosowanie niewłaściwego kodu powodowało rozbicie kanistra ze śmiertelnie działającym gazem oddziałującym na system nerwowy, który umieszczono w suficie dokładnie nad drzwiami, gaz ten zabijał w ciągu niespełna dziesięciu sekund. Zastępca dyrektora CIA zabezpieczył się jednak na wypadek, gdyby zdarzyło mu się popełnić błąd – żeby wypuścić gaz, trzeba było dwukrotnie użyć złego kodu. W końcu każdy z nas jest tylko człowiekiem.

Wprowadził kod, usiadł i stłumił ziewnięcie. Właściwie nadszedł już ranek. Czuł się wyczerpany, był na nogach od siedemnastu godzin. Żona i córki dawno poszły spać. Zdążyły przyzwyczać się do jego nieregularnych godzin pracy. Lecz cała rodzina dzieliła ambicje Baileya, który zamierzał zostać szefem CIA w ciągu najbliższych pięciu lat. Przy poparciu prezydenta i najpotężniejszych republikańskich senatorów była to tylko kwestia czasu.

Wystukał kolejny kod. Niemal natychmiast na ekranie pojawił się plik, zatytułowany Jean-Jacques Bernard. Wymazał wszystkie dane, zastępując je jedynym, wpisanym wersalikami zdaniem: PO ZAMACHU NA JAMELA MOBUTO WYELIMINOWAĆ.

Sabrina wyleciała z Bejrutu następnego dnia ugandyjskim boeingiem 747, lecącym przez Habane i Chartum do Kampali. Samolot był zapełniony zaledwie w połowie. Na lotnisku międzynarodowym w Habane wylądował po sześciu godzinach, wysiadło tu z niego tylko osiem osób, z nią włącznie. Na płycie zostali powitani przez sympatyczną przedstawicielkę obsługi, mikrobus zaś dowiózł ich do odległego o pięćset metrów małego, owalnego terminalu, najwyraźniej niedawno odnowionego, bowiem w powietrzu wisiał jeszcze ciężki zapach farby. We wnętrzu dostrzegła uzbrojonych żołnierzy. Kiedy stanęła w krótkiej kolejce do odprawy paszportowej, zdała sobie sprawę, że czuje wszechobecne napięcie.

Kontroler obejrzał ją sobie bardzo dokładnie, nim wyciągnął rękę po paszport. Poślinionym palcem obrócił kartki, po czym spojrzał jej w oczy.

– Jaki jest powód pani wizyty, panno Cassidy? – Jego angielski był mocno akcentowany.

– Jestem dziennikarką – odparła z uśmiechem. – A pański kraj trafił akurat na pierwsze strony gazet.

– Jak długo zamierza pani pozostać w Zimbali?

– To zależy od mojego szefa. Ale mam nadzieję, że około tygodnia.

Urzędnik podstemplował i oddał jej paszport.

– Pani wiza jest ważna na dziesięć dni – oznajmił. – Jeśli zechce pani zostać dłużej, proszę ją przedłużyć.

Sabrina podziękowała i schowała paszport do kieszeni białej bluzki, którą miała na sobie.

– Mam nadzieję, że nasz kraj będzie się pani podobał – dodał na pożegnanie urzędnik i skinął na następną osobę w kolejce.

Sabrina odebrała swą lekką, elegancką skórzaną walizkę, a potem poszła do informacji, gdzie czekał już na nią klucz do lotniskowej skrytki. Cały ich szereg znajdował się po drugiej stronie terminalu. Odnalazła właściwą, wewnątrz leżała czarna torba, a w niej beretta z kaburą na szelkach i szara koperta z faxem potwierdzającym dokonanie rezerwacji w hotelu o nazwie International. Wyjęła z torby notatnik oraz długopis, zapisała nazwę i adres hotelu, włożyła kartkę do schowka i zamknęła go. W informacji poprosiła o kopertę, zaadresowała ją dla pana Milesa Granta i oddała urzędnicze informując, że pan Grant wkrótce się po nią zgłosi.

Gdy wyszła z terminalu, rozejrzała się za taksówką. Włożyła okulary przeciwsłoneczne i ruszyła do białej toyoty zaparkowanej najbliżej wyjścia. Kierowca powitał ją szerokim uśmiechem,

a walizkę układał w bagażniku z niezwykłą wręcz ostrożnością.

– Dokąd, panienko? – spytał w końcu.

– Hotel International.

Na moment jakby się zawahał, a potem skinął głową.

– Nazwali go International dopiero po śmierci prezydenta – wyjaśnił – a wybudowali wiele lat temu. Zawsze nazywał się Hotelem Alphonse’a Mobuto.

– Pasuje – mruknęła cicho.

Kierowca przytrzymał jej drzwi, wsiadł, zapalił silnik i ruszył.

W dyskretnej odległości za taksówką z parkingu wyjechała bladoniebieska cortina. Siedzieli w niej dwaj mężczyźni, ubrani w niebieskie kombinezony. Ten za kierownicą nazywał się Gordon Gubene, był niegdyś sierżantem Sił Bezpieczeństwa i to on prowadził półciężarówkę podczas akcji uwolnienia Ngune. Miejsce pasażera zajmował Thomas Massenga, na głowie miał skórzaną czapkę, oczy zaś zakrywały mu ciemne okulary. Pochylił się ku skrytce i wyjął z niej walthera P5. Stracił już rozeznanie, ilu zamachów dokonał w czasie swej szesnastoletniej służby w tajnej policji, choć z pewnością było ich kilkadziesiąt. Zabijał mężczyzn, kobiety i dzieci i nigdy nie robiło mu to najmniejszej różnicy.

Wsadził pistolet do kieszeni, następnie otworzył leżącą na półeczce pod przednią szybą szarą kopertę. Poprzedniego dnia dał mu ją na lotnisku mężczyzna, którego znalazł pod pseudonimem „Kolumb”, wewnątrz znajdowała się fotografia Sabriny. „Kolumb” poinformował Massengę, że kobieta ze zdjęcia jest członkiem oddziału mającego wytropić i unieszkodliwić zabójców, zanim ci zdołają dokonać zamachu na życie Jamela Mobuto. Trzeba ją zlikwidować, nim znajdzie tu, w Zimbali, jakiś trop. Od razu zapamiętał jej twarz, jednak dopiero teraz miał okazję porównać oryginał z fotografią. Nie była najlepsza, ale nie pora teraz na sentymenty. Ma do czynienia z wrogiem i zabije go, gdy tylko zatrzyma się jadący przed nim samochód.

Sabrinę uderzył przede wszystkim widok wielu niczym się od siebie nie różniących bloków mieszkalnych, stojących w równych szeregach przy prowadzącej do miasta drodze. Wysokie, przygnębiające, wszystkie były pomalowane na identyczny szary kolor.

– Czy nikt tu nie mieszka w domkach? – spytała w końcu.

– Domki nie tu – odparł kierowca, nie spuszczać wzroku z drogi. – Druga strona Habane. Kosztują mnóstwo za bardzo, dla bogatych ludzie.

– Ale z pewnością wszystko zmieni się teraz, po śmierci Alphonse’a Mobuto, prawda?

Taksówkarz tylko wzruszył ramionami.

– Pieniądzy na domki nie masz.

- Jamel Mobuto po to przecież pojechał do Ameryki. By zebrać pieniądze na odbudowę kraju.
- Dobry człowiek, Jamel Mobuto. Nie zły jak jego ojciec.

Skinęła głową i umilkła, uświadamiając sobie, że mówi o sprawach, których ten człowiek najprawdopodobniej nie jest w stanie pojąć. Ciekawe, czy w ogóle wie, że Jamel Mobuto pojechał do Stanów? Najprawdopodobniej nie – zdecydowała.

- A panienska skąd przyjechała?
- Z Ameryki.
- Tam Chicago!
- Tak, Chicago to amerykańskie miasto, ale ja jestem z Nowego Jorku.
- Jankesi! – kierowca uśmiechnął się do niej we wstecznym lusterku.
- Jankesi – przytaknęła. – Lubi pan baseball?
- Jasne! Oglądamy baseball w telewizji. I futbol. Moja drużyna „Niedźwiedzie” z Chicago.
- Mam przyjaciela. Grał zawodowo w futbol w drużynie „Gigantów” z Nowego Jorku.
- Pani chłopak? – ucieszył się kierowca.
- Nie, po prostu przyjaciel – wyjaśniła z uśmiechem, myśląc o tym, jak zareagowałby Graham, gdyby usłyszał, że nazywają go jej chłopakiem.
- Nadal gra?

Potrząsnęła głową.

- Nie. W Wietnamie odniósł kontuzję ramienia. Nie może grać.
- Wietnam... Wietnam? – Taksówkarz zmarszczył czoło, – A jak nazywa się ich drużyna?

Już miała zamiar wszystko mu wyjaśnić, ale zdecydowała, że to bez sensu. Doprowadziłaby tylko do jeszcze większego zamieszania. Umilkła, obserwując drogę.

W miarę jak zbliżali się do Habane, w okolicy kręciło się coraz więcej żołnierzy. Uzbrojeni w M16 stali na ulicznych barykadach, na niektórych skrzyżowaniach widziała też stare czołgi M41. Czula to samo napięcie, z którego istnienia zdała sobie sprawę już na lotnisku. Większość mijanych postaci w mundurach sprawiała wrażenie nastolatków, w dzieciennych twarzach była wyraźnie widoczna niepewność.

Ci chłopcy nie mieliby najmniejszej szansy w starciu z oddziałami doskonale wyszkolonych

i uzbrojonych funkcjonariuszy byłych Sił Bezpieczeństwa, które – według docierających do UNACO raportów – koncentrowały się na południu kraju. A jednak na raporty te składały się przede wszystkim plotki dostarczane przez mieszkańców Kondese i jego okolic – być może szerzyli je ludzie Ngune oraz on sam? UNACO otrzymało przecież szkic zeznań złożonych przez zbiegłego do Czadu dezertera, według nich siły buntowników były znacznie mniejsze, niż wierzyły zachodnie agencje wywiadowcze, a dodatkowo oficerowie toczyli gwałtowne spory o stanowiska w gabinecie Ngune, kiedy będzie on już przy władzy. Wzajemna wrogość rozpałała się do tego stopnia, że jeden z oficerów już został skazany na śmierć za zabójstwo innego podczas bójki. Oczywiście UNACO doskonale zdawało sobie sprawę, że dezertier może wcale nie być dezertierem, lecz agentem, którego zadaniem jest wzbudzenie w Jamelu Mobuto fałszywego poczucia bezpieczeństwa, z drugiej jednak strony jego twierdzenia mogły być także prawdziwe. Pozostało tylko czekać, jak rozwine się sytuacja. Na razie prezydent nie przyjął oferty wprowadzenia do Zimbali wojsk ONZ, twierdząc z niezachwianą pewnością, że żołnierze bez problemów poradzą sobie z rebeliantami. Sabrina nie podzielała jednak jego optymizmu. Optymizm ten ją martwił.

– Hotel – oznajmił kierowca.

– Co? – spytała nieprzytomnie, wyrwana z zamyślenia.

– Hotel – powtórzył wyciągając rękę.

Hotel International okazał się pudełkowatym budynkiem pomalowanym na białą i złotą. Nie wyróżniał się niczym szczególnym, choć uchodził za najlepszy w mieście. Wyobraziła sobie, jak musi wyglądać najgorszy.

Samochód stanął na podjeździe. Portier podbiegł natychmiast, by otworzyć jej drzwiczki, a kiedy wysiadła, przyłożył palce do daszka czapki, po czym natychmiast dał znak bagażowemu, który nadbiegł kłusem i wyciągnął walizkę z auta. Najwyraźniej braki w wyglądzie zewnętrznym nadrabiano jakością obsługi. Część ze znajdujących się w kopercie pieniędzy poszła na zapłacenie za taksówkę.

– Bardzo dziękuję – powiedział kierowca z wdzięcznością. – Jeśli chcesz gdzieś pojechać, panienko, ja zawieźć. Ja Harris. Ludzie mnie znają.

Przytaknęła skinieniem głowy, w zamyśleniu obserwując odjeżdżającą toyotę. Czyżby przesadziła z napiwkami? I tak najprawdopodobniej padła ofiarą rozboju na prostej drodze. Postanowiła, że w pokoju natychmiast sprawdzi kurs wymiany miejscowej waluty.

Cortina podjechała wolniutko pod hotel. Massenga wymierzył z walthera...

– Padnij! – usłyszała Sabrina, lecz nim zdążyła zareagować, ktoś brutalnie zbił ją z nóg i dokładnie w tym momencie padł strzał.

Kula uderzyła w mur. Zamachowiec zaklął gniewnie. Nie mógł strzelić jeszcze raz – dziewczyna odtoczyła się w bezpieczne miejsce, za jedną z betonowych kolumn flankujących wejście do hotelu. Na jego sygnał Gubene natychmiast przyspieszył. Samochód znikł w perspektywie ulicy.

Portier, który z podziwu godną bystrością schował się za drugą kolumną, wyskoczył z kryjówki i podbiegł do leżącej Sabriny. Pomógł jej wstać i spytał z niepokojem:

– Czy wszystko dobrze?

Potarła stłuczony łokieć.

– Nic mi nie będzie – odparła. – Mam nadzieję, że nie jest to tradycyjne zimbalskie powitanie?

– Buntownicy – splunął z obrzydzeniem portier. – A teraz jeszcze strzelają do turystów!

Sabrinie aż zakręciło się w głowie od domysłów. Czyżby ktoś właśnie próbował ją zastrzelić? Kto – oprócz ludzi z UNACO – wiedział, że przyjeżdża do Zimbali? Nie potrafiła znaleźć żadnej rozsądnej odpowiedzi na te pytania, więc odłożyła je na później i odwróciła się ku mężczyźnie, który ostrzegł ją tak w porę, a później przewrócił. Był niewysoki, po czterdziestce, twarz miał szczupłą, na nosie zaś okulary w drucianej oprawie. Nim zdążyła mu podziękować, pojawił się szef recepcji. Gdy portier wyjaśnił mu w suahili, co się stało, rozpląnął się w przeprosinach. Sabrina przerwała je podnosząc rękę.

– To nie pana wina – powiedziała z uśmiechem.

– Czy jest pani ranna?

– Nie, wszystko w porządku.

Z wszelkimi honorami została poprowadzona do recepcji.

– Na pewno chciałaby pani udać się już do pokoju – oznajmił szef recepcji – ale najpierw musimy panią zameldować. To chyba zrozumiałe.

Zirykowało ją trochę, że jest traktowana jak dziecko, ale zachowała spokój i dopełniła koniecznych formalności. Wreszcie dostała klucz.

– Zawiadomimy panią, kiedy pojawi się policja – oznajmiono na odchodnym.

– Nie musi pan jej wzywać. Tłumaczyłam przecież, że czuję się świetnie.

– Tego wymaga prawo.

– Cóż, wiecie, gdzie mnie znaleźć. A teraz, jeśli to możliwe...

– Ależ oczywiście... – szef recepcji skłonił się jej i oddalił do swego gabinetu, by zawiadomić policję.

Mogła wreszcie zająć się mężczyzną w drucianych okularach. Wyciągnęła ku niemu dłoń.

– Jestem Sabrina Cassidy. Ocalił mi pan życie. Dziękuję.

– Joseph Moredi. – Uścisk jego ręki był krótki, mocny. Odciągnął ją od recepcji. – Czy możemy chwilę porozmawiać?

– O czym?

Spojrzał na stojącego tuż obok nich tragarza, a potem znów na nią.

– Nie tu. Mogłaby pani zaprosić mnie do swego pokoju?

– Doceniam to, co pan dla mnie zrobił, ale jestem trochę roztrzęsiona. Może gdybyśmy...

– Bardzo proszę, panno Cassidy – przerwał jej. – To ważne.

– Dobrze – zgodziła się, widząc napięcie w jego oczach. Windą dojechali na czwarte piętro, bagażowy zaprowadził ich do pokoju: obszernego, eleganckiego, z łazienką *en suite*. Okno wychodziło na główną ulicę. Bagażowy złożył walizkę na stojaku, dostał napiwek i wyszedł.

– Wiem, kto chciał panią zabić, panno Cassidy – oznajmił Moredi.

– Zdaje się, że rebelianci – odparła.

– Ten człowiek nazywa się Massenga, Thomas Massenga. Był zastępcą dowódcy Sił Bezpieczeństwa przez pięć lat, do chwili ich rozwiązania. – Mężczyzna podszedł do okna, po czym odwrócił się do Sabriny. – Ci „rebelianci”, według pani własnego określenia, nie mają zwyczaju jechać z lotniska za cudzoziemcami, by strzelać do nich przed hotelem. Massenga wiele ryzykował wychodząc z ukrycia. Nie wiem, dla kogo pani pracuje, ale najwyraźniej praca ta dotyczy braci Mobuto. Tylko z tego powodu on sam chciał panią zabić – by zapobiec odkryciu prawdy.

– To bardzo interesujące, panie Moredi...

– Panno Cassidy – przerwał jej gniewnie, a potem uniósł dłoń w przeproszającym geście – pani życie jest w niebezpieczeństwie. Nie zamierzałem na panią krzyknąć. Doceniam, że nie chce się pani przede mną zdemaskować. Wiem także, o czym pani teraz myśli: że mogę pracować dla Massengi, a strzelaninę zainscenizowano, bym łatwiej zdobył pani zaufanie. Proszę mnie wysłuchać – to nie tak. Nie spodziewam się, że uwierzy mi pani na słowo, jednak poręczyć za mnie może sam prezydent. Razem studiowaliśmy w Oksfordzie. Jestem pewien, że pani organizacja może skontaktować się z nim w Nowym Jorku. Niech przekaże pytanie, na które zdołałby odpowiedzieć tylko prawdziwy Joseph Moredi. – Mężczyzna wyjął z kieszeni wizytówkę i położył ją na toalecie. – Możemy pomóc sobie nawzajem, panno Cassidy – dodał jeszcze. – Proszę, niech pani do mnie zadzwoni.

Zaczekała, póki nie wyjdzie z pokoju, a następnie obejrzała wizytówkę. Joseph Moredi, zastępca redaktora naczelnego „La Voix”. Gazeta Remy’ego Mobuto. Jeśli rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje, może być cennym kontaktem tu, w Zimbali. Cóż, istniał tylko jeden sposób, by się dowiedzieć. Usiadła na brzegu łóżka i wykręciła numer Kwatery Głównej UNACO.

Massenga wysiadł z samochodu, zaparkowanego w garażu bezpiecznego domu, wściekle trzaskając drzwiczkami. Gubene czekał za kierownicą, dopóki jego szef nie odejdzie, dopiero potem zamknął wóz. W chwilę później usłyszał trzask otwieranych drzwi, skrzywił się, gdy z hukiem walnęły w ścianę. Zapadła cisza. Westchnął, zamknął garaż i sam ruszył do domu wąską ścieżką. Massengę zastał w pokoju, siedzącego na kanapie, z dłonią spoczywającą na telefonie.

– Napijesz się? – Ruchem głowy Gubene wskazał stojący w rogu barek.

Thomas Massenga przecząco potrząsnął głową.

– I co mam mu powiedzieć? – spytał.

– Prawdę. – Kierowca nalał sobie solidną porcję szkockiej whisky.

– Że zawiedliśmy. – Morderca jakby zapadł się w sofę. – Ukrzyżuje nas, wiesz?

– Nie mogłeś przewidzieć tego, co się zdarzyło. Już byłaby martwa, gdyby nie wtrącił się ten facet. To nie twoja wina.

– Chcesz poinformować o tym Ngune?

– Tylko ty masz jego numer telefonu. – Gubene wzruszył ramionami i wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Massenga nakręcił zapamiętany numer. Ngune podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale. Zamachowiec dokładnie opowiedział mu, co zaszło.

– A więc ona żyje?

– Tak jest, panie pułkowniku.

– A kim był ten rycerz w lśniącej zbroi? – spytał kpiąco szef Sił Bezpieczeństwa, próbując opanować ogarniający go wściekły gniew.

– Nie przyjrzałem mu się, panie pułkowniku. Wszystko zdarzyło się tak szybko...

– Zawiodłeś mnie, Thomas. Sądziłem, że na tobie jednym mogę polegać bezwarunkowo. Wydałem rozkaz!

– Nie mogłem przewidzieć jego interwencji – bronił się Massenga, pamiętając słowa Gubene.

– Chcę rezultatów, nie wymówek! – warknął Ngune. – Jeśli ty tego nie zrobisz, znajdę kogoś, kto cię zastąpi. Czy mnie rozumiesz?

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Znajdź tego mężczyznę. Potem mnie zawiadom.

– Mam go zabić?

– Jeśli nie będzie to dla ciebie zbyt trudne – prychnął Ngune.

– Załatwię to, panie pułkowniku.

– Mam szczerą nadzieję, Thomas. Gdybym musiał wysłać do miasta kogoś innego, z pewnością straciłbyś szansę na zostanie dowódcą Sił Bezpieczeństwa, gdy dojdę do władzy. Nie zapomnij o tym.

– Oczywiście, panie pułkowniku, nie... – Massenga umilkł. W słuchawce usłyszał sygnał – połączenie zostało przerwane. Wstał, podszedł do barku i nalał sobie whisky. Miał wrażenie, że będzie to długa noc.

Sabrina studiowała plan miasta, gdy ktoś zapukał do jej pokoju. Nim podeszła do drzwi i przez judasza wyjrzała na korytarz, ze stojącego przy łóżku stolika wzięła berettę. Za drzwiami stał jednak samotnie znajomy mężczyzna w okularach. Wpuściła go do środka. Uśmiech, z którym wszedł, natychmiast znikł z jego twarzy, kiedy dostrzegł pistolet.

– Nie będzie pani tego potrzebować, obiecuję! – powiedział.

– Jeśli jest pan prawdziwym Josephem Moredi, to nie. Ale na razie nie mam pewności, prawda?

Mężczyzna tylko skinął głową i nerwowo przełknął.

– Rozmawiała pani z Jamelem Mobuto? – spytał.

– Nie osobiście. Zrobił to za mnie jeden z kolegów.

– Zadał pytanie?

Skinęła głową.

– Moglibyśmy mieć to już za sobą? – Moredi zerknął na broń wymierzoną wprost w jego żołądek.

– Podczas pobytu w Oksfordzie poszliście raz na mecz rugby. Kto grał?

– Nigdy w życiu nie byłem na meczu rugby. Poszliśmy raz na mecz piłki nożnej. Na stadion Arsenalu. Z kim grali? – Zamyślił się. – Drużyna spoza Londynu. Koszulki w czarno-białe pasy. – Nagle pstryknął, po czym wymierzył palec w Sabrinę. – Newcastle!

Opuściła broń.

– Cieszę się, że odpowiedział pan na to pytanie prawidłowo.

– Ja cieszę się jeszcze bardziej. – Moredi spojrzał znacząco na berettę w jej dłoni. – Czemu spytała pani akurat o rugby? – Nagle uśmiechnął się. – Oczywiście. Chciała pani wytrącić przeciwnika z równowagi!

– Taki dodatkowy środek ostrożności – przytaknęła i wskazała stojący w kącie pokoju fotel. – Niech pan się rozgości.

– Dziękuję. – Dziennikarz z ulgą zajął miejsce.

Odłożyła berettę na stolik, po czym przysiadła na łóżku.

– Jedno mnie dziwi – stwierdziła. – Skąd Massenga wiedział, że przylecę tym samolotem?

– Najwyraźniej ma świetnego informatora, lecz kim on jest, nie będę nawet próbował się domyślać. – Moredi wzruszył ramionami. – Czy dobrze odgadłem, że pani śledztwo jest związane z braćmi Mobuto?

– Tak, ale nie wolno mi zdradzić żadnych szczegółów,

– Oczywiście. – Jej rozmówca nagle wyprostował się w fotelu,

Ręce trzymał na kolanach. – Jamel i Remy są moimi przyjaciółmi od ponad dwudziestu lat. Obaj znaleźli się w niebezpieczeństwie. Zrobię wszystko, żeby im pomóc. Wszystko,

– Powiedział pan, że Massenga próbował mnie zabić, bym nie znalazła tu jakichś kompromitujących dowodów. Co dokładnie miał pan na myśli mówiąc o dowodach?

– Nie wiem wszystkiego. Tylko Remy to wie. A jego dziś porwano.

– Massenga?

– On sam albo ktoś wykonujący jego rozkazy. Od pięciu lat ten człowiek jest prawą ręką Ngune. Odebrałem anonimowy telefon z informacją, że rebelianci mają Remy'ego.

– Nie wie pan, gdzie go przetrzymują?

– Z jednego z moich najlepszych źródeł dowiedziałem się, że jest w więzieniu Branco w Kondese, na południu kraju, kilka godzin jazdy samochodem stąd.

– Co zdążył powiedzieć panu Remy, nim go porwano?

– Tylko tyle, że zbiera materiały o planowanym zamachu na swego brata. Że ma coś naprawdę dużego. Tak właśnie mi powiedział. Dotyczyło to trzech ludzi: Ngune, Massengi i trzeciego, który miał pociągnąć za spust.

– Wymienił nazwisko tego trzeciego?

Moredi tylko potrząsnął głową.

– Znał je, ale nie chciał mi nic powiedzieć. Przynajmniej dopóty, dopóki nie zdobędzie dowodów umożliwiających mu publikację zebranych materiałów. To całkiem do niego podobne. Zawsze trzymał karty przy orderach. Pojechał na spotkanie z informatorem, by zdobyć dowody. Właśnie wtedy go porwano.

– A informator?

– W samochodzie znaleziono ślady krwi. To wszystko.

– Czyli kluczem do całej tej sprawy jest Remy?

Moredi przytaknął skinieniem głowy.

– Nie tylko wie, kto pociągnie za cyngiel, lecz także kiedy i gdzie.

– Czy nazwisko Bernard coś panu mówi?

Dziennikarz milczał chwilę, przygryzając wargi.

– Nie, nigdy go nie słyszałem. A kto to?

– Tego akurat nie mogę panu powiedzieć. Przynajmniej nie w tej chwili.

– Rozumiem.

Teraz z kolei zamyśliła się Sabrina.

– Dlaczego wojsko nie zaatakuje tego więzienia, by sprawdzić, czy rzeczywiście Remy jest w nim przetrzymywany?

– Kondese jest w rękach buntowników. Armia na nic się tam nie przyda. Czekają tu, na północy, aż Ngune zrobi pierwszy krok.

– W takim razie mamy pata.

– W tej chwili tak. Natychmiast po powrocie z Ameryki Jamel chce wezwać swych generałów na naradę. Pragnie złamać rebeliantów, nim ruszą na Habane. Być może z tego właśnie powodu Ngune zdecydował się na zamach właśnie teraz. Sądzi, że to załamanie wojsko.

– A załamanie?

– Tak – odparł po prostu dziennikarz. – Armia właściwie już jest załamana. Wielu żołnierzy miało w Siłach Bezpieczeństwa przyjaciół i krewnych. Teraz stoją po przeciwnych stronach

barykady. Pozostaje pytanie, czy armia zdecyduje się walczyć, kiedy Ngune ruszy na stolicę, czy raczej przyłączy się do niego? Tak naprawdę nikt nie zna odpowiedzi. Z tego właśnie powodu sytuacja jest tak niepewna. Zimbala jest jak beczka prochu, pod którą podłożono ogień – może wybuchnąć lada chwila. Dlatego Jamel chce powstrzymać buntowników jak najszybciej. Jeśli ruszą na Habane, iskry sięgną prochu. Ktokolwiek zwycięży, będzie rządził krajem skąpanym we krwi niewinnych ludzi. Jamel tego nie chce. Podczas rządów jego ojca popłynęło jej zbyt wiele.

– Nadal jednak nie wiem, czemu Massenga próbował mnie zabić. Jeśli tylko Remy Mobuto wie, co tu się właściwie dzieje, nie jestem żadnym zagrożeniem. Mają go. To oni dostali wszystkie asy, nie ja.

– Najwyraźniej sądzą, że ma pani go znaleźć. Gdyby się to udało, ponieśliby druzgocącą klęskę.

Sabrina podsunęła sobie poduszkę pod plecy i usiadła wygodniej.

– Od jak dawna śledzi pan Massengę? – spytała.

– Skąd pani o tym wie?

– Przecież dlatego właśnie znalazł się pan przed hotelem, kiedy ten człowiek chciał mnie zabić.

Dziennikarz uśmiechnął się.

– Oto przykład wyjątkowo logicznego rozumowania. Nie wiem, kiedy przyjechał do Habane. Dwa dni temu skontaktował się z nami jeden z naszych informatorów. Twierdził, że widział Massengę. Sprawdziliśmy jego historię i teraz obserwuje go zespół naszych reporterów. Nie wie, że jest śledzony.

– A czemu nie poinformuje pan o wszystkim policji?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, aresztowanie Massengi mogłoby zagrozić życiu Remy'ego. Po drugie – wśród policjantów są zwolennicy Ngune. Poinformowaliby go o wszystkim i wydostali Massengę. Na razie ciągle może nas on doprowadzić do Remy'ego. Wiem, że to niezbyt prawdopodobne, ale musimy zaryzykować. – Moredi przerwał. Obliznął wargi. – Obserwowałem go od chwili, kiedy dziś po południu pojechał na lotnisko. W ciągu dwóch dni był tam dwukrotnie. Wczoraj spotkał się z kimś, kto przyleciał z Bejrutu. Tak gdzieś około dwunastej. Rozmawiali mniej więcej przez godzinę, potem ten mężczyzna odleciał liniami PanAm do Nowego Jorku przez Maroko i Bermudy. Nie udało mi się ustalić jego nazwiska.

– Proszę mi go opisać!

– Wyróżniał się z tłumu: wysoki, przystojny, czarne włosy, czarne wąsy.

– I blizna? – Sabrina przeciągnęła palcem po lewym policzku.

– Tak. – Moredi sprawiał wrażenie zaskoczonego. – Skąd pani wie?

Dziewczyna zerwała się z łóżka.

– Muszę natychmiast zadzwonić – oznajmiła. – To sprawa prywatna.

– Ależ oczywiście. – Dziennikarz również wstał. – Zejdę do baru. Mam zamiar kupić sobie piwo. Przynieść coś pani?

– Dietetyczną colę.

Moredi wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Sabrina zadzwoniła do Kolczyńskiego i przekazała mu wszystko, czego dowiedziała się z rozmowy.

– A więc Bernard spotkał się z Massenga w Habane – podsumował Rosjanin, kiedy skończyła swą relację. – Cóż, nie widzę w tym niczego podejrzanego, pamiętaj, że z nimi pracuje. To część jego zadania.

– Być może, Siergiej, ale wydaje mi się nieco podejrzanym, że rebelianci próbują mnie zabić w dzień po spotkaniu ich przedstawiciela z Beranardem.

– Przywiązujesz do tego zbyt wielką wagę, Sabrino.

– Ale przynajmniej rozumiem, dlaczego próbowano mnie zastrzelić. Massenga nie mógł inaczej dowiedzieć się, kiedy przylatuję do Zambali.

– To możliwe – zgodził się Kolczyński.

– A trzeci mężczyzna, o którym wspomniał Remy? To musi być właśnie Bernard!

– A dlaczego akurat musi? – parsknął Rosjanin. – Co zyskaliby CIA na śmierci Mobuto?

– Kto tu mówi, że CIA wydała ten rozkaz? Mógł zawrzeć prywatną umowę z Ngune.

– Wystawiając do wiatru Baileya? Nie pożyłby wystarczająco długo, by wydać zarobione na tym zadaniu pieniądze.

– Postaw się na jego miejscu, Siergiej. Bailey z pewnością obiecał mu nową tożsamość, ale Bernard nie jest przecież głupcem. Wie, że CIA nie użyje go już nigdy. Więc co ma do stracenia przyjmując to zlecenie?

Zapadła cisza. Najwyraźniej jej słowa trafiły szefowi do prze konania.

– A więc sugerujesz – powiedział po chwili – że Bailey każe go raczej zabić, niż mu pomoże?

– Tak. Ten facet za wiele wie.

– Nie masz jednak cienia dowodu na poparcie tej twojej szalenie skomplikowanej teorii?

– Remy Mobuto ma dowody. Jestem o tym najzupełniej przekonana.

– Remy Mobuto został porwany.

– I trzymają go w Kondese.

– Nie waż się nawet o tym myśleć, Sabrino! Masz znaleźć Michaela, a nie włączyć się po zbuntowanej prowincji Zimbali w poszukiwaniu Remy’ego Mobuto. Trzymaj się z dala od Kondese. To rozkaz!

– Rozumiem – powiedziała przez zaciśnięte zęby.

– Sądzę, że byłoby lepiej, gdybyś jak najszybciej wróciła do Stanów. W końcu, jeśli Moredi się nie myli, Bernard jest teraz właśnie tu. A Michael pewnie depta mu po piętach.

– Wrócę tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Ktoś zapukał do drzwi.

– Muszę kończyć, Siergiej. Wrócił. Zadzwoń, jeśli przed moim wyjazdem coś tu się jeszcze zdarzy. A jeśli nie – do zobaczenia w Nowym Jorku.

– Oczywiście. Do widzenia, Sabrino.

Odłożyła słuchawkę, podeszła do drzwi i wyjrzała. Kiedy zobaczyła Morediego, otworzyła.

– Skończyła pani? – spytał.

– Jasne. – Odsunęła się, by mógł wejść. Wręczył jej dietetyczną colę.

– I co teraz robimy? – spytał.

– Nic – odparła, otwierając puszkę. – Nie możemy zrobić nic, póki nie skontaktuje się ze mną mój partner.

– A gdzie on jest?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. – Ale lepiej byłoby dla wszystkich, gdyby odezwał się jak najszybciej. Zaczyna nam brakować czasu.

– Tylko nie kolejna blokada! – jęknął Michael, kiedy dostrzegli stojących na drodze żołnierzy. – To już trzecia. Wypada jedna na kilometr.

– Ta droga prowadzi na lotnisko. Najwyraźniej nie zamierzają ryzykować – odparł Laidlaw, zatrzymując białą toyotę za porzewiałym niebieskim fiatem.

Michael wyjrzał przez okno od strony pasażera. Przed nimi stało w kolejce osiem

samochodów. Z rezygnacją machnął ręką. Nie mieli wyjścia – musieli czekać.

To Laidlaw wymyślił, żeby obaj przebrali się za księży. Sutanny i koloratki pożyczyci od jego przyjaciela – właściciela teatrzyku w zachodnim Bejrucie, któremu powiedzieli, że potrzebują ich na bal kostiumowy. Przebrali się rano na lotnisku, tuż przed bezpośrednim lotem do Ndjameny, stolicy Czadu. Po przylocie Laidlaw wynajął samochód, którym przejechali sto kilkanaście kilometrów dzielących miasto od granicy z Zimbabą. Przekraczając ją dostali dziesięciodniowe wizy, podobnie jak Sabrina. Na głównej drodze, prowadzącej do Habane regularnie zatrzymywały ich wojskowe patrole, żołnierze jednak przepuszczali księży bez kontroli. Sądząc z liczebności tego patrolu, był on ostatni przed lotniskiem.

Przepuszczono fiata, mogli więc podjechać do bramki i wyłączyć silnik. Żołnierz podszedł do toyoty od strony kierowcy.

– Paszport – powiedział silnie akcentowaną angielszczyzną.

– Mówię waszym językiem – odparł w suahili Laidlaw, wręczając mu paszporty.

Zaskoczony chłopak szeroko się do niego uśmiechnął, nim otworzył paszporty, by porównać zdjęcia z ich twarzami.

– Dlaczego jedziesz na lotnisko, ojciec? – spytał.

– Po przyjaciela, którego samolot ląduje za dwadzieścia pięć minut.

Zwrócono im paszporty.

– Dziękuję, ojciec – powiedział uprzejmie żołnierz.

– Bóg z tobą, synu – odparł Laidlaw.

Już mieli odjeżdżać, kiedy w drzwiach budki strażniczej pojawił się dowódca patrolu. Żołnierz natychmiast przyjął postawę zasadniczą.

Pułkownik, bardzo ciemny Afrykanin niewiele po czterdziestce, rzucił: „spocznij”, podszedł do toyoty i uważnie przyjrzał się jej pasażerom.

– Pański paszport? – zwrócił się do Grahama.

– Ojciec Grant nie zna suahili. – Laidlaw uśmiechnął się przeproszająco. – Jest tu zaledwie od paru dni.

Pułkownik wziął do ręki dokumenty i przejrzał je uważnie.

– Macie wysiąść z samochodu. Obaj – rozkazał, przechodząc nagle na angielski.

– O co chodzi? – spytał ostrożnie były komandos.

– Macie wysiąść z samochodu – powtórzył oficer. Zrobili, co im kazano. Pułkownik wyjął kluczyki ze stacyjki, wezwał dwóch żołnierzy, oddał kluczyki jednemu z nich i szybko powiedział coś w suahili. Obaj natychmiast obeszlili samochód.

– A co niby chcecie znaleźć w bagażniku? – Laidlaw nadal mówił po angielsku.

Oficer nie zaszczycił ich odpowiedzią. Jeden z żołnierzy wezwał go do otwartego bagażnika. Wystarczyło tylko spojrzenie – wyprostował się i gestem przywołał kierowcę. Laidlaw oniemiał z przerażenia – w bagażniku leżały dwa karabiny szturmowe AK-47 i ręczny granat.

– Nic o tym nie wiemy – stwierdził po chwili, wzrokiem błagając przyjaciela o wsparcie.

– Nie było ich tu, kiedy wynajmowaliśmy samochód – warknął Graham.

– Jesteście aresztowani – oznajmił pułkownik i gestem wskazał im zaparkowanego na poboczu jeepa. – Wsiadać!

– To oburzające! – krzyknął Mike. – Chcemy rozmawiać z pana przełożonym.

– Ja dowodzę tym posterunkiem. – Wystarczył krótki rozkaz, by kilku żołnierzy wycelowało w nich swe M16. – Możecie wybierać: albo wsiądziecie spokojnie, albo zostanieie skuci i wrzuceni do środka. No?

Spojrzeli na siebie bezradnie. Graham przygryzł wargi i spełnił żądanie. Laidlaw spojrzał na żołnierzy, po czym niechętnie poszedł w jego ślady. Torby także wrzucono do samochodu. Pojechali z nimi dwaj żołnierze, którzy odkryli broń w bagażniku, obaj cały czas trzymali ich na muszce. Pułkownik, nim wsiadł do jeepa, rozkazał usunąć toyotę z drogi. Ruszyli wreszcie – początkowo w stronę lotniska, później jednak oficer rozkazał kierowcy zjechać w boczną drogę.

– Nie jedziemy na lotnisko? – krzyknął Laidlaw, przekrzykując warkot silnika.

Pułkownik spojrzał na niego w milczeniu.

– A właściwie to dokąd jedziemy? – zainteresował się Graham. Pytał najbliższego z żołnierzy, lecz ten – zamiast odpowiedzieć – wepchnął mu tylko lufę w żołądek.

Podjechali do białej półciężarówka Isuzu i zatrzymali się obok. Mike nie miał pojęcia, co się z nimi stanie za chwilę. Czy zostaną rozstrzelani na miejscu, a ich ciała zabierze półciężarówka? Tylko czemu? I skąd się wzięła broń w bagażniku? Czyżby podłożyli ją sami żołnierze? Nic tu nie miało najmniejszego sensu. Już miał zaryzykować i dać przyjacielowi znak, by zaatakował strażników, kiedy otworzyły się drzwi isuzu i pojawiła się w nich Sabrina. Zza kierownicy wysiadł Moredi. Oboje podeszli do jeepa.

– Czy nie ma dla ciebie nic świętego? – Powiedziała dziewczyna na widok ich przebrania.

Mike zręcznie zeskoczył na ziemię.

– Co tu się do diabła dzieje? – spytał.

– Wyjaśnię ci wszystko później. – Przywołała dziennikarza i przedstawiła go. Moredi wymienił kilka zdań z pułkownikiem, po czym jeep zawrócił i pojechał w stronę drogi.

– A to pułkownik David Tambese – przedstawił oficera dziennikarz. – Jeden z nielicznych żołnierzy, któremu zawierzyłbym życie. Studiował w Sandhurst, kiedy ja i Jamel byliśmy w Oksfordzie.

– Mam nadzieję, że nie żywicie panowie urazy? – Oficer potrząsnął ich dłońmi.

– Nie, jeśli tylko wytłumaczy nam pan, o co tu właściwie chodzi.

Tambese zerknął na Sabrinę. Skinęła głową.

– Joseph powiedział mi, że macie panowie zgłosić się w informacji lotniska i poprosić o sprawdzenie, czy nie kręcą się tam ludzie Ngune. W samym terminalu było ich przynajmniej czterech. Musieliśmy was jakoś zatrzymać.

– Dlaczego ich po prostu nie aresztowaliście? – spytał Laidlaw.

Tambese obrzucił go zdziwionym spojrzeniem.

– Niemal na pewno był to oddział samobójczy. Próba zgarnięcia ich mogła zakończyć się krwawą łaźnią. Otworzyliby ogień do wszystkiego, co się rusza. Kto wie, ilu niewinnych ludzi by zabili? To nowa forma walki, którą Ngune wprowadził przed kilkoma dniami. Mieliśmy już do czynienia z dwoma takimi oddziałami w centrum miasta. Łącznie zginęło czternastu niewinnych obywateli. Zaczekamy, aż opuszczą lotnisko i zaatakujemy samochód. Tylko w ten sposób można sobie z nimi poradzić.

– Skąd wiecie, że czekają na mnie?

– Nie mamy pewności, ale po zamachu na życie panny Cassidy nie możemy ryzykować...

– Co się stało? – przerwał mu natychmiast Graham.

– Wyjaśnię ci później – odparła dziewczyna.

– A skąd wiedziałaś, że nas tu znajdziesz? – spytał ją.

– Nie wiedziałam, że spotkamy się właśnie dzisiaj. Jedyne, czego byłam pewna, to że prędzej czy później będziesz musiał pojawić się na lotnisku. Dałam pułkownikowi Tambese twoje zdjęcie, miał cię zatrzymać, nim dotrzesz do terminalu. Zabrałam je ze sobą do Bejrutu na wszelki wypadek – mogło mi się przydać przy kontaktach z tamtejszą policją.

– Ci trzej żołnierze z jeepa to moi zaufani ludzie – powiedział pułkownik. – Większość patrolu stanowią rekruci. Nie znamy jeszcze ich sympatii politycznych. Musiałem zaaresztować was

w sposób jak najbardziej realistyczny, a aresztowanie cudzoziemców bez żadnego szczególnego powodu niezbyt pasuje do wizerunku nowej Zimbali. Dlatego podrzuciliśmy wam do samochodu broń. Ngune z pewnością dowie się, że zostaliście zatrzymani.

– I będzie sądził, że przesiedzi pan w areszcie przynajmniej kilka dni – dodał Moredi.

– Dlaczego mam uczucie, że musi to do czegoś prowadzić? – Mike patrzył to na dziewczynę, to na dziennikarza.

– Bo prowadzi – powiedziała w końcu Sabrina. – Jedziemy do Kondese, znaleźć Remy’ego Mobuto.

Graham odciągnął ją na bok.

– A co z Bernardem? – spytał. – Nasza umowa... pamiętasz? – Nie musisz szeptać. Wszystko im wyjaśniłam.

.– No, to powiedz, dlaczego Remy Mobuto jest taki ważny?

– Wie, kiedy i gdzie zostanie dokonany zamach na jego brata. Dlatego go porwano.

– A Bernard? Coś tu nie pasuje.

– Najprawdopodobniej to Ngune i jego zastępca, Massenga, opracowali plan tej całej operacji. Ale według Remy’ego Mobuto jest też trzeci mężczyzna, który pociągnie za spust. Sądząc z tego, co mi wyjaśnił Joseph, musi nim być Bernard. Moim zdaniem wszystkie te gadki o zespole zamachowców to fałszywy trop, po którym pójść miały władze.

– Ale nie masz żadnego dowodu, że tym trzecim jest właśnie on?

– Nie. Wyłącznie przeczucie. Tylko jeden człowiek zna całą prawdę.

– Remy Mobuto – dokończył Graham.

– Musimy go odnaleźć, Mike. I to szybko.

– Jak daleko stąd do Kondese?

– Dobre dwie godziny jazdy – odparł dziennikarz.

Mike wrzucił torbę do półciężarówki.

– To na co jeszcze czekamy? – zapytał.

- Dzień dobry.
- Dzień dobry – odparła Rosie, wychodząc z łazienki i trąc zaspane oczy.
- Dobrze spałaś?
- Wspaniale. Od wieków się tak nie wyspałam.
- Świetnie. – Bernard wkładał właśnie skórzaną kurtkę. – Spieszę się. W lodówce znajdziesz coś do zjedzenia. Nie krępuj się. W kuchni na stole zostawiłem dwadzieścia dolarów. Kup coś na obiad.
- Dla ciebie... coś specjalnego? – spytała z wahaniem.
- Masz na myśli halal? Nie, nie jestem muzułmaninem. Urodziłem się w rodzinie katolickiej, ale straciłem wiarę po śmierci ojca. Kup cokolwiek, pizzę, hamburgery. Na co masz ochotę.
- O której wrócisz?
- Wiesz, jak wyglądają te spotkania w interesach. Czasami ciągną się bez końca. Mam nadzieję, że zdążę na szóstą. – W drzwiach odwrócił się jeszcze. – Nie próbuj kupować narkotyków – ostrzegł dziewczynę. – Jeśli policja cię złapie, nie będzie już zwolnienia za kaucją.
- Wiem.
- Ja to załatwię.
- Świetnie. – Uśmiechnęła się szeroko. – I, Marc...
- Tak?
- Dzięki za wszystko.

Bernard puścił do niej oczko, po czym wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Rosie zjadła śniadanie. Workowaty podkoszulek, który wypożyczył jej Bernard, zmieniła następnie na dżinsy i jasnoniebieską bluzkę, również pochodzące z jego garderoby. Podwinęła rękawy, wróciła do kuchni i zrobiła sobie jeszcze jedną filiżankę kawy. Usiadła przy stole. Pijąc kawę wspominała to, co zdarzyło się poprzedniego wieczora.

Po wyjściu z Rollercoastera Bernard zabrał ją do restauracji na największy stek, jaki widziała w życiu. Była tak głodna – nie jadła niemal nic od trzydziestu sześciu godzin – że pochłonęła go bez

kłopotu i zostało jej jeszcze miejsce na wielką porcję lodów. Potem kupił trochę marihuany od handlarza przy Bryant Park, a kiedy znaleźli się w jego domu, zaczęli rozmawiać. Rozmawiali i rozmawiali – no, w każdym razie ona mówiła, a on słuchał cierpliwie, kiedy obnażała przed nim duszę. Miała wrażenie, że zrzuca z barków wielki ciężar. W jego towarzystwie czuła się całkowicie swobodnie, pod tym względem Bernard przypominał jej wujka. Dwaj dżentelmeni. Tylko z wujem potrafiła rozmawiać o swych kłopotach. Zdawała sobie sprawę, że strasznie by się zezłościł, gdyby wiedział, że poszła z obcym mężczyzną, ale przecież w innych okolicznościach nigdy by tego nie zrobiła. Tak naprawdę zdarzyło się to po raz pierwszy. Nie zachowałyby się tak, gdyby miała najmniejsze wątpliwości. Zaufała i okazało się, że instynkt jej nie mylił. Ciekawe, czy C.W. by to zrozumiał. Zadzwoń do niego, a on przekaże wiadomość jej rodzicom..

Dzwonek do drzwi przerwał tok jej myśli. Najpierw pomyślała, że to Marc czegoś zapomniał, pewnie kluczy. Zupełnie jak matka. Odstawiła kawę i właśnie wstawała, gdy nagle w głowie zaświtała jej inna myśl. Przecież może to być także policja. Co będzie, jeśli ją wysledzili? Tylko jak? To mieszkanie znajduje się na Murray Hills, bardzo daleko od Times Square. Nie naruszała warunków zwolnienia. Tylko że wieczorem.. wieczorem była przecież na Times Square. Ktoś ich o tym poinformował? Kto? Kenny? Przecież Kenny nie wie, gdzie ona jest!

Dzwonek zadzwonił znowu. Wstała, podeszła do drzwi i otworzyła je, nie zdejmując łańcucha.

– Rosie? – zawołał jakiś głos.

– Kenny? – Przez wąską szczelinę dostrzegła znajomą postać.

– Mogę wejść, czy będziemy rozmawiać przez szparę? Postanowiła mu otworzyć.

– Skąd wiedziałeś, gdzie jestem? – zainteresowała się.

– Kazałem cię śledzić. – Oparł się o drzwi, które natychmiast spróbowała przed nim zatrzasnąć. – Zrobiłem to, bo się o ciebie martwiłem!

– Więc postanowiłeś mnie szpiegować! – krzyknęła, pchając drzwi z całej siły. – Wynoś się, Kenny! Wynoś się! Zostaw mnie!

– Rosie? Chcę tylko z tobą porozmawiać. Rosie!

– Nie – wrzasnęła. – Wynoś się!

– Narobisz krzyku, to w końcu któryś z sąsiadów wezwie policję. Tego chcesz?

To ją otrzeźwiło. Przestała z nim walczyć.

– No dobrze, wejdź, powiedz, co masz do powiedzenia, i wynocha. Naprawdę nie sądziłam, że potrafisz się tak zachować. Przecież byliśmy przyjaciółmi.

– I nadal jesteśmy.

– Żartujesz! – syknęła gniewnie.

– Rosie, w tym facecie jest coś, co mi się nie podoba.

– Znowu zaczynasz?

– Na litość boską, martwię się o ciebie! Zeszłego wieczora uratował cię, zgoda. Ale z tego powodu nie musiałaś tak od razu rzucić mu się w ramiona.

– Rzucić mu się w ramiona? – powtórzyła zdumiona.

– Dokładnie tak postąpiłaś i doskonale o tym wiesz. Nie spuszczałaś z niego oczu. Żyjesz w świecie wyobraźni, wiesz? – Doyle powoli potrząsnął głową. – Oprzytomniej, Rosie. Ten świat jest rzeczywisty. Pieprzysz się z...

Dziewczyna z całej siły uderzyła go w twarz.

– Z nikim się nie pieprzę! Nie dotknął mnie nawet od chwili, kiedy się spotkaliśmy!

Kenny wytarł usta grzbietem dłoni. Krew ciekła mu z rozciętej wargi.

– Próbowałem – powiedział. – Po prostu nie chcesz otworzyć oczu. Ale w końcu będziesz musiała. Obyś przy tym nie cierpiała. Do zobaczenia, Rosie. Trzymaj się.

Patrzyła, jak zamykają się za nim drzwi windy. Zorientowała się, że płacze, wytarła policzek dłonią. Dlaczego właściwie go uderzyła? Nigdy przedtem nie podniosła ręki na nikogo, a on był przecież jej najlepszym przyjacielem. Wiedziała, że próbuje ją tylko chronić. Uważała go za starszego brata, którego nigdy nie miała. Tylko dlaczego nie rozumiał, jak bardzo jest jej potrzebna wolność, wolność wyboru przyjaciół? Tak bardzo pragnęła, żeby polubił Marca, a teraz już się to nie zdarzy. Lecz on zostanie, kiedy Marc wyjedzie. Kenny zawsze był na miejscu, właśnie dlatego tak bardzo go ceniła. Kiedy Marc zniknie, znów zaczną ze sobą rozmawiać. Ale na razie będzie trzymała się daleko, bardzo daleko od Rollercoastera.

Zamknęła drzwi, wróciła do kuchni, dopiła kawę, pozmywała i poszła do dużego pokoju. Znalazła gazetę, którą czytał Bernard. Artykuł z pierwszej strony informował o próbie zamachu na życie Jamela Mobuto, która miała miejsce przed United Nations Plaza. Nawet nie przyszło jej do głowy, by go przeczytać. Nie interesowała się polityką. Przerzuciła strony nie znajdując nic ciekawego, więc odłożyła gazetę na stojący pośrodku pokoju niski stolik. Spojrzała na zegarek. Za pięć dziesiąta. Nie będzie przecież siedziała tu cały dzień. Do diabła, Marc nie miał nawet telewizora. Wróciła do kuchni, już miała schować do kieszeni leżące na stole dwadzieścia dolarów, ale w końcu rozmyśliła się. Są na jedzenie. Sprawdziła w kieszeniach. Miała przy sobie sześć dolarów i trochę drobnych. Wystarczy na drugie śniadanie. Schowała pieniądze, zabrała zapasowy klucz, wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Doyle obserwował wychodzącą Rosie ukryty w bramie po przeciwnej stronie ulicy. Kiedy

znikła mu z oczu, wrócił do domu, w którym zamieszkała. Hol był pusty, bez przeszkód więc wjechał windą na trzecie piętro. Między zamek i framugę wcisnął kartę kredytową – otwarcie drzwi zajęło mu tylko chwilkę. Zerknął do środka, po czym uspokojony wszedł.

Najbliższe drzwi prowadziły do dużego pokoju, a drugie po lewej do sypialni. Na nie posłanym łóżku leżał ciśnięty niedbale podkoszulek, w którym spała dziewczyna.

Trzecie drzwi także prowadziły do sypialni. Tu łóżko było zasłane niczym w koszarach. Podeszedł do szafy i otworzył ją bez najmniejszych kłopotów. Na półkach leżały wyprasowane, starannie poskładane ubrania. Pod drugiej stronie, na wieszakach, wisiały dwie pary dzinsów, flanelowe spodnie oraz sportowa marynarka. Na samym dole leżała torba – pochylił się i otworzył ją. Pusta. Już miał zrezygnować, kiedy dostrzegł stojącą pod ścianą teczkę dyplomatkę. Odsunawszy torbę wyjął ją i ostrożnie położył na podłodze. Wycierając spocone czoło obejrzał się przez ramię niczym niegrzeczny chłopczyk, mający zamiar zapalić papierosa w szkolnej toalecie. Osuszył wilgotne dłonie o spodnie, po czym spróbował otworzyć teczkę. Nie udało mu się – była zamknięta na zamki cyfrowe. Uniósł ją nieco, chcąc bliżej się im przyjrzeć. Były ustawione na zero.

– Jeden-dziewięć-sześć-siedem.

Kenny obejrzał się słysząc dobiegający z tyłu głos. W drzwiach stał Bernard, trzymając w dłoni automatyczny pistolet Desert Eagle.

– Proszę sobie nie przeszkadzać – powiedział uprzejmie, wskazując teczkę lufą pistoletu. – Zamki otwierają cyfry jeden, dziewięć, sześć, siedem. Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt siedem – rok, w którym powstał LFWP.

– Co? – Doyle nie potrafił oderwać wzroku od lufy pistoletu.

– Czyżby nigdy nie słyszał pan o LFWP?

Kenny tylko potrząsnął głową, przetykając nerwowo.

– Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny.

– Pan jest terrorystą! – chłopak niemal wypluł te słowa.

– Wolę określenie „rewolucjonista”... ale nie, już nim nie jestem. Zostałem wolnym strzelcem.

– Ssskąd ppan wiedział, że tu jestem?

Bernard wskazał wiszący mu u pasa nadajnik.

– Odezwał się, gdy tylko otworzyłeś szafę. – Dostrzegł niepewność w oczach ofiary. – Pracowałem w sąsiednim mieszkaniu. Są połączone – drzwi znajdują się w dużym pokoju. Dlatego nie usłyszałeś, jak wchodzę. Myślałem, że to Rosie.

– Co chce pan jej zrobić?

– Nic – odpowiedział swobodnie Bernard i znów machnął pistoletem, wskazując teczkę. – Nie otworzyłeś jej jeszcze. Myślałem, że chcesz sprawdzić, co jest w środku?

Doyle ustawiał kolejne cyfry drżącymi palcami. Położył kciuki na zatraskach i zawahał się. Oddychał urywanie, twarz miał zlaną potem.

– Nie wybuchnie, jeśli o to się martwisz. Inaczej mnie by tu nie było.

Chłopak otarł czoło i nacisnął zamki. Teczka otworzyła się. Wewnątrz, w specjalnych przegrodach piankowej wykładziny, leżały części karabinu snajperskiego i celownika optycznego.

– Karabin – wykrztusił. – Powinienem się tego domyślić.

– Snajperski galil, mówiąc dokładniej. Żydzi mogą sobie być wrogami, lecz mimo to produkują najlepszą broń na świecie. To co, zaspokoilem twoją ciekawość, pedale?

Ta nieoczekiwana obelga przełamała paraliż chłopaka. Rzucił się na Bernarda z pięściami. Terrorysta zręcznie zszedł z linii niewprawnego ciosu i kantem dłoni uderzył przeciwnika w kark. Doyle machinalnie podniósł dłonie chroniąc twarz, nim z całej siły uderzył w ścianę.

Bernard powoli nakręcił wyjęty z kieszeni tłumik na lufę pistoletu. Spojrzał na klęczącego z pochyloną głową, masującego sobie kark Kenny'ego, a potem trącił go czubkiem buta.

– Hej, pedale!

Chłopak podniósł głowę. Terrorysta uśmiechnął się chłodno i strzelił mu w środek czoła.

Kolczyński czytał akta, kiedy rozległ się sygnał interkomu.

– Przyszedł C.W. – oznajmiła sekretarka.

– Wpuść go, Saro – odpowiedział i otworzył drzwi nadajnikiem.

– Co za przyjemny poranek – powitał Rosjanina Whitlock.

Siergiej Kolczyński spojrział na zegarek.

– Ranek już minął. Jest minuta po dwunastej.

– Co to dla mnie minuta – C.W. wzruszył ramionami.

– Siadaj. – Whitlock posłusznie opadł na najbliższą sofę. – Miałem wrażenie, że dziś będziesz towarzyszył prezydentowi podczas jego odwiedzin w Instytucie Afrykańsko-Amerykańskim.

– Odwołano je. Cały ranek przeznaczono na konferencję prasową. Mnie to akurat odpowiada.

Im rzadziej wychodzi na ulice miasta, tym lepiej.

– A co z popołudniową wycieczką do Harlemu?

– Niestety, nadal aktualna. Spotkanie wyznaczono na drugą. Właśnie dlatego zdecydowałem się wpaść do ciebie, kiedy pojawiła się szansa. Jest coś nowego o tych dwóch zamachowcach?

– Nic. Rano dzwoniłem do policji w Zimbali. Z tego, powiedzieli, wynika, że Siły Bezpieczeństwa zniszczyły mnóstwo dokumentów, nim Jamel zdążył je rozwiązać. Wśród nich także akta osobowe. Obiecali, że oddzwonią, kiedy tylko na coś trafią. – Kolczynski przesunął w stronę C.W. leżącą na biurku teczkę. – To dostałem rano, z laboratorium w Centrum Badawczym. Raport ze strzelaniny przed United Nations Plaza. Głównie sprawy rutynowe. Ale coś zwróciło moją uwagę – strona druga, punkt trzeci. Zobaczymy, co ty na to.

Whitlock przeczytał odpowiedni paragraf i podniósł wzrok na przełożonego.

– Rozumiem, co masz na myśli. Choć zamachowiec stał niespełna trzydzieści metrów od ofiary, chybił niemal o metr. Czy pewni są tych wyliczeń?

– Pięciu lub nawet więcej reporterów potwierdziło, w którym miejscu stał Mobuto.

C.W. odłożył akta na miejsce.

– A więc albo zamachowiec zrobił to rozmyślnie, albo nie umie dobrze strzelać – podsumował Kolczynski.

– Przecież to nie ma sensu. – Agent zamyślił się. – Żaden, choćby najprzeciętniejszy, zamachowiec nie chybi aż o metr! Nie z tej odległości.

Szef wyjaśnił krótko, co Sabrina powiedziała mu o „trzecim człowieku”.

– Jeśli jest nim Bernard, dlaczego nie wykorzystać go po prostu do zamordowania Mobuto? Po co w ogóle pracować nad zgromadzeniem zespołu zamachowców z Sił Bezpieczeństwa...? Czyżby zasłona dymna?

– Ja też o tym pomyślałem. Tylko co kryła ta zasłona? Bernarda? Przecież w czasie zamachu Bernarda nie było jeszcze w Ameryce. Siedział sobie spokojnie w Bejrucie.

Whitlock podszedł do okna. Pracowicie żuł dolną wargę.

– A jeśli ten trzeci był na miejscu podczas zamachu?

– Jako „zapas”?

– Jako zamachowiec. A ukryty w tłumie strzelec stanowił tylko zasłonę dymną.

Kolczynski postukał palcem w teczkę.

– Wyjęta z muru kula pochodziła z dziewięćmilimetrowego parabellum. Wystrzelono ją z broni, którą porzucił nasz strzelec.

– Oczywiście. Umyślnie spudłował. To by się zgadzało z raportem.

– Więc dlaczego ten trzeci nie zastrzelił Mobuto?

– Najwyraźniej nie miał czystej pozycji. – C.W. podszedł do biurka i spojrzał z góry na Kolczyńskiego. – Rozumiem, że to tylko domysły, Siergiej, ale za to mają sens. Nie pojmujesz? Jeden z ich ludzi zwraca uwagę na siebie strzelając na ślepo, dzięki niemu prawdziwy zamachowiec ma szansę dokonania morderstwa i ucieczki w zamieszaniu. W tym wypadku najprawdopodobniej nie miał czystej pozycji strzeleckiej. A w tych okolicznościach musi zdecydować jeden strzał.

– Dobra, przyjmijmy, że ta teoria jest słuszna. Dlaczego ten pierwszy nie zabija Mobuto, tylko umyślnie pudłuje?

– Mobuto musi zginąć. Kto ma większą szansę go zabić: mężczyzna w tłumie, uzbrojony w broń krótką, czy też snajper kontrolujący cały teren? Co by było, gdyby ten pierwszy tylko go zranił? W szpitalu prezydent byłby nieosiągalny. Strzeżono by go lepiej niż Fort Knox.

– Dobrze, zgoda, ale w takim razie Bernard nie może być tym trzecim.

– A to czemu? – zdziwił się Whitlock.

– Przecież ci mówiłem, że dwa dni temu był w Bejrucie.

– Na to mamy tylko słowo Bailey'a. Mówiłeś, że Bernarda dostrzegł na lotnisku funkcjonariusz CIA. Łatwo byłoby skłonić go do przekazania tej informacji, choćby przekupstwem. Być może od początku jest w Stanach.

Rosjanin z namysłem wpatrywał się w teczkę, a potem podniósł wzrok.

– Jeśli masz rację, następny zamach powinien mieć miejsce dzisiaj po południu. Tylko raz prezydent pojawi się publicznie poza strzeżonym gmachem ONZ.

– No właśnie! Chcę mieć dodatkowych snajperów policyjnych kryjących teren wokół szkoły.

– Ilu?

C.W. chwilę się zastanawiał.

– Dwunastu powinno wystarczyć. Kolczyński zanotował coś w notatniku.

– Załatwię ci to z komisarzem – obiecał.

– No to jadę do hotelu. Odezwij się, kiedy będzie już po rozmowie.

Siergiej Kolczyński skinął głową i otworzył drzwi. Zamknął je za wychodzącym Whitlockiem, po czym sięgnął po słuchawkę.

– Halo? – Bernard odebrał telefon po pierwszym dzwonku.

– Tu „Albatros” – powiedział jakiś głos.

– Tu „Kolumb” – terrorysta podał własny pseudonim.

– Whitlock domyślił się prawdy – oznajmił „Albatros”. – Plan A odwołany. Nie wyjeżdżaj dziś do Harlemu.

– Co z Sibelem i Kolwezim?

– Wyślij ich, jakby nic się nie stało. Nie są ważni, a przekona to Whitlocka, że ma rację.

– Zostaje więc plan B?

„Albatros” przytaknął.

– Co z karabinem?

– Przyślę kogoś. Nie bój się, nie będziemy mieli najmniejszych problemów z przeniesieniem go przez strażę.

Bernard odłożył słuchawkę, uśmiechając się do siebie. Odpowiedzialność za zamach na Mobuto spoczywała już wyłącznie na nim. I to mu się podobało.

Kiedy otworzyły się drzwi windy i pojawił się w nich Whitlock, Rogers siedział przy drzwiach apartamentu Mobuto z ilustrowanym pismem w ręce. Dwaj mundurowi policjanci sprawdzili dysk identyfikacyjny nowo przybyłego, po czym pozwolili mu przejść.

Ochroniarz rzucił pismo na stolik do kawy. Poderwał się na równe nogi.

– Nadal jest na konferencji – oznajmił służbiście.

C.W. z irytacją zerknął na zegarek.

– W co on gra? Wie, że za godzinę ma przemówienie w szkole. Hol jest cały zapchany czekającymi na niego dziennikarzami.

– Wietrzą krew – stwierdził Rogers cynicznie.

– Bez najmniejszej wątpliwości. Gdyby był gotów choćby pół godziny temu, pewnie udałoby

się ich uniknąć.

W otwartych nagle drzwiach pojawiła się wysoka postać.

– Prezydent będzie gotów do wyjścia za pięć minut – oznajmił Masala.

Whitlock zaczekał, aż ambasador Zimbali oraz jego doradcy opuszczą pokój, dopiero wtedy wszedł.

– Czy mogę zamienić dwa słowa z prezydentem? – spytał Masalę.

– Prezydent się ubiera – padła ostra odpowiedź.

– Coś się stało? – Mobuto wystawił głowę z sypialni.

– Dopiero może się stać, panie prezydencie.

– To lepiej porozmawiajmy – stwierdził Jamel Mobuto i znikł w głębi sypialni. Kiedy Whitlock wszedł, wiązał akurat przed lustrem czerwony, jedwabny krawat. – Co to za sprawa? – spytał nie ukrywając lekceważenia.

C.W. postanowił nie okazywać gniewu spowodowanego tym sarkastycznym tonem.

– Uzgodniliśmy, że będzie pan gotów pół godziny temu. Mieliśmy unikać prasy.

– Konferencja trwała dłużej, niż przypuszczałem. Whitlock dostrzegł w lustrze wpatrzone w siebie oczy prezydenta.

– Dziennikarze mieli aż za dużo czasu, by pojawić się w hotelu. Będziemy musieli wyprowadzić pana tylnym wyjściem.

Mobuto skończył wiązać krawat, obrócił się ku rozmówcy i spojrzał mu prosto w oczy.

– Może lepiej będzie włożyć mi na głowę papierową torbę? W ten sposób jeszcze trudniej byłoby mnie poznać.

– Nie musielibyśmy stosować żadnych szczególnych środków bezpieczeństwa, gdyby był pan gotów punktualnie. – W głosie agenta UNACO zabrzmiał cień gniewu.

– Zupełnie jakbym słyszał ojca. Wymagał, by wszystko robić z wojskową precyzją. Żył z zegarkiem w ręku. Słowo „elastyczność” nie należało do jego słownika. – Mobuto podniósł dłoń, nie dopuszczając agenta do głosu. – Wyjaśnijmy coś sobie raz na zawsze, Clarence. Mam zamiar opuścić hotel głównym wyjściem. Jeśli w tłumie czeka na mnie morderca, miejmy nadzieję, że popiszesz się podobnym refleksem jak wczoraj. Nie poddam się jednak terrorowi, nie będę wchodził i wychodził przez kuchnię. Czy to jasne?

Whitlock tylko skinął głową.

Mobuto włożył marynarkę. W butonierkę wsunął goździk.

– Jestem gotów – oznajmił. – Idziemy?

Sygnalizator zabrzączał nagle, uniemożliwiając odpowiedź. Whitlock wyłączył go. Niemal biegiem opuścił sypialnię, kierując się do salonu, w którym zainstalowano specjalny bezpieczny telefon. Zadzwoił do kwatery UNACO, podał Sarze swój numer identyfikacyjny i natychmiast dostał połączenie z Kolczynskim.

– Dzwonił Bailey – oznajmił Rosjanin bez wstępu. – Bernard się zgłosił.

– Nareszcie! Powiedział, gdzie dojdzie do zamachu?

– W szkole.

– Gdzie w szkole?

– Nie zostało to zdecydowane, ale poinstruował mordercę, by strzelał do prezydenta na ulicy.

– A więc podobnie jak poprzednio, będzie także i drugi zamachowiec.

– Być może. Zespół będzie dwuosobowy, jak poprzednio, strzelec i kierowca. Samochód to czerwony buick, numer rejestracyjny: 472 ENG.

– Bardzo przydatna informacja. – C.W. szybko zapisał numer.

– Mam złe przeczucia. Uważaj na siebie.

– Na to akurat możesz liczyć!

– Informuj mnie na bieżąco.

– Rozkaz! – Słuchawka spoczęła na widełkach.

– No i co? – zainteresował się Mobuto.

Agent przekazał mu w skrócie wszystkie otrzymane informacje.

– No, to przynajmniej wiemy, na czym stoimy – podsumował prezydent Zimbali.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – powiedział niemal niedosłyszalnie C.W., prowadząc go ku drzwiom.

Mercedes, którym jechali, znajdował się między dwoma policyjnymi samochodami, za nimi podążał drugi. Whitlock siedząc obok kierowcy, nie przestawał rozmyślać. Czy uwzględnił każdą okoliczność, kiedy dziś rano, w szkole, rozdawał ochronie zadania? Czy istnieje jakieś słabe

ogniwo? Mnóstwo czasu spędził z dowódcą oddziału SWAT nad planem dzielnicy. Czy nie przeoczyli niczego? Jeśli coś przydarzy się Mobuto teraz, kiedy zostali ostrzeżeni i poznali okoliczności planowanego zamachu, z pewnością polecą głowy. Przed wyjazdem połączył się przez radio z dowódcą SWAT i poinformował go o czerwonym buicku. Rozkazał także, by nie otwierano ognia, dopóki nie okaże się to absolutnie konieczne. Więzień, mogący udzielić odpowiedzi, miałby wielkie znaczenie dla tej sprawy, w której istniały wyłącznie pytania. No, i jest jeszcze sam Bernard. Jakie miejsce zajmuje on w tej łamigłówce? Czy rzeczywiście jest tym trzecim? Czy rzeczywiście pracuje dla Bailey'a, czy też jest podwójnym agentem oszukującym CIA? Może zatrudnia go Ngune? Tyle pytań, a na żadne z nich nie ma jeszcze odpowiedzi. To go niepokoiło. Poza tym, podobnie jak szef, miał złe przeczucia dotyczące wizyty w Harlemie...

– Jesteś żonaty, Clarence? – Mobuto wychylił się z tylnego siedzenia. – Nagle zdałem sobie sprawę, że nie mam pojęcia, co dzieło się z tobą od czasu opuszczenia Oksfordu.

C.W. marzył o tym, by Jamel przestał mówić mu „Clarence”, nic jednak nie mógł na to poradzić. Kolczyński został już poinformowany o tym, że szef ochrony na lotnisku zwrócił się do prezydenta po imieniu. Whitlock dostał polecenie trzymania języka za zębami. Ma do czynienia z gościem w swej ojczyźnie, i to w dodatku ważnym. Rosjanin uświadomił mu także, że Mobuto nikogo nie obraża. Po prostu zwraca się do starego znajomego po imieniu. Oczywiście, racja. Niech go cholera z tym „Clarence”!

– Tak, od siedmiu lat. Moja żona pracuje tu, w Harlemie.

– Naprawdę? A co robi?

– Jest lekarzem pediatrą.

– Jakie to interesujące! – Mobuto wcale nie sprawiał wrażenia szczególnie zainteresowanego. – Macie dzieci?

– Nie.

Znów zapadła cisza.

– Wjeżdżamy do Harlemu – przerwał ją C.W. Mercedes skręcił za policyjnym radiowozem w Lenox Avenue.

Gość przyłgął niemal do przyciemnianej szyby.

– Tak tu szaro. Ponuro – stwierdził.

– Proszę mi wierzyć, że w rzeczywistości jest jeszcze gorzej. Wysokie bezrobocie powoduje wyjątkowe ubóstwo. Młodzi zwracają się ku narkotykom, zbrodni, prostytutce, byle tylko związać koniec z końcem. Trudno zrozumieć, że to także Ameryka, kraina wolności.

– Chcę z kimś porozmawiać – na twarzy prezydenta malował się ból. – Proszę natychmiast zjechać do krawężnika.

Kierowca rzucił Whitlockowi przerażone spojrzenie. Agent przecząco potrząsnął głową.

– Nie zatrzymamy się, póki nie dojedziemy do szkoły – oznajmił.

– A to czemu? Ty też jesteś Murzynem, Clarence.

– Możemy sobie być Murzynami, ale nie należymy do tego świata, panie prezydencie. A ci ludzie nie lubią przybyszów z zewnątrz. Trudno się im dziwić, widząc tę nędzę, dzieło wszystkich kolejnych rządów. Ilekroć pojawię się w Harlemie, czuję gorycz. Ale tu nie potrzebują mojej sympatii. Niczyjej sympatii. Mieszkańcy Harlemu pragną po prostu, by zostawić ich samych. – Whitlock spojrział na twarz Jamela Mobuto, widoczną we wstecznym lusterku. – Proszę nie myśleć, że łatwo było załatwić panu to spotkanie tutaj. O, nie! Zezwolenie na wjazd tej kawalkady rząd musiał wynegocjować z przywódcami miejscowej społeczności. Akurat teraz znaleźliśmy się na terenie rządzonym przez jakiś gang. Naruszamy ich terytorium. Gdyby nie uzgodnienia, już by nas zaatakowano.

– Policjanci z pewnością potrafiliby powstrzymać napastników!

Kierowca uśmiechnął się lekko.

– Gangi nie boją się policji – wyjaśnił C.W. – Jeśli już, jest raczej odwrotnie. Być może zauważył pan, panie prezydencie, że wszyscy mundurowi policjanci z pańskiej ochrony są Murzynami. Pracują tu, w Harlemie. Ludzie ich znają.

Mobuto umilkł.

Gapiów, zgromadzonych przed szkołą, powstrzymywał kordon policji. W tłumie byli ludzie rzeczywiście zainteresowani osobą prezydenta Zimbali, większość jednak przyciągnęła szalona kampania prasowa wywołana zamachem na życie Mobuto. Uczniom, stojącym w rzędach po obu stronach ulicy dojazdowej, wręczono maleńkie zimbalskie flagi, kiedy pojawiły się samochody, zaczęli nimi machać równo, na rozkaz. Mobuto uśmiechał się i pozdrawiał ich przez szybę samochodu. Whitlock nie interesował się całym tym zamieszaniem. Bezustannie obserwował sąsiednie budynki. Widział rozlokowanych na dachach snajperów SWAT w czapkach z daszkami, chroniącymi oczy przed słońcem. Zgodnie z poleceniem dokładnie przeszukano strzeżone teraz gmachy promieniu siedmiuset metrów od szkoły. Zdawał sobie sprawę, że mieszkańców złością podjęte środki ostrożności, przede wszystkim dlatego, iż w SWAT służyli prawie sami biali, ale na to nie było już rady. Jego głównym zadaniem była ochrona Mobuto.

Za policyjnym radiowozem mercedes minął kutą bramę. Zatrzymał się dwieście metrów dalej, przed wejściem, gdzie na prezydenta czekali dyrektor szkoły i przywódcy lokalnej społeczności. Whitlock wsadził do ucha słuchawkę, dzięki której mógł porozumiewać się z dowódcą SWAT, wysiadł z samochodu i zatrzymał się czekając na Rogersa i Masalę, jadących w drugim mercedesie. Gdy wszyscy trzej byli gotowi, otworzył drzwi dla Mobuto.

Dyrektor szkoły powitał wysiadającego z samochodu prezydenta uściskiem dłoni i krótkim przemówieniem, następnie przedstawił mu pięciu przywódców, którzy mieli się z nim spotkać. C.W.

i Rogers wymienili niespokojne spojrzenia. Dlaczego powitań nie można było zorganizować wewnątrz? Przed wejściem do Jamela Mobuto nie chybiłby nawet ślepy. Agent UNACO zsunął z czoła przeciwsłoneczne okulary, zerkając na dach sąsiedniego budynku. Strzegło go dwóch żołnierzy SWAT. Poczul ściekający mu po policzku pot. Bernard uprzedził, że do zamachu dojdzie przed szkołą – przecież dlatego właśnie nie pozwolił prezydentowi wyjść i przemówić do tłumu, byłoby to proste kuszenie losu. Teraz należało strzec się wyłącznie snajpera, jeśli w okolicy rzeczywiście czaił się jakiś snajper. A jeśli sam Bernard był tym snajperem, to czemu uprzedził o zamachu Bailey'a? Nic tu nie miało sensu. Nie czas jednak zastanawiać się nad poczynaniami Bernarda.

Jeszcze raz rozejrzał się wokół, po czym skupił uwagę na prezydencie. Prezentacje już się kończyły. Skinął głową Masali, który zajął miejsce przy drzwiach czekając, by poprowadzić delegację korytarzem, zamienił kilka słów z dowódcą funkcjonariuszy mundurowych, otaczających kordonem wejście, podkreślając po raz kolejny, że nikt nie ma prawa wejść do szkoły po Mobuto, rozkazał także, by nie przerywali kontaktu z patrolami policji poruszającymi się po okolicy i informowali go natychmiast, gdy zdarzy się coś niecodziennego, choćby nawet najbardziej błahego. Robił wszystko, by powstrzymać mordercę lub morderców bez konieczności oddania choćby jednego strzału. W jakiś sposób zadośćuczyniłoby to nieszczelności ochrony przed hotelem.

Poczul na ramieniu dłoń Rogersa, sygnalizującego, że są już gotowi do wejścia. Obecność agenta CIA w budynku też stanowiła swego rodzaju problem – był w tym towarzystwie jedynym białym. Zdecydowano w końcu, że będzie strzegł drzwi prowadzących na scenę od zaplecza – w ten sposób ukryje się za czerwonymi zasłonami, otaczającymi ją z trzech stron. C.W. rozejrzał się po raz ostatni i wszedł do środka.

Walter Sibebe służył w Siłach Bezpieczeństwa osiem lat, nim zostały one rozwiązane przez Jamela, z radością więc zgodził się dołączyć do czteroosobowego zespołu mającego udać się do Ameryki, by dokonać tam zamachu na prezydenta. Massenga szczególnie troskliwie wyjaśniał mu, że nie może myśleć o zamachu w kategoriach zemsty, do sprawy trzeba podejść chłodno, profesjonalnie. Przez tydzień ćwiczyli na farmie, kiedy Massenga pojawił się tam całkiem niespodziewanie w towarzystwie mężczyzny, którego nie widzieli nigdy przedtem. Przedstawiono go im jako „Kolumba” i poinformowano, że nastąpiła zmiana planów. „Kolumb” jest dowódcą i to on zabije Mobuto. Oni mają tylko słuchać jego rozkazów. Nikt nie kwestionował rozkazów Massengi, jednak na początku przybysza otaczała atmosfera pewnej niechęci. Musiał udowodnić, kim jest – i rzeczywiście, już drugiego dnia rzucił im rękawicę. Ten, kto pokona go na strzelnicy – oznajmił – będzie miał przyjemność zabicia prezydenta. Wyzwanie to podjęto bardzo chętnie, nikomu jednak nie udało się pokonać „Kolumba” zarówno w strzelaniu z broni krótkiej, jak i z karabinu. Turniej ten okazał się punktem zwrotnym. Jeszcze nim wylecieli do Ameryki, byli gotowi zrobić dla niego wszystko.

A teraz dwóch spośród nich nie żyło, i to on i Kolwezi mieli udowodnić „Kolumbowi”, kim są, nawet gdyby mieli zapłacić za to życiem. Byli gotowi na śmierć – jeśli tylko Jamel Mobuto zginie wraz z nimi, bo wtedy Ngune obejmie władzę, ogłosi ich męczennikami, którzy umożliwili budowę potężnej Zimbali. Jeśli przeżyją, na oczach wszystkich zostaną udekorowani za męstwo. Tak albo tak

– lecz Mobuto musi zginąć!

Przeszukano go, kiedy wchodził do budynku szkoły, na specjalnej liście sprawdzono także numer zaproszenia, które najzupełniej legalnie kupił na stoisku w St Nicholas Park. Wydrukowano tylko pięćset biletów, z których – zgodnie z życzeniem prezydenta – trzysta pięćdziesiąt miało być sprzedanych, uzyskane w ten sposób pieniądze przeznaczono dla dzieci Harlemu. Gdyby wszystkie bilety trafiły do zamożnych gwiazd społeczności Harlemu, jak planowano, nie znalazłby się teraz wewnątrz szkoły. Ironia losu sprawiła, że Mobuto sam wydał na siebie wyrok śmierci. Broń – berettę – przesmugłował do środka tydzień wcześniej doskonale opłacony za tę przysługę dozorca. Odczekał, aż policja przeszuka toalety, a następnie przykleił ją pod zbiornikiem w jednej z nich, Sibeles dostanie się do niej dosłownie za kilka minut. Rzeczywiście, broń była na miejscu. Zamachowiec wsunął ją za pasek spodni, po czym jako jeden z pierwszych znalazł sobie miejsce na widowni – musiał bowiem mieć pewność, że usiądzie blisko sceny. Czekał niemal godzinę, lecz wiedział, że Mobuto przyjechał już do szkoły, że dosłownie za kilka minut wejdzie do sali...

Podwójne drzwi z tyłu otworzyły się, stanął w nich groźny, ogromny Masala. Ludzie zaczęli szeptać, lecz kiedy do ochroniarza dołączył dyrektor, zapanował spokój. Większość obecnych na sali gości poznała prezydenta, gdy tylko się pojawił – w końcu bardzo często pokazywano go w telewizji. Zebrani obserwowali, jak wraz z towarzyszącymi mu osobistościami szedł pomiędzy rzędami ławek, a potem po kilku schodkach wspinał się na scenę. Dyrektor wskazał mu krzesło najbliższe mównicy. Miejsca zajęli także przywódcy lokalnych społeczności, tylko jedno, obok honorowego gościa, pozostało wolne. Miał je zająć sam dyrektor. Whitlock oraz Masala usiedli z tyłu. C.W. zerknął ku zasłonom – Rogers był już na miejscu, pokazał mu uniesiony w górę kciuk, rozejrzał się po widowni i przeszedł w stronę prowadzących na zaplecze drzwi.

Dyrektor stanął na mównicy. Spojrzał na licznie zebranych gości – prawdziwe morze twarzy – odchrząknął i rozpoczął przemówienie.

– Na samym początku chciałbym powitać wszystkich zebranych. Przygotowałem mowę, mającą przedstawić wam naszego gościa, lecz dzięki przebojowości amerykańskiej prasy niewątpliwie wszyscy doskonale znacie życiorys pana Mobuto.

Rozległ się huragan śmiechu. Prezydent siedział bez ruchu wpatrując się w podłogę.

– Pan Mobuto wielkodusznie zgodził się odpowiedzieć na wszystkie wasze pytania po wygłoszeniu przemówienia. A więc, by nie przedłużać oczekiwania, proszę powitajcie wszyscy ciepło i w najlepszym stylu Harlemu nowego prezydenta Zimbali.

Na te słowa czekał Sibeles. Kiedy wokół rozległy się oklaski, chwycił berettę i zerwał się z miejsca. Usłyszał krzyk siedzącej za nim kobiety. Masala odtrącił stojącego mu na drodze dyrektora i – nim zamachowiec zdążył wystrzelić – skoczył na prezydenta obalając go za mównicę, gdzie jego życiu nie zagrażało już żadne niebezpieczeństwo. Kobiety i dzieci wrzeszczały, trzaskały padające krzesła, ludzie w panice rzucili się ku wyjściu z sali. Whitlock wyciągnął broń, lecz nie mógł strzelać obawiając się, że trafi kogoś z publiczności.

Sibeles spojrział w stronę galerii, zamkniętej na czas remontu. Ani śladu „Kolumba”, musi

działać sam. C.W. zeskakiwał na widownię, kiedy dostał postrzał w ramię. Upuścił pistolet. Sibeles wspinał się na scenę, gdy zza zasłony wyłonił się Rogers z bronią w rękę. Dwie kule trafiły zamachowca w pierś, rzucając go na ziemię, krzesła pierwszego rzędu łamały się i padały pod ciężarem bezwładnego ciała. Agent CIA dopadł go pierwszy. Kopniakiem wytrącił broń z bezwładnej dłoni. Trzymając Smith & Wessona gotowego do kolejnego strzału dotknął szyi zamachowca w poszukiwaniu pulsu. Nie znalazł go.

– I co? – spytał ze sceny Whitlock, zaciskając rękę na przestrelonym ramieniu.

– Nie żyje. – Rogers nagle się zaniepokoił. – Z tobą w porządku?

C.W. tylko skinął głową, obrócił się i ruszył ku leżącemu ciągle na ziemi prezydentowi.

– Panie prezydencie, nic się panu nie stało?

– Zupełnie nic. – Jamel Mobuto wstał i skrzywił się na widok szefa swej ochrony. – Bardzo krwawisz. Powinieneś jak najszybciej trafić do szpitala.

– Kula przeszła czysto, na wylot. To tylko wygląda tak groźnie.

Dyrektor i reszta gości powoli wynurzyła się zza zasłon. Patrzyli to na trupa, to na rannego.

– Jak udało mu się dostać tu z bronią? – wykrztusił dyrektor. – Myślałem, że policja przeszukuje wchodzących!

– Bo i przeszukiwała – powiedział C.W. – To z pewnością robota kogoś stąd.

Zaalarmowani odgłosem strzałów, na salę wbiegli dwaj mundurowi policjanci.

– Wezwijcie karetkę – wrzasnął Rogers. – I zamknijcie te drzwi. Ani jeden dziennikarz nie ma prawa się tu pojawić, póki nie uprzątniemy ciała.

– Rozkaz! – Jeden z policjantów wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Whitlock użył chustki do nosa, by zrobić sobie opatrunek uciskowy na ramieniu, rozejrzał się po niemal już pustej sali, a potem spojrzał uważnie na galerię. Sibeles zerknął w górę, nim zaczął strzelać. Czy tam właśnie miał się skryć snajper? Prowadzące na galerię drzwi były chronione przez dwóch policjantów. Może to go zniechęciło?

– Pan też to dostrzegł? – zainteresował się Masala.

C.W. tylko skinął głową.

Rozległo się pukanie i do sali wpadł ciężko dyszący policjant. Spojrzał na zwłoki zamachowca, po czym przeniósł wzrok na agenta UNACO.

– Próbowałem się z panem połączyć, ale nie było odpowiedzi.

Whitlock spojrział na zawieszony u pasa odbiornik. Przewód słuchawki wisiał luźno, prawdopodobnie wypadł z gniazdka podczas upadku.

– O co chodzi?

– Kilka przecznic stąd ludzie ze SWAT zatrzymali uciekający samochód. Czekają na pańskie instrukcje.

C.W. zwrócił się do Rogersa:

– Jedź tam natychmiast. Musimy mieć go żywego. Upewnij się, że ci ze SWAT w pełni zdają sobie z tego sprawę. Jeśli będą musieli strzelać, mają ranić, nie zabić!

– Już lecę. – Agent CIA zręcznie zeskoczył ze sceny.

– Zaraz. Pójdę z panem. – Masala spojrział na prezydenta, oczekując zezwolenia.

– Idź – zgodził się Mobuto. – I pamiętaj, co powiedział pan Whitlock. Nie zabijajcie go.

Wielki ochroniarz tylko skinął głową. Kiedy wyszli z sali, natychmiast obiegła ich prasa, żaden jednak nie powiedział ani słowa, obaj w milczeniu przepychali się wśród wyciągniętych ku nim mikrofonów. Po drodze Rogers rozkazał policji usunąć reporterów z budynku. Kiedy doszli do głównego wejścia, dostrzegli jeszcze większy tłum – to w okolicy rozeszła się wieść o strzelaninie. Czekał tam na nich jeden z żołnierzy SWAT.

– Jak to wygląda? – spytał go agent CIA.

– Zauważyliśmy samochód zaparkowany w bocznej uliczce. Opis i numery rejestracyjne zgadzały się z tymi, o których nas wcześniej poinformowaliście. Zablokowaliśmy uliczkę, ale nie podchodziliśmy do samochodu. Gość po prostu w nim siedzi.

– No, idziemy.

Wolnym krokiem ruszyli w stronę grupy ludzi zgromadzonych przy wylocie wąskiego zaułka. Tarasował go zaparkowany bokiem radiowóz policyjny, inny zagroził wyjazd z drugiej strony. Kilku snajperów wyszło na dachy stojących w pobliżu domów, byli gotowi.

Dowodzący akcją porucznik już na nich czekał. Rogers przekazał mu instrukcje Whitlocka – natychmiast trafiły one do żołnierzy w formie rozkazów.

– I co pan proponuje? – zapytał porucznik.

– Spróbuję z nim porozmawiać – powiedział agent CIA.

– W samochodzie może być bomba.

Rogers tylko wzruszył ramionami.

– Nie mam wyjścia. Im dłużej każemy mu czekać, tym większe szansę, że zrobi coś szalonego. Proszę pamiętać, że musimy go mieć żywego.

Porucznik skinął głową na znak zgody.

Agent wyszedł zza zasłony samochodu. Zdjął marynarkę. Odpiął kaburę z bronią, podniósł ją tak, by kierowca widział, co robi, po czym wręczył Masali.

– Pan oszalał! – Porucznik był autentycznie zdumiony. – Przecież może pana zastrzelić!

– Jeśli to zrobi, strzelajcie, żeby zranić, nie zabić.

Oficer westchnął ciężko, cofnął się, wyjął radio i przekazał swym ludziom, że Rogers idzie na spotkanie z zamachowcem nie uzbrojony. Tymczasem agent ruszył w stronę buicka trzymając rękę w górze. Podszedł do samochodu z przodu. Gestem nakazał kierowcy otworzyć okno. Kolwezi otarł pot z czoła, lecz spełnił jego polecenie. Trzymając agenta na muszce walthera kazał mu zatrzymać się półtora metra od samochodu. Rogers zrobił, co mu kazano. Obejrzał się. Najbliższy ze snajperów znajdował się na dachu nad nimi, w odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów.

– Możemy mówić, nie usłyszą nas – powiedział po arabsku. – Sibebe nie żyje.

– A Mobuto?

– Ocalał.

– Co z „Kolumbem”?

– Nie mógł dostać się do budynku – skłamał Rogers. – Zbyt dobrze go strzeżono. Nie udało się zawiadomić o tym Sibebe, był już w środku. Nie miał najmniejszej szansy.

– Zawiedliśmy dwukrotnie. – Głos Kolweziego był pełen goryczy. – Życie Mobuto jest zaczarowane. Zawsze było, nawet za życia jego ojca.

– Nie obawiaj się, wasza śmierć nie będzie daremna. Mobuto zginie jutro.

– „Kolumb”?

Agent skinął głową, a potem obejrzał się na Masalę i porucznika.

– Kazali mi skłonić cię do poddania – oznajmił.

– Odejdź teraz, przyjacielu.

Odwrócił się na pięcie i pomaszerował w stronę kordonu. Kolwezi pewną ręką wsunął dłoń w usta. Nacisnął spust.

Carmen kazała pielęgniarkę zamknąć gabinet. Bardzo się spieszyła do szpitala, z którego zatelefonował do niej mąż. Choć całe ramię miał zabandażowane, uparcie twierdził, że „to nic poważnego” – kłamstwem tym chciał ją uspokoić. Bolało go jak diabli. Lekarz przepisał mu proszki nasenne, które kupili po drodze do domu. Zjadł lekką kolację i natychmiast poszedł do łóżka. Jutro rano musi się stawić do pracy.

Zmywała, kiedy zadzwonił telefon. Wytarła ręce – na szczęście mieli aparat w kuchni.

– Carmen?

– Rosie? – w jej głosie zabrzmiało najszczerze zdumienie.

– Tak, to ja.

Już dawno dali sobie spokój z „wujkiem” i z „ciocią”. Wujek Clarence, też mi coś! Whitlock nie mógł się na to zgodzić. Więc, jak wszyscy, nazywała go po prostu C.W.

– Rosie, gdzie jesteś? – dopytywała się zaniepokojona Carmen. – Twoi rodzice odchodzą od zmysłów ze strachu. Zadzwoń do matki i...

– Nie – przerwała stanowczo dziewczyna. – Właśnie dlatego telefonuję do ciebie. Powiedz, że u mnie wszystko w porządku. Zadzwonię do niej za parę dni.

– Gdzie się zatrzymałaś?

– U znajomego.

– Dlaczego na te kilka dni nie sprowadzisz się do nas? – odpowiedziała jej Carmen. – Nie musisz wracać do rodziców, póki sama nie zechcesz, ale przynajmniej będą wiedzieli, że nic złego ci się nie stanie.

– No... – dziewczyna zawahała się. – Jutro zadzwonię do ciebie do pracy i coś wymyślimy.

– Obiecujesz?

– Jasne. No, kończą mi się pieniądze. Zadzwonię, dobrze?

– Czekaam.

Połączenie zostało przerwane. Carmen odłożyła słuchawkę, poszła do sypialni i sprawdziła, czy telefon nie obudził męża. Nie, spał jak zabity. Uśmiechnęła się, zamknęła drzwi, wróciła do kuchni i wzięła się za zmywanie.

Rossie kupiła pizzę niedaleko budki telefonicznej, a potem wróciła do mieszkania. Kiedy otworzyła drzwi, dostrzegła wiszącą na krześle skórzaną marynarkę Bernarda. On sam siedział

w dużym pokoju, słuchając wiadomości przez radio.

- Kiedy wróciłeś? – spytała stając w drzwiach.
- Jakieś dwadzieścia minut temu – odparł z uśmiechem.
- Dobrze się bawiłeś?
- Nawet nie pytaj. – Wstał i wyciągnął rękę po pudła, które trzymała przed sobą. – Jaka to pizza?
- Z szynką i pieczarkami. Lubisz?
- Oczywiście. Umieram z głodu. – Szybko uprzątnął niski stolik. – A ty co robiłaś?
- Wyszłam zaraz po tobie. – Rosie otworzyła jedno z pudełek. – Dopiero teraz wróciłam.
- A gdzie byłaś?
- Pojechałam metrem na Piątą Aleję. Chodziłam po ulicach, oglądałam wystawy. Można tylko oglądać, gdy się ma w kieszeni pięć dolarów.

Bernard uśmiechnął się, sięgając po kawałek pizzy.

- A także zadzwoniłam do ciotki.
- Ciotki? – powtórzył z niepokojem.

Ręka zawisła w pół drogi do jego ust.

– Tak, do Carmen. zaproponowała, żebym jutro przeniosła się do nich. Moim zdaniem to całkiem niezły pomysł. Nie to, żebym nie doceniała, co dla mnie zrobiłaś, naprawdę. Dziękuję ci. Ale oni... są rodziną. Szkoda, że rodziców mam mniej liberalnych niż wujek i ciocia.

- Więc jutro się do nich przeprowadzisz?
- Tak, chyba tak. Zawsze doskonale się zgadzaliśmy. Czy to źle?

– Nie, skąd. Ja także mam wrażenie, że to niezły pomysł. Za parę dni i tak musiałbym wracać do Libanu. – Terrorysta myślał błyskawicznie. Carmen, żona Whitlocka. Jeśli Rosie się do nich wyniesie, traci zakładnika. Wszystko nagle się skomplikowało. Nie mogła zadzwonić do nich jutro? Jutro będzie wiedział, czy jej potrzebuje. Teraz musi grać w ciemno. Nie ma wyboru.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Bernard zmarszczył brwi. Czy to kurier po karabin? Nie spodziewał się go tak szybko, zaś poza kurierem w ogóle nie oczekiwał gości. Wytarł dłonie papierową serwetką, wstał i podszedł do

drzwi. Na progu stali dwaj policjanci w mundurach.

– Dzień dobry panu – powitał go jeden z nich, niedbale przykładając dłoń do czapki. – Czy mam przyjemność z panem Markiem Giresse?

Odpowiedział powolnym skinieniem głowy.

– Tak. Czy coś się stało?

– Możemy wejść?

– Oczywiście. – Szerzej otworzył drzwi.

– Ja nazywam się Deacon – przedstawił się wchodząc pierwszy z policjantów – a to mój partner, Cummings.

Ich znaczki były prawdziwe.

– Nadal nie wiem, panowie, co się właściwie stało.

Deacon otworzył usta, by udzielić mu wyjaśnień, kiedy z pokoju wyszła dziewczyna.

– Czy panna Rosie Kruger?

Zerknęła na Bernarda oczami rozszerzonymi z przerażenia.

– Tak – wyjąkała.

– Czy zna pani niejakiego Kennetha Doyle’a?

– Tak – odparła pewniej i nagle na jej twarzy pojawił się wyraz niepokoju. – Czy coś mu się stało?

– Miałem nadzieję, że tego dowiem się od pani. – Policjant wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru. – Pan Doyle zostawił ją u przyjaciela. Píše tu, że dziś rano wpadnie do pani, panno Kruger, a także, że gdyby przyjaciel nie miał od niego informacji do czwartej po południu, ma się skontaktować z policją. Brzmi to dość złowrogo, prawda?

– Panie władzo, przecież musi być jakieś logiczne wyjaśnienie tej zagadki – wtrącił terrorysta, walcząc z niepokojem, napinającym mu boleśnie mięśnie brzucha.

– Czy wiedział pan, że panna Kruger ma szesnaście lat? I że uciekła z domu?

– Oczywiście, wiedziałem. Sama mi powiedziała. Z tego między innymi powodu zaoferowałem jej nocleg u siebie. Jest za młoda, by wałęsać się nocą po ulicach.

– Nocleg czy łóżko? – Deacon patrzył to na dziewczynę, to na mężczyznę.

– Ty sukinsynu – warknęła Rosie. – Marc nawet mnie nie dotknął!

– Daj spokój, Rosie! – Bernard podniósł dłoń w uspokajającym geście.

– Czy pan Doyle był tu dzisiaj rano? – zwrócił się do dziewczyny policjant.

Skinęła głową.

– Nie podobał mu się Marc – wyjaśniła. – Nie miał do niego zaufania. Chciał, żebym się stąd wyprowadziła. Wyrzuciłam go. Marc był dla mnie fantastyczny. Od samego początku.

– I pan Doyle wyszedł? – Cummings odezwał się po raz pierwszy.

– Tak.

– Nie pojawił się później?

– Nie wiem. Ja też wyszłam, zaraz po nim. Wróciłam kilka minut temu.

– A pan go widział? – spytał Deacon, zwracając się do Bernarda.

– Cały dzień byłem poza domem. Przykro mi, że nie mogę panom pomóc, ale spotkałem go tylko raz – w Rollercoasterze, gdzie pracował.

– A byliście panowie w barze?

– Odwiedziliśmy wszystkie miejsca, w których najczęściej bywał, panno Kruger. Wygląda na to, że po prostu znikł. Z tego, co powiedzieli nam jego przyjaciele, rozumiemy, że to dość niezwykła sytuacja.

– To prawda – przyznała Rosie. – Kenny nie potrafił żyć bez przyjaciół. Nigdy nie widziałam go samego.

– Powiedziała pani, że nie ufał panu Giresse’owi? – głos znów zabrał Cummings. – Dlaczego?

– Bardzo się o mnie troszczył. Niemal jak starszy brat. Martwił się, kiedy zawierałam nowe przyjaźnie, zwłaszcza z mężczyznami. Nie wiem, dlaczego tak nieufnie potraktował Marca. Po prostu powtarzał, że coś mu się w nim nie podoba.

– Chyba lepiej będzie, jeśli pójdziecie państwo z nami na komisariat – zdecydował Deacon.

– Czy jesteśmy aresztowani? – spytał gniewnie Bernard.

– Nie. Po prostu chcemy zadać panu jeszcze kilka pytań.

– W porządku. – Terrorysta zwrócił się do Rosie. – Nie martw się, jestem pewien, że istnieje logiczne wyjaśnienie tej sprawy. Włóż coś.

– Nie mam tu nic swojego.

– Mogę ci ją pożyczyć – wskazał skórzaną kurtkę, wiszącą na poręczu krzesła.

– Czy mogę wziąć marynarkę z sypialni? – zapytał policjantów.

Deacon skinął głową i poszedł za nim, zatrzymując się w drzwiach. Bernard otworzył szafę, zdjął z wieszaka szarą marynarkę, po czym wsunął dłoń pod stos koszul i zacisnął ją na kolbie desert eagle'a. Nie odkręcił tłumika. Najpierw pomyślał, że może od razu zastrzelić Deacona, ale to z pewnością zaalarmowałyby Cummingsa. Musi mieć ich obu. Wyciągnął broń spod koszul, marynarka doskonale ją maskowała. Spokojnie zamknął szafę i ruszył w kierunku stojącego w drzwiach policjanta, widział teraz także jego partnera. Ale Rosie zasłaniała mu cel. Zaklął w myślach. Co będzie, gdy policjant otworzy drzwi, nim dziewczyna się przesunie? Strzelanina na klatce schodowej... nie, to z pewnością spali jego kryjówkę. Nadal zastanawiał się, co zrobić, kiedy Cummings wyciągnął dłoń ku klamce. Muszę zaryzykować – pomyślał – nawet jeśli Rosie znajdzie się na linii strzału, o wiele bardziej zależy mi na bezpiecznej kryjówce niż na zakładniku. Wystrzelił spod marynarki, trafiając Deacona w głowę, Rosie krzyknęła, gdy zatoczył się on na ścianę, odbił od niej i padł martwy na podłogę. Cummings odepchnął ją instynktownie, lecz nim zdążył wyciągnąć broń, zginął, w oczach pozostał mu wyraz niezmiernego zdumienia.

Terrorysta odrzucił marynarkę. Wymierzył w Rosie, siedzącą w kucki przy ścianie i zasłaniającą twarz dłońmi. Spojrzała na niego – w oczach miała paniczny strach.

– Nie zabijaj mnie, proszę – jęknęła, powoli potrząsając głową.

– Nie zamierzam cię zabić. Jesteś dla mnie zbyt cenna.

Nadal celując do niej z pistoletu upewnił się, że obaj policjanci nie żyją. Potem, najwyraźniej usatysfakcjonowany, rozkazał jej wstać. Podniosła się powoli, przerażona niemal do nieprzytomności.

– Powinnaś posłuchać swego przyjaciela Kenny'ego, prawda? – spytał kpiąco.

– Co mu zrobiłaś? – odpowiedziała pytaniem, na które właściwie znała już odpowiedź.

– Wrócił tu, kiedy sobie poszłaś. Moim zdaniem uważał się po trosze za detektywa, ale nie miał smykałki do tej roboty. Szkoda go. Chciał dobrze.

– Zabiłaś go, prawda?

– Tak. – Bernard obojętnie wzruszył ramionami.

Z wysiłkiem powstrzymała cisnące się do oczu łzy. Dlaczego nie wysłuchała Kenny'ego? Miał rację, od samego początku. Żyła w wyobrażonym świecie, a teraz przerażająca rzeczywistość zwała ją się jej na głowę. Jakże pragnęła uciec do swego dawnego świata – wiedziała, że w nim byłaby bezpieczna. Jednak rozumiała, że to niemożliwe, teraz ani nigdy. Nagle zdała sobie sprawę, że ponosi odpowiedzialność za śmierć Doyle'a. Gdyby go posłuchała, żyłby.

I raptem, w tej chwili prawdy, jej strach zmienił się w gniew. Skoczyła na Bernarda niemal życząc sobie, by pociągnął za spust, lecz on tylko uchylił twarz przed jej paznokciami. Kątem oka Rosie dostrzegła poruszającą się w kierunku jej głowy lufę pistoletu, poczuła uderzenie w kark... a potem była już tylko ciemność.

Sabrina spojrzała w nocne niebo, rozświetlone blaskiem gwiazd, które przypominały brylanty rozsypane na czarnym aksamicie. Wydawało się ono tak oszałamiająco piękne, że niemal wierzyła, iż gdzieś tam znajduje się raj. Choć wychowywała się w rodzinie katolickiej, nigdy nie uważała się za osobę wierzącą, a teraz chodziła na mszę tylko raz w roku, na Boże Narodzenie, z rodzicami, i to wyłącznie dlatego, by sprawić im przyjemność. Uśmiechnęła się do siebie. Dlaczego myśli o religii pojawiały się zawsze wtedy, gdy wykonywała zadanie? Czyżby w ten sposób ujawniał się podświadomy strach przed wiecznym potępieniem? Odepchnęła od siebie te myśli, koncentrując się na poczynionych wcześniej planach.

Zdecydowali, że do Kondese udadzą się w pięcioro – i nikt więcej. Tambese wyjaśnił, że każda próba sprowadzenia posiłków tylko zaalarmowałaby buntowników. Sabrina odbyła prywatną rozmowę z Grahamem na temat udziału w akcji Laidlawa i Morediego. Moredi znał rozkład więzienia Branco, w którym był niegdyś przetrzymywany, a specjalnością byłego komandosa Deltą było planowanie ataku i dróg odwrotu po skończonej akcji. Obaj mogli więc oddać zespołowi niezastąpione usługi, lecz żaden nie będzie brał udziału w akcji bezpośredniej. Usatysfakcjonowana tym rozwiązaniem, porzuciła temat.

Tambese wy dostał z koszar broń, a potem w prywatnej firmie w mieście wyczarterował cessenę. Samolotem nie tylko dotrą na miejsce szybciej, lecz również unikną posterunków wystawionych przez rebeliantów na wszystkich drogach dojazdowych do Kondese. Wylądować mieli na farmie pod miastem, należącej do osobistego przyjaciela braci Mobuto, Matthew Okoye’a, jednego z najbogatszych obywateli Zimbali. Ngune rozsądnie nakazał swoim żołnierzom zostawić go w całkowitym spokoju, znał wartość takich ludzi i nie pragnął robić z nich wrogów. Niezależnie od tego, kto wygra, byli przyszłością Zimbali.

Nieco ponad godzinę zabrało im dotarcie do prywatnego lotniska. Tambese wylądował, po czym wszyscy zostali odwiezieni na farmę. Gospodarz z żoną dyskretnie wycofali się po kolacji, a goście pozostawieni sami w przestronnym pokoju mogli spokojnie przedyskutować operację. Niewiele jednak było do zrobienia przed dostarczeniem na farmę dokładnych planów kompleksu więziennego, Sabrina wyszła więc na ganek zaczerpnąć świeżego powietrza.

Za jej plecami otworzyły się drzwi. Obejrzała się i uśmiechem przywitała Grahama.

– Tak tu spokojnie – powiedziała rozmarzonym głosem. – Popatrz tylko w niebo – ani chmurki, gwiazdy jak okiem sięgnąć, a tam, w dali, widać nawet światła Kondese. Jakie to piękne!

– Aha. W takich chwilach człowiek rozumie, skąd Keats czerpał natchnienie dla „Tajemnej róży” albo Hopkins dla „Gwiazdnej nocy”.

– Nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać, partnerze! – W zdumieniu potrząsnęła głową. – Nie zdawałam sobie sprawy, że czytujesz poezję!

Uśmiechnął się i zrobił krok w jej kierunku.

– Dorastałem w świecie poezji. Mama miała jej całe tomy, wszystkie pięknie oprawione w skórę: Keats, Wordsworth, Browning, Shelley i cała reszta. Co piątek jej rodzice przychodzili do nas na kolację, a potem musiałem czytać im z jednego z tych tomów. Robiłem to prawie do dwudziestego roku życia.

– Nadal czytasz poezje?

– Tylko kiedy odwiedzam mamę w domu spokojnej starości w Santa Monica. Ma wszystkie te tomy na półce u siebie w pokoju. Traci wzrok, więc ja muszę czytać jej ulubionych poetów.

– Wiesz, że po raz pierwszy powiedziałaś właśnie coś konkretnego o swym dzieciństwie?

– Teraz wiesz, dlaczego jestem, jaki jestem. Wyobraź sobie brzdąca w garniturku i krawacie, czytającego dziadkom „Elegię na wiejskim cmentarzyku” Graya. Ale chęci miała dobre i to tylko się liczy.

– Chciałabym tam być – zachichotała dziewczyna.

– Wcale nie! – odparł wesoło. – Ciebie też zapędziłaby do czytania.

– Wiem, jak bardzo kochasz matkę, ale nie słyszałam od ciebie ani słowa o ojcu. Nie chcę być wścibska, lecz czy jest jakiś specjalny powód?

– Nigdy nie byłem z nim szczególnie blisko. Nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego. Ani razu nie zabrał mnie na mecz „Gigantów” czy „Jankesów”. Chodziłem z ojcami innych chłopców, a potem, kiedy podrosłem, sam. Straszliwie się wstydzilem. Zacząłem grać w futbol mając jedenaście lat. Nie przyszedł na żaden mój mecz. Choćby raz. Mama też nie interesowała się futbolem, ale nie opuściła ani jednego mojego występu, gdy graliśmy w okolicach Nowego Jorku.

– I nie widział cię walczącego w drużynie „Gigantów”?

– Zmarł siedem miesięcy przed podpisaniem kontraktu. Wątpię jednak, czy by go to zainteresowało. Po co zmieniać nawyki całego życia?

Dosłyszała gorycz w jego głosie i zdecydowała, że nie będzie kontynuować tematu. Jego szczerość była jednak zdumiewająca. Jeszcze rok temu na wzmiankę o przeszłości zamknąłby się jak ślimak w skorupie. Czyżby kruszyły się bariery, którymi odgradził się od świata, kiedy stracił rodzinę? A może myślał, że wreszcie stanie twarzą w twarz z człowiekiem winnym tej tragedii? I co się wtedy stanie? Czy zabije Bernarda, czy też przekaże go władzom? Zdawała sobie sprawę, że nie zna odpowiedzi na wszystkie te pytania. A może nie chce poznać?

– Ładna z was para. – Laidlaw wystawił głowę przez drzwi.

– A co to niby ma znaczyć? – Graham poderwał się na równe nogi.

– Tak sobie żartowałem. – Były komandos puścił oczko do Sabriny. Dziewczyna tylko w milczeniu pokręciła głową. Co za głupek! No, ale przecież nie zna Mike’a równie dobrze jak ona. Każda „damsko-męska” uwaga na ich temat sprawiała, że natychmiast zamykał się w sobie. Niektóre rzeczy nie zmieniają się tak łatwo.

– O co ci chodzi? – spytał napastliwie.

– Daj spokój, chłopie, przecież tylko żartowałem. – Laidlaw niepewnie patrzył to na niego, to na dziewczynę. – Słuchajcie, naprawdę nie obchodzi mnie, jeśli coś między wami jest, ale...

Graham złapał go za koszulę i niemal rzucił na ścianę.

– Pracujemy razem. Koniec, kropka. Zrozumiałeś?

Laidlaw wyrwał się z uścisku. Wygładził koszulę.

– Są plany – stwierdził krótko, szarpnął drzwi i znikł we wnętrzu domu.

– Dlaczego mężczyzna i kobieta nie mogą po prostu razem pracować? – spytał Mike. – Zawsze pojawiają się jakieś seksualne aluzje.

Sabrina tylko skinęła głową – uznała, że lepiej się nie odzywać. Oboje zeszli z ganku. W pokoju podszedł do nich Russ.

– Przepraszam cię – zwrócił się do Grahama. – Nie powinienem tego powiedzieć.

– Zapomnijmy o wszystkim. – Mike ruszył w kierunku Tambese’a i Morediego, którzy zajęli miejsca na kanapie. Przed nimi na stole leżały plany.

– Siadajcie – Tambese wskazał im drugą kanapę, ustawioną po przeciwnej stronie stołu.

Mike zaczekał, aż wszyscy zajęli miejsca, a potem ponad głowę Sabriny spojrzął na Laidlaw’a.

– I co o tym sądzisz? – spytał go.

Były komandos obrócił plany i z kolei zerknął na Morediego.

– Mówisz, że zewnętrzne ogrodzenie jest pod napięciem?

Dziennikarz skinął głową.

– Nie wiem jakim, ale z pewnością śmiertelnym. Kiedy siedziałem, zginął jeden z próbujących ucieczki więźniów.

– Nikomu nie udało się uciec – wtrącił Tambese. – Słyszałem o aresztowanych, którzy po wyprowadzeniu z samochodów natychmiast rzucali się na siatkę i ginęli od wstrząsu. Do tego stopnia ludzie bali się Sił Bezpieczeństwa.

– Gdzie jest centrala?

Tambese wskazał palcem na kwadrat wyrysowany pośrodku kompleksu.

– To dyspozytornia. Znajduje się pod ziemią. Prowadzi do niej jedna droga, zamknięta metalową kratą. Drzwi wykonano ze wzmocnionej stali, można je otworzyć wyłącznie od środka. System nie do złamania.

– David był wśród żołnierzy, którzy po śmierci Alphonse’a Mobuto wyzwolili więzienie – oznajmił Moredi.

– Po raz pierwszy był pan wtedy wewnątrz? – spytała Sabrina.

Pułkownik skinął głową.

– Przedstawiciele wojska i normalnej policji nigdy nie wpuszczano do środka. W Branco rządziły Siły Bezpieczeństwa.

– I po zdobyciu więzienia nie wyłączono elektryczności? – zainteresował się Graham.

– Wyłączono. Ale nie trudno byłoby wszystko naprawić.

– Nie ma pan jednak pewności, czy instalacja została naprawiona? – powiedziała Sabrina.

– Zgodnie z informacjami otrzymanymi z Kondese, działa.

– A nie dałoby się załatwić przerwy w dopływie prądu? – spytał Mike.

Tambese potrząsnął głową.

– Nawet gdybyśmy wdarli się jakoś do elektrowni, nic by to nam nie dało. W więzieniu jest generator awaryjny.

– Co z bramą? – Laidlaw nie spuszczał wzroku z planów.

– Główna znajduje się tutaj. – Moredi wskazał miejsce palcem.

– Otwierana i zamykana z dyspozytorni – dodał Tambese. – Po obu stronach ma wieże, na każdej zaś znajduje się uzbrojony strażnik. Na sto metrów wypatrzą nawet mysz.

– Z czego zrobiona?

– Wzmocniona stal.

Były komandos z namysłem przygryzał dolną wargę studiując plany.

– Ilu ludzi Ngune znajduje się w środku? – spytał Graham.

– Sądzimy, że mniej więcej dwudziestu pięciu – odparł Tambese.

– A reszta jego sił? – zainteresowała się Sabrina.

– Sam chciałbym wiedzieć – westchnął pułkownik. – Naprawdę. Ma patrole w mieście i przy punktach kontrolnych na drogach. Oddziały partyzanckie badają te tereny od czasu, gdy Ngune zajął Kondese, ale dotychczas nie zdobyły żadnych pewnych informacji. Dziwne. Musi być tu jakiś garnizon, ale do tej pory na niego nie wpadliśmy.

– Może to tylko bluff? Może Ngune ma mniej ludzi, niż twierdzi?

– Myśleliśmy i o tym, panie Graham. Czołgi i samoloty na nic mu się jednak nie przydadzą bez ludzi, a wiemy, że dysponuje i jednym, i drugim.

– To dlaczego ich nie zniszczycie? – zdumiała się dziewczyna.

– Bo znajdują się w Czadzie. Gdyby nasi żołnierze przekroczyli granicę, spowodowałyby to z całą pewnością incydent o zasięgu międzynarodowym, a tego nam nie trzeba – zwłaszcza teraz, kiedy mamy zostać przyjęci do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Złożyliśmy oficjalny protest, ale rząd Czadu twierdzi, że to uzbrojenie jego armii i formalnie ma rację. Z wiarogodnych źródeł – od oficerów armii Czadu – wiemy jednak, że Ngune zawarł układ z ich rządem i dostanie czołgi oraz samoloty celem dokonania zamachu stanu. Ma je tylko obsadzić swymi ludźmi. Na razie mamy pata.

– Więc może i garnizon stacjonuje w Czadzie?

– Nie. – Tambese potrząsnął głową. – Sprawdziliśmy. Czadyjski rząd jest na to za mądry. Gdyby przyjęli żołnierzy Ngune, dostarczyliby nam dowodów, na które tylko czekamy. Zdiskredytowalibyśmy ich w oczach opinii światowej.

– Mam! – przerwał im nagle Laidlaw. – Kanały!

– Co? – Sabrina odwróciła się, zaskoczona.

– Tak właśnie dostaniemy się do kompleksu. Kanałami. O, tu jest wejście. – Stuknął palcem w plany.

– Będzie zamknięte – zauważył Graham.

– Użyjemy palnika acetylenowego.

– Strażnicy dostrzegą płomień.

Były komandos uśmiechnął się zwycięsko.

– Nie, nie dostrzegą. Według skali tego planu wejście do kanałów znajduje się zaledwie kilka metrów za koszarami. Strażnicy z wieży go nie widzą.

– A co z ludźmi w koszarach? – zainteresowała się Sabrina.

– Jeśli zaczniemy akcję jutro rano około trzeciej, będą spali. – Laidlaw spojrział na Tambese’a.

– Czy jest pan pewien, że o tej porze jedynymi czuwającymi będą ci żołnierze na wieżach? Żadnych patroli na terenie więzienia?

Oficer potrząsnął głową.

– Patrole nie mają sensu. Wieże panują nad całym więzieniem.

– No dobrze. Załóżmy, że dostaniemy się do kanałów. – Graham pilnie wpatrywał się w diagram. – Jak przejdziemy od koszar do budynków więziennych?

– Najpierw musimy zneutralizować strażników. Potrzebujemy karabinu snajperskiego z tłumikiem. – Laidlaw znów spojrział na Tambese’a. – Może pan go zdobyć?

– Nie ma potrzeby – wtrąciła Sabrina. – Możemy wykorzystać te uzi, które dostaliśmy w Habane. Mają tłumiki.

– Zbyt ryzykowne – orzekł były komandos. – Wieże znajdują się dobre dwieście metrów od koszar. Jeśli nie położymy strażników pierwszą kulą, niemal na pewno uniemożliwi to przeprowadzenie operacji. Dlatego właśnie jest nam potrzebny karabin z celownikiem optycznym. Będziemy mieli tylko jedną szansę.

– Załatwię go – obiecał żołnierz.

– No dobrze, więc zlikwidowaliśmy strażników – odezwał się Graham. – I co teraz?

– Przechodzimy do budynków więzienia i odnajdujemy celę, w której trzymają Remy’ego Mobuto – Laidlaw powiedział to tak, jakby nie wyobrażał sobie niczego prostszego.

Mike przeczesał palcami włosy. Sprawiał wrażenie zdziwionego.

– Z pewnością oba bloki są od siebie oddzielone. Murem albo ogrodzeniem z siatki.

– Nie według tych planów.

– To nie San Quentin, panie Graham – powiedział cicho Moredi siadając sztywno i kładąc dłonie równo na kolanach. – Nie ma jadalni, w której więźniowie spożywają posiłki. Nie ma spacerniaka, na który mogą wyjść, rozprostować nogi. W Branco więźniowie nie mają żadnych praw. To była pierwsza rzecz, której się nauczyłem, kiedy mnie tam przywieźli. Siedziałem osiem tygodni. Jak wszystkim politycznym, skuto mi kajdankami ręce i nogi. Cella była ciemna, półtora na dwa i pół metra. Wychodziłem tylko wtedy, kiedy prowadzono mnie do pozbawionej okien sali tortur. Co noc przynajmniej raz na godzinę włączano reflektor w rogu i kazano mi stawać na baczność. Kiedy nie mogłem już utrzymać się na nogach ze zmęczenia, wpadali do środka i bili. Jeśli miałem szczęście – biczem i pałką, jeśli nie – nabijaną gwoździami deską lub drutem kolczastym. Z powodu kajdanków nie mogłem się oczywiście bronić. Nie dawali nawet wiadra – ludzie leżeli we własnych odchodach,

a kiedy już nawet strażnicy nie byli w stanie znieść smrodu, zmywali cele węzłem. – Nagle Moredi uśmiechnął się smutno. – Mam nadzieję, że teraz już pan rozumie, dlaczego między budynkami nie ma ani muru, ani siatki. Nigdzie nie wychodziliśmy.

Graham przytaknął skinieniem głowy. Twarz miał ponurą, milczał. Po tym, co usłyszał, każde słowa zabrzmiałyby banalnie.

– Narysuję wam szkic bloku, ale nie wrócę tam. – Dziennikarz zaczął wykręcać sobie palce. – Nie po tym, co przeszedłem.

– Rozumiemy – powiedziała łagodnie Sabrina.

Zapadła cisza.

– Czy wszyscy zgadzamy się z planem pana Laidlawa? – przerwał ją Tambese.

– Warto spróbować – stwierdził Graham. – Ale nie możemy zaczynać nie przygotowani. Najpierw trzeba wszystko sprawdzić.

– Zgoda. – Laidlaw znów spojrzał na Tambese'a. – Może pan zdobyć plany kanałów na terenie więzienia?

– Nie bez wzbudzenia podejrzeń. Plan Branco mamy tylko dlatego, że przypomniałem sobie o kopiach znajdujących się w naszej kwaterze w Habane. Plany kanałów są pewnie w ratuszu, a ratusz jest zamknięty.

– Potrzebujemy ich. – Były komandos uważnie obserwował twarze każdego z obecnych. – Bez nich sobie nie poradzimy.

– Mamy więc tylko jedno wyjście – stwierdził po prostu Graham. – Włamiemy się do ratusza i zdobędziemy je.

– Zatrzymają nas przy pierwszej blokadzie drogowej – orzekła Sabrina.

– A w dodatku w mieście zarządzono godzinę policyjną od szóstej do szóstej – przypomniał im Moredi.

– Więc pozostaje tylko włączyć do akcji partyzantów. Poproszę tu naszego gospodarza. – Tambese wstał i ruszył w kierunku drzwi.

– Nie może się pan z nimi skontaktować bez pośrednictwa Matthew Okoye'a? – zawołał za nim Mike.

– Raczej nie. On nimi dowodzi. – Żołnierz cicho zamknął za sobą drzwi.

Simon Nhlapo usiadł za kierownicą karetki i właśnie zapalił silnik, kiedy obok niego znalazł się jego partner, Joe Vuli. Uruchomił syrenę, wyjechali ze szpitala i natychmiast skręcili na pustynną drogę. Nhlapo od osiemnastu lat był sanitariuszem w Szpitalu Narodowym w Kondese. No, kiedyś szpital nazywał się oczywiście inaczej – nosił imię Margaret Mobuto, żony Alphonse’a Mobuto, zmarłej cztery lata po jego otwarciu w 1972 roku. W kilka dni po śmierci ojca Jamel Mobuto nakazał zmianę nazwy – podobnie Hotel Alphonse’a Mobuto stał się International Hotel.

Simon Nhlapo nie interesował się polityką, lecz jak wielu członków plemienia Suahili mieszkających w mieście i jego okolicach przyszłość Zimbali widział pod rządami Jamela Mobuto. Nie rozumiał, dlaczego władze pozwoliły, by Ngune i jego rzeźnicy zajęli miasto. Doskonale pamiętał Kondese pulsujące nocnym życiem, teraz po zapadnięciu zmroku na ulicach spotykało się tylko bandy strażników z byłych Sił Bezpieczeństwa szukających ludzi wystarczająco głupich, by naruszyć godzinę policyjną. Karą za to była natychmiastowa egzekucja. Massenga rozwiązał nawet policję, wieczorami poruszały się po ulicach jedynie pojazdy należące do okupantów, wyposażone w specjalne, umieszczone za szybami przepustki – i, oczywiście, karetki.

Na początku pracownicy szpitala obawiali się, że Ngune zatrudni w nim swoich „lekarzy”, lecz przywódca rebeliantów zapewnił administrację, że nie będzie ingerował w jego pracę tak długo, jak długo personel nie złamie narzuconych przez niego reguł postępowania. Wielu ich przestrzegało, najczęściej ze strachu, lecz inni, jak on sam lub Vuli, przyłączyli się do ruchu oporu, gdy tylko Siły Bezpieczeństwa opanowały Kondese. Nigdy przedtem Nhlapo nie miał do czynienia z partyzantką, czuł jednak, że nadszedł czas, by przeciwstawić się brutalności okupantów. Gdyby Ngune zdobył władzę, kraj znów znalazłby się w łapach skorumpowanego dyktatora i byłoby tak jak kiedyś. Nie wolno do tego dopuścić. Znał również cenę, jaką zapłaciłby, gdyby ktokolwiek dowiedział się o jego związkach z ruchem oporu. Poinformowano go o tym na pierwszym spotkaniu. Znalazłby się w Branco, a po torturach czekałaby go już tylko egzekucja. Wielu ludzi zginęło już z ręki zbirów Ngune po przejęciu przez niego kontroli nad Kondese, było tak, jakby nigdy go nie opuścił. Od trzech tygodni krążyły plotki, że armia ma wreszcie zaatakować i wyzwolić miasto, ale na razie nic się nie działo. Mieszkańców zaczynała ogarniać rozpacz.

Przycisnął hamulec. Podjeżdżali do pierwszej z licznych barykad wzniesionych na drogach prowadzących do Kondese. Składała się ona z kłębów kolczastego drutu, rozłożonego na całej szerokości drogi. Pilnowali jej czterej mężczyźni ubrani w dzinsy i podkoszulki, każdy uzbrojony w kałasznikowa. Jeden z nich, mocno ściskając w garści karabin, podszedł do karetki od strony kierowcy.

– Dokąd to? – spytał.

– Na M3 był wypadek – odpowiedział Nhlapo. – Samochód wpadł do rowu.

Mężczyzna skinął głową. Dyspozytor zawiadomił go już o wysłaniu karetki. Samochód zbadano dokładnie, szukając broni lub kontrabandy, którą sanitariusze mogli próbować przemycić przez kontrolę, niczego jednak nie znaleziono.

Usatysfakcjonowany, strażnik zwrócił się do kierowcy:

- Masz wolny przejazd przez wszystkie punkty kontrolne aż do ostatniego, na granicach miasta.
- Znam procedury – odparł krótko Nhlapo.

Bandyta tylko skinął głową. Jedną z bel drutu kolczastego usunięto z drogi, robiąc przejazd wystarczająco szeroki, by mogła się przez niego przecisnąć karetka. Ruszyli. Minęli jeszcze cztery punkty kontrolne, uzbrojeni strażnicy za każdym razem pozwolili im przejechać. Zatrzymano ich, zgodnie z oczekiwaniami, przy ostatnim, na rogatek, i samochód po raz kolejny został dokładnie przeszukany.

Już po chwili wjechali na M3. Całkowicie opustoszała szosa sprawiała niesamowite wrażenie. Ruch oporu zniszczył większość latarni, ciemność była im ochroną konieczną podczas błyskawicznych ataków na patrolujące okolice oddziały rebeliantów. Leżące w rowach, wypatroszone wraki pojazdów świadczyły o sukcesach tych akcji. Zginęło niemal trzydziestu jego ludzi, nim Ngune wydał rozkaz odwrotu, zadowolając się panowaniem w granicach miasta. Natychmiast wzmocniono barykady na drogach, patrole były teraz liczniejsze i lepiej uzbrojone, tak więc odbicie samego miasta stało się prawie niemożliwe. Seria aresztowań i egzekucji z ostatnich dwóch tygodni zniechęciła też i zdemoralizowała partyzantów. Nie byli po prostu w stanie przeprowadzić ofensywy na Kondese bez wsparcia regularnych oddziałów wojska. A wojsko najwyraźniej czekało, aż Ngune zrobi pierwszy krok...

Vuli wskazał widoczną w oddali postać, gwałtownie machającą chusteczką, by zwrócić na siebie uwagę. Zbliżając się do stojącego na poboczu człowieka Nhlapo zwolnił i wyłączył syrenę. Zatrzymał się tuż przy machającym im mężczyźnie.

- Pan wzywał karetkę? – spytał wyskakując na drogę.
- Tak. – Tambese schował chusteczkę do kieszeni.
- To bardzo zdradziecka droga.
- Zwłaszcza w nocy – dodał oficer.

– Albo podczas deszczu – Vuli dokończył hasło uzgodnione z Okoye'em, który poinformował ich o akcji telefonem do szpitala. Nie znali nazwiska Tambese'a, a on także nie wiedział, kim są ci mężczyźni. Te środki ostrożności przedsięwzięto na wypadek, gdyby którykolwiek z nich został aresztowany przez ludzi Ngune i torturami zmuszony do zeznań. Minimalizowano w ten sposób straty.

- Czego chcecie? – spytał Nhlapo.
- Macie nas przewieźć przez blokady. Nie musicie wiedzieć nic więcej.
- Ilu was jest?

– Trójka. – Tambese wsadził dwa palce w usta i gwizdnął. Jako pierwszy pojawił się Laidlaw, niosący czarną lekarską torbę, którą pożyczyła mu żona Okoye'a, mająca praktykę w mieście. Zaraz za nim z krzaków wyszli Graham i Sabrina, Vuli omal nie krzyknął ze zdumienia. Żona gospodarza

pracowała przeszło godzinę, by sprawiali wrażenie autentycznych ofiar wypadku samochodowego. Twarze i ubrania mieli umazane w owczej krwi, na twarzach zaś „sińce” doskonale podrobione kredką do powiek.

– To tylko makijaż – uspokoił sanitariuszy Tambese.

– Ale bardzo realistyczny – stwierdził Vuli.

– Na tym właśnie polega nasz pomysł – wyjaśnił żołnierz. – Jakoś przecież musimy przejechać przez blokady.

Do Laidlawa podszedł Graham.

– Wiesz, co masz robić? – spytał.

Były komandos pohamował gniew i odparł:

– Odprowadzić samochód na farmę i czekać na wiadomość was. Nadal twierdzą, że mógłbym się przydać...

– Nie! Omawialiśmy już tę sprawę, Russ. Potrzebuję na farmie kogoś, komu mógłbym zaufać, kogoś, kto zadzwoni do Nowego Jorku, gdyby się nam nie udało.

– Masz Morediego!

– Nie wie, że Sabrina i ja pracujemy dla UNACO. Ty wiesz. Jeśli nie odezwiemy się do świtu, zadzwoń pod numer, który ci podałem.

– Mam złapać gościa, którego nazywacie C.W. Wiem, wiem.

– Gotów pan, panie Graham?! – krzyknął Tambese.

Mike skinął głową.

Laidlaw wręczył żołnierzowi lekarską torbę, po czym obejrzał się na przyjaciela.

– Uważaj na siebie, słyszysz? – powiedział mu.

– Słyszę. – Mike powoli podszedł do karetki.

– A co z tym? – Sabrina wskazała stojącą obok niej torbę, w której były trzy beretty, trzy uzi z tłumikami, zapasowe magazynki oraz kabury, zabrane przez Tambese’a z koszar w Habane. Okoye załatwił im karabin snajperski, tłumik i palnik – w umówionym punkcie koło ratusza miał zostawić je dla nich członek ruchu oporu.

Graham spojrzał na pułkownika.

– No i co? Gdzie to chowamy?

– Nie włożymy ich do karetki tak po prostu. Patrole na pewno je zauważą.

– Więc co pan proponuje? Tambese wsiadł do samochodu.

– Poproszę torbę – zwrócił się do dziewczyny. Potem ściągnął z obu par noszy wierzchnią warstwę prześcieradeł, porządnie ułożył broń na materacach i przykrył je z powrotem.

– Będziemy na niej leżeć? – zdziwił się Graham.

Odpowiedziało mu skinienie głowy.

– Przecież tam sprawdzą najpierw!

– Gdybyście byli miejscowi, tak – wyjaśnił pułkownik. – Ale jesteście cudzoziemcami. Udajecie dziennikarzy. To bardzo poważna różnica.

Mike wspiął się do karetki i usiadł na noszach.

– Jaka różnica? – zainteresował się.

– Powiem patrolom, że partyzanci zaatakowali was tuż przed Kondese. Z pewnością zrozumieją, że warto zapewnić wam najlepszą pomoc lekarską, bo wreszcie będą mieli dobrą prasę. Oznacza to między innymi zezwolenie na przejazd karetki wprost do szpitala, bez żadnych opóźnień. Takiej okazji nie przegapią.

– A jeśli przegapią?

– No to mamy kłopoty. – Tambese wyciągnął dłoń i pomógł Sabrinie wsiąść. W suabili rozkazał Vuliemu, żeby się nie odzywał – tylko on sam ma rozmawiać z patrolami. Nakazał mu także popukać w szklaną przegrodę za kabiną kierowcy, kiedy będą się zbliżać do pierwszej blokady. Sanitariusz posłusznie skinął głową, wsiadł do karetki i zamknął za sobą drzwi.

Nhlapo zapalił. Nim wrzucił bieg, wytarł z czoła pot.

– Niech nam Bóg pomoże, jeśli znajdą tę broń.

Vuli tylko spojrzał na niego, powoli potrząsając głową.

– Nawet On nie będzie w stanie nic dla nas zrobić w tym wypadku – orzekł.

Karetką ruszyła, zawróciła i popędziła w stronę Kondese.

Vuli zastukał mocno w szklaną szybę – zbliżali się do pierwszego punktu kontrolnego. Gdy

jeden z rebeliantów pojawił się na szosie machając ręką, Nhlapo instynktownie zbyt mocno przycisnął hamulec. Vuli uspokajająco ścisnął go za ramię i sięgnął po leżący na półeczce przed nim formularz opisujący szczegóły „wypadku”, skopiowane słowo w słowo z opisu, który Tambese przygotował jeszcze na farmie. Ngune rozkazał, by załogi karetek przygotowywały takie opisy, ilekroć musiały wyjeżdżać poza granice miasta, na teren, będący – zdaniem buntowników – „ziemią niczyją”. Takie określenie świadczyło, że ruch oporu odniósł tu prawdziwe zwycięstwo – i nie ostatnie, pocieszał się sanitariusz. Karetka zatrzymała się kilkadziesiąt centymetrów od zagrządzających szosę zwojów drutu kolczastego. Częściowo ukryty za obrabowanym sklepem spożywczym stał przy drodze stareńki i mocno zużyty M41 walker bulldog, na którego wieżyczce siedział mężczyzna w spłowiałym podkoszulku Adidasa, pod i ręką miał gotowego do strzału kałasznikowa. Vuli dostrzegł również wystającą z poprzecznej uliczki maskę samochodu pancernego Ferreta. Od byłego człowieka Ngune, walczącego teraz tu boku partyzantów, wiedział, że oba to stare modele, podobno jeżdżącym po mieście M41 brakowało części i nie były zdolne do walki. Taki mały pokaz siły. Pilnowano ich jednak jak skarbu i ruchowi oporu, mimo prób, nie udało się jeszcze zdobyć żadnego. Rebeliant, który zatrzymał karetkę, zastukał w okno od strony pasażera, przerywając tok myśli sanitariusza. Vuli szybko opuścił szybę.

– Wysiadać. Obaj – padł rozkaz.

Wysiedli. Inny z buntowników natychmiast zaczął szperać w karetcie, szukając broni, którą partyzanci mogli załadować do samochodu, kiedy przebywał on poza terenem kontrolowanym przez ludzi Ngune.

– Raport! – rozkazał Vuliemu pierwszy z żołnierzy. – No, już.

Dostał formularz, przyjrzał mu się i natychmiast podniósł wzrok.

– Amerykanie?

Sanitariusz potwierdził skinieniem głowy.

– Dziennikarze – dodał.

– Otwórzcie karetkę.

Nhlapo otworzył tylne drzwi i omal nie westchnął ze zdumienia. Graham miał na twarzy maskę tlenową, a do ramienia leżącej bezwładnie Sabriny była przyczepiona plastrem igła kroplówki.

Żołnierz dokładnie obejrzał sobie tę scenę. Jego wzrok zatrzymał się na Tambesie.

– Kim pan jest? – spytał ostro.

– Nazywam się Moka. Doktor Moka. Mieszkam niedaleko miejsca, gdzie zdarzył się wypadek. Byłem tam pierwszy.

– To Amerykanie?

– Dziennikarze. Oboje z Nowego Jorku.

– Czy ich rany są poważne?

„Doktor Moka” ponuro skinął głową.

– Zostali ostrzelani przez patrol rządowy. Jedna z kul trafiła kobietę, która prowadziła. Zdążyła mi to powiedzieć, nim straciła przytomność. On najwyraźniej uderzył w szybę, kiedy samochód wpadł na drzewo. Poważna rana głowy. Potrzebna im natychmiastowa pomoc szpitalna.

– Najpierw przeszukamy karetkę. – Dowódca patrolu powiedział to ostro – miał wrażenie, że lekarz podważa jego autorytet przed podwładnymi.

– Ta kobieta ma krwotok. – Tambese wskazał pojemnik z krwią podłączony do kroplówki. – Umrze, jeśli w ciągu godziny nie znajdzie się na stole operacyjnym. Jeśli tak się zdarzy, dopilnuję, by poniósł pan osobistą odpowiedzialność. Prasa światowa będzie przeciwko waszemu pułkownikowi Ngune. Wątpię, czy otrzymacie za to serdeczne podziękowania.

Na wzmiankę o Ngune na twarzy dowódcy patrolu pojawił się strach. Spojrzał jeszcze raz na Sabrinę, a potem szeptem porozumiał się z kolegami, gromadzącymi się wokół karetki.

– O co tu chodzi!?! – ryknął w końcu „doktor Moka”. – Chcę dowieźć tę kobietę do szpitala! Już!!!

Dowódca po raz ostatni rozejrzał się po karetce, wyrwał raport z rąk Vuliego i podpisał go. Tambese westchnął z ulgą. To właśnie było im najbardziej potrzebne.

– Na ilu jeszcze blokadach będziemy się musieli zatrzymać? – spytał gniewnie.

– Nie będziecie już zatrzymywani – padła odpowiedź.

– Dziękuję. To może zadecydować o życiu tej kobiety.

Dowódca rozkazał sanitariuszom zamknąć karetkę. Usłyszawszy trzask drzwi Tambese opadł na fotel, dłońmi ocierając pot z twarzy. Ani Sabrina, ani Mike nie poruszyli się, choć usłyszeli, że samochód został zamknięty. Ruszyli z wyciem syreny – wkrótce blokada pozostała daleko za nimi.

– Udało się – powiedział pułkownik.

Graham natychmiast wstał, zrywając z twarzy maskę tlenową. Skrzywiony, masował sobie plecy.

– Jezu, mój kręgosłup nie wytrzymałby dłużej.

Dziewczyna odkleiła plaster przytrzymujący igłę kroplówki. Uśmiechnęła się szeroko.

– Nie wiem, co pan im powiedział, ale sprawiał pan wrażenie autentycznie wściekłego.

– Matka umarła mi w karetce – odparł po chwili namysłu Tambese. – Chyba przypomniałem sobie po prostu to, co czułem wtedy.

– Przepraszam pana...

– To było dawno temu.

– Mamy wolną drogę do samego szpitala? – pytanie Mike’a przerwało niezręczną ciszę.

– Oczywiście. – Żołnierz wymierzył w nich palec. – Mówiłem, że dadzą się na to nabrać?

– Co pan im właściwie powiedział? – zainteresowała się Sabrina.

Pułkownik streścił rozmowę przy barykadzie.

– Najwięcej dobrego zrobiło imię Ngune – zauważył Graham, kiedy opowieść dobiegła końca.

– Z pewnością nie zaszkodziło. Ludzie boją się go jak śmierci.

– Łatwo uwierzyć – stwierdziła ponuro Sabrina.

Vuli odsunął szybę oddzielającą kabinę kierowcy od wnętrza karetki. Pokazał im uniesiony w górę kciuk.

– Gdzie wysiadzicie? – zwrócił się do Tambese’a w suahili.

– Jedź do szpitala – odpowiedział pułkownik. – Tam się pożegnamy.

Sanitariusz skinął głową i zasunął szybę.

– A co z nimi? – zaniepokoiła się Sabrina. – Czy Ngune się na nich nie zemści?

– Schodzą do podziemia. Ruch oporu przesznuje ich z Kondese.

Karetka zwolniła. Pułkownik osłonił oczy, próbując przez szybę dostrzec, co się dzieje.

– No i co? – denerwował się Graham.

– Zbliżamy się do szpitala. – Żołnierz nawet na niego nie spojrzał.

– Dzięki niech będą Bogu. I co dalej?

– Przygotujcie się. – Tambese odsunął szybę. Kierowcy powiedział w suahili: – Podjedź od tyłu. Powiemy ci, gdzie masz się zatrzymać.

Nhlapo skinął głową i skręcił na podjazd, wyłączając syrenę. Graham i Sabrina zrzucili zabrudzone krwią ubrania, pod spodem mieli czarne jednoczęściowe kombinezony. Włożywszy na głowę wełnianą kominiarkę, Sabrina wycisnęła na dłoń odrobinę kremu kamuflującego, po czym

rzuciła tubkę Grahamowi. Mike wtarł krem w dłonie i twarz, a następnie podał tubkę Tambese'owi. Pułkownik błysnął zębami w uśmiechu i przecząco pomachał ręką. Graham tylko wzruszył ramionami, jego pokerowo nieruchoma twarz ani drgnęła.

Tambese szybko rozebrał się do kombinezonu i znów wyjrzał przez szybkę, szukając wzrokiem rzędu pojemników na śmiecie, przy których – zgodnie z informacjami otrzymanymi przez Okoye'a – powinni wysiąść. Są. Zastukał w okienko i nakazał Nhlapo zjechać do krawężnika. Tymczasem Graham rozdał broń, a potem podzielił amunicję na trzy równe kupki. Załadowali uzi, zapasowe magazynki zaś wsunęli do specjalnych kieszeni w pasach. Schowawszy berettę pułkownik zasygnalizował, że są gotowi. Nhlapo wyjrzał przez szybę i pokazał Vuliemu uniesiony kciuk, sanitariusz także rozejrzał się wkoło na wszelki wypadek, po czym otworzył karetkę. Tambese rozkazał wysiąść Sabrinie i Grahamowi, a następnie sam zręcznie zeskoczył na ziemię. Samochód został błyskawicznie zamknięty.

– Pozbądźcie się tych ubrań i wyczyśćcie wóz z odcisków palców – rozkazał.

– Nie ma sensu – odparł Vuli. – Spalimy go. Takie otrzymaliśmy rozkazy.

– Cóż, dziękujemy za pomoc.

– Powodzenia. – Vuli uśmiechnął się i natychmiast rozejrzał, zaniepokojony. – Idźcie już, stróż może pojawić się tu lada chwila.

Pułkownik przeskoczył niski murek, za którym czekali już na niego Graham i Sabrina.

– Ratusz jest kilkaset metrów stąd, przy tej ulicy – szepnął. Rozejrzał się, lecz nie dostrzegł nikogo. – Gotowi?

Skinęli głowami. Szybko podbiegli do krawężnika i zatrzymali się, nad słuchując. Nie zbliżał się żaden pojazd. Przeszli przez ulicę i – nisko pochyleni – dotarli do najbliższej bramy. Ratusz, zajmujący cały odcinek między dwiema kolejnymi przecznicami, był brzydkim gmachem o miękkich liniach, pochodzącym z początku dziewiętnastego wieku, gdy Zimbala była jeszcze częścią francuskiego imperium. Już mieli ruszyć dalej, gdy pułkownik usłyszał warkot silnika, padli w bramie, trzymając broń w pogotowiu. Minęła ich czarna półciężarówka Toyota, w kabinie siedziało dwóch ludzi, na platformie stał trzeci, podparty wygodnie o dach. Na plecach miał pistolet maszynowy Sterling, w ręku zaś butelkę wina. Samochód dojechał do skrzyżowania i zatrzymał się, to kierowca nie mógł się zdecydować, czy skrócić w lewo czy w prawo. Nagle przycisnął gaz. Zapiszczały opony i toyota znikła w jednej z bocznych uliczek.

Tambese wstał. Dokładnie przyjrzał się otoczeniu, nim dał znak pozostałej dwójce, że wszystko w porządku. Przebiegli sto metrów dzielące ich do wejścia do budynku i ciągle jeszcze próbowali złapać oddech, gdy z oddali dobiegł ich warkot silnika. Pułkownik wskazał krzaki rosnące przy ścianie ratusza, ledwie zdążyli się ukryć wśród nich, gdy nadszedł czarny jeep.

Siedzący z tyłu mężczyzna krzyknął coś do kierowcy, który zatrzymał samochód przed prowadzącymi do ratusza drzwiami. Wysiadł i wrzucił do ścieku butelkę po winie. Kierowca

wrzasnął na niego, gdy odłamki szkła uderzyły w karoserię jeepa. Żołnierz tylko się uśmiechnął i niepewnym krokiem ruszył w stronę krzaków.

Sabrina instynktownie cofnęła się przed nim, trącąc przy tym czyjeś ramię. Zauważyła, że Graham, który znajdował się najbliżej, jest nisko pochylony, a ręce z bronią trzyma blisko ciała, nie mogła więc trącić jego. Odwróciła się bardzo powoli, pokonując niezrozumiałą niechęć... i dostrzegła wplątane w krzaki ciało mężczyzny, najwyraźniej postrzelonego w twarz z bliskiej odległości, w ranie kłębiły się tłuste, białe robaki. Niemal krzyknęła, lecz Mike błyskawicznie nakrył jej usta dłonią. Dostrzegł trupa wcześniej i przewidział taką reakcję. Żołnierz, siusiający pod jednym z dalszych krzaczków, pogwizdywał cicho. Na szczęście nie usłyszał stłumionego jęku dziewczyny. Gdy skończył, wrócił do samochodu, nadal pogwizdując. Kierowca natychmiast włączył silnik i szybko odjechał. Wystarczyło kilka sekund, by na ulicy zapanowała cisza.

– Nic ci nie jest? – Graham wreszcie uwolnił Sabrinę. Skinęła głową, nieco zawstydzona.

Tambese poprowadził ich do wejścia do ratusza. Zdecydowali przedtem, że on i dziewczyna wejdą do środka, a Graham poszuka najbliższego wjazdu do kanału. Spotkają się za dwadzieścia minut.

– Padnij! – szepnęła nagle Sabrina, gdy ulicę zalało światło reflektorów.

Pochylili się, niemal natychmiast pojawił się jeep, na pełnym gazie minął ratusz, przejechał skrzyżowanie mimo czerwonych świateł i znikł w jednej z bocznych uliczek.

– I na tym koniec? – Graham poderwał się z ziemi.

Pułkownik przytaknął skinieniem głowy.

– Jak pan widzi, to całkiem skuteczna taktyka. Nikt nie wie, kiedy mogą się pojawić. Gdy polują na członków ruchu oporu, jeżdżą bez świateł. Ale tu to się raczej nie zdarzy. Partyzanci atakują wyłącznie granice miasta. – Zerknął na Sabrinę. – Gotowa?

– Gotowa – odparła.

– Sprawdźmy. – Odczekał, aż sekundowa wskazówka wskaże równą minutę. – Dziesiąta czterdzieści dwie.

– Zrobione – powtórzyli jednym głosem.

– Dwadzieścia minut – przypomniał Grahamowi pułkownik, po czym znikł za rogiem budynku.

Sabrina ruszyła za nim. Pochylili się mijając szereg okien wychodzących na duży ogród. Trawa sięgała im do kostek, rabaty kwiatów dawno już zarosły chwastami.

Tambese zatrzymał się przy stalowej drabinie, umocowanej do bocznej ściany ratusza. Ukucnął, pod krzakami znalazł torbę umieszczoną tam przez ruch oporu – tak jak obiecał im Okoye. Otworzył ją i sprawdził zawartość: przenośny palnik acetylenowy, rękawice termoizolacyjne,

kanister dwutlenku węgla, karabin snajperski De Lisie, zwinięta lina i latarka. Dał ją Sabine, a sam przewiesił sobie linę przez jedno ramię, uzi zaś przez drugie i wspiął się na płaski dach. Sprawdził, co dzieje się na ulicach, a potem skinął na dziewczynę, która błyskawicznie ruszyła za nim. Zignorowała pomocnie wyciągniętą dłoń i zręcznie wskoczyła na dach.

– Świetlik jest tam – wskazała mu okienko.

Tambese podszedł, przyłożył dłonie do oczu i zajrzał do środka.

– I co? – spytała niecierpliwie.

– Matthew miał rację. To coś w rodzaju archiwum. Tysiące teczek.

– Jak daleko do podłogi?

– Z osiem metrów. – Pułkownik zdjął z ramienia linę. – Ma dziesięć. Może wystarczy.

– Mam nadzieję. – Wskazała mu maszt, do którego w lepszych czasach mocowano flagę państwową. – Potrzeba nam jakiś metr, żeby ją umocować.

Tym zajął się Tambese. Szarpnął linę sprawdzając wytrzymałość masztu – na szczęście solidnie wpuszczonego w beton. Powoli i uważnie rozejrzał się dookoła – ulice nadal były puste. Przykucnął przy świetliku.

– Nie powinno być kłopotów z otwarciem – oznajmił.

Sabrina chwyciła za futrynę i uniosła okienko bez trudu.

– Nie było zamknięte? – spytał zdumiony.

Pokazała mu pilnik do paznokci.

– Drewno zdążyło zgnić przez lata. Nietrudno było podważyć zamek.

Pułkownik z uśmiechem spuścił do środka linę – jej koniec zawisł niespełna metr nad podłogą. Gestem wskazał dziewczynie, że powinna iść pierwsza. Przewiesiła uzi przez ramię i spuściła się do archiwum bez problemu, zgrabnie lądując na podłodze. Zjechał po linie za nią i niemal już dotykał podłogi, gdy zauważył, że gestem nakazuje mu ciszę. Wiedział, że Sabrina ma rację. Zasłużyła na to, by potraktować ją jak równą w tym – z gruntu męskim – działaniu. Wylądował i ruchem dłoni pokazał jej, że może iść pierwsza. Podeszła do drzwi, otworzyła je niemal niezauważalnie, uniesionym kciukiem dała znak, że wszystko w porządku, po czym wróciła do obserwacji korytarza.

Tambese wyjął z kieszeni sporządzony przez Okoye'a plan i próbował się zorientować, gdzie właściwie trafił. Wokół niego stały na regałach zakurzone, podniszczone teczki. Nie interesowały go one w najmniejszym stopniu, w przeciwieństwie do stojących pod ścianami szafek, zawierających plany wszystkiego, co przez dwadzieścia ostatnich lat wybudowano w Kondese i okolicy. Kontakt poinformował ich, że plany kanałów mają numer między 350 a 400. Podszedł do najbliższej szafki i z

ulgą odkrył, że szuflady numerowano dziesiątkami, a nie – jak się obawiał – kolejno. Szybko odnalazł to, czego szukał – szufladę oznaczoną liczbą 350. Plany, zrolowane i zabezpieczone gumkami, były opisane wyłącznie numerami. Zaklął. Nie znając kodu, będzie musiał sprawdzać każdy osobno. Wyjął jeden zwój i dostrzegł, że do dna szuflady jest przyklejony kawałek papieru. Niecierpliwie odgarnął pozostałe zwoje – na karteczce znajdował się spis zawartości. Sprawdził go – planów, które ich interesowały, tu nie było.

– Ktoś idzie! – szepnęła dziewczyna.

Rozejrzał się błyskawicznie, gestem nakazał jej zamknięcie drzwi. Zrobiła to, po czym przyczaiła się przy ścianie. Czekala. Tambese zdjął z ramienia uzi i trzymał je, gotowe do strzału. Był pewien, że nie dostrzeżono ich z ulicy, Okoye zaś powiedział, że instalację alarmową zniszczyli rebelianci zaraz po zajęciu miasta. Jak więc zdołano ich odkryć? Próbował zachować spokój – pojawienie się strażnika nie musiało mieć nic wspólnego z ich obecnością. Może chce sprawdzić inną salę? W końcu to bardzo długi korytarz.

Klamka poruszyła się nagle, lecz drzwi były zamknięte – tak jak wtedy, kiedy weszli do środka. Sabrina zeszywniała z uzi trzymanym na wysokości twarzy. Już zaciskała palec na spuście, gdy z korytarza usłyszała brzęk kluczy. W chwilę później drzwi otworzyły się, jednak nikt się w nich nie pojawił. Nagle nad ich głowa, rozległ się charakterystyczny dźwięk odbezpieczanej broni, a zaraz po nim wydany w suahili rozkaz. Pułkownik potrząsnął głową widząc, że dziewczyna ma zamiar otworzyć ogień, odwrócił się powolutku i spojrzał w górę. Kilka kroków od świetlika stał mężczyzna, celując do niego z kałasznikowa. Powtórzył rozkaz, Tambese upuścił uzi na podłogę. Drugi z rebeliantów wszedł do środka i szybko rozbroił Sabrinę.

– Mogłam go załatwić! – powiedziała wściekła.

– Ja także, ale za jaką cenę? Ten drugi z pewnością otworzyłby ogień. A nawet gdyby jakimś cudem i jego udało się zdjąć, strzelanina zaalarmowałaby wszystkie patrole w mieście. Ostatnią rzeczą, której potrzebujemy, jest wymiana ognia w centrum Kondese.

Milczała, ale musiała przyznać mu rację. Modliła się, by Graham dostrzegł żołnierza wspinającego się pod drabince na dach, w tej chwili była to ich jedyna szansa. Tambese umyślnie powiedział coś głośno do mężczyzny na dachu – być może Mike usłyszy jego głos. Rebeliant z uśmiechem wskazał na ścianę przy drzwiach.

– Mówi, że jest tam czujnik podczerwieni – przetłumaczył pułkownik. – W ten sposób nas odkryli.

– Okoye nie wspomniał o żadnych czujnikach – szepnęła dziewczyna w odpowiedzi.

– Umieszczono je po zajęciu ratusza przez Siły Bezpieczeństwa. W ten sposób strażnicy mogli pełnić inne obowiązki.

Mężczyzna stojący za pułkownikiem stanowczo nakazał mu milczenie. Powiedział coś do kolegi – twarz Tambese’a nagle spoważniała. – O co chodzi? – szepnęła Sabrina nie poruszając

wargami.

– Zastanawiają się, co z nami zrobić. Jeden twierdzi, że naruszyliśmy godzinę policyjną i należy nas natychmiast rozstrzelać. Drugi chce zadzwonić do Branco i zawiadomić Ngune.

Znów nakazano mu milczenie. Jeden ze strażników ściągnął kominiarkę z głowy dziewczyny i na widok jej długich włosów krzyknął coś do kolegi. Obaj się roześmieli.

– Co powiedzieli? – spytała pułkownika, który podnosił się z podłogi po silnym ciosie żołnierza.

– Lepiej, żeby pani nie wiedziała.

Kolba kałasznikowa ponownie powaliła Tambese'a – taka była kara za złamanie rozkazu milczenia. Tym razem jednak strażnik wymierzył w niego i już naciskał spust, gdy Sabrina kopnęła go w nadgarstek. Broń wyleciała wysoko w powietrze, a znajdujący się ciągle na dachu mężczyzna wycelował dziewczynie w plecy.

Pułkownik doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że w żaden sposób nie zdoła dosięgnąć karabinu, skoczył więc i przewrócił Sabrinę na podłogę – z góry jednak nie padł żaden strzał. Strażnik tylko otworzył usta, po brodzie pociekła mu strużka krwi, zachwiał się i z łomotem runął przez świetlik na drewnianą podłogę. Dwie kule trafiły go w kark.

Tambese oraz pozostały przy życiu rebeliant rzucili się do leżącego na ziemi kałasznikowa, pułkownik jednak spóźnił się o ułamek sekundy. Kolba trafiła go w policzek. Zatoczył się niczym bokser oszołomiony potężnym prawym hakiem. Tymczasem strażnik wymierzył broń w dziewczynę sięgającą właśnie po uzi. Nagle dostrzegł jakiś ruch na dachu. Nim zdążył zareagować, Graham dwukrotnie trafił go w pierś. Kule rzuciły go na ścianę, osunął się po niej bezwładnie.

Mike kucnął i zajrzał przez świetlik.

– Hej wy tam, na dole, nic wam nie jest?

Sabrina właśnie podnosiła swoje uzi.

– Pojawiłeś się w ostatniej chwili – stwierdziła z wyrzutem.

– To się nazywa wdzięczność!

– Znalazłeś wejście? – przerwał im Tambese, pocierając obolały policzek.

– Tak, ale z kłopotami. Najbliższe jest o kilka przecznic stąd. Dlatego trwało to tak długo. Poza tym musiałem unikać patroli. Plany są?

– Jeszcze nie. Ale to już nie potrwa długo.

Sabrina zebrała włosy, ukryła je pod kominiarką, zarzuciła na ramię uzi i wyszła na dach.

Tambese szperał w szufladach, póki nie znalazł planów, włożył zwój za koszulę, po czym dołączył do czekającej na niego dwójki. Graham zwinął linę, Sabrina zaś zamknęła świetlik.

– Kiedy dostrzegą, że ci dwaj się nie zameldowali? – spytała, wskazując leżące na podłodze ciała.

– Zmiana nastąpi o szóstej rano. Nas już dawno tu nie będzie.

Mike odwiązał linę od masztu, a potem wszyscy troje zeszli po drabinie na ziemię.

– Jak daleko stąd do więzienia? – spytała dziewczyna. Jakies pięć kilometrów na wschód – odparł Tambese. Wyjął plany zza pazuchy i włożył je do torby. – Obejrzymy je sobie – oznajmił – kiedy zjedziemy do kanałów. Tam przynajmniej nie będziemy musieli cały czas strzec się patroli. – Linę także schował w torbie. – Gotowi?

Mike skinął głową. Przebiegł około stu metrów, kryjąc się w otaczających ogród krzakach. Uważnie się rozejrzał: ulica była pusta, więc gestem pokazał przyjacielom: „droga wolna”. W kilka sekund oboje znaleźli się obok niego. Już mieli ruszyć dalej, kiedy usłyszeli warkot silnika. Przypadli do ziemi czekając, aż się oddali. W końcu Graham przykucnął i rozejrzał się po okolicy. Pusto. Podbiegł do bramy, skrzywił się, kiedy zaskrzypiała. Machnął ręką, po czym przekroczył ulicę, bez wahania zagłębiając się w alejkę łączącą sąsiednie przecznice. Przy jej końcu znów się zatrzymał, nad słuchując. Kolejna ulica okazała się pusta. Wskazał wejście do kanałów, znajdujące się około pięćdziesięciu metrów ód miejsca, w którym stali.

Tambese położył torbę na ziemi i kilkakrotnie zacisnął dłoń, na której pozostał wyraźny ślad uchwytów. Już miał podnieść swój bagaż, gdy Sabrina pociągnęła go za rękaw i wskazała na siebie. Jej kolej. Graham rozejrzał się dookoła. Wyszedł na ulicę i ostrożnie poruszał się wzdłuż budynku – gdyby pojawił się kolejny patrol, potrzebowaliby jakiejś ochrony.

Znajdowali się niespełna dwadzieścia metrów od wjazdu, kiedy z cienia alejki po przeciwnej stronie ulicy wyłonił się mężczyzna – Tambese bezbłędnie rozpoznał w nim tego, który przedtem siusiał w krzakach. Tym razem miał w ręku pełną butelkę wina. Zginął od celnie wystrzelonej kuli, nim zdołał sięgnąć po kałasznikowa, butelka roztrzaskała się o chodnik. Graham dopadł go w kilku susach, sprawdził puls i tylko potrząsnął głową. – Mam wrażenie, że twierdziłeś, iż nie ma tu pieszych patroli – zauważyła Sabrina, gdy stali nad ciałem. – Do tej pory nie było – odparł ponuro pułkownik.

– Kumple zaczną go wkrótce szukać – zauważył beznamiętnie Mike.

– Musimy ukryć ciało. – Dziewczyna już rozglądała się za odpowiednim miejscem.

– Kanały! – Mike strzelił palcami.

– Będę was krył. – Tambese pobiegł w kierunku wjazdu. Graham grzbietem dłoni wytarł pot z czoła. Zdawał sobie sprawę z tego, że w każdej chwili może pojawić się albo jeep, albo któryś z licznych patroli. Chwycił trupa pod pachy, Sabrina zaś za nogi i wspólnie zanieśli go do wjazdu.

Tambese walczył z ciężką klapą.

– Szybko! – syknął Mike.

– Robię, co mogę! – padła ostra odpowiedź.

Graham zostawił zwłoki przy wejściu do kanału i przykucnął obok pułkownika. Wspólnie udało im się zdjąć klapę, po czym wrzucili ciało do otworu, wylądowało w wodzie z głośnym pluskiem. Zapadła cisza. Tambese zerknął w głąb, w ścianę studni wpuszczono metalowe stopnie. Zszedł po nich zręcznie, krzywiąc się na panujący w środku, straszliwy smród. Za nim spuścił się Graham. Sabrina już miała pójść w ich ślady, kiedy przypomniała sobie o torbie. Pobieгла do alejki, lecz gdy chciała wrócić, usłyszała pracujący na wysokich obrotach silnik samochodowy. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że zabraknie jej czasu, by zniknąć w kanałach. Gestem nakazała Mike'owi zasunąć klapę. Ledwie to uczynił, w ulicę wjechała półciągarówka.

Dziewczyna skryła się w cieniu pod murami, w jednej ręce ściskając torbę, w drugiej uzi. Kucnęła za rzędem metalowych pojemników na śmieci, przycisnęła dłoń do twarzy, chroniąc się przed panującym tam straszliwym smrodem. Samochód zatrzymał się przy wlocie do alejki i kierowca zaczął głośno wykrzykiwać imię zaginionego kolegi. Siedzący obok niego żołnierz zauważył stłuczoną butelkę, pełnym rozpaczy gestem wyrzucił dłoń w niebo i wysiadł z samochodu. Kolega rzucił mu latarkę, Sabrina musiała pochylić się niżej, by uniknąć bijącego z niej snopa ostrego światła, który zatrzymał się na pojemnikach, rzucając jej pod nogi upiorne cienie.

I wtedy go dostrzegła – wielkiego, tłustego szczura, pożywiającego się leżącym tuż u jej stóp kawałkiem spleśniałego chleba. Westchnęła cicho, nie ośmieliła się nawet drgnąć, bowiem promień światła nadal padał na pojemniki. Nagle, jak żywe, wróciło wspomnienie: kiedyś, jako dziecko, przypadkowo została zamknięta na dwie godziny w piwnicy, spędziła je w ciemności, za jedyne towarzystwo mając uwijające się wokół niej szczury. Od tej pory panicznie się ich bała i strach ten omal nie zabił jej podczas akcji, w Jugosławii. Poderwała się wtedy zza osłony, gdy zobaczyła, iż pudło, za którym się ukryła, jest pełne szczurów. Mike uratował jej życie, przewrócił ją ułamek sekundy wcześniej, nim wystrzelono w jej kierunku.

Rebeliant wyłączył wreszcie latarkę i wolnym krokiem wrócił do jeepa. Kierowca zaklął wściekle, odjeżdżając z wyciem silnika. Dziewczyna odczekała, aż wszelkie hałasy ucichną, i dopiero wtedy wstała, tymczasem przestraszony szczur znikł w dziurze w ścianie najbliższego budynku. Sabrina spociała się ze strachu – szczury nadal ją przerażały, lecz tym razem udało się jej opanować, a to bez wątplenia uratowało jej życie. Chwyciła torbę i ostrożnie zbliżyła się do wylotu alejki. Ulica była pusta. Podbiegła do wejścia do kanałów. Kiedy zastukała w pokrywę, natychmiast została odsunięta i z otworu wychylił się Graham.

– Wszystko w porządku? – spytał z niepokojem.

Skinęła głową wręczając mu torbę. Przekazał ją Tambese'owi, po czym przycisnął się do ściany, umożliwiając jej zejście. Gdy tylko znalazła się na dole, natychmiast zapaliła latarkę... i pierwszą rzeczą, jaką dostrzegła, był martwy szczur pływający w wodzie.

– Tu, na dole z pewnością ich nie zabraknie – stwierdził Tambese.

– Jakoś to przeżyję – powiedziała obojętnie.

Zasuwający włącz Graham uśmiechnął się do siebie.

Zdumiona Carmen podniosła wzrok na męża, wkraczającego właśnie do pokoju.

– Co ty tu robisz, C.W.? Po środkach nasennych powinieneś spać jak dziecko aż do rana!

– Wcale ich nie wziąłem. – Z westchnieniem ulgi Whitlock opadł na swój ulubiony fotel.

– Własnym uszom nie wierzę! – Zamknęła książkę, którą właśnie czytała, i odłożyła ją na niski stolik. – Przecież musisz odpocząć. Co ty sobie właściwie wyobrażasz? Jak sądzisz, dlaczego poprosiłam lekarza, by przepisał ci tak mocny środek?

– Muszę być gotowy, kochanie. W każdej chwili coś się może zdarzyć. Nie byłoby ze mnie żadnego pożytku, gdybym leżał jak kłoda do samego rana.

Zrozpaczona Carmen tylko potrząsnęła głową.

– Na miłość boską, jaki będzie z ciebie „pożytek” z ręką na temblaku? Być może zdziwi cię to, co teraz powiem: jestem przekonana, że UNACO z pewnością doskonale sobie poradzi bez ciebie. Proszę, weź te tabletki i wracaj do łóżka!

– Daj spokój. Świetnie się czuję – odpowiedział ostro i natychmiast syknął z bólu, gdyż uraził się w postrzelone ramię.

– Co widać. – Carmen wstała. – Doskonale. Nie chcesz posłuchać żony, może przynajmniej uwierzysz lekarce?

– Nie jestem jednym z tych twoich dzieciaków – odparł, zirytowany.

– Och, oczywiście, że nie. Dzieci mają wystarczająco wiele zdrowego rozsądku, by brać przepisane lekarstwa. – Chwyciła książkę ze stolika i znikła w drzwiach kuchni. C.W. podszedł do barku. Nalał sobie małą szklaneczkę whisky, po czym wrócił na fotel. Korciło go, oczywiście, by wziąć tabletki, choćby po to, by zapomnieć o uczuciu wstydu, wynikającym ze świadomości zdrady. Wszystko zaczęło się wtedy, gdy Sabrina zadzwoniła z Zimbali najpierw prosząc, by potwierdził tożsamość Josepha Morediego, a potem, za drugim razem, jadając informacji na temat pułkownika Davida Tambese’a. Musiał włamać się do komputera w Kwaterze Głównej. W zamian za wyświadczoną jej uprzejmość oznajmiła, że wraz z Grahamem szukają Remy’ego Mobuto, lecz przecież Kolczynski zakazał jej choćby pojawiać się w okolicy Kondese. Zobowiązywało go to do zachowania tajemnicy.

Nie wiedział właściwie, co powinien myśleć. Sabrina złamała jasny, jednoznaczny rozkaz, co mogło skończyć się nawet zawieszeniem, on zaś – zachowując dla siebie przekazane przez nią informacje – stawał się jej współnikiem. Ale... oboje byli jego partnerami, dał im słowo, że nie

wtajemniczy Kolczynskiego. Początkowo miał wrazenie, iż postąpił właściwie, lecz potem, niczym działająca z opóźnieniem trucizna, pojawiło się poczucie winy i teraz nie dawało mu spokoju. Lecz... dał słowo. Dotrzyma go, będzie krył przyjaciół, choćby miało się to obrócić przeciwko niemu. W końcu jest agentem terenowym. Dopiero pod koniec roku dostanie posadę za biurkiem. Lojalność nadal był winien Grahamowi i Sabine. Nie złagodziło to wyrzutów sumienia, lecz przynajmniej poczuł, że jego działania są usprawiedliwione. Jeśli jednak coś pójdzie krzywo...

Telefon zadzwonił, przerywając tok jego myśli.

– C.W.? – powiedział głos w słuchawce.

– Siergiej? – Nie miał żadnych kłopotów z rozpoznaniem tego głosu.

– Jak tam ręka?

Whitlock machinalnie zerknął w stronę drzwi kuchennych.

– Dziękuję, dobrze. Co się dzieje? Z pewnością nie zadzwoniłeś tylko po to, żeby zapytać mnie o zdrowie.

– Nie – zgodził się Rosjanin. – Chodzi o twoją siostrzenicę, Rosie.

– A co ty wiesz o Rosie? – zdumiał się C.W.

– Nie mam zamiaru wyjaśniać tego przez telefon. Wystąpiłem po ciebie samochód. Powinien dojechać za jakieś dwadzieścia minut.

– Słuchaj, Siergiej, czy coś się jej stało?

– Nie wiem.

– Nie wiesz? Do cholery, czego ty właściwie nie chcesz mi powiedzieć?!

W słuchawce rozległo się głębokie westchnienie.

– W pewnym mieszkaniu w Murray Hills znaleziono podkoszulek z jej imieniem. Oraz trzy trupy: w tym dwa – policjantów. Rosie jednak nie było. Na razie wiem tylko tyle. Właśnie się tam wybieram.

– Do kogo należy mieszkanie?

– Nie wiemy. Jeszcze nie. Zobaczmy się na miejscu. Nie zawiadamiaj o niczym jej rodziców, póki nie stwierdzimy, co się tam naprawdę zdarzyło.

– Oczywiście. – Whitlock odłożył słuchawkę. Podniósł wzrok na żonę, która wysłuchiwała całej rozmowy stojąc w drzwiach kuchni. – Muszę wyjść – oznajmił.

– Chodzi o Rosie, prawda?

Skinął głową i poderwał się z fotela.

– Coś się jej stało?

– Właśnie mam zamiar się dowiedzieć – odpowiedział, ścisnął jej rękę pocieszającym gestem i znikł w sypialni.

Nim dojechali, policja zdążyła już obstawić dom. Kierowca zatrzymał samochód obok Kolczyńskiego, stojącego zaledwie kilka metrów od zbierającego się tłumu gapiów, którzy tłoczyli się wokół odgradzających taśm i za wszelką cenę próbowali zajrzeć w głąb wejścia do budynku. Plotka o potrójnym morderstwie rozeszła się już po okolicy, wszyscy pragnęli zobaczyć ciała, wynoszone do dwóch zaparkowanych w pobliżu karettek.

Rosjanin otworzył tylne drzwi, C.W. wysiadł, a kierowca, któremu wcześniej rozkazano odwiedzić go po wszystkim do domu, odjechał, aby gdzieś zaparkować. Idąc za szefem, Whitlock przyciskał do ciała zranione ramię. Mundurowy policjant, poinformowany, że tych dwóch ma wolny wstęp na miejsce zbrodni, uprzejmie podniósł taśmę.

Gdy tylko upewnił się, że nikt postronny nie zdoła ich usłyszeć, C.W. przystanął.

– Nim tam wejdziemy, muszę znać odpowiedź na kilka pytań – oznajmił. – Przede wszystkim: skąd policja wiedziała, że w sprawie Rosie ma się kontaktować właśnie z tobą? Wszyscy krewni wszystkich funkcjonariuszy UNACO są w naszych aktach, ci mieszkający w kraju i ci przebywający za granicą. Akta ma Interpol, FBI i nowojorska policja. Po prostu nie możemy ryzykować.

– To pogwałcenie praw człowieka – w głosie C.W. słychać było wzburzenie. Obaj mężczyźni powoli zbliżali się do budynku.

– Oszczędź mi tej gadki, dobrze? Robimy to przede wszystkim w waszym interesie. Jeśli popadną w konflikt z prawem, musimy mieć pewność, że tajność naszej organizacji nie ucierpi w śledztwie. W pewnych wypadkach z tego właśnie powodu pociągamy za sznurki i oskarżenia zostają wycofane.

– Kto ma dostęp do tych akt?

– Jacques Rust w naszej kwaterze w Zurychu, pułkownik i ja. Są tajne – dlatego zwykle nie informujemy o nich personelu. Ty jesteś wyjątkiem. Otrzymasz do nich dostęp, kiedy pod koniec roku zaczniesz pracować w dowództwie. Powinieneś się wszystkiego dowiedzieć.

– A jeśli nie obejmę pracy w dowództwie? – C.W. nadal był wściekły.

Rosjanin uśmiechnął się lekko.

– Gdyby miało tak być, nie byłoby cię tutaj.

– Czy nasi krewni są śledzeni?

– Jeśli uważamy to za konieczne, tak.

– A Rosie?

– Nie – padła cicha odpowiedź.

Policjant otworzył przed nimi szklane drzwi. Weszli do holu. Kiedy czekali na windę, Rosjanin stwierdził:

– Teraz widzę, że popełniłem błąd. Powinienem kazać ją śledzić. Może udałoby się tego uniknąć, kto wie? Prawdę mówiąc dopiero dziś dowiedziałem się, że naruszyła warunki zwolnienia. Byłem pewien, że pozostaje pod opieką rodziców.

Przyjechała winda. Wyszli na trzecim piętrze.

– Wiedziałaś, że tu jest? – spytał nagle Kolczyński.

– Nie, choć powiadomiono mnie, że nie ma jej w domu. Uciekła w dniu, w którym zwolniono ją warunkowo, przekazując pod opiekę rodziców. Pokłóciła się z ojcem. Szukaliśmy jej razem na Times Square, gdzie najchętniej spędzała czas, ale nie udało się nam jej znaleźć. Gdybyśmy zawiadomili policję, oskarżono by ją o naruszenie warunków zwolnienia, a to prowadziło do kary więzienia zamiast wyroku w zawieszeniu.

– Rozmawiałem z komisarzem. Wycofaliby oskarżenie mimo naruszenia warunków zwolnienia, ale teraz... Ta sprawa nie należy już do mnie. Przykro mi.

Whitlock skinął głową bez słowa. Stojący w korytarzu policjant poinformował ich, gdzie znajdują zastępcę komisarza. Kolczyński podziękował mu, po czym obaj poszli do wskazanego mieszkania. Przed wejściem C.W. przystanął i spojrzał na ciała obu policjantów.

W środku czekał na nich siedzący w fotelu mężczyzna po pięćdziesiątce o wijących się, kasztanowatych włosach i pomarszczonej twarzy.

– Jak się masz, Siergiej? – spytał zdumiewająco łagodnym głosem.

Rosjanin potrząsnął wyciągniętą dłonią.

– C.W. Whitlock, zastępca komisarza, Sean Hagen – dokonał prezentacji. – Pan Whitlock pracuje dla nas – dodał. – Jest także wujem Rosie.

– Bardzo mi miło. – C.W. również uścisnął rękę komisarza.

– Usiądźcie, panowie. – Hagen wskazał stojącą naprzeciw fotela kanapę.

Kolczynski zajął miejsce.

– Co się stało, Sean? – spytał.

Komisarz opowiedział im o notatce pozostawionej przez Doyle'a u przyjaciela i o tym, że nie stawił się on w umówionym miejscu o umówionej godzinie.

– Tych dwóch go tu szukało? – spytał Kolczynski.

Hagen skinął głową.

– Zastrzelono ich z zimną krwią, Siergiej. Nie zdążyli nawet wyciągnąć broni. Obaj mieli żony i dzieci. – Zerknął na Whitlocka. – Morderca zostanie zatrzymany. Bądź pewien, że zajrzemy pod każdy kamień.

– Uważa pan, że mogła to zrobić Rosie? – spytał C.W. nie ukrywając zdumienia. – Szesnastoletnia dziewczyna? W życiu miała w ręku broni.

– Daj spokój! – Kolczynski powiedział to ostro, choć cicho, jednocześnie kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Nie, nie sądzę, by zrobiła to ta dziewczyna – odparł komisarz po chwili milczenia. – Wszystkie trzy morderstwa to robota zawodowca.

– Trzy? – spytał Siergiej. – Doyle też?

– Tak. Zastrzelono go kilka godzin wcześniej niż policjantów. W korytarzu. Ciało zaciągnięto później do sypialni i ukryto pod łóżkiem. Na dywanie znaleźliśmy ślady krwi.

– A odciski palców? – przerwał mu Whitlock.

– Mamy kilka zestawów. Pozytywna identyfikacja możliwa była tylko w wypadku Rosie. Moi ludzie pracują nieprzerwanie próbując dopasować pozostałe.

– Jeśli potrzebujesz naszej pomocy...

– Nie! – Hagen nie wahał się przerwać Kolczynskiemu. – Ale dziękuję ci. Sami sobie poradzimy.

– A inne poszlaki? – spytał C.W.

– Jeden z sąsiadów widział dziewczynę i wysokiego mężczyznę wychodzących z budynku około piątej po południu. Nie potrafi opisać mężczyzny, oczy zasłaniały mu ciemne okulary, na głowie miał kapelusz z opuszczonym rondem, ubrany zaś był w skórzaną kurtkę z podniesionym kołnierzem. Oprócz tego nie wiemy nic, co potwierdza tezę o robocie zawodowców. Być może mamy do czynienia z mordercą na usługach jednego z karteli narkotykowych. Kto wie? Siostrzenica pańskiej żony pasuje do tego jak ulał, prawda?

– Od czasu do czasu paliła trawkę, zgoda, ale w pańskich listach brzmi to tak, jakby była kurierem albo handlarzem na usługach jakiegoś gangu!

– Narkotyki to narkotyki – orzekł Hagen.

– Podobnie jak alkohol i nikotyna. – Whitlock poderwał się z kanapy i podszedł do okna.

Hagen również wstał.

– Wybacz mi, Siergiej – powiedział uprzejmie. – Za dwadzieścia minut mam konferencję prasową.

Szef UNACO odprowadził go do drzwi.

– Wybacz Whitlockowi jego zachowanie – poprosił. – To oczywiste, że jest wyprowadzony z równowagi. On i Rosie są sobie bardzo bliscy. Dziewczyna nie miała takiego kontaktu nawet z własnym ojcem.

– Możesz być pewien, że zawiadomię was, jeśli wyjdzie na jaw coś nowego. – Pożegnali się i komisarz wyszedł do kuchni porozmawiać z detektywami.

– My także możemy się wynosić – zauważył C.W. – Niczego nowego tu nie dokonamy.

– Oczywiście. Przecież zrobiłeś co w twojej mocy... żeby nam zaszkodzić. – Kolczyński był autentycznie wściekły. – Co w ciebie wstąpiło, żeby tak rozmawiać z komisarzem! Zrozum, pewne sprawy po prostu do ciebie nie należą!

– Spotkamy się na zewnątrz. – Agent UNACO nie powiedział nic więcej, wyszedł z mieszkania i ruszył w stronę windy.

– Zaczekaj, C.W.! – szef pobiegł za nim.

W milczeniu zjechali na parter.

– W tym wypadku Hagen i ja mamy po prostu inne cele – wyjaśnił Whitlock, kiedy szli w stronę wyjścia z budynku. – On chce znaleźć zabójcę policjantów, ja chcę znaleźć Rosie. Jest gdzieś i możesz być pewien, że wręcz umiera ze strachu. Ktokolwiek zabił Doyle'a i tych gliniarzy nie pozwoli jej po prostu odejść, prawda? Dziewczyna jest świadkiem zabójstwa. Najpierw myślałem, że może już nie żyje, ale teraz nie sądzę, by ją zabił, nie musiał jej przecież wyprowadzać, mógł to zrobić tutaj. Nie, ona jest mu chyba do czegoś potrzebna, bo inaczej po co by ją ze sobą zabierał? Boję się o nią, Siergiej, naprawdę się boję.

Gestem pełnym współczucia Kolczyński położył mu dłoń na ramieniu. Kiedy wyszli na dwór, rzucił reporterom krótkie „bez komentarza”, wyszedł z ogrodzonego przez policję terenu i przepchnął się przez tłum gapiów do miejsca, w którym czekał na niego kierowca. Natychmiast posłał go po samochód.

– Będę cię o wszystkim informował, C.W. – obiecał – ale dziś już niczego się nie dowiemy. A ty musisz wypocząć.

– Czuję się doskonale!

– Więc dlaczego przeklinałeś za każdym razem, kiedy ktoś z tłumu trącił cię w ramię? – Rosjanin uśmiechnął się łagodnie. – Przecież wiem, że cierpisz. Musisz wypocząć. Niech Rogers zajmie się jutro ochroną prezydenta. W końcu to ostatni dzień, a Trade Center jest z pewnością najlepiej strzeżonym miejscem w USA.

– Chcę tam być – upierał się Whitlock.

– Przygotowałeś wszystko i twoja obecność wcale nie jest konieczna.

– Dowodzę ochroną prezydenta Mobuto, póki jutro wieczorem jego samolot nie wystartuje z lotniska Kennedy’ego. To wszystko.

– Kolczynski westchnął ciężko.

– Nie mam zamiaru się z tobą spierać. No, jest już twój samochód.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki Whitlock wyjął gazetę.

– Poproś laboratorium, żeby zdjęli z niej odciski palców – powiedział.

– Co? – Rosjanin nawet nie ukrywał zaskoczenia.

– Leżała sobie pod kanapą w mieszkaniu. Zabrałem ją, kiedy odprowadzałeś Hagenę do drzwi. Odciski mogły zatrzeć się trochę, kiedy chowałem ją do kieszeni, ale nasi chłopcy z pewnością coś znajdą – choćby ślady Rosie.

Kolczynski wziął od niego gazetę.

– Wiesz, że to wbrew prawu?

– Gromadzenie informacji o krewnych personelu UNACO też – stwierdził C.W. z kamienną twarzą. – Macie odciski dziewczyny.

– Nie. Ale nietrudno je będzie zdobyć.

– Jeśli coś znajdziecie, zadzwoń do mnie niezależnie od godziny. – Whitlock wszedł do samochodu. Szef zamknął za nim drzwiczki i poklepał dach. W chwilę później mercedes został wessany przez wieczorny ruch. Kolczynski patrzył, jak sanitariusze ładują zwłoki do karetek, a potem ruszył w stronę swego samochodu.

Rosie ocknęła się czując przejmujący ból głowy. Leżała na wąskim łóżku w małym pokoiku, w którym znajdowała się tylko szafka, fotel oraz – pod zasłoniętym oknem – miednica. Usiadła powoli, ukryła twarz w dłoniach... i poczuła zapach chloroformu, którym było przesiąknięte jej ubranie. Nagle, w jednym przerażającym przebłysku, przypomniała sobie wszystko: dwóch policjantów, Kenny’ego i uderzenie w kark.

Kiedy oprzytomniała po ciosie, mężczyzna, którego знаła jako Marca, był już spakowany, przy drzwiach stała torba i teczka dyplomata. On sam siedział na podłodze, opierając się o ścianę, dłońmi otaczał kolana, w prawej ręce niedbale trzymał pistolet. Powiedział, że przejdą ulicą do samochodu, jeśli spróbuje zwrócić jakoś na nich uwagę – dodał – zginie. Powiedział też, że on sam nie ma nic do stracenia.

Pistolet ukrył pod marynarką, w drugiej ręce niósł teczkę, Rosie musiała więc dźwigać torbę. Przez całą drogę czuła wciśniętą w żebra lufę pistoletu. Za kierownicą siedział Murzyn, którego nigdy przedtem nie widziała, zwrócił się do Marca w nie znanym jej języku. Kiedy znalazła się na tylnym siedzeniu, nagle poczuła na twarzy przesiąkniętą chloroformem szmatę. Na tym skończyły się jej wspomnienia.

Rosie nie miała pojęcia, gdzie się znajduje i jak długo była nieprzytomna. Drżącymi palcami rozmasowała skronie, ból głowy nie chciał jednak ustąpić, wszystko oddałaby za zwykłą aspirynę! Włączyła stojącą przy łóżku lampę, wstała i podeszła do drzwi. Oczywiście, zamknięte. Odsunęła zasłony, lecz okno zabezpieczały mocne okiennice. Spróbowała je otworzyć – bez skutku. Szarpnęła mocniej, ale nawet nie drgnęły. Poszukała czegoś, by zbić szybę i oczywiście nic nie znalazła. Sprawdziła szafkę – pusta. Wróciła na łóżko i usiadła przybita, walcząc z napływającymi do oczu łzami. Nagle usłyszała obracający się w zamku klucz. Do pokoju wszedł Bernard. Rozsiadł się w fotelu.

– Gdzie jestem? – spytała gniewnie.

– W bezpiecznym miejscu – odparł z uśmiechem i rzucił wzrokiem na szafkę. – To był dobry pomysł – poszukać czegoś do zbitcia szyby. Niewiele by ci to jednak dało. To szkło zbrojone.

– Skąd... – przerwała, rozejrzała się po pokoju, po czym przeszła terrorystę gniewnym wzrokiem. – Gdzie umieściliście kamerę?

– Za lustrem – padła spokojna odpowiedź.

– Jesteś chory – warknęła i nagle skrzywiła się. Głowę przeszył jej ostry ból.

Mężczyzna podał jej aspirynę.

– Idź do diabła!

Zachichotał.

– Podziwiam twą waleczność, Rosie. Wspaniała z ciebie dziewczyna, wiesz?

– Dlaczego mnie porwałeś?

Położył tabletki na szafce i wstał.

– Jesteś moją polisą ubezpieczeniową – stwierdził.

– O czym ty mówisz? Ubezpieczenie... od czego?

– Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. Niech tak zostanie. Nie chciałbym, żebyś skończyła jak twój przyjaciel, Kenny. Choć może ci się to wydać dziwne, lubię cię. Weź tabletkę, a kiedy poczujesz się lepiej, przyjdź do dużego pokoju. – Bernard zatrzymał się w drzwiach. – Przypominasz mi mnie samego, kiedy byłem w twoim wieku. – Uśmiechnął się melancholijnie i wyszedł.

Dziewczyna podeszła do drzwi, lecz nagle pojawił się w nich Murzyn, który przedtem prowadził samochód. Potężne ramiona miał skrzyżowane na piersiach. Obejrzał ją od stóp do głów, uśmiechając się do siebie. Odstąpiła od drzwi, podeszła do szafki, wzięła aspirynę i popiła ją wodą ze stojącego przy miednicy plastikowego kubka.

Bernard odwołał Murzyna. Kiedy się obróciła, już go nie było. Ostrożnie wystawiła głowę na korytarz. Pusto. Na jednym z jego końców dostrzegła drzwi – wejście do domku. Czyżby były zamknięte? Tylko w jeden sposób mogła się o tym przekonać. Powstrzymując radosne podniecenie cicho ruszyła w ich kierunku. Zwykły zamek zatraskowy... lecz kiedy go otworzyła, uchyliły się tylko na kilka centymetrów. Do diabła, jest i łańcuch! Nie dostrzegła go w podnieceniu.

– Rosie! – W drzwiach do dużego pokoju stał jej prześladowca. Nie obejrzała się. Drżącymi palcami próbowała zdjąć łańcuch, pewna, że lada chwila chwyci ją silna dłoń. Zdażyła sobie jednak z nim poradzić, odczekała, aż mężczyzna będzie tuż-tuż, pochyliła się unikając jego wyciągniętego ramienia i z całej siły otworzyła drzwi. Trafiły go w twarz, zatoczył się na ścianę, z rany nad prawym okiem pociekła mu krew. Wyskoczyła na zewnątrz, zatraskując je za sobą. Stała na ganku, wokół, jak okiem sięgnąć, był tylko las, pierwsze drzewa rosły jednak w odległości jakichś dwustu metrów. Zeskoczyła ze schodków i pobiegła.

Na ganku pojawił się Bernard. Na koszuli i prawym rękawie, którym przetarł czoło, widniały ślady krwi. Za nim pojawił się kierowca, uzbrojony w walthera P38. Wymierzył...

Terrorysta gwałtownie szarpnął go za rękę.

– Nie strzelaj, Elias! – rozkazał, podbiegł do furtki i najgłośniejszym jak potrafił krzyknął: – Rosie! Posłuchaj! Nie kryj się w lesie. Pełno tam potrzasków!

Dziewczyna nie zatrzymała się.

– Rosie, stój!

Elias podszedł bliżej i wręczył Bernardowi latarkę.

– Potrzaski? – powtórzył niepewny swej angielszczyzny i dłońmi wykonał ruch naśladujący

zamykającą się pułapkę.

– Tak. W tym lesie jest ich mnóstwo. Jeśli stanie w którymś z nich, może stracić stopę.

– To co robimy? – spytał Elias po arabsku.

– Gonimy ją – odparł gniewnie terrorysta i natychmiast pobiegł w kierunku, w którym uciekała dziewczyna.

Murzyn patrzył za nim, nie ruszając się z miejsca. Bernard zatrzymał się i zmierzył go wściekłym spojrzeniem.

– Idź z drugiej strony. Okrążymy ją – krzyknął zdyszany i – nie czekając na odpowiedź – ruszył w kierunku lasu.

Elias przełknął nerwowo. Zastanawiał się, co jest gorsze – pułapki na zwierzęta czy gniew dowódcy, jeśli nie wykona rozkazu? W gruncie rzeczy wcale nie było to trudne pytanie.

Ukryta wśród drzew Rosie zatrzymała się, dysząc ciężko. W świetle księżyca las był mroczny i sprawiał wrażenie nieprzyjaznego. Słyszała ostrzeżenie Bernarda, lecz... może blefował? A może jednak mówił prawdę? Widziała raz w telewizji film dokumentalny o strasznych ranach, jakich doznawały złapane w potrzaski zwierzęta. Długo potem płakała. Obejrzała się i dostrzegła zbliżającą się sylwetkę. Bernard. Musi podjąć decyzję – i to natychmiast. Zdecydowała, że ucieknie. Podniosła gałąź, macała nią drogę przed sobą. Jeden nieostrożny krok i zostanie kaleką. Oczywiście, jeśli pułapki rzeczywiście istnieją. Cóż, i tak nie mogła pozwolić sobie na ryzyko. Skryła się za pniem wielkiego drzewa, nadsłuchując uważnie. Cisza. Nie zdziwiło jej to szczególnie, najwyraźniej miała do czynienia z zawodowcami. Gdyby tylko znalazła jakieś bezpieczne miejsce, w którym mogłaby przeczekać noc. Już miała ruszyć, kiedy po lewej dostrzegła światło. Przytuliła się do drzewa, nie śmiąc nawet otrzeć potu z twarzy, mrugała kiedy splotywał jej do oczu i drażnił je. Promień światła się nagle i zgasł.

– Rosie?

Głos Bernarda dobiegał z tyłu. Światło zaświeciło obok, czyżby próbowali ją otoczyć? Przedramieniem otarła pot z twarzy i powoli ruszyła w prawo, nadal wymacując drogę gałęzią. Robiła tym sporo hałasu, ale na to nic już nie mogła poradzić, sobą usłyszała szelest – uskokczyła niemal w tej samej chwili, w której błysk światła z latarki padł na otaczające ją drzewa. Elias krzyknął coś w suahili, usłyszała, że się zbliża. Dostrzegł ją? Chce wystraszyć z kryjówek? Kroki zbliżyły się, ucichły, latarka zgasła. Gdzie podział się jej prześladowca? Przełknęła nerwowo, językiem przesunęła po suchych wargach. Cisza doprowadzała ją do szaleństwa. Gdzie on się podział!? Stojąc nieruchomo z plecami przyciśniętymi do drzewa obróciła głowę, próbując dojrzeć coś w otaczających ją ciemnościach. Nic. No, tu przynajmniej go nie ma. Nagle usłyszała szmer, tym razem dobiegający z prawej. To z pewnością Bernard, lecz czy wie, gdzie się ukryła? Z wysiłkiem kontrolowała przyspieszony oddech. Nie mogą jej usłyszeć! Latarka zaświeciła nagle w kępie drzew

trzydzieści metrów dalej. A więc nadal szukają jej na ślepo! Z wielkiej ulgi ugięły się pod nią nogi. Gdzieś, daleko, Bernard znów wykrzyknął jej imię, latarka świeciła po tej samej stronie, coraz słabiej. Oddalali się!

Nagle krzyknęła w panicznym strachu. Ktoś złapał ją za ramię, oderwał od drzewa. Elias! Włączył latarkę, krzyknął informując szefa, że znalazł zgubę. Dźwięk jego głosu doprowadził ją do przytomności, zamachnęła się gałęzią, trafiając go w policzek. Murzyn wrzasnął z bólu i upuścił broń na ziemię. Próbowwała uciec, zdołał jednak złapać ją za szyję, upadła tracąc oddech. Elias przytrzymał ją jedną ręką, a drugą w świetle latarki macał stanie w poszukiwaniu walthera. Nagle rozległ się straszny trzask miażdżonej kości, to jego ręka dostała się w ukryty pod zeschniętymi liśćmi potrzask.

Murzyn krzyczał z bólu jak zwierzę. Puścił latarkę, klęczał rozpaczliwie próbując oswobodzić dłoń. Bernard błyskawicznie znalazł się i oświetlił pułapkę. Rosie odwróciła się, dostrzegła jednak zbyt wiele. Zwymiotowała, obiema dłońmi trzymając się za brzuch.

– Pomóż mi! – krzyknął nieszczęśnik po arabsku.

– A niby czemu? Na nic mi się teraz nie przydasz – stwierdził spokojnie terrorysta i strzelił mu w głowę.

Skulona pod drzewem Rosie drgnęła. Bernard brutalnie poderwał ją na nogi. Zamknęła oczy, nie chcąc patrzeć na ciało.

– Dobrze się bawiłaś? – Bernard schował pistolet.

Nie odpowiedziała.

– No, to wynośmy się stąd, nim zdarzy się kolejny wypadek – zaproponował. Mocno trzymał ją za ramię, kiedy ruszyli w stronę domu.

– Tak już lepiej. – Bernard właśnie zamykał kajdanki, którymi przykuł ją do grzejnika w sypialni.

Rosie szarpnęła skrępowanymi dłońmi, po czym opadła na posadzkę przy ścianie. Terrorysta wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Poszedł do łazienki – musiał zrobić coś z raną nad okiem. Przestała krwawić, spuchła jednak, a ciało wokół niej było miękkie, obolałe. Jutro nie otworzy prawego oka. Namoczył ręcznik i z wahaniem przyłożył go do brwi. Skaleczenie okazało się głębsze, niż początkowo przypuszczał. Umył ręce. W szafce znalazł środek dezynfekujący, wylał go trochę na watkę i przycisnął do twarzy. Szczypało straszliwie, zachował jednak kamienną twarz. Wreszcie wyrzucił zakrwawioną watkę, poszedł do swej sypialni i przebrał się w czystą koszulę.

Siadł na łóżku i zadzwonił pod zastrzeżony numer. Czekał na odpowiedź, usadowił się wygodniej i podłożył poduszkę pod plecy. Ktoś wreszcie podniósł słuchawkę, nie powiedział jednak do niej ani słowa.

– Mówi „Kolumb” – przedstawił się terrorysta.

– Tu „Albatros”. Od kilku godzin próbujemy się z tobą skontaktować. Gdzie się do cholery podziewasz?

– Jestem w bezpiecznym domu przy Garden State Parkway.

– Co? – W głosie „Albatrosa” brzmiało szczere zdumienie. – Nie masz prawa go używać!

– Niewiele miałem czasu, żeby się ukryć, prawda? A może nie słyszałeś, co stało się w moim mieszkaniu?

– Oczywiście, że słyszałem – padła gniewna odpowiedź. – To była jedna z naszych najlepszych kryjówek w mieście. Dziękujemy ci, że ją spaliłeś. Trzy trupy, w tym dwóch policjantów... co tam się do diabła stało? I o co chodzi z tą siostrzenicą żony Whitlocka?

Terrorysta wyjaśnił pokrótce, kim jest Rosie, jaki miała związek z Doyle’em, opowiedział także o policjantach.

– Dlaczego nie poinformowałeś mnie, że masz tę dziewczynę? – spytał „Albatros”. – Mogłeś rozwalić całą operację!

– Nikogo nie będę informował o sprawach, które go w najmniejszym stopniu nie dotyczą. Dziewczyna jest moim ubezpieczeniem na wypadek, gdyby jutro coś się nie udało.

– Jakim znów ubezpieczeniem?! Czyżbyś naprawdę sądził, że UNACO pozwoli ci tak po prostu odejść, bo masz krewną Whitlocka jako zakładniczkę? Przyznaj im przynajmniej jedno – wcale nie są aż tak głupi!

– Przyznaję. Ale dzięki niej zyskam trochę czasu. – Bernard poruszył się lekko. – Nie ma o czym mówić. Gwarantuję, że nic się nie zdarzy.

– Czemu wcale mnie to nie pociesza?

– Dzwonię, by cię prosić o przysługę. – Terrorysta wyjaśnił, co się zdarzyło w lesie. – Potrzebuję nowego opiekuna dla dziewczyny.

– Ach, tak? – zakpił „Albatros”. – A kim w ogóle był, do cholery, ten Elias?

– Piątym członkiem zespołu z Zimbali.

– Piątym? Miało ich być tylko czterech!

– Zabrałem ze sobą piątego na zastępstwo. Wydawało mi się to całkiem sensowne na wypadek, gdyby ktoś z podstawowej czwórki został zabity lub aresztowany przed początkiem operacji.

– I ty go ze sobą zabrałeś? Operację tę opracowywano miesiącami z uwzględnieniem najdrobniejszych szczegółów, ale najwyraźniej wcale się tym nie przejąłeś. Robisz tylko to, na co akurat masz ochotę, prawda? Być może zapomniałeś, że pracujesz dla nas. My ci mówimy, co masz zrobić. Rozumiesz?

– Jasne – odparł obojętnie terrorysta. – A co z opiekunem?

– Nie dostaniesz go.

– Więc znajdźcie sobie innego zamachowca – stwierdził i rzucił słuchawkę na widełki.

W chwilę później telefon zadzwonił.

– Tak?

– „Kolumb”?

– Tak.

– Nie próbuj powtórzyć tego numeru, rozumiesz?

– Więc lepiej dogadajmy się w sprawie opiekuna – stwierdził obojętnie Bernard.

– W porządku – zgodził się z niechęcią „Albatros”. – Dostaniesz go rano. Szybciej nie dam rady.

– Świetnie. Potrzebny mi jest tylko na czas, kiedy będę w World Trade Center.

Połączenie zostało przerwane.

Zamyślony Bailey odłożył słuchawkę, sięgnął po stojącą na biurku szklaneczkę i pociągnął mały łyk burbona. Dobrze zrobił planując śmierć Bernarda zaraz po zamachu na Mobuto. Potrzebuje opiekuna do dziecka, też mi coś! Zerknął na zegarek. Za piętnaście ósma. Brett jest już w hotelu, zastąpił Rogersa o szóstej po południu. Znalazł numer United Nations Plaza, zadzwonił i poprosił telefonistę, by połączył go z pokojem zarezerwowanym specjalnie dla ochroniarzy prezydenta. Słuchawkę podniósł Brett.

– Tu Bailey. Możesz swobodnie rozmawiać?

– Nie – padła natychmiastowa odpowiedź.

– A możesz dostać się do innego telefonu i oddzwonić?

– Oczywiście.

– Czekam. – Bailey odłożył słuchawkę i dopił resztkę whisky.

W pięć minut później odezwał się telefon. Brett dotrzymał słowa.

– O której zwolni cię Rogers? – spytał go szef.

– Jutro rano, o ósmej.

– Doskonale. Prosto z hotelu pojedziesz do naszego bezpiecznego domu przy Garden State Parkway. Wiesz, o którym mówię?

– Oczywiście, proszę pana. Sam pomagałem ustawiać potrzaski.

– Zastaniesz w nim Bernarda.

– Przecież miał zatrzymać się w mieszkaniu na Murray Hill!

– I był tam, póki nie zastrzelił dwóch policjantów.

– O cholera! Jak do tego doszło?

– Wyjaśnię ci wszystko jutro. Na razie masz tylko dojechać tam rano.

– Żaden problem, proszę pana.

– Bernard ma siostrzenicę żony Whitlocka jako ubezpieczenie na wypadek, gdyby jutro coś poszło źle w World Trade. Chce, żebyś przypilnował jej, kiedy on będzie załatwiał sprawy.

– Ubezpieczenie? Wygląda na to, że pęka, proszę pana.

– Nie. Jest tylko cwany, jak zawsze. Rób, co ci każe, a gdy wróci do domu, zabij go – niezależnie od tego, co zdarzy się w World Trade. I tak po jutrzejszym jego wyczynie nigdy już nie będziemy mogli go użyć. Tylko uważaj. To cwaniak. Z pewnością podejrzewa, że po zamachu na Mobuto zaczniemy na niego polować.

– Co z dziewczyną?

– Jest świadkiem, prawda? Tylko nie wolno ci jej skrzywdzić, zanim dostaniesz Bernarda. Jak mówiłem, to cwaniak. Najprawdopodobniej wymyślił jakiś sposób zbliżenia się do domu tak, żebyś go nie widział. Jeśli zorientuje się, że dziewczyna nie żyje, po prostu zniknie. I wtedy go stracimy.

– Rozumiem, proszę pana.

– Świetnie. A jak się miewa mój ulubiony prezydent?

– Jest na spotkaniu ze swoimi kolegami z ambasady. Siedzą zamknięci w jego apartamencie już chyba ze trzy godziny. Jeden Bóg wie, o czym tak dyskutują.

– Przecież nie ma to już najmniejszego znaczenia. Jutro o tej porze Mobuto będzie trupem.

Brett zachichotał.

– Z pewnością, proszę pana – przytaknął.

Bailey uśmiechnął się do siebie i odłożył słuchawkę. Wyszedł z gabinetu, zamknął i zabezpieczył drzwi, po czym zszedł na dół, do żony i dzieci.

Kolczyński przetarł zmęczone oczy, nim wziął kolejną teczkę biurka Philpotta. Było ich kilka – każda zawierała bieżącą informację o jednym z oddziałów terenowych UNACO, będącym właśnie w akcji. Przygotowali je analitycy z centrum. Przeczytał pierwsze punkty, ziewnął i wstał. Niestrawne. Musi zrobić przerwę. Nalał sobie kawy z ekspresu, po czym ciężko opadł na kanapę. Właśnie zapalał papierosa, kiedy rozsunęły się drzwi między jego gabinetem i centrum dowódczym. Pojawił się w nich analityk, oczywiście z teczką w ręku.

Tylko nie kolejna porcja „najnowszych wiadomości”, – jęknął Rosjanin.

– Nie, nie. Właśnie zidentyfikowaliśmy odciski, znajdujące się na gazecie, którą nam pan dostarczył. Lepiej niech pan na to popatrzy.

Kolczyński otworzył teczkę. Znajdował się w niej wydruk komputerowy potwierdzający identyfikację. Na górze, wielkimi literami, były wypisane trzy słowa: JEAN-JACQUES BERNARD.

Tymczasowy szef UNACO odłożył materiały na biurko.

– Czy chce pan czegoś jeszcze?

– Nie. Dziękuję, Hans.

Za analitykiem zamknęły się drzwi. Rosjanin spojrzał na teczkę – wiedział, że powinien być zdziwiony, ale nie był. Dziwne. Zupełnie jakby podświadomie spodziewał się czegoś takiego. Czyżby? Spojrzał na stojący na biurku Philpotta aparat. Whitlock prosił go o telefon, gdyby udało się rozszyfrować odciski z gazety, ale jaki jest sens budzić go taką wiadomością? Przecież żaden z nich nic teraz na to nie poradzi. Nie, porozmawiają rano. Wyciągnął rękę i przypadkowo strącił na podłogę filiżankę kawy. Zaklął, lecz kiedy pochylił się chcąc ją podnieść, zauważył coś dziwnego przyczepionego od spodu do blatu niskiego stolika. Najpierw pomyślał, że to pająk lub może sucha guma do żucia, ale nie... był to mikrofon nie większy od guzika, umocowany do drewna dwoma kawałkami cienkiego, lecz bardzo sztywnego drutu. Nie zdjął go, nie – to tylko zaalarmowałoby kogoś, kto założył podsłuch. A mógł to zrobić wyłącznie jeden człowiek: Dave Forsythe, do którego obowiązków już od roku należało sprawdzanie co rano, czy w gabinecie lub sekretariacie nie zainstalowano podsłuchu elektronicznego. Dave był najstarszym stażem i stopniem specjalistą – elektronikiem zatrudnianym przez UNACO.

Rosjanin nie potrafił uwierzyć w to, co się stało, choć dowód miał dosłownie przed oczami.

Kiedy zainstalowano ten mikrofon? Od jak dawna nieznany przeciwnik zna wszystkie tajemnice organizacji? Poderwał się i zgarnął teczki – ich zawartość przeczyta w domu. Tam przynajmniej nie będzie się czuł zdradzony. Zgasił światło i wyszedł zamykając drzwi.

Tambese czuł nasilający się ból ramion. Pot spływał mu obficie po twarzy, ale dzięki goglom przynajmniej nie dostawał się do oczu, tego chyba by już nie zniósł. Na dłoniach miał grube, termoizolowane rękawice, w prawej trzymał palnik, podłączony do dwóch zbiorników, które niósł na plecach. Wisiał na wtopionych w beton metalowych stopniach, przytrzymywany liną przymocowaną do nich i do pasa. Nie było to rozwiązanie najwygodniejsze, ale przynajmniej zwalniało lewą rękę, która była mu potrzebna do wykonywania tej pracy.

Dzięki planom, które zabrali z ratusza, po przeszło godzinie błądzenia w labiryncie kanałów dotarli wreszcie do pokrywy wjazdu, wychodzącego bezpośrednio na teren więzienia. Zdecydowali, że zaatakują o wpół do trzeciej rano, mieli więc dobre dwie godziny na wypracowanie metody przecięcia płyty tak, by nie zaalarmować strażników na wieżach lub ich kolegów śpiących w koszarach, odległych od wjazdu o zaledwie kilka metrów.

Z planów zorientowali się, że płytę wyposażono w zamek zegarowy, prawdopodobnie sterowany z dyspozytorni znajdującej się w centrum kompleksu, naruszenie go uruchamiało zapewne jakiegoś rodzaju alarm. Oznaczało to, że będą musieli wyciąć dziurę w klapie nie poruszając jej. Wiedzieli, że z wież nie widać wejścia do kanału i że znajduje się ono przy ślepej ścianie koszar – płomień nie był więc problemem. Był nim jednak hałas.

Graham wymyślił najlepsze rozwiązanie. Pokrywę wjazdu należało po prostu usuwać fragmentami, lecz wówczas na drabince będzie mogła się znajdować tylko jedna osoba. Tambese stwierdził stanowczo, że to on wykona tę pracę. Jeśli jakimś cudem płomień palnika zostanie dostrzeżony, rebelianci zaatakują najpierw jego, Sabrina i Mike będą więc mieli czas na ucieczkę. W końcu to jego przyjaciela próbują uwolnić – tłumaczył. Graham próbował przekonać pułkownika, że lepiej będzie się zmieniać, ale ten nie ustąpił. I tak pomogli mu już bardziej, niż miał prawo oczekiwać. To przynajmniej zrobi sam.

Wytarł pot z twarzy i spojrzał w dół. Graham oraz Sabrina siedzieli na wąskiej półeczce obróceniu do niego plecami, w ten sposób chronili oczy przed jaskrawym blaskiem palnika. Oboje trzymali uzi na kolanach. W ciągu ostatnich dwudziestu pięciu minut parę razy żałował, że nie przyjął oferty Mike'a, lecz teraz, kiedy pozostał mu do usunięcia ostatni z sześciu fragmentów pokrywy, już tylko cieszył się, że kończy. Wolną ręką przytrzymał kawał metalu, przeciął ostatnie kilka centymetrów, po czym wystawił go na zewnątrz, inne otaczały już pierścieniem wejście.

Wyłączył palnik. Cicho zawołał Grahama, który natychmiast poderwał się i odwiązał linę. Tambese zszedł. Z westchnieniem ulgi zdjął z pleców zbiorniki, wraz z goglami i rękawicami umieścił je w torbie. Mike tymczasem schłodził krawędzie płyty dwutlenkiem węgla z pojemnika, który również schował. Odczekał, aż pułkownik i Sabrina wyjdą z kanału, a potem wręczył im torbę, szybko wspiął się na górę i dołączył do przyjaciół, skulonych przy ścianie koszar.

Tambese ostrożnie wychylił się zza rogu baraku. Przed oczami miał stojące w odległości

niespełna dwustu metrów dwie groźne wieże flankujące główny wjazd na teren kompleksu więziennego, dzięki blaskowi umieszczonego na niej silnego reflektora mógł nawet dojrzeć sylwetki strażników. Przykucnął i sięgnął po karabin De lisie.

– Daj mi go – szepnęła Sabrina.

– Nie, ja to zrobię. To mi nie nowina, wiesz?

– Oddaj jej karabin – syknął Graham. – Jest najlepszym snajperem, jakiego widziałem w życiu. A takimi komplementami na ogół nie szafuję.

– To moja operacja i ja decyduję, kto wykonuje jakie zadanie!

– Może to i twoja operacja, ale ja nadstawiam w niej tyłek. Oddaj karabin Sabrinie.

– Nie pchałabym się do roboty, gdybym nie była pewna, że zdołam ją wykonać – odezwała się dziewczyna, próbując rozładować napięcie, które nagle zrodziło się między mężczyznami. – Zaufaj mi, Davidzie.

Wytrąciło go z równowagi to, iż zwróciła się do niego po imieniu. Westchnął, wstał i bezradnie wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że zostałem przegłosowany – stwierdził.

Sabrina wyjęła mu karabin z rąk, nakręciła tłumik na lufę, wysunęła się ostrożnie i spojrzała na wieże. Na jej barkach spoczywał wielki ciężar, lecz była pewna, że potrafi bez hałasu zdjąć strażników. Podniosła karabin do ramienia, wycelowała w wartownika z dalszej wieży, zacisnęła palec na spuście... lecz mężczyzna nagle odwrócił się od barierki i ruszył ku środkowi wieży. Ciel zaciemniała jej teraz jedna z belek, nie mogła ryzykować strzału. Opuściła karabin o kilka milimetrów, wyprostowała palec. Tambese zauważył ten jej ruch, lecz Mike ścisnął go za ramię, mim pułkownik zdążył wypowiedzieć choć słowo.

Dziewczyna zerknęła na drugiego z wartowników. Obrócony plecami do niej nadal wychylał się przez barierkę. Jakże pragnęła, by pozostał w tej pozycji choć chwilę dłużej! Nagle jej pierwotny cci odwrócił się i podszedł do stojącego w rogu krzesła. Wyjął papierosa, zapalił, usiadł i oparł swój AK o nogę. Sabrina natychmiast zdecydowała się strzelać i kiedy głowa wartownika pojawiła się na skrzyżowaniu nitek celownika, delikatnie ściągnęła spust. Trafiła w skroń, rebeliant spadł z krzesła. Nim drugi strażnik orientował się, co się dzieje, i zdążył podnieść alarm, zarepetowała i trafiła go jednym strzałem – także w głowę. Siła uderzenia kuli odrzuciła go do tyłu, przez chwilę chwiał się zbyt blisko barierki, zagryzła wargi ze strachu, że łoskot upadającego ciała może obudzić kogoś obdarzonego lekkim snem. Minęła niemal wieczność, nim wartownik osunął się na podłogę galeryjki, tylko jego AK spadł na ziemię z cichym stukiem. Zapanowała absolutna cisza. Westchnęła i wycofała się za narożnik koszar.

– Gdzie nauczyłaś się tak strzelać? – spytał zdumiony Tambese.

Ze skromnym uśmiechem schowała karabin i tłumik do torby.

– Lepiej zaprowadź nas do cel – powiedziała.

Skinął głową i wyrztał za róg. Blok więzienny był o jakieś trzysta metrów. Sprawiał wrażenie opuszczonego – przynajmniej z zewnątrz – tylko nad wejściem świeciło pojedyncze światło. Tambese znikł za rogiem, Sabrina poszła za nim, jako trzeci zaś szedł Mike, niosący torbę. Przykucnęli przechodząc pod oknami koszar, wyprostowali się dopiero wtedy, gdy wyraźnie się od nich oddalili.

Kiedy dotarli na miejsce, pułkownik skierował się do oświetlonego okienka. Nie zdziwiło go, że było otwarte – nie w tę duszną, upalną noc. Przyciśnięty do ściany ostrożnie zajrzał do środka. Dostrzegł strażnika siedzącego tyłem do okna, z nogami opartymi na stole i czytającego gazetę. Radio grało głośno. Nie było innego sposobu dostania się do wnętrza niż przecięcie zabezpieczających okno prętów.

Tambese zdjął z ramienia uzi, wsunął lufę do środka i starannie wymierzył w plecy strażnika. Kiedy wystrzelił, Sabrina odwróciła wzrok. Uderzenie kuli dosłownie rzuciło ofiarę do przodu, padające ciało pociągnęło za sobą krzesło, które przewróciło się z trzaskiem. Mike i dziewczyna natychmiast zajęli pozycje po obu stronach okna, ich przewodnik pozostał na klęczkach, mierząc w korytarz, w którym lada chwila mogli pojawić się rebelianci. Nie sądził, by trzask przewracającego się krzesła przedarł się przez głośną muzykę z radia, lecz wiedział, że nie mogą ryzykować, nie teraz, kiedy niemal już osiągnęli cel.

Odczekał kilka minut, a później, pewny, że hałas nie zaalarmował strażników, odłożył broń i wyjął z torby palnik wraz z butlami gazu. Graham i Sabrina zajęli pozycje przy obu rogach budynku, pułkownik zaś zaczął przecinać żelazne pręty osłaniające okno. Zaledwie po paru minutach droga była wolna. Odebrał od Grahama torbę, rzucił ją do środka, a kiedy w pomieszczeniu znaleźli się wszyscy, ukryli ciało pod biurkiem, postawili krzesło i znalezionej ścierką wytarli ślady krwi. Ktoś, kto przelotnie zajrzyłby do środka, nie dostrzegłby niczego podejrzanego. Po prostu pomyślałby, że wartownik na chwilę wyszedł z pokoju.

Po zaciągnięciu zasłony Tambese poprowadził ich w kierunku schodów w końcu korytarza. Gestem nakazał im zaczekać, po czym sam cichutko zszedł i obejrzał korytarz na niższym poziomie. Po jego obu stronach widać było zamknięte cele. Przy przeciwległym końcu stał stół i dwa krzesła, na których powinni siedzieć strażnicy – nie było ich tu jednak, co najprawdopodobniej oznaczało, że cele są puste. Skinął na towarzyszy, by go kryli, gdy będzie sprawdzać cele. Poruszał się cicho, zręcznie, okazało się, jego pierwsze wrażenie było słuszne. Pusto. Kiedy wrócił, wskazał gestem schody prowadzące w dół.

– Ile jest poziomów? – szepnął Graham.

Wyprostował trzy palce i ruszył w dół. Tu również nie było nikogo. Cała procedura powtórzyła się, po czym Tambese zszedł dół. Otarł pot z czoła i, przytulony do ściany, z bronią na wysokości oka, ostrożnie zerknął w korytarz. W głębi siedzieli strażnicy, pochłonięci grą w karty. Spojrzał na towarzyszy i pokazał im uniesiony kciuk. Ostrożnie podeszli do niego i stanęli, oczekując sygnału, lecz nie otrzymali żadnego. Pułkownik po prostu wyszedł na korytarz i otworzył ogień. Żaden ze

strażników zdążył nawet sięgnąć po opartą o ścianę broń, lawina kul dosłownie zmiotła ich z krzeseł. Tambese włożył nowy magazynek i zbliżył się do wartowników, stwierdził, że obaj nie żyją.

– David, tu! – powiedział Graham.

Tambese podbiegł do oświetlanej przez niego celi. Nieruchomy Remy Mobuto leżał w rogu na materacu.

– Remy? Remy, to ja, David Tambese. – Mobuto nie odzywał się, więc zatroskany pułkownik spojrzał na Mike’a. – Remy, słyszysz mnie? – powtórzył.

Cisza.

Obok nich pojawiła się Sabrina.

– Wszystkie pozostałe cele są puste – oznajmiła. Dostrzegła, że coś ich niepokoi. – Co się stało? – zapytała.

– Dali mu narkotyki – odparł Graham, zakładając na plecy butle z gazem.

– Mówisz, że inne cele są puste? – oprzytomniał pułkownik.

Dziewczyna skinęła głową.

– To oznacza, że się stąd wynoszą. Pojawiliśmy się w ostatniej chwili.

Syknął włączany palnik. Graham przyklęknął i wziął się do roboty.

– Wynoszą? Czyżby szykowali się do marszu na Habane?

– Tak to rozumiem. Inaczej po co opróżnialiby cele? Z pewnych źródeł wiem, że jeszcze wczoraj rano więzili tu co najmniej dwadzieścia osób.

– Gdzie ich zabrali? Do garnizonu, o którym wspominałeś wcześniej?

Pułkownik tylko pokręcił głową.

– Nigdzie ich nie zabrali – powiedział.

– Zostali zamordowani!?

– Niemal na pewno. Siły Bezpieczeństwa oszczędzają tylko tych więźniów, którzy mogą im się na coś przydać. Jeśli nie mogą, zostają zamordowani. Działali tak przez czterdzieści pięć lat. Czemu teraz mieliby zmieniać metody?

– Wyciąłem zamek – oznajmił Graham.

Tambese wbiegł do celi i ujął Remy’ego za przegub.

– I co? – spytał stojący za nim Mike.

– Puls jest równy. Dobrze, ja go poniosę. Mike, weź moje uzi.

Graham spełnił polecenie. Sabrina spakowała palnik wraz z butlami do torby, wzięła ją i ruszyła w stronę schodów. Z małą pomocą pułkownik zdołał zarzucić przyjaciela na ramię. Ruszył za dziewczyną, Graham zamykał pochód, trzymając broń w pogotowiu. Kiedy dotarli do pokoju strażników, Tambese z westchnieniem ulgi złożył ciało Mobuto na podłodze.

– Poniosę go trochę – zaproponował Mike.

– Nie! – padła ostra odpowiedź, a zaraz potem pułkownik uśmiechnął się przeproszająco. – Bardzo ci dziękuję, ale Remy jest moim przyjacielem. Jeśli coś ma się zdarzyć, tylko ja będę odpowiedzialny za jego bezpieczeństwo.

– Jasne, w porządku. Powinniśmy chyba raczej użyć drzwi.

– Jeśli uda nam się je otworzyć. Szybciej się stąd wyniesiemy, niż gdybyśmy mieli wychodzić przez okno. Wystarczająco ciężko będzie nam spuścić go do kanału.

Sabrina poruszyła klamką. Drzwi okazały się zamknięte. Przeszukali kieszenie zabitego strażnika i szuflady w biurku, klucza jednak nie znaleźli.

– Zostaje nam tylko okno – stwierdziła w końcu dziewczyna. – Nie możemy ryzykować odstrzelenia zamka. Mimo tłumików narobiliśmy hałas.

– Wyjdę pierwszy, a wy... – Graham umilkł nagle. Rozległo się głośnie pukanie.

Wymienili zaniepokojone spojrzenia. Dziewczyna cofnęła się z bronią gotową do strzału, Mike zajął pozycję przy oknie. Za drzwiami rozległ się jakiś głos. Spojrzeli na pułkownika spodziewając się, że wytłumaczy im, o co chodzi.

– To były imiona. Kimkolwiek jest ten człowiek, najprawdopodobniej zauważył, że na wieżach nie ma strażników i pomyślał, że pewnie schronili się tutaj.

– Wychodzę. – Graham położył na stole należące do Tambese'a uzi. – Jeśli podniesie alarm, znajdziemy się tu jak w pułapce.

Przyznali mu rację, Mike lekko odchylił zasłonę, po czym wysunął się powoli na zewnątrz. Ostrożnie podszedł do rogu budynku. Do drzwi zapukano tymczasem jeszcze raz, znacznie gwałtowniej, ktoś krzychał coś w suahili. Graham mocno zacisnął dłonie na swym uzi i błyskawicznie wysunął się za róg. Strażnik, ubrany w szorty i kamizelkę, obrócił się, a kiedy dostrzegł nieznanego, otworzył szerzej oczy ze zdumienia, ręka trzymająca AK była jednak nadal swobodnie opuszczona. Graham gestem nakazał mu rzucić broń, lecz mężczyzna tylko przełknął nerwowo i nagłym ruchem poderwał ją do ramienia. Kule z uzi powaliły go na ziemię, ale padając zdążył nacisnąć spust i choć strzelił nieszkodliwie górami, huk rozdarł nocną ciszę. Agent UNACO zaklął głośno – za kilka sekund rzucą się na nich wszyscy znajdujący się na terenie więzienia

rebelianci. Odstrzelił zamek i kopnięciem otworzył drzwi. Tambese, który już zdążył zarzucić sobie na ramię bezwładnego Remy'ego Mobuto, zbiegł ze schodów i ciężkim krokiem ruszył w stronę wjazdu do kanału. Widział, jak w oknach koszar rozbłyskują światła.

Sabrina rzuciła Grahamowi uzi pułkownika. Pobiegli, rozglądając się, nie wiedzieli, z której strony mogą zjawić się rebelianci. Od wjazdu dzieliło ich jeszcze jakieś sześćdziesiąt metrów. Szyba w jednym z okien koszar rozprysła się nagle, a z otworu wyrzała lufa AK. Mike strzelał długimi seriami z obu trzymanyh uzi do wszystkich czterech okien, reszta szyb prysnęła i karabin zamilkł. Otworzyły się drzwi, wyskoczył z nich rebeliant – padł, nim w ogóle zdołał wystrzelić, jego ciała potoczyło się i zastygło kilka metrów od miejsca, w którym trafiły go kule. Agenci UNACO nie zamierzali się cofać, długimi seriami kryli okna i drzwi koszar, dając Tambese'owi cenny czas na dotarcie do wejścia do kanału. Graham odrzucił uzi, w którym skończyły się naboje, załadował następny, po czym krzyknął do Sabriny, by biegła za pułkownikiem i chroniła go na wypadek, gdyby ktoś zastawił na niego pułapkę za budynkiem. Dziewczyna ruszyła w stronę kanału, a on znów rozpoczął ogień.

Strzelał, póki nie skończyły mu się naboje. Założył ostatni magazynek i skierował się do wjazdu. Uzi umilkło, gdy dotarł do rogu koszar. Obiegł go i stanął jak wryty. Miał przed sobą kilku rebeliantów, celujących do niego z AK. Dwaj inni leżeli bezwładnie u wejścia do kanału, lecz po pułkowniku i Sabrinie nie pozostał nawet ślad. Mike skrzywił twarz w uśmiechu. A więc jednak się im udało!

Stojący przy wjeździe ubrany w obcisły kombinezon mężczyzna odwrócił się i spojrzał mu w oczy. Graham rozpoznał go natychmiast – Tito Ngune! Na jego twarzy widać jeszcze było sińce, pamiątkę po ludziach, którzy ujęli go w Habane.

– Niezła zabawa, panie Graham – powiedział Ngune. – Proszę się jednak nie martwić, pańskim przyjaciołom nie uda się uciec. Nie w tych... okolicznościach.

– Jak na barbarzyńcę zupełnie nieźle mówi pan po angielsku.

Ngune skwitował tę pogardliwą odpowiedź uśmiechem.

– Proszę rzucić broń – powiedział uprzejmie.

Mike cisnął uzi na ziemię. Za plecami usłyszał kroki, nim jednak zdołał się odwrócić, kolba karabinu trafiła go w tył głowy. Stracił przytomność, gdy padał.

– Nie możemy go tak zostawić! – Sabrina niemal krzyczała.

– Musimy, przynajmniej na razie – odparł Tambese przez zaciśnięte zęby. Właśnie próbował lepiej uchwycić ciało Remy'ego Mobuto.

Dziewczyna była zdruzgotana. Co teraz stanie się z Mike'em? Nie chciała nawet o tym myśleć. Musiała jednak przyznać, że Tambese ma słuszość – nie mogli nic zrobić dla jej partnera, jeśli sami

nie chcieli dać się złapać. I tak o sekundy zaledwie wyprzedzili rebeliantów, którzy wypełnili kanary niczym stado szczurów. Wiedziała, że strzelając z włazu zabiła trzech, jeden z nich wpadł do środka i wylądował w wodzie. Doskonale zdawała sobie także sprawę z tego, że już wkrótce ruszy za nimi pościg.

– Jakies pięćset metrów stąd jest właz. Możemy się przez niego wydostać.

– To szaleństwo – odparła gniewnie. – Z pewnością znaleźli już torbę, a w niej plany. Przy każdym włazie ustawia swoich ludzi.

– Zaufaj mi, Sabrino.

Postanowiła nie dyskutować. Powinna skupić się na tym, jak utrzymać ich przy życiu, nim dotrą w bezpieczne miejsce... jeśli takie w ogóle istnieje. Przecież tylko ona miała broń. Nagle usłyszała miarowy stuk... i z pewnością nie było to echo, w końcu oboje mieli pantofle na gumowych podszwach, a te kroki wydawały się bardzo ciężkie. Szło kilku ludzi. Próbowwała przebić wzrokiem panującą wokół ciemność, ale widzialność wynosiła nie więcej niż kilka metrów. Lampy umieszczone na przeciwległych ścianach co jakieś czterdzieści metrów świeciły słabo, a w dodatku w większości z nich już dawno przepalały się żarówki, których nikt pofatygował się wymienić. Gdyby przyjaciele mogli mnie teraz zobaczyć – pomyślała i uśmiechnęła się lekko, to pomogło jej przezwyciężyć nagły atak strachu. Czy Tambese także usłyszał kroki? Jeśli tak, nie powiedział nic.

Nagle wśród cieni, w odległości trzydziestu metrów, dostrzegła jakiś ruch. Już miała zacząć strzelać, lecz w ostatniej chwili zdjęła palec ze spustu. „Oszczędzaj amunicję, mała” – powiedziała sobie. Załadowała ostatni magazynek, a w dodatku nie miała pojęcia, ile pozostało w nim naboju. Przystawiła uzi na pojedynczy ogień.

W mroku pojawiła się kolejna sylwetka, lecz Sabrina nadal nie strzelała. Tylko... dlaczego nie otwarto jeszcze ognia do nich? Pewnie rebeliantom polecono ująć ich żywcem. Tak, to możliwe. Nadal zastanawiała się nad tym, kiedy w promieniu światła pojawiła się jakaś postać. Strzeliła i usłyszała najpierw krzyk bólu, a potem głośny plusk.

– Co to było!?! – rzucił przez ramię Tambese.

– Jednego rebelianta mniej – odparła.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że idą za nami?

– Byłam pewna, że słyszałeś kroki.

– Nic nie słyszałem – przyznał pułkownik z odrobiną wstydu.

– Nie martw się. Jak daleko do włazu?

– Jakies sto metrów.

– Bogu niech będą dzięki – szepnęła.

W sklepienie kanału, bezpośrednio nad ich głowami, uderzyła kula. Sabrina zakłęła cicho. Gdyby tylko miała latarkę! Znów dostrzegła ruch i znów wystrzeliła, tym razem jednak odpowiedziała jej cisza. Przeklęła się za marnowanie naboii.

W ściany naokoło nich zaczęły uderzać kule, nadal jednak były to tylko strzały ostrzegawcze. Mimo to skuliła się idąc tyłem i kątem oka patrząc, czy przypadkiem nie podchodzi zbyt blisko ściany. Nagle w polu jej widzenia pojawili się przeciwnicy. Naliczyła ich siedmiu, zbliżali się szybko, trzymając przed sobą broń.

– Jak daleko do wyjścia? – krzyknęła.

– Trzydzieści metrów.

Do diabła z tym wszystkim – pomyślała i przestawiła uzi na ogień ciągły. Pierwszą krótką serią powaliła dwóch, trzeci potknął się o ciała i runął do wody. Nie powstrzymało to jednak reszty. Oczywiście, mieli do czynienia z oddziałem samobójczym, gdzieś w pobliżu znajdowała się z pewnością kolejna ósemka, mająca zastąpić poległych kolegów... a wszystko wyłącznie dlatego, że Ngune pragnął mieć ich żywych! Rebelianci będą atakować, póki starczy jej amunicji, tak, z pewnością, gdyby przyjęli inną taktykę, ich trójka już by nie żyła. Ile zostało jej naboii? Wystrzeliła po raz kolejny – jeden z przeciwników padł i już się nie poruszył.

– Jesteśmy prawie na miejscu! – krzyknął Tambese. Kolejny strzał. Celny. Nacisnęła spust. Usłyszała suchy trzask – magazynek był pusty. Przeciwnicy zbliżali się coraz szybciej. Czyżby za nimi szedł drugi oddział? Nikogo jednak nie widziała. Była pewna, że jeśli tylko zbliżą się dostatecznie, zdoła ich rozbroić. Odrzuciła dłoń, stanęła w pozycji, wyciągając przed siebie ręce. Nagle usłyszała huk strzałów i świst przelatujących nad jej głową kul, rebelianci, znajdujący się niespełna piętnaście metrów od niej, padli skoszeni serią. Rzuciła się na ziemię, z przerażeniem zdała sobie sprawę, jak blisko jej głowy strzelono.

Na drabince prowadzącej do wjazdu stał Tambese, trzymając w dłoniach uzi.

– Nic ci się nie stało? – krzyknął.

– Jakimś cudem nie. Skąd to masz? – zdumiona wskazała broń.

– Chodź, to ci pokażę.

Ściągnęła kominiarkę i ruszyła za nim. Wyciągnęła się ku niej pomocna dłoń, lecz ostry rozkaz pułkownika spowodował, że natychmiast znikła. Kiedy Sabrina wyszła, rozejrzała się niepewnie dookoła zmrużonymi oczami.

Stojący obok jej towarzysza mężczyzna miał na sobie wojskowy mundur polowy z dystynkcjami kapitana. Za jego plecami, na poboczu drogi, zatrzymał się wojskowy jeep. Kolejnych ośmiu żołnierzy stało koło wielkiego czołgu Challenger, strzegącego wylotu ulicy. W otwartym włązie siedział jego dowódca, łokcie miał wygodnie oparte na krawędzi wieży, gogle zsunął na czoło. Spokojnie palił papierosa.

– Co tu się dzieje? – spytała w końcu, patrząc na pułkownika. – I gdzie jest Remy Mobuto?

– W drodze do szpitala. Przedstawiam ci niektórych moich ludzi. Inni zajęli posterunki w całym mieście. Kondese nie jest już w rękach buntowników. Wszystko poszło zgodnie z planem.

– Jakim planem? I dlaczego nic nam o tym nie powiedziałaś?

– Cała sprawa była ściśle tajna. Szczegóły znaleźliśmy tylko Jamel Mobuto i ja. Nie mogliśmy ryzykować, zbyt wiele mieliśmy do stracenia. Wśród żołnierzy było wielu sympatyków Ngune, dlatego ludzi do tej operacji doбираłem osobiście. Szczegółowe rozkazy dostali dopiero po opuszczeniu domu Okoye'a. – Widząc, że dziewczyna ma zamiar coś powiedzieć, Tambese uspokajająco wyciągnął rękę. – Wiem, wiele jeszcze powinienem wyjaśnić. Później. Na razie musimy wyciągnąć Mike'a z Branco.

– Jak?

– Zobaczysz. – Pułkownik uśmiechnął się, widząc wyraz zdumienia na jej twarzy. – Obiecuję, że będzie na co patrzeć.

Kiedy Graham oprzytomniał, stwierdził, że leży na pokrytej wykładziną podłodze. Uniósł się z wysiłkiem i – masując obolały kark – powoli rozejrzał się dookoła. Znajdował się w jakimś biurze. Na ścianie dostrzegł portret Alphonse'a Mobuto, obok którego znajdowała się oprawiona fotografia, przedstawiająca dyktatora ściskającego dłoń Ngune przy jakiejś oficjalnej okazji – obaj byli ubrani w smokingi. Na biurku stało także zdjęcie Ngune, nie miał więc wątpliwości, czyje to biuro.

Następną rzeczą, którą dostrzegł, był wycelowany w niego AK-47 i stojący w drzwiach strażnik.

Masował sobie jeszcze kark, gdy usłyszał zbliżające się kroki. Drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczył sam Ngune, nadal ubrany w szary kombinezon. Skinął salutującemu strażnikowi, kazał mu spocząć i nie spuszczać więźnia z oka.

– Proszę, niech pan siada – powiedział uprzejmie, wskazując Mike'owi fotel, sam zaś zajął miejsce za biurkiem, na obitym skórą krześle.

Graham wstał z wysiłkiem, po czym opadł na fotel i znów pomasaował kark.

– Zapali pan? – Ngune wysunął w stronę jeńca srebrną papierośnicę.

Odpowiedziało mu wyłącznie gniewne spojrzenie.

– Jak pan sobie życzy. – Były szef policji zapalił papierosa, rozsiadł się wygodnie i przyjrzał swej ofierze z uśmiechem. – Jak już wspominałem, zapewniłście nam chwilę doskonałej zabawy. Doliczyliśmy się na razie ośmiu zabitych. Z pewnością będzie ich więcej.

– Taką mam nadzieję.

– Ludzi można zastąpić. – Ngune lekko wzruszył ramionami. – Żony i syna – nie.

– Ty sukinsynu! – Mike rzucił się mu do gardła. Strażnik uderzył go kolbą w ramię i Graham padł na ziemię. Próbował odpowiedzieć ciosem, lecz żołnierz zdołał już się usunąć z zasięgu jego rąk i teraz mierzył mu w głowę. Grahamowi nie pozostało nic innego – wstał, pokonując ból ramienia i popatrzył na walthera P5, którego Ngune wyjął z biurka.

– Niech pan usiądzie, proszę, póki nie zrobi sobie pan jakiejś krzywdy.

Zabrzączał stojący na biurku interkom. Ngune odczekał, aż więzień usiądzie, po czym wcisnął odpowiedni przycisk.

– Tu dyspozytornia – odezwał się w suahili przestraszony głos. – Nie możemy skontaktować się z żadnym z patroli. Nie odpowiadają przez radio.

Na czole Ngune pojawiły się krople potu.

– Wyślijcie oddział, niech sprawdzi, co się dzieje. I nadal próbujcie nawiązać kontakt.

– To nie wszystko, panie pułkowniku. Nie możemy też skontaktować się z naszym garnizonem.

– A sprawdziliście, czy to przypadkiem nie jakaś awaria radia?

– Tak jest. Działa.

– Próbuje nadal. Meldujcie.

– Tak jest.

Ngune wyłączył interkom i zwrócił się do więźnia.

– Wiem, że odwiedził pan nas dzisiaj wraz ze swą partnerką. Kto był trzecim członkiem waszej grupy?

– Myszka Miki – odparł pogardliwie Graham.

– Kim on był?! – Ngune wymierzył z walthera w głowę jeńca.

– Mamy drobne kłopoty, prawda? – Mike zerknął na interkom.

Murzyn opuścił broń.

– Zabicie pana byłoby dowodem głupoty – stwierdził. – Albo odpowie pan na pytania tu, w wygodnym pokoju, albo zostanie zabrany do jednej z sal tortur. I tak dowiem się wszystkiego, pozostaje tylko kwestia, jak? Wybór należy do pana.

– Wybór? – w głosie jeńca zabrzmiało doskonale udane zdumienie. – A ja myślałem, że pan nienawidzi demokracji. Może przez cały czas pana nie doceniałem?

– Pytam po raz ostatni: kim był trzeci członek waszej grupy?!

– Powiedziałem przecież: Myszka Miki.

Ngune rozsiadł się wygodniej i spojrzał ostro na Grahama.

– Spotkałem już ludzi takich jak pan – powiedział. – Próbujecie wyprowadzić mnie z równowagi udając, że nic a nic nie boicie się tortur. Ja jednak zawsze dowiaduję się w końcu tego, czego chcę się dowiedzieć. Nie będzie pan wyjątkiem, panie Graham, niezależnie od tego, co pan sądzi. Złamię pana bez problemu.

– Możesz mnie torturować, ile tylko ci się podoba – Graham patrzył w oczy oprawcy, powieka nawet mu nie drgnęła – ale jedno mi tylko wytłumacz: jak zdołasz złamać człowieka, który całkowicie uodpornił się już na ból?

Ngune przyjrzał się swej ofierze zwężonymi nagle oczami.

– Czyżbyś naprawdę sądził, że najwymyślniejsze maszyny z tej twojej katowni zadadzą mi ból choćby porównywalny z tym, którego doświadczyłem, kiedy straciłem rodzinę? – Graham tylko potrząsnął głową. – Do diabła, zrobisz, co zechcesz, ale z pewnością nie zdołasz mnie zranić. Już nie.

– No to zobaczymy. – Nagle znów odezwał się interkom. – I co? – rzucił do mikrofonu.

– To znowu dyspozytornia, panie pułkowniku.

– Udało się wam nawiązać kontakt z patrolami?

– Nie, panie pułkowniku. – Na chwilę zapadła złowroga cisza. – Na radarze mamy dwa samoloty. Lecą w naszym kierunku. Sądząc po rozwijanej przez nie szybkości, są to wojskowe odrzutowce.

– Przecież to bez sensu! Nie kazałem użyć któregoś z naszych odrzutowców z bazy lotniczej w Czadzie. Informatorzy twierdzą zaś, że baza rządowych sił lotniczych w Habane nie otrzymała żadnych rozkazów.

– Te samoloty nie lecą z Habane, panie pułkowniku. Wystartowały z terenu któregoś z sąsiednich państw, nadlatują z południa.

– Czad?

– Nie mamy pewności, panie pułkowniku.

– Próbowaliście nawiązać z nimi kontakt?

– Tak, panie pułkowniku, ale na razie zachowują absolutną ciszę radiową.

– Odległość?

– Około sześćdziesięciu kilometrów, lecz zbliżają się bardzo szybko.

– Ogłosić alarm. Ludzie mają być w pogotowiu, ale nie wolno im otwierać ognia, póki nie zidentyfikujemy samolotów. Mogą być nasze. Próbuje nadal skontaktować się z nimi przez radio.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Ngune wyłączył interkom i opadł na oparcie krzesła. Co tu się dzieje? – spytał sam siebie. Utrata kontaktu z patrolami, utrata kontaktu z garnizonem, a teraz jeszcze zbliżające się, nie zidentyfikowane samoloty. Przyszło mu już do głowy, że siły rządowe mogły odbić Kondese, ale przecież nie słyszał strzałów, no, w każdym razie strzelano nie więcej niż normalnie. I gdyby przeciwnicy zdobyli miasto, powróciłby choćby jeden z patroli. A w dodatku to tajemnicze milczenie garnizonu na granicy z Czadem. Gdyby zaatakowały ich siły rządowe, z pewnością zdołałoby poinformować o tym bazę przez radio, lecz nie przekazali żadnej wiadomości. Milczenie. Zupełnie, jakby zostali całkowicie odizolowani. Odizolowani? Nie mógł pozbyć się tej myśli. Tylko jak?

Z wysiłkiem odepchnął od siebie przygnębiające myśli i rozkazał odprowadzić Grahama do sali przesłuchań. Wkrótce sam tam pójdzie. Strażnik trącił jeńca lufą i popchnął go w kierunku drzwi. Ngune poczekał, aż opuszczą pokój, po czym wyciągnął z szuflady potężną lornetkę wyposażoną we wzmacniacz obrazu na podczerwień i podszedł do okna. Podniósł ją do oczu, obejrzał niebo. Nic. W chwilę później dostrzegł jednak światła. Początkowo były dalekie, zamazane, lecz wkrótce zbliżyły się na tyle, że mógł wyraźnie dostrzec sylwetki dwóch samolotów. Niemal natychmiast rozpoznał w nich dornierey alpha, lecz nadal nie widział oznaczeń.

Prowadzący wykonał nagle gwałtowny skręt w prawo i na skrzydeł pojawiły się wyraźne znaki sił powietrznych Zimbali. Ngune opuścił lornetkę. Grzbietem dłoni otarł pot z czoła. Przecież to niemożliwe! Jakim cudem dwa szturmowce wystartowały z bazy w Habane bez wiedzy żadnego z jego informatorów? Do cholery, ci ludzie tam stacjonowali! Jak to się mogło stać! Przez interkom wydał rozkaz otwarcia ognia, gdy tylko samoloty znajdą się w polu rażenia.

Wrócił do okna i przysiadł instynktownie, gdy jeden z samolotów przeleciał nisko nad więzieniem. Pierwsza rakietka eksplodowała kilkanaście metrów od ogrodzenia, lecz jego żołnierze w panice musieli szukać schronienia przed spadającym na nich deszczem mniejszych i większych kamieni. Druga z odpalonych przez samoloty rakiet przebiła ogrodzenie i wybuchła pod jedną z wież. Oniemiały ze zdumienia Ngune patrzył, jak siła eksplozji składa wieżę, przez moment jej szczątki unosiły się jeszcze w powietrzu, a potem spadły na koszary, w których zaledwie przed sekundami schroniła się część jego ludzi. Garść z nich próbowała uciec, lecz gdy tylko znaleźli się na otwartej przestrzeni, natychmiast skosił ich silny ogień. Trzecia rakietka trafiła w bramę, wyrывая ją z zawiasów i rozdzierając, jakby masywna stal była w istocie *papier mâché*.

Pierwszy z challengerów zimbalskiej armii wjechał na teren więzienia, lufę obrócił na koszary, w których resztką siłą rozpaczliwie broniły się niedobitki buntowników. Pistolety maszynowe

przeciw czołgom... Ngune wiedział jednak, że jego ludzie się nie poddadzą. Zginą do ostatniego – dla nich była to kwestia honoru.

Nagle zrozumiał – wszystko stało się jasne! Nie mogli połączyć się z garnizonem, bo zniszczyły go rządowe odrzutowce, nie mieli tam radaru, więc zaatakowały z zaskoczenia. On sam przez cały czas spodziewał się ataku z Habane, lecz by dolecieć do granicy Habane, odrzutowce musiały ominąć Kondese. Popełnił błąd, błąd tragiczny w skutkach. Jamel Mobuto, człowiek, którym pogardzał przez te wszystkie lata, w końcu go pokonał. Ginęli ludzie, bez których nie mógł nawet myśleć o ataku na stolicę. Marzenia przysły jak mydlana bańka.

Teraz musiał skoncentrować się na czymś innym – musiał przeżyć, przetrwać. Im dłużej bronili się jego żołnierze, tym większe miał szansę na ucieczkę. Otworzył umieszczony w ścianie sejf, wypchał kieszenie paczkami banknotów. Z dolnej półki biurka wyjął maleńki sterownik, lecz drzwi przysły, nim zdołał go użyć i uciec. Odłożył więc przyrząd na miejsce.

Do pokoju wkroczył Graham uzbrojony w odebrany strażnikowi karabin.

– Powinieneś nauczyć swych ludzi, by w każdej chwili spodziewali się niespodziewanego – stwierdził. – Nietrudno przyszło mi go rozbroić.

Ngune nerwowo przełknął ślinę.

– Możemy się dogadać, Graham. Niech pan wyjmie pieniądze z sejfu. Wszystkie.

– A w zamian mam umożliwić ci ucieczkę?

– Tak. – Oprawca machnął ręką w kierunku sejfu. – Same funty i dolary. Niech pan je bierze, wszystkie.

– Och, oczywiście, że wezmę – wszystkie – i razem z tobą oddam władzom. – Na widok paczek banknotów Mike cicho gwizdnął ze zdumienia. – No, no, jest tego tyle, że wystarczyłoby na pokrycie deficytu budżetowego Stanów Zjednoczonych. Załatwię cię przed sądem, Ngune. Żałuję tylko, że mnie przy tym nie będzie.

Ngune zerknął nerwowo na leżącego na biurku walthera. Czy zdoła go dosięgnąć, nim przeszyją go kule? Lecz... czy ma jakieś inne wyjście? Przecież przed sądem rzeczywiście nie ma żadnych szans.

Rozmyślając, przywódca zimbalskiej rebelii przegapił właściwą chwilę. Mike rozładował walthera, schował magazynek i rzucił go z powrotem na biurko.

– Opróżnij kieszenie!

Na biurko powędrowały rzucone tam niechętnie zwitki banknotów.

– Wszystkie! – Mike gestem wskazał kieszenie na piersiach munduru Ngune.

I te kieszenie zostały opróżnione.

– Idziemy! – Graham wskazał drzwi.

Ngune zdążył obejść biurko, gdy w budynek uderzył pocisk. Z okna wypadły szyby, ze ścian gęstą chmurą posypał się tynk. Wykorzystując chwilę zamieszania, zamachnął się, trafiając przeciwnika w skroń. Mike ciężko uderzył w ścianę, AK wysliznęła mu się, dłoni.

Natychmiast po pierwszym padł drugi cios – kopniak w żołądek. Ngune nie patrzył nawet, jaki wywarł skutek, porwał sterownik z biurka i otworzył nim zamaskowane w ścianie przesuwne drzwi. Za nimi znajdowały się betonowe schody prowadzące do tunelu. Znikł w nim, drzwi natychmiast zaczęły się zasuwać. Graham skoczył i przytrzymał je, gdy były już prawie zamknięte. Z zaciśniętymi zębami zaczął je pchać. Po chwili, która sprawiała wrażenie nieskończoności, rozchyliły się na tyle, by mógł się przez precisnąć. Zamknęły się za nim natychmiast.

Tunel miał jakieś trzysta metrów długości, zbieg zaś zdołał pokonać niemal połowę dystansu. Graham zeskoczył ze schodów i ruszył za nim. Zdumiewała go szybkość, z jaką uciekał przywódca rebelii – jak na swój wiek kondycję miał najwyraźniej znakomitą. Choć udało mu się nieco zbliżyć do uciekającego, nie zdołał go jednak złapać, nim ten wbiegł na górę po kolejnych schodach, zerwał z szyi łańcuszek z kluczem, otworzył wyjście i znikł, nie próbując nawet wyrwać klucza z zamka. Oznaczałoby to tylko stratę czasu... oraz dystansu.

W kilka sekund później Graham był już na schodach. Wbiegł biorąc je po dwa, zatrzymał się przy otwartych drzwiach i wyjrzał ostrożnie. Był w garażu z podnoszonymi, otwartymi w tej chwili drzwiami, oświetlonym zakurzoną żarówką zwisającą z sufitu na kawałku kabla. Uciekinier nie skorzystał z poobijanego zielonego forda i zdecydował się uciekać dalej na piechotę. Kiedy Mike wyjrzał na zewnątrz, zaklął cicho, mieszkańcy Kondese wylegli na ulicę śpiewając i tańcząc z radości, że ich miasto zostało wyzwolone. Jeśli Ngune zdoła zniknąć w tłumie, nie będzie sposobu, by go odnaleźć.

Dokładnie przyjrzał się ulicy, lecz nie dostrzegł go. Nie może być daleko – powiedział sobie – nie po tym biegu. Sam był już niemal u kresu sił.

Nagle w bramie po przeciwnej stronie ulicy zobaczył jakiś ruch. Odczekał na wolne miejsce i przebiegł na drugą stronę, roztrącając świętujących ludzi. Powoli ruszył w tamtym kierunku. Przez chwilę promień światła wydobył z ciemności twarz Ngune. Uciekinier dostrzegł go, próbował uciekać, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Został złapany od tyłu i rzucony na ścianę. Ciało zwiotczało i Graham popełnił pomyłkę – wypuścił kombinezon.

Oszalaniający hak trafił go wysoko w policzek, a po nim, niemal natychmiast, drugi i ten drugi rzucił go na ziemię. Ngune pobiegł ulicą, lecz Mike szybko się pozbierał, ruszył za nim i wykonując wspaniały futbolowy rzut chwycił go w pól. Obaj wylądowali na chodniku, lecz ścigający okazał się szybszy – uderzył przeciwnika łokciem w brzuch. Unieruchomionego, z trudem chwytającego powietrze, poderwał na nogi i rzucił na ścianę najbliższego budynku.

Dopiero wtedy zobaczył grupę kilkunastu ludzi – głównie mężczyzn, uzbrojonych w kije

i łańcuchy, jeden miał nawet maczetę – stojących niedaleko nich. Ngune dostrzegł ich także. Zaczął krzyczeć coś w suahili, próbując jednocześnie wyrwać się z żelaznego uścisku przeciwnika.

Mężczyźni zrobili w ich stronę krok, a potem drugi. Graham zorientował się, że przestaje panować nad sytuacją. Być może będzie musiał się bronić, lecz oznaczało to wypuszczenie oprawcy. Jeden z mężczyzn wysunął się nagle z tłumu, podbiegł i boleśnie uderzył go kijem w ramię. Mike zachwiał się, Ngune nadal mówił coś szybko w suahili, gestykulując dziko, pokazując go palcem. Pozostali mężczyźni byli coraz bliżej, dowódca rebeliantów dostrzegł szansę i zaczął się powoli wycofywać. Graham otoczony został przez krzyczących do niego w suahili Murzynów. Kolejny cios zdołał zablokować podniesionym przedramieniem, lecz taka sytuacja nie mogła trwać dłużej. Co może zrobić? Przecież się z nimi nie porozumie. I nagle dotarło do niego, że wcale nie musi znać suahili. Oczywiście!

– Tito Ngune! – krzyknął, oskarżycielskim gestem wskazując oddalającą się postać. – Tito Ngune! Tito Ngune!

Otoczający go ludzie zareagowali natychmiast. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę oprawcy. Ngune próbował jeszcze uciekać, lecz gruba kobieta złapała go za ramię, kilka sekund wpatrywała się w opuszczoną twarz, po czym twierdząco skinęła głową. Pchnęła Ngune w kierunku mężczyzn, a ci przewrócili go na ziemię i zaczęli okładać kijami.

Graham już miał zamiar interweniować, gdy na ulicy pojawił się wojskowy jeep. Z zatrzymanego się samochodu wyskoczył żołnierz, rozepchnął tłum i podszedł do leżącego pod ścianą, kryjącego twarz w dłoniach człowieka. Za nim, z tylnego siedzenia, wysiadł porucznik i ruszył w stronę Grahama. Miał najwyżej dwadzieścia pięć lat.

Mike spytał go, czy mówi po angielsku. Nie otrzymał odpowiedzi, oficer odwrócił się i podszedł do leżącego na chodniku, okrwawionego Ngune. Przez tłum przecisnęła się gruba kobieta i zaczęła coś do niego mówić, kilka razy wymieniła chyba nazwisko przywódcy rebelii. W każdym razie oficer dokładnie przyjrzał się jego zalanej krwią twarzy, wyjął kajdanki i skuł nimi ręce Ngune za jego plecami. Dwaj żołnierze unieśli go, kazali mu klęknąć i zrobili miejsce dla dowódcy.

Graham czekał nie bardzo wiedząc, co ma się teraz wydarzyć. Kajdanki oznaczały areszt, lecz dlaczego aresztowanego nie zabrano do samochodu? Porucznik wyjął z kieszeni pistolet i przycisnął do głowy jeńca. Przerażony Mike zrobił krok do przodu. Musiał zareagować. Przecież to barbarzyństwo! Wina tego człowieka podlegała dyskusji, lecz należał mu się przecież uczciwy proces. Takie jest prawo, jedno dla wszystkich.

Porucznik spojrział na niego i powiedział coś w suahili. Mike bezradnie wzruszył ramionami, lecz kiedy chciał podejść jeszcze krok bliżej, drogę zastąpili mu dwaj żołnierze z wymierzonymi w niego karabinami. Porucznik obrócił się w stronę oprawcy bełkoczącego coś, rozpaczliwie błagającego o życie. Niegdyś drugi wśród najpotężniejszych ludzi w Zimbali, człowiek ten był teraz tylko stojącym nad grobem starcem. Padł strzał, ciało drgnęło konwulsyjnie, głowa rozprysła się, w powietrzu unosiła się tylko krew i odłamki kości.

Tłum ryknął tryumfalnie. Porucznik schował pistolet. Powiedział coś do żołnierzy, którzy

zarzucili karabiny na ramiona i wrócili do jeepa. Poszedł za nimi, nie zwracając uwagi na stojącego na chodniku Grahama. Jeep odjechał. Mike przyglądał się bezwładnemu ciału, nadal nie mogąc pogodzić się z aktem barbarzyńskiej sprawiedliwości, którego był właśnie świadkiem. Cóż, znajdował się w Afryce, na kontynencie, gdzie litość uważano najczęściej za oznakę słabości, brutalność zaś i gwałtowna śmierć zdarzały się tak często, że zaczęto traktować je jako coś całkowicie naturalnego.

Smutno potrząsnął głową patrząc na śpiewających ludzi, na tłum tańczący tuż przy skulonym, bezgłowym ciele, a potem odwrócił się i powoli odszedł.

Sabrina siedziała sztywno wyprostowana, twarz podpieraa dłońmi, oczu zaś nie mogła oderwać od telefonu. Na farmę wróciła już przeszło dwie godziny temu, a informacji o losie Mike'a nadal nie było. Od Tambese'a dowiedziała się, że w Branco nie znaleziono jego ciała... więc gdzie się podziewał? Jakim cudem zdołał wydostać się z więzienia, nim zostało zbombardowane? Choć ważne, pytania te nie wydawały się jej w tej chwili najistotniejsze, marzyła po prostu, żeby telefon wreszcie zadzwonił.

Oprócz niej w pokoju siedzieli także Moredi i Laidlaw. Od pół godziny panowało między nimi absolutne milczenie, wszyscy pograżyli się w myślach. Sabrina zgarbiła się i z całej siły uderzyła pięścią w oparcie. Laidlaw obrzucił ją szybkim spojrzeniem. Wydała mu się napięta, była bardzo blada, a w jej oczach czaił się strach. Podniosła głowę i spojrzała na obu przyjaciół. Przeszło godzinę temu Moredi zaczął ustawiać pasjansa na niskim stoliku. Do tej pory nie udało mu się skończyć. Zorientował się, że dziewczyna na niego patrzy, i podniósł wzrok znad kart. Uśmiechnął się krótko, lecz ona nie odpowiedziała mu uśmiechem. Opuścił wzrok, już miał wrócić do swego zajęcia, kiedy nagle zadzwonił telefon.

Sabrina poderwała się na równe nogi, nim zdała sobie sprawę, co właściwie robi. Nerwowo przygryzała wargi, kiedy Moredi podnosił słuchawkę, dziennikarz milczał przez krótką chwilę, a później twarz mu się rozjaśniła i skinął na nią.

- Czy to wiadomość o Mike'u? – spytała niecierpliwie.
 - To Mike we własnej osobie. – Moredi uśmiechem dodał jej odwagi.
 - Mike? – powiedziała niepewnie do telefonu.
 - Aha. – odparł Graham.
 - Miło, że zadzwoniłeś. Gdzie właściwie jesteś? I gdzie byłeś przez ostatnie dwie godziny?
 - Nic mi nie jest. Dzięki za zainteresowanie – padła ostra odpowiedź.
- Westchnęła, przecierając zmęczone oczy.
- Przepraszam cię. To była długa noc.
 - Opowiedz mi wszystko.
 - A skąd dzwonicz?
 - Ze szpitala.

– Jesteś ranny!?

– Nie. Kilka godzin snu z pewnością postawi mnie na nogi. A u ciebie jak?

– Nic mi nie jest. A co właściwie działo się z tobą? Jak udało ci się wydostać z więzienia?

– To długa historia. Dowiesz się wszystkiego, kiedy wrócę. Jest tu ze mną Tambese. Właśnie skończył rozmowę z Remym Mobuto. Zaraz ruszamy.

– Jasne. Mike... miło było usłyszeć twój głos.

– Hej, co nagle zrobiłaś się taka sentymentalna?

Dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie.

– Do zobaczenia – powiedziała tylko.

– No, to do zobaczenia.

Odłożyła słuchawkę. Spojrzała na Laidlaw i Morediego.

– Wszystko dobrze – oznajmiła. – Będą tu wkrótce z Davidem.

Dziennikarz delikatnie dotknął jej ramienia.

– Teraz, kiedy wiesz, że nic mu się nie stało, może przespałabyś się parę godzin? Wyglądasz na straszliwie zmęczoną.

– Nie mogłabym zasnąć, nawet gdybym chciała. Za wiele pytań pozostało bez odpowiedzi. Kręci mi się od nich o, tu. – Postukała się palcem w czoło.

– A może kawy póki czekamy, aż wrócą ze szpitala?

– Bardzo dziękuję, z przyjemnością. – Wskazała drzwi. – Będę na zewnątrz.

Moredi skinął głową i poszedł do kuchni. Sabrina wyszła na ganek. Zza horyzontu właśnie wyłaniało się słońce, niebo było skąpane w złocie i purpurze – niepowtarzalne piękno wschodu w Afryce.

– Coś wspaniałego, prawda?

Obróciła się błyskawicznie. Na ganku pojawił się Laidlaw, w obu dłoniach trzymał kubki parującej kawy.

– Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć – dodał, wręczając jej jeden z nich.

– Dziękuję. – Zeszła na podwórko, usiadła na najwyższym stopniu schodów.

– Mogę się przyłączyć?

– Teraz to wolny kraj – odparła, nawet na niego nie patrząc. Laidlaw zasiadł na wiklinowym fotelu.

– Porozmawiamy? – spytał.

Odstawiła kubek i spojrzała mu w oczy. Była wyraźnie zła.

– Och! A o czym to?

– Słuchaj, wiem, że nie zakochaliśmy się w sobie od pierwszego wejrzenia. Wina leży po mojej stronie, dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę. Z pewnością nie jestem jednak pierwszym facetem, który nie ufał twym umiejętnościom, ponieważ jesteś kobietą.

– I nie będziesz ostatni. – Sabrina oparła się o kolumnkę ganku, podciągając kolana pod brodę. – Nauczyłam się już oczekiwać takiej reakcji. Tak to bywa, kiedy jest się kobietą uprawiającą męski zawód. Ale mnie to nie przeszkadza. Mam pracę i wykonuję ją, jak najlepiej potrafię. Jeśli wy, faceci, nie możecie tego zaakceptować, to już wasz problem, nie mój.

– No, po dzisiejszej nocy zaliczam się do nawróconych.

– Alleluja! – krzyknęła drwiąco.

– Powinienem być wystarczająco mądry, żeby nie próbować z tobą rozmawiać. – Zirytowany Laidlaw poderwał się z fotela.

– Nie rozmawiałeś, tylko wygłaszałeś przemowę. – Sabrina obrzuciła go nieprzychylnym spojrzeniem.

Laidlaw z westchnieniem podszedł do barierki.

– Nie taki miałem zamiar. Przepraszam. Sama stwierdziłaś, że jesteś kobietą uprawiającą męski zawód. Chyba po prostu nie zrozumiałem jeszcze w pełni konsekwencji tego faktu.

– No, przynajmniej nie sposób odmówić ci uczciwości. Większość moich kolegów nie umiałaby przyznać się do błędu.

– Z Mike'em, zdaje się, układa ci się nieźle?

– No tak, przynajmniej do pewnego momentu. – Sabrina uśmiechnęła się z namysłem. – Nie zawsze jednak wyglądało to aż tak dobrze. Jesteśmy partnerami od dwóch lat, a naprawdę współpracujemy ze sobą dopiero parę miesięcy. Pierwszy rok... był koszmar, naprawdę koszmar. Nic, tylko kłóciliśmy się bez przerwy, wyłącznie o drobiazgi. Doszło do tego, że cierpiała na tym praca. Kiedy zdaliśmy sobie z tego sprawę, przyszła pora na podjęcie decyzji: zostajemy razem albo dobieramy sobie innych partnerów. Nie sądzę, by nasza decyzja zaskoczyła kogokolwiek. Jesteśmy dobrym zespołem. Zawsze byliśmy. Zdecydowaliśmy zakopać topór wojenny

i wziąć się do roboty. Nadal się kłócimy, pewnie dlatego, że oboje jesteśmy bardzo niezależni, ale nauczyliśmy się z tym żyć.

– Zależy ci na nim, prawda?

– Chyba tak. – Obojętnie wzruszyła ramionami. – Przecież jest moim partnerem!

Laidlaw zrozumiał sens tej wymijającej odpowiedzi, zdecydował jednak, że lepiej nie kontynuować tematu. Oparł się o barierkę, splatając ramiona na piersi.

– Aż trudno uwierzyć, jak bardzo Mike się zmienił – powiedział. – Jest zupełnie inny niż człowiek, którego znałem z Delty. Sama przyznajesz, że stał się niezależny. Gdybym nie widział tego na własne oczy, nigdy bym nie uwierzył.

Sabrina obróciła się. Teraz mogła spojrzeć mu w oczy. Po raz pierwszy ktoś mówił przy niej o tym Mike’u Grahamie, którego nie знаła. Fascynujące.

– Co masz na myśli? – spytała z rozpaczliwą nadzieją, że Russ nie zmieni tematu.

– W Delcie Mike jako dowódca potrafił sprawić, że czuliśmy się zespołem. W końcu akcje wykonywaliśmy właśnie jako zespół, a nie poszczególne osoby. No i trzymały się go szczeniackie żarty. Kiedy nadchodził, ludzie uciekali, bo nigdy nie było wiadomo, czego się po nim spodziewać.

– Naprawdę? – Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

Laidlaw skinął głową.

– Naprawdę. Trudno uwierzyć, że to ten sam człowiek.

– Biorąc pod uwagę okoliczności... – Sabrina spoważniała nagle. – Z tego, co powiedziałeś, wynika, że ubóstwiał ziemię, po której stąpali Carrie i Mikey.

– Bo i ubóstwiał.

Zapadła cisza.

Na prowadzącej do domu drodze pojawił się jeep. Sabrina poderwała się na równe nogi. Dostrzegła, że są w nim dwie osoby, lecz dopiero gdy samochód wjechał na podjazd, rozpoznała w nich Grahama i Tambese’a. Jeep zatrzymał się i Mike jako pierwszy wyskoczył z szoferki.

– Elegant z ciebie! – dziewczyna uśmiechnęła się na widok białej, luźnej, długiej koszuli i białych spodni, które Graham pożyczył w szpitalu.

– Najnowsza moda, wiesz? – burknął w odpowiedzi, wchodząc na ganek.

– Nabiłeś sobie parę guzów – Laidlaw gestem wskazał na twarz przyjaciela.

– Ngune wiedział, gdzie bić.

– Złapałeś go? – zainteresowała się dziewczyna.

– Nie własnoręcznie. Ale leży pod płachtą na tylnym siedzeniu jeepa. Armia ma zamiar wystawić ciało na widok publiczny w Habane. – Graham ruszył ku wejściu do domu. – Przebiorę się tylko i zaraz schodzę – oznajmił.

Sabrina odprowadziła go wzrokiem, a potem spojrzała na Tambese'a.

– Co właściwie stało się z Ngune? – spytała.

– Wszystko opowiem wam w środku. – Pułkownik elegancko przytrzymał im drzwi.

Wewnątrz czekali już na niego Okoye i Moredi. Przywitali się i rozmawiali we własnym gronie, póki nie pojawił się Mike, ubrany w sprane džinsy oraz czarny podkoszulek.

– Proszę, niech wszyscy usiądą – zaproponował gospodarz. Graham z Sabrina zajęli miejsce na kanapie, Okoye, Laidlaw i Tambese na stojących w pobliżu fotelach. Russ stawiając kubek z kawą na podłodze niechcący dotknął opartego o ścianę uzi Sabriny. Natychmiast przestawił go na drugą stronę. To zdecydowanie poprawiło mu samopoczucie.

– Jak się czuje Mobuto? – Dziewczyna zadała pierwsze pytanie, patrząc na pułkownika, który nie usiadł.

– Jest nieco oszołomiony, ale poza tym wydaje się, że wszystko w porządku. Lekarz, który go badał, stwierdził, że narkotyki nie będą miały efektów ubocznych. Wypiszą go jutro rano.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego nie zginął, skoro był dla rebeliantów takim zagrożeniem – wyznał Laidlaw.

– Ngune potrzebował go żywego na wypadek, gdyby przewrót się nie udał. Mógłby użyć go jako zakładnika przy próbie wydostania się z kraju. Jamel i Remy zawsze byli sobie bardzo bliscy, a ich przyjaźń umocniła się przez lata walki z reżimem ojca. Jamel zakazał przeprowadzenia jakiegokolwiek akcji zbrojnej przeciw rebeliantom przed upewnieniem się, że jego brat jest bezpieczny.

– A dlaczego go porwali? – zainteresował się Moredi. – Co miał na Ngune?

– Mnóstwo. Owym tajemniczym informatorem był prywatny sekretarz tego drania.

Dziennikarz tylko gwizdnął cicho.

– Nic dziwnego, że Remy trzymał to w takiej tajemnicy. Znalazł prawdziwą kopalnię dziennikarskiego złota.

– Och, oczywiście. Sekretarz znał szczegóły planowanego przewrotu, wiedział również

o zamachu na Jamela. Wszystko to przekazał Remy'emu. Kiedy Ngune zorientował się w sytuacji, musiał zapobiec opublikowaniu kompromitujących go materiałów, więc porwał Remy'ego.

– Czy sekretarz zidentyfikował trzeciego z zamachowców? – spytała Sabrina.

– Tak – odparł Tambese. – Jest nim Bernard. Lecz mnie osobiście najbardziej zainteresował fakt, że plan zamachu na Jamela Mobuto nie narodził się tu, w Zimbali, choć na to właśnie wskazywały nasze źródła informacji. Od początku była to operacja CIA. Ngune jest ich człowiekiem. Pracował dla CIA od dwudziestu czterech lat.

– Ngune agentem CIA? – zdumiał się Moredi. – A niby czemu miałby dla nich pracować?

Pułkownik tylko wzruszył ramionami.

– Nie potrafię tego wyjaśnić – wyznał. – Wiem jedynie, że jego współpraca była przez te wszystkie lata jednym z najlepiej strzeżonych sekretów agencji. Nawet sekretarz dowiedział się o niej przypadkiem.

– Czy wiemy, kto z Langley za tym stoi? – spytała Sabrina.

– Nie.

– To może być Bailey – stwierdziła, zwracając się do Grahama.

– Może – zgodził się Mike. – Ale na razie mamy poważniejsze problemy.

– Na przykład co?

Agent UNACO spojrział na pułkownika armii Zimbali.

– Ty jej powiedz – zaproponował.

– Wiesz, że dziś po południu Jamel odwiedzi targi handlowe w Nowym Jorku? Ma to być jego ostatnie publiczne wystąpienie przed powrotem do kraju.

– Wiem, oczywiście. – Dziewczyna zawahała się lekko.

– Bernard się tam pojawi. Uzbrojony w dalekosiężny karabin snajperski. Ngune został poinformowany, że decydująca próba zamachu będzie miała miejsce w World Trade Center... jeśli Jamel w ogóle dożyje ostatniego dnia wizyty w Stanach.

Sabrina zerknęła na zegarek.

– Różnica czasu wynosi minus siedem godzin... to znaczy, że w Nowym Jorku jest już niemal wpół do dwunastej w nocy. – Zwróciła się do Grahama. – Zadzwoń do Siergieja i poinformuj go o Bernardzie.

Mike spojrzał jej w oczy.

– A co on może zrobić nie alarmując CIA? – spytał. – Jeśli zechce przeczesać gmachy, będzie musiał poinformować o wszystkim nowojorski departament policji, a tam z pewnością jest wtyczka CIA, i to na najwyższym szczeblu. Langley niemal natychmiast dowie się, że Bernard został skompromitowany. Każą mu się wycofać. Powrócimy do punktu wyjścia.

– CIA z pewnością nakaze zaniechanie operacji, kiedy dotrze do niej informacja o klęsce puczu i śmierci Ngune – wtrącił się do rozmowy Okoye, patrząc to na jednego agenta UNACO, te na drugiego.

– Na razie jednak nic nie wiedzą – wyjaśnił Tambese. – Co najwyżej poinformowano ich, że Branco i garnizon rebeliantów zostały zniszczone przez wiernych rządowi żołnierzy. Nie ujawniliśmy jeszcze informacji o stratach. W rzeczywistości Mike zaproponował nawet, byśmy podali do wiadomości publicznej, że Ngune i około dwustu jego ludzi zebrali się na granicy z Czadem i że w ciągu najbliższych dwunastu godzin jest oczekiwani próba odbicia Kondese. CIA nadal wierzy, że zdoła obalić Jamel wraz z wiernym mu rządem.

– Chciałabym porozmawiać z tobą prywatnie. – Sabrina spojrzała na Mike'a, a potem potoczyła wzrokiem po reszcie zgromadzonych w pokoju ludzi. – Nie miejcie nam tego za złe.

Graham wyszedł za nią na ganek.

– Zaproponowałeś, by przekazać fałszywe informacje na temat Ngune i rebelii? – spytała, gdy tylko znaleźli się sami. – Dlaczego, Mike? – Podniosła dłoń, nim zdążył jej odpowiedzieć. – Nie! Pozwól, niech domyślę się tego sama. Da ci to czas na powrót do Nowego Jorku. Chcesz rozprawić się z Bernardem. Sam.

– Nie sam. Z tobą.

– Cierpisz na obsesję, prawda? Zaryzykujesz wszystko, by dopaść Bernarda. Nic cię nie obchodzi, że narażasz przy tym życie niewinnego człowieka. Nic cię to nie obchodzi!

Graham oparł się o barierkę i skinął głową, jakby przytakiwał swym myślom.

– Przyznaję, myliłem się przez cały czas z takim uporem ścigając Bernarda. Wtedy rzeczywiście była to obsesja. Ale teraz wszystko się zmieniło. Zrozumiałem, kim dla tego kraju jest Mobuto. Ludzie go potrzebują. – Spojrzał na dziewczynę. – Nie zrozum mnie źle. Nadal chcę go mieć. Tylko teraz akurat ważniejsze jest, by powstrzymać go, nim zabije Jamela.

Sabrina opadła powoli na stojący na ganku wiklinowy fotel. Kilka sekund wystarczyło, by jej gniew zmienił się we wstyd. I nie zdarzyło się to bynajmniej po raz pierwszy. Doskonale zdawała sobie sprawę, że Mike jest w stanie przekonać ją do wszystkiego, mówiąc tak rozsądnie i spokojnie, jak mówił teraz. Lecz przecież to on postawił jej w Bejrucie warunek – dopadną Bernarda wspólnie lub osobno – nie przejmując się wcale niebezpieczeństwem grożącym Mobuto. Nie mogła być pewna, czy zmienił się tak radykalnie. Nie umiała czytać w ludzkich myślach. Więc czemu, do jasnej

cholery, czuła się winna?

– Wiem, że powinniśmy poinformować Siergieja o tym, co się dzieje – ale co on może zrobić? – tłumaczył dalej Mike. – Dajmy sobie spokój z policją, to była tylko taka zasłona dymna, ale jak poradzimy sobie z ludźmi Baileya pracującymi z C.W.? Jeśli to naprawdę Bailey kryje się za całą tą operacją, czego – zresztą jestem pewien, on właśnie dowie się pierwszy, że Bernard został skompromitowany. Jak Kolczynskiemu uda się podać rysopis Bernarda ochronie World Trade, by CIA się o tym nie dowiedziała? Nie ma wyjścia, prawda? Właśnie dlatego musimy go powstrzymać. I musimy dokonać tego w całkowitej tajemnicy, tak żeby – gdy dotrzemy na miejsce – morderca nie mógł się wycofać. Złapiemy go w pułapkę. A jak go złapiemy, ujawnimy całą sprawę! Dziewczyna skinęła głową zrezygnowana.

– Jakim cudem uda nam się powrócić do Nowego Jorku na czas? – spytała tylko.

– Tambese załatwił nam jeden z samolotów prezydenta. Stoi w Habane już zatankowany, czekamy jedynie na pilota. David sam odwiózłby nas na miejsce, ale zbyt wiele ma do zrobienia tu, na miejscu. Twierdzi, że dolecimy do Nowego Jorku mając jeszcze w zapasie kilka godzin.

– A jeśli nam się nie uda?

– Połączymy się z Siergiejem przez radio i wyjaśnimy mu całą sprawę. Zdoła bez problemu powstrzymać Mobuto przed wizytą w World Trade Center, tyle tylko, że Beranardowi prawie na pewno uda się uciec. Do tego z pewnością jednak nie dojdzie. Czas jest po naszej stronie.

– Boże, mam nadzieję, że się nie mylisz. – Sabrina mocno potarła dłońmi twarz. – Jeśli cokolwiek przydarzy się Mobuto, C.W. będzie musiał znaleźć sobie dwójkę nowych partnerów. Wylecimy z roboty tak szybko, że przy tej prędkości będziemy mieli kłopoty z lądowaniem!

– Nic się nie zdarzy Mobuto – powtórzył Graham.

Otworzyły się drzwi – to dołączył do nich Tambese.

– Przepraszam, że przeszkodziłem – powiedział – ale pewnie chcielibyście wiedzieć, że pilot jest już w drodze. Powinien pojawić się tu za jakieś dziesięć minut.

– Wspaniale – odparł Mike, a potem powoli rozejrzał się dookoła. – Przykro mi będzie opuszczać farmę – wyznał. Wydaje się taka... spokojna.

Tambese zdecydował się wyjść do nich na ganek.

– Bo i jest, możesz mi wierzyć. Przyjeżdżałem tu z żoną przez ostatnie dziesięć lat. Co za odmiana po hałaśliwej, ruchliwej Habane!

– Nie wiedziałam, że jesteś żonaty – zdziwiła się Sabrina.

– Od przeszło dwunastu lat. Matthew Okoye jest moim szwagrem. Dlatego właśnie odwiedzamy go tak często. Zawsze byliśmy sobie bliscy, w końcu niewielu jest ludzi, którzy potrafili

przeciwstawić się Alphonse'owi Mobuto i przeżyć. Jamel, Remy i Matthew byli jego najzagorzalszymi krytykami, ja i Joseph Moredi robiliśmy, co w naszej mocy, ale nie mieliśmy tych wpływów. To właśnie nas połączyło: obrzydzenie do Mobuto i jego marionetek, takich jak Ngune i jego zastępca, Massenga. Tak bardzo chcieliśmy za naszego życia doprowadzić do pokoju w Zimbali!

– I doprowadziliście – stwierdził Graham.

– Taką przynajmniej mam nadzieję – odparł zamyślony Tambese.

– A wiecie już coś o Massendze?

– Nic nowego. Nałożono cenę na jego głowę. Wkrótce z pewnością zostanie złapany.

– Nadal nie powiedziałaś mi, co właściwie zdarzyło się po tym, kiedy zostałeś ujęty w Branco.

– Sabrina zwróciła się bezpośrednio do Grahama.

Mike opowiedział jej wszystko, także to, jak Ngune został zamordowany na ulicy.

– Znalazłeś porucznika, który go zastrzelił? – zwrócił się do Tambese'a.

– Nie muszę go szukać – odparł pułkownik. – Wiem, o kim mowa, ale nie przedsięwezmę żadnych dodatkowych kroków. Takie rzeczy zdarzają się w gorączce chwili.

– Kryjesz mordercę! – rzuciła Sabrina, wściekła. – W ten sposób niżasz się do poziomu Ngune!

– Musiałbym upaść znacznie niżej, by znaleźć się w jego towarzystwie. – Tambese podszedł do barierki ganku. Przyjrzał się najpierw przykrytemu płachtą ciału, a potem dziewczynie. – Ngune nie żyje, próba zamachu stanu się nie powiodła. Po raz pierwszy od czterdziestu pięciu lat w Zimbali zapanował pokój. Ten chłopak zrobił tylko to, co na jego miejscu zrobiłoby dwanaście milionów Zimbalczyków. Ludzie chwyciliby za broń, gdybym próbował go ukarać. Nie zrozumcie mnie źle. Nie pochwalam tego morderstwa, ale nie mam też zamiaru narazić nowego pokoju, mszcząc się za śmierć Ngune. Jesteś w Afryce, Sabrino, nie w Stanach Zjednoczonych. Wojny toczą się tu bez przerwy, zamachy stanów następują jeden po drugim, nowy skorumpowany rząd zastępuje stary. Cierpią zwykli ludzie. Już nie tylko dorośli, których masakruje się za to, że przypadkiem należą do innego plemienia niż to, które akurat sprawuje władzę lub dąży do władzy, lecz także dzieci – umierające z niedożywienia, bo ich rodzice nie mogą uprawiać jałowych pól. Afrykanie nauczyli się traktować śmierć jako składnik życia. Do samego życia zaś przykładamy inną miarę niż Amerykanie czy, powiedzmy, Europejczycy. W Europie, w Ameryce mówi się, że żyje się po to, żeby żyć. Tu, w Afryce, mówimy, że żyje się po to, żeby przetrwać. Jeśli śmierć takiego oprawcy jak Ngune zwiększa szansę przetrwania, ludzie witają ją z radością. Wiem, że to brzmi cynicznie, ale tak po prostu żyje się w Afryce.

– Co oznacza, że wyznajemy inne wartości – stwierdziła dziewczyna, także zerkając na płachtę.

– Jednak chyba cię rozumiem.

– Nadal nie wiemy – wtrącił Graham – jak opracowałeś plan ataku na Kondese. Jak udało ci się polikwidować patrole bez wymiany ognia?

– No, nie tak zupełnie bez strzelaniny, ale sprowadziliśmy ją do minimum. Wszyscy żołnierze rządowi byli wyposażeni w broń z tłumikami. Oskrzydlili miasto, mieli rozkaz strzelać, żeby zabić. W chwili ataku zagłuszyliśmy łączność radiową, lecz zwolniliśmy częstotliwości zaraz po zwycięstwie, żołnierze z Branco nie mieli więc pojęcia, co się dzieje, i nie dostali ostrzeżenia o ataku. Problem powstałby dopiero wtedy, gdyby Ngune udało się uciec i tylko tego się obawialiśmy. To on był siłą napędową buntu, gdyby ocalał, zamach stanu nadal wisiałby w powietrzu. Musieliśmy go mieć, żywego lub martwego.

– A garnizon? – spytała zaciekawiona Sabrina.

– Ngune miał radar w Branco, ale nie w garnizonie. Popełnił błąd. Wydawało mu się, że każdy atak lotniczy przeciw niemu będzie podjęty z Habane, a szpiedzy zawiadomią go natychmiast po starcie samolotów, miał swoje maszyny w Czadzie, więc nie brakowałoby mu czasu na odpowiedź. Nie zdawał sobie sprawy tylko z tego, że w Nowym Jorku Jamel doszedł do porozumienia z rządem Nigru. Wypożyczyli nam dwie maszyny, pod warunkiem że wymalujemy na nich oznaczenia armii Zimbali. Nie chcieli mieszać się w wojnę domową bez pewności, że Ngune zostanie pokonany. Zawsze mieli dobre kontakty z Zimbałą i chcieli je utrzymać, niezależnie od tego, kto tu będzie rządził. Tuż przed startem samolotów znów zakłóciliśmy łączność radiową, garnizon został zrównany z ziemią w ciągu zaledwie kilku minut. W gotowości czekała nasza dywizja, lecz pozostało jej tylko wyłapywanie rebeliantów, którym jakimś cudem udało się przeżyć. Już po wszystkim wyłączyliśmy zagłuszanie.

– Ilu przeżyło? – spytała Sabrina.

– Siedemnastu spośród blisko czterystu. Po wyleczeniu z ran zostaną postawieni przed sądem. – Tambese spojrzął na dziewczynę. – Proces będzie uczciwy, zapewniam cię. Jeśli wina zostanie im udowodniona, resztę żyda spędzą w więzieniu, ale będą żyć. Zdecydowaliśmy zapomnieć o przeszłości. Dyktatura nie istnieje. Nie wolno dopuścić, by się odrodziła.

– Kiedy właściwie powstał ten plan? – odezwał się Graham.

– Jamel przedyskutował go dokładnie ze swymi ludźmi w Nowym Jorku, szczegóły uzgodniliśmy przez telefon dwa dni temu.

– Byliście częścią waszej rozgrywki?

Tambese uśmiechnął się.

– Włączyliśmy was do działań, kiedy dowiedzieliśmy się, że przyjeżdżacie do Zimbali, Sabrino. Właśnie dlatego Joseph śledził cię z lotniska. Musieliśmy nawiązać z tobą kontakt, a nie wiedzieliśmy, jak zareagujesz. I dobrze, że miał cię na oku – inaczej by cię z nami nie było. Massenga nie chybia, przynajmniej z tej odległości.

– A więc nie śledził Massengi, tylko mnie?

– Mieliśmy go na oku od chwili, kiedy pojawił się w Habane. Nie, Joseph był na lotnisku z twojego powodu. Nie wiedzieliśmy, kiedy przyjedziesz.

– A skąd wiedziałaś, że w ogóle przyjedziemy? – spytał z kolei Mike.

– Mamy swoje źródła informacji.

– Co to właściwie znaczy?

– Podśluchiwaliliśmy wszystkie zamiejscowe rozmowy Ngune od czasu, gdy znów zajął Branco. Wy dwoje pojawialiście się w każdej jego rozmowie z Massengą. Rozumiecie, on był łącznikiem w kontaktach swego dowódcy z Bernardem i wszystko, co ten ostatni powiedział Massendze, docierało i do Ngune. Bernard darzy cię wielkim szacunkiem, Mike. Niemal podziwia.

– Nie uważam tego za zaszczyt.

– Użyłeś nas od samego początku. – Sabrina potrząsnęła głową.

– Nie! – W głosie pułkownika pojawiła się złość. – Na to za bardzo was cenię. Pracowaliśmy nad tą samą sprawą, choć inaczej do niej podchodziliśmy, dlatego właśnie pomyślałem, że jeśli połączymy siły, możemy wiele osiągnąć. I miałem rację. Wiem, że nie powiedziałem wam wszystkiego. Bardzo przepraszam. Wolałbym wyjaśnić sprawy od razu, lecz Jamel nie chciał nawet o tym słyszeć. Co miałem zrobić? Ufałem wam, ale jego zaufania nie złamię nigdy w życiu. Zbyt długo byliśmy przyjaciółmi. Przypuszczam, że was jako partnerów łączy coś podobnego. Informujecie się nawzajem o wszystkim, co się dzieje, nie robicie nic, czego przedtem nie uzgodniliście.

– Chyba żartujesz! – Sabrina spojrzała na Mike'a, który z wysiłkiem, acz bez powodzenia próbował powstrzymać uśmiech. Oskarżycielsko pomachała mu palcem przed nosem. Tambese popatrzył najpierw na nią, potem na niego i też się uśmiechnął.

– No dobra, rozumiem. Ale i tak wspaniały z was zespół.

– Od czasu do czasu coś się nam uda – stwierdził skromnie uśmiechnięty Graham.

Pułkownik wrócił do środka. Sabrina zatrzymała się w drzwiach. Spojrzała na partnera.

– Nie wchodzisz?

Skinął głową i poszedł za nią, zamykając drzwi.

Thomas Massenga krył się za drzewem jakieś dwieście metrów od domu. Wstał, kiedy Graham zszedł z ganku. Karabin oparł na gałęzi, po czym grzbietem dłoni przetarł spocone czoło. Przyjechał

do Kondese zaledwie na kilka chwil przed atakiem sił rządowych. Nie mógł już nic zrobić. Wraz z Gubene porzucili samochód i pieszo dotarli do bezpiecznego domu.

Choć nasilenie ognia wydawało się słabe, aktywność na pobliskich ulicach wyraźnie świadczyła o tym, że siły rządowe odbiły miasto. Potem przyleciały jeszcze samoloty, szybkie, smukłe, mordercze. Z okna na drugim piętrze obserwował zniszczenie Branco. W końcu czołgi skruszyły resztki desperackiego oporu.

Oszłomiło go to kompletnie. Próbował wezwać garnizon przez znajdujące się na strychu radio. Cisza. A więc garnizon także został pokonany – była to jedyna możliwość. Potem po mieście poszła plotka, że Ngune nie żyje, że zastrzelił go młody porucznik wojsk rządowych. Oznaczało to, iż on został dowódcą. Dowódcą czego? Nie miał ludzi, nie miał broni, nie mógł kontratakować, pozostawała mu więc tylko zemsta. Pierwszą jej ofiarą będzie dowódca sił rządowych, Tambese.

Wraz z Gubene zdołał zatrzymać wojskowego jeepa. Nim zabił oficera i jego kierowcę, dowiedział się od nich, że Tambese przesłuchuje w szpitalu Remy'ego Mobuto. Włożyli mundury zamordowanych i pojechali do szpitala tylko po to, by stwierdzić, że pułkownik opuścił go przed zaledwie kilkoma minutami. Siostrze dyżurnej powiedział jednak, że gdyby był potrzebny, można go będzie znaleźć na farmie Okoye'a.

Pojechali więc na farmę. Zaparkowali sto metrów od głównego wjazdu, Gubene został w samochodzie, Massenga zaś ruszył dalej na piechotę. Dwaj wartownicy próbowali go zatrzymać, zabił obu nożem myśliwskim, kiedy popełnili błąd podrywając się na baczność na widok oficerskiego munduru. Dotarł do drzewa na chwilę przed tym, nim na ganku pojawili się Mike i Sabrina. Potem dołączył do nich także i Tambese. Nie miał czystej pozycji strzeleckiej i choć mógł zasypać ganek kulami, nie gwarantowało to śmierci pułkownika. A on musiał umrzeć.

Trzymając broń w dłoni, ostrożnie ruszył w kierunku domu uważając, by nie trafić na innych żołnierzy, którzy mogli patrolować teren. Skrył się za jeepem i trzymając się burty wyjrzał ostrożnie, aby zbadać, jak dostać się do jedyne go wychodzącego na ganek okienka. Poczł, że wsadził palce w coś lepkiego. Zajrzał do samochodu, kiedy uniósł róg płachty, Ngune spojrzł na niego niewidzącymi oczami. Puścił brezent, jakby oparzył mu rękę, przysiadł i ukrył twarz dłońmi. Kilka sekund zabrało mu odzyskanie równowagi ducha.

Massenga kilkakrotnie odetchnął głęboko, wypełził zza jeepa, po czym, pochylony, przebiegł kilkanaście metrów dzielące go od ganku. Cicho wspiał się po schodach ku oświetlonemu oknu. Przyciśnięty do ściany, poprzez koronkowe firanki zajrzał do wnętrza. Okoye i Moredi siedzieli na kanapie, Laidlaw i Graham na fotelach, a naprzeciw nich, przy kominku, stali Tambese i Sabrina. Nikt nie był uzbrojony. Mógł natychmiast zastrzelić swego najważniejszego wroga, ale do diabła z tym! Załatwi wszystkich jednym magazynkiem! Zapasowych wystarczy na wypadek, gdyby w drodze powrotnej napotkał strażników próbujących przeszkodzić mu w ucieczce.

Krótki dystans dzielący okno od drzwi pokonał przytulony do ściany. Wziął głęboki oddech i, mocno ściskając w garści AK, sięgnął po klamkę. Szarpnął za nią i w tej samej chwili zaczął strzelać z półobrotu. Tambese przewrócił Sabrinę na ułamek sekundy przedtem, nim w ścianę na wysokości ich głów trafiły pociski.

Najpierwotniejszy instynkt kazał padającemu na ziemię Laidlawowi chwycić oparte o ścianę uzi i zasypać wejście gradem kul. Kilka z nich trafiło Massengę w piersi, rzuciły go z powrotem na ganek, jego kolejna seria poszła w powietrze. Choć czuł w gardle krew, choć ciekła mu ona z kącika ust, choć ból rozrywał mu ciało i choć wiedział, że umiera, Massenga nadal próbował zabrać ze sobą tylu przeciwników, ile się tylko da. Chwiejąc się ruszył w stronę drzwi i miał właśnie pociągnąć za spust, gdy Laidlaw strzelił ponownie. Broń wypadła mordercy z rąk, a jego bezwładne ciało uderzyło w poręcz ganku i z donośnym stukiem wylądowało na ziemi. Były komandos podbiegł, by sprawdzić puls, ale zamachowiec był martwy.

Dopiero wówczas Laidlaw spojrzął na trzymane w dłoniach uzi. Miał wrażenie, że budzi się ze snu. Rozejrzał się po zebranych na progę przyjaciółach, na koniec spojrzął Grahamowi w oczy.

– Nie wierzę, że mi się udało – powiedział, kręcąc głową.

Mike uśmiechnął się.

– A jednak, stary. Masz na to dowód.

Zza domu wybiegło czterech żołnierzy, zaniepokojonych hukiem wystrzałów, trzymali swe M16 w gotowości. Pułkownik kazał im przeszukać teren, na którym mogli znajdować się jeszcze inni rebelianci. Żołnierze rozdzielili się w pary i wybiegli spełnić rozkaz.

– Zawdzięczamy panu życie. – Moredi przerwał panującą na ganku ciszę. – Dziękujemy.

– Ależ nie ma za co. – Laidlaw porozumiewawczo uśmiechnął się do Grahama. – A w ogóle – kim właściwie był ten facet?

– Prawą ręką Ngune. Nazywał się Massenga. – Tambese wskazał dłonią drzwi. – Lepiej wejdźmy do środka, póki ten teren nie zostanie uznany za bezpieczny.

Graham i Sabrina poszli na górę po torby, a kiedy wrócili, zastali Tambese'a pogrążonego w rozmowie z mężczyzną, który został im przedstawiony jako pilot.

– Nie zna ani słowa po angielsku – powiedział pułkownik uśmiechając się przepaszająco.

– A co to kogo obchodzi. Byle dowiózł nas do Habane – stwierdził Mike.

Tambese przetłumaczył te słowa, pilot uśmiechnął się szeroko i pokazał im uniesiony kciuk. Do ganku podjechał jeep, wysiadł z niego sierżant i niemal pobiegł w ich kierunku. Zsalutował. Pułkownik gestem zaprosił go do pokoju. Wymienili kilka słów, po czym sierżant pobiegł do jeepa, samochód zawrócił i szybko odjechał.

– Teren został sprawdzony – oznajmił Tambese po angielsku. – Znaleziono ciała dwóch żołnierzy. Z pewnością zabił ich Massenga podkradając się tutaj. Jego towarzysza aresztowano. Siedział w wojskowym jeepie jakieś pół kilometra stąd.

– A więc możemy odjeżdżać – stwierdził Graham.

Tambese skinął głową, a potem poprosił Okoye'a, by odprowadził pilota do czekającego na pasie samolotu. Moredi stwierdził, że ma ochotę na spacer i poszedł z nimi.

– Muszę wracać do miasta – powiedział przyjacielom pułkownik. – Późnym rankiem ma odbyć się konferencja prasowa. Nin powiem coś dziennikarzom, muszę zasięgnąć rady moich oficerów. Rozpuszczę historyjkę o tym, że Ngune nadal żyje, wy zaś dotrzyjcie do Jamela przed Bernardem. Gdyby Mobuto zginął, kraj znów pogrzyłby się w chaosie. Mike, wiem, jak bardzo pragniesz dostać tego zbrodniarza...

– Bezpieczeństwo prezydenta jest teraz najważniejsze – przerwał agent, uspokajającym gestem kładąc dłoń na ramieniu żołnierza. – Masz na to moje słowo.

– Dzięki.

Pożegnali się z nim i wyszli z domu.

– A ty co masz zamiar teraz robić? – spytał Laidlawa Graham.

Były komandos Delty tylko wzruszył ramionami.

– Na razie chyba wrócę do Bejrutu i rozejrzę się w sytuacji. A potem, kto wie? Może pojawię się w Stanach Zjednoczonych?

Sabrina wyciągnęła ku niemu dłoń.

– Powodzenia, Russ, obojętnie na co się zdecydujesz.

– Dzięki.

– Mike, spotkamy się w samolocie. – Dziewczyna wzięła torbę i wyszła.

– To fajna mała, Mike. – Laidlaw obejrzał się za nią.

– Mała? Ma dwadzieścia osiem lat!

– Przecież wiesz, o czym mówię. – Twarz mu nagle spoważniała. – Gdyby nie ty, nadal litowałbym się nad sobą w jakimś bejruckim barze. Zwróciłeś mi godność, Mike. Nigdy ci się za to nie odwdzięczę!

– Zaczynaj od tego, że przestaniesz bzdurzyć. Ja nic nie zrobiłem. To ty pociągnąłeś za spust. I dzięki Bogu.

Podali sobie ręce.

– Uważaj na siebie, przyjacielu – powiedział jeszcze Laidlaw.

– Nawzajem. No, muszę lecieć, Russ.

Graham wyszedł. Laidlaw odprowadził go smutnym spojrzeniem. Wiedział, że nigdy już się nie spotkają. Reprezentował przeszłość, przed którą Mike rozpaczliwie próbował uciec. Zostały mu jednak wspomnienia, a to wystarczyło.

Whitlock wcisnął kombinację przycisków uruchamiającą mechanizm. Kiedy wszedł, stwierdził ze zdumieniem, że za biurkiem Sary siedzi Kolczyński. Rosjanin gestem nakazał mu zamknąć drzwi.

– O co tu właściwie chodzi, Siergiej? – C.W. z trudem powstrzymał ziewnięcie. – Przecież jest dopiero wpół do ósmej?

– Siadaj. – Szef gestem wskazał mu stojącą pod ścianą, wiśniową sofę.

– Dlaczego rozmawiamy tutaj, nie w gabinecie?

– Bo w gabinecie jest podsłuch.

– Podsłuch? – Whitlock zdumiał się niebotycznie. – Przecież to niemożliwe! Dave Forsythe co rano sprawdza całe biuro!

– Co oznacza, że tylko on mógł go założyć.

– Dave? Daj spokój. To jeden z najwyższych rangą techników tu, w dowództwie.

– Przed twoim przyjściem zapoznałem się z jego aktami. – Kolczyński podniósł w górę plik wydruków komputerowych. – Mim je tutaj. Pewnie wiesz, że przeszedł do nas z CIA?

– Tak, wiem, że przedtem pracował w Langley.

– A wiesz, dla kogo pracował?

C.W. spojrzał Rosjaninowi w oczy.

– Mam straszne przeczucie, że zaraz wypowiesz nazwisko:

– No właśnie. Był jego elektronicznym guru przez siedem lat.

Whitlock opadł na kanapę.

– Więc Bailey zna każde wypowiedziane w gabinecie słowo. Znalazłeś jakieś inne pluskwy?

– Nie. Dziś rano osobiście sprawdziłem wszystkie pomieszczenia. Są czyste.

– Dziwne, że nie założył podsłuchu na telefony.

– To zbyt niebezpieczne – stwierdził Kolczyński. – Wiedział, że telefony sprawdzamy osobiście, ja lub pułkownik. A w końcu kiedy dzwoniła Sabrina, powtarzałem ci każde jej słowo.

– Gdzie umieścić pluskwę?

– Pod blatem stolika do kawy.

– I co masz zamiar teraz zrobić?

– Na razie nic. Nie zamierzam alarmować Baileya. Zaczekamy, aż prezydent bezpiecznie znajdzie się na pokładzie swojego samolotu. Z Dave'em spotkam się rano. Na razie działamy tak, jakby nic się nie stało.

Whitlock skinął głową.

– Nareszcie mamy coś w rodzaju dowodu, że Bailey rzeczywiście stoi za tą całą sprawą – z jakiego innego powodu zakładałby u nas podsłuch? Przekazywał informacje Bernardowi, pewien, że przez cały czas wyprzedza nas o krok.

– Oczywiście! Musi stać za tymi zamachami. Udowodnić mu winę to jednak zupełnie inna sprawa. Mówimy przecież o zastępcy dyrektora CIA! Już wskazuje się na niego jako na przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Oznacza to, że nie brak mu bardzo wpływowych przyjaciół. Nie wolno nam rzucać oskarżeń, póki nie dysponujemy dowodami nie do obalenia. A na razie nie mamy żadnych. Nawet jeśli Dave Forsythe przyzna się do założenia na jego rozkaz podsłuchu w naszym biurze, nie poprze to oskarżenia o spiskowanie w celu zamordowania głowy zaprzyjaźnionego państwa.

– Cokolwiek się zdarzy i tak długo będziemy musieli czyścić się z tego błota. Zbyt łatwo przyszło mu przełamać zabezpieczenia agencji, która podobno nawet nie istnieje.

– A gdyby ten podsłuch założyła jakaś gazeta?

– Spędziłbyś Gwiazdkę w kolejce po chleb przed moskiewskim sklepem, a ja znalazłbym się w pierwszym lecącym do Kenii samolocie. – Whitlock wstał i natychmiast skrzywił się, poprawiając temblak, na którym wspierało się jego ranne ramię. – To nie żadna gazeta, tylko z całą pewnością Bailey. Nie wierzę w podobne zbiegi okoliczności.

Rosjanin westchnął głęboko. Gestem wskazał ramię współpracownika.

– A to jak? – spytał.

– Trochę sztywne. – C.W. zbagatelizował sprawę.

– Jak rozumiem, Sabrina nie kontaktowała się z tobą w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin?

Zaskoczyło go to pytanie, ale szybko odzyskał przytomność umysłu.

– Nie – skłamał, potrząsając głową. – Oczywiście, że nie. A z tobą?

– Po raz ostatni rozmawiałem z nią wczoraj rano, po tej próbie zamachu na jej życie. Myślała, czy by nie pojechać do Kondese i nie uwolnić z Branco Remy’ego Mobuto. Rozkazałem jej wrócić do kraju pierwszym samolotem. Tylko tego brakowało, żeby UNACO wplątało się w wojnę domową w Afryce! Od tej pory – nic! Boję się o nią, wiesz. Jeśli złamała rozkaz... ale to do niej zupełnie niepodobne. Kontaktowałem się z naszą ambasadą, wiem przynajmniej, że nie przyjęli jej do żadnego szpitala w Zimbali. Wygląda na to, że po prostu znikła.

– Pewnie właśnie siedzi w samolocie – powiedział Whitlock, nienawidząc się za to kłamstwo. Ale... dał przecież słowo, że będzie milczał!

– Mam nadzieję. – Kolczynski wstał i obszedł biurko.

– Dziewczyna potrafi o siebie zadbać – dodał Whitlock dostrzegając na twarzy szefa wyraz troski.

– Nie w tym rzecz. – Rosjanin potrząsnął głową. – Chłopcy z laboratorium zidentyfikowali zestaw odcisków palców z tej którą nam dałeś.

– I? – C.W. pochylił się do przodu wyczekująco.

– Należą do Bernarda.

– O mój Boże! – W głosie agenta zabrzmiała prawdziwa rozpacz. – Kiedy się o tym dowiedziałeś?

– W nocy.

– To dlaczego nie zadzwoniłeś?!

– Bo nic by to nie dało, leżałbyś tylko nie śpiąc i zamartwiając się. Przez tę ranę i tak nie spałem, ale masz rację, to by niczego nie zmieniło. – Whitlock usiadł z powrotem, wpatrując się w Rosjanina. – Bailey musiał poinformować Bernarda o Rosie. Jak inaczej wiedziałby, kim jest i gdzie ją znaleźć?

– Sądzę, że byłoby lepiej, gdybyś dziś trzymał się z dala od World Trade Center. Nie chcę konfrontacji z Baileyem, póki samolot prezydenta nie opuści amerykańskiego obszaru powietrznego.

– Więc Bailey pojawi się dziś na scenie?

– Tak. W nocy przyleciał do Nowego Jorku.

– Mogę ci obiecać, że nie dojdzie do żadnej konfrontacji. Nie jestem Mike’em. Potrafię opanować emocje.

– Nie rozumiem, dlaczego w ogóle chcesz tam być. Uzgodniłeś środki bezpieczeństwa z policją, niech oni się teraz martwią. Już ja będę miał oko na wszystko.

– Ja też. Mobuto bywa cholernie dokuczliwy, ale nadal dowodzę jego ochroną. Jeśli zdarzy się jakieś nieszczęście, nie wybaczyłbym sobie, że leniuchowałem w domu.

– No, dobrze.

– Czy możemy zrobić coś... choćby spróbować odnaleźć Rosie... nim Mobuto wyjedzie do World Trade Center?

– Zespół Dziewiąty zbadał znane nam bezpieczne domy CIA na terenie Nowego Yorku i w jego okolicach. Nic nie znaleźli, ale przecież nie wiemy o wszystkich ich kryjówkach. A poza tym Bernard może ukrywać się, nie wciągając w to CIA. Pozostaje nam tylko czekać na rozwój sytuacji.

– I sądzisz, że spróbuje czegoś w World Trade?

– Może, jeśli Sabrina ma rację i to on jest tym trzecim. – Kolczyński tylko wzruszył ramionami.
– W tej chwili jednak mamy więcej pytań niż odpowiedzi. Podejmujemy wszystkie środki ostrożności. Zrobiłem odbitki zdjęcia Bernarda i posłałem je policji dla wszystkich znajdujących się na miejscu funkcjonariuszy. Przy każdym wejściu ustawiono już wykrywacze metalu, wszystkich strzegą umundurowani policjanci. Oczywiście, nie ma zabezpieczeń doskonałych, ale przynajmniej utrudnimy mu trochę życie, jeśli rzeczywiście pragnie dobrać się do prezydenta.

– Wiesz co, Siergiej. Z radością zobaczę, jak nasz gość znika na pokładzie samolotu i jak zamykają się za nim drzwi.

– Nie tylko ty. – Rosjanin uśmiechnął się słabo. – Jadłeś coś?

– Wypiłem kawę, kiedy się ubierałem.

– To może małe śniadanko w Plaza? Podciągniemy to pod wydatki służbowe”.

– Nie powiem nie. Mam wrażenie, że przed nami bardzo długi dzień.

– Jakbyś mi z ust wyjął! No to co, idziemy?

Kiedy zadzwonił dzwonek, Bernard oglądał poranne wiadomości. Nim podszedł do drzwi, wziął ze stolika broń. Wyrzał przez judasza, lecz zobaczył tylko Bretta. Otworzył mu natychmiast.

– Ale masz buźkę – przywitał go agent CIA, przyglądając się podbiteму oku.

– Dziewczyna próbowała uciec.

– I ona tak cię załatwiła? Ten szesnastoletni dzieciak? – Brett nie potrafił ukryć uśmiechu.

– Uderzyła mnie drzwiami – przyznał niechętnie terrorysta.

– Będziesz wyróżniał się z tłumu.

– Nie twoje zmartwienie.

– Hej, nie tylko ty nadstawiasz tyłek.

– Nie muszę słuchać, jak wymądrza się jakieś popychadło Baileya – warknął Bernard.

Brett rzucił mu złe spojrzenie i wreszcie wszedł do środka.

– Gdzie ją trzymasz?

– w sypialni. – Terrorysta zamknął za nim drzwi. – Nie będziesz miał z nią najmniejszych kłopotów, jest przykuta do kaloryfera.

– Które to drzwi?

– Pierwsze po prawej.

Brett otworzył je i wszedł do sypialni.

– O, mamy gościa! – zakpiła Rosie, po czym spojrzała na stojącego na progu Bernarda. – Powinieneś mi powiedzieć, że spodziewasz się swojego chłopaka.

– Możesz dać sobie spokój z dowcipami. – Agent wyszedł, zamykając za sobą drzwi. – Kiedy ruszasz? – spytał Bernarda.

– Zaraz. Nie rób sobie kłopotów przygotowując jej coś do jedzenia. Niczego nie tknie. Nie jadła od chwili, kiedy wprowadziliśmy się tu wczoraj.

– A gdyby zechciała pójść do toalety?

– Nie zabraniaj jej. Nie ma tam okien, jeśli tego się obawiasz. – Bernard wręczył Brettowi klucze do kajdanków. – Nie spałeś tej nocy, prawda?

– Tak. Przyjechałem wprost z hotelu.

– To połóż się na parę godzin i zaraz poczujesz się lepiej. – Na czole agenta CIA pojawiła się wyraźnie widoczna zmarszczka. – Chyba nie przypuszczasz, że ja przez całą noc czuwałem? – roześmiał się gospodarz. – Ona nigdzie się nie wybiera.

– Jest tu jakiś alarm?

– Przy drzwiach wejściowych, ale nie ma powodu, by go włączać. Przecież mówiłem, że ona nigdzie się nie wybiera.

– Ale ja będę się czuł pewniej.

– Jak sobie życzysz. – Bernard wziął torbę i ruszył do wyjścia.

– O której zamierzasz wrócić?

– Po skończonej robocie. Nie musisz mnie oczekiwać z napięciem. – Terrorysta uśmiechnął się lekko i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Będę czekał – powiedział cicho Brett. Wyjął z kabury smith & wessona 645 i wycelował go w drzwi. – Możesz na to liczyć... przyjacielu.

– Dlaczego nikt nam o tym nie powiedział!?! – Kolczyński, rzucając teczkę na biurko, niemal krzyczał.

– Ja również życzę panu dobrego dnia – w głosie Mobuto zabrzmiała nutka kpiny.

Rosjanin dosłownie przed chwilą wpadł do apartamentu odpychając na bok Masalę. Prezydent otworzył tak bezceremonialnie wręczoną mu teczkę, w której znajdowały się karty komputerowych wydruków. Wystarczyło mu tylko zerknąć na kilka linii pierwszego.

– To opis ofensywy rozpoczętej wczoraj. Jej celem było wyeliminowanie oddziałów Ngune. Proszę mi wybaczyć, jeśli dziś rano myślę nieco zbyt wolno jak na pańskie wymagania, panie Kolczyński, ale dlaczego właściwie miałbym pana o tym zawiadomić?

– Bowiem w pańskim kraju może przebywać ciągle dwójka naszych agentów!

– Owszem, pańscy agenci przebywali w Zimbali. Opuścili ją przed kilkoma godzinami. Z pewnością pan o tym wie?

– Skąd dowiedział się pan o ich działaniach? – Rosjanin zignorował zadane mu pytanie.

– Pułkownik Tambese wszystko mi zrelacjonował.

– Kazał ich śledzić?

– Śledzić? – Mobuto sprawiał wrażenie autentycznie zdumionego. – Przecież oni razem pracowali! Pana agenci, Mike i Sabrina pomogli Davidowi wydostać z Branco mojego brata. W rozmowie ze mną stwierdził, że bez nich plan by się nie powiódł.

Kolczyński usiadł. Nie spuszczał oczu z twarzy prezydenta.

– Michael i Sabrina pracowali wspólnie?

Mobuto skinął głową.

– I wraz z Davidem Tambese. Z całą świadomością utrzymywałem plan ofensywy w sekrecie,

nie mogłem ryzykować żadnego przecieku informacji do Ngune. Tylko David był wtajemniczony we wszystko. Mike i Sabrina również nie mieli pojęcia, co się ma zdarzyć.

– Tak. Z pewnością – zgodził się po dłuższej chwili milczenia Rosjanin. Z trudem powstrzymywał gniew. – Od jak dawna wie pan, że pracowali wspólnie?

– Od wczoraj, kiedy to David poinformował mnie, że przed lotniskiem zatrzymali Grahama oraz jego przyjaciela, Laidlawa. Ngune dowiedział się, dokąd jadą, i wysłał oddział samobójczy mający się nimi zająć.

– A czy mówił, po co tam jechali?

– Po wiadomość od Sabriny – informację, gdzie się zatrzymała.

– Co oznacza, że skontaktowała się z partnerem już w Bejrucie – powiedział Kolczyński do siebie.

– Przepraszam?

– Nie, nic. Po prostu myślałem głośno.

Mobuto pochylił się, wspierając dłonie na kolanach.

– Pan nie wiedział o ich współpracy z Davidem?

– Nie miałem pojęcia, że jakiś David Tambese w ogóle istnieje – Gość niemal wykrzyczał te słowa i zaraz podniósł dłoń przeproszającym gościem. – Oczywiście, to nie pana wina. Jestem wdzięczny, że zwrócił pan na to moją uwagę.

– Mam tylko nadzieję, że nie narobiłem im kłopotów – W głosie prezydenta brzmiała szczerza troska. – Uratowali życie memu bratu. Nigdy im tego nie zapomnę.

– Ależ oczywiście, że nie. – Rosjanin uśmiechnął się pogodnie.

Kolczyński siedział w fotelu nieruchomo, wpatrując się w teczkę. Ileż narodziło się nowych pytań, na które musiał znaleźć odpowiedź! Tylko jedno z nich wydawało mu się teraz szczególnie ważne: kiedy Sabrina zaczęła go okłamywać? Kiedy skontaktowała się z Grahamem? Zdawał sobie sprawę, że musiała mieć ważne powody, by utrzymywać go w nieświadomości. Jej i Whitlockowi zawsze ufał bez zastrzeżeń. Nie będzie jednak sądził nikogo, nie teraz. Dziewczyna ma prawo osobiście wyjaśnić motywy swego postępowania, a on może trochę poczekać.

Tambese? Nagle przypomniał sobie to nazwisko. Po raz pierwszy usłyszał je od Mobuto, można było więc przypuszczać, że Sabrina nie знаła go wjeżdżając do Zimbali, przecież nie współpracowałyby ściśle z nikim zupełnie jej nie znanym. Musiała zdobyć potwierdzenie, a odpowiednie informacje miało tylko dowództwo. Nie mogła wykorzystać tej drogi, było to dla niej zbyt ryzykowne. Wystarczyło, żeby ktoś wspomniał o jej telefonie w zwykłej rozmowie. Nie, musiała zwierzyć się komuś, kogo znała i uważała za przyjaciela – komuś, komu ufała.

Kolczyński wstał.

– Wybaczy pan, panie prezydencie?

– Oczywiście. – Mobuto oddał mu teczkę. – Przepraszam, że nie poinformowałem UNACO o moich planach, ale naprawdę musiałem strzec się przecieku. Jestem pewien, że pan to rozumie.

– Ależ oczywiście! – odparł Rosjanin tak, jakby słowa te w ogóle do niego nie dotarły. Wstał i ruszył w kierunku drzwi.

– Jak mogę się z panem skontaktować, gdybym otrzymał jakieś nowe informacje z Zimbali? – spytał jeszcze Mobuto.

– Będę w World Trade Center – odparł Rosjanin. – Muszę przedyskutować z C.W. kilka bardzo ważnych spraw.

– Dałem słowo!

– A już myślałem, że spiskuje się tu wyłącznie przeciw prezydentowi! Niestety nie, ja również padłem ofiarą konspiracji. I w dodatku jej autorami jest dwójka ludzi, którym w UNACO ufałem najbardziej. Rozczarowałeś mnie, C.W., naprawdę rozczarowałeś.

Whitlock milczał, bo i co mógłby powiedzieć? Nie miał nic na swoją obronę. Od początku wiedział przecież, że sprawa ta prędzej czy później musi wyjść na światło dzienne. Gdyby tylko udało się utrzymać ją w tajemnicy do chwili odlotu Jamela Mobuto! Operację oceniono by wtedy jako sukces, szkody byłyby minimalne. No, przynajmniej uważał tak do dziś. Od Philpotta dostałby najwyżej naganę i na tym wszystko by się skończyło. Stary Szkot u agentów terenowych cenił przede wszystkim inicjatywę. Natomiast Kolczyński... Powiniennem jednak być wystarczająco mądry, w zachować szczególną ostrożność – pomyślał. Kolczyński wymagał postępowania w najdrobniejszych szczegółach zgodnego z przepisami. Nauczyły go tego lata spędzone w KGB, nie potrafił się zmienić. Cholerny pedant!

Whitlock jednak przezornie zatrzymał te myśli dla siebie. Już i tak miał wystarczająco dużo kłopotów. Pozostało mu tylko mieć nadzieję, że Philpott dostrzeże sytuację w innym świetle – oznaczałoby to jednak osłabienie pozycji jego następcy, a stary Szkot za bardzo cenił Rosjanina, by postąpić w ten sposób. Jakkolwiek by na to spojrzeć, perspektywy wydawały się kiepskie, choć – biorąc pod uwagę okoliczności – najprawdopodobniej zachowałyby się tak samo po raz drugi. Sabrina była jego partnerką, miał dla niej wystarczająco wiele szacunku, by bez względu na konsekwencje dotrzymać słowa.

– Nie masz nic do powiedzenia? – Kolczyński przerwał przedłużającą się ciszę.

– A co według ciebie powiniennem powiedzieć, Siergiej? Przyznaję, pomagałem Mike'owi i Sabine nie informując cię o tym. Nadal jednak uważam, że postąpiłem słusznie.

– Co stałoby się, gdyby zostali złapani? Agenci UNACO walczący w wojnie domowej! ONZ by nas ukrzyżowało! Jesteśmy organizacją antyprzestępczą. Karta jasno głosi, że nie wolno nam mieszać się do polityki żadnego kraju. Oczywiście pamiętasz odpowiedni paragraf?

– Więc czemu strzeżemy Mobuto? W ten sposób mieszamy się do polityki!

– Jego życiu grozi niebezpieczeństwo. To, że jest politykiem, nie ma najmniejszego znaczenia. Usiłowanie zabójstwa jest przestępstwem kryminalnym.

– Remy Mobuto został porwany i był przetrzymywany wbrew własnej woli. To także przestępstwo kryminalne.

– Ależ oczywiście, lecz jego zwolnienie było bezpośrednio związane z ofensywą rządową przeciw rebeliantom, miało więc wymiar polityczny. Michael i Sabrina znaleźli się w centrum wydarzeń.

– Nie wiedzieli o ofensywie postanawiając pomóc w uwolnieniu Remy'ego z Branco. Mobuto powiedział ci to wyraźnie.

– Bardzo by im to pomogło, gdyby atak został odparty i gdyby wpadli w ręce rebeliantów!

– Ich akcja nie miała podłoża politycznego, Siergiej, z czego doskonale zdajesz sobie sprawę. Powiedziano im, że młodszy z braci Mobuto jest w posiadaniu informacji związanych z prowadzoną przez nich sprawą. Co mieli zrobić? Zrezygnować z szansy uzyskania tych informacji?

– Przede wszystkim powinni wykorzystać nasze zwykłe kanały!

– Udzieliłbyś im pozwolenia na akcję w Branco?

– Nakazałbym im, by się wstrzymali. Akcję w więzieniu winien przeprowadzić Tambese ze swymi ludźmi. Remy'ego mogli przesłuchać po tym, jak odzyskał wolność. W ten sposób nikt nie odczytałby ich działań w kontekście politycznym. – Kolczyński potarł dłońmi twarz. – No, co się stało... Sekretarz generalny dostanie ataku serca, kiedy się o wszystkim dowie.

– Zawieszają nas?

– To już zależy wyłącznie od sekretarza. Jeśli jednak dopilnujesz dziś bezpieczeństwa prezydenta, z pewnością ci to nie zaszkodzi. Kiedy po raz ostatni rozmawiałeś z Sabriną?

– Gdy poprosiła mnie o sprawdzenie Tambese'a.

– Więc nie wiemy, czy Remy Mobuto powiedział im coś interesującego.

– Prezydent nic o tym nie wspomniał podczas waszej rozmowy?

– Nie pytałem. Miałem nadzieję, że Sabrina skontaktowała się z tobą w ciągu ostatnich paru godzin. Wracam do hotelu i tym razem spróbuję się dowiedzieć. – Kolczyński zamknął teczkę, wstał

i wsadził ją sobie pod pachę. – To ty rozczarowałeś mnie przede wszystkim, C.W. – powiedział. – Nie takiego zachowania należy się spodziewać po przyszłym zastępcy dyrektora UNACO.

– Nadal jestem agentem terenowym, Siergiej. Lojalność winien jestem przede wszystkim Mike’owi i Sabrinie. Przykro mi, jeśli nie potrafisz tego zrozumieć.

Rosjanin obejrzał się już w drzwiach.

Mam nadzieję, że nie będzie to miało wpływu na twój awans – stwierdził.

– Jeśli tak, składam rezygnację.

Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym Kolczynski wyszedł. Bez słowa.

World Trade Center, stojące przy Shore Parkway w Brooklynie, kosztowało niemal półtora miliona dolarów. Wybudowano je, gdy miasto Nowy Jork zmagало się z obezwładniającym i stale rosnącym długiem, co dało początek teorii, że finansowała je głównie mafia. Ówczesny burmistrz zaprzeczał tym pogłoskom zdaniem nowojorczyków nawet zbyt energicznie. Pewien sensacyjny dziennik opublikował wówczas materiał pod tytułem „Kwatera mafii” i nazwa ta się przyjęła. Lata zmieniły centrum w dinozaura współczesnego świata, choć było położone niedaleko lotniska Kennedy’ego, przy malowniczej Jamaica Bay.

Wizyta Jamela Mobuto okazała się reklamowym błogosławieństwem dla Trade Center. Dwa nieudane zamachy uczyniły z niego jedną z najpopularniejszych „twarzy” prasowych i telewizyjnych, i choć miał się pojawić dopiero za czterdzieści minut, przed wejściem kłębili się już dziennikarze, fotoreporterzy oraz ekipy telewizyjne, walcząc o pozycję, z której najlepiej dałoby się sfilmować lub sfotografować trzeci zamach. A wszyscy myśleli mniej więcej to samo: do trzech razy sztuka...

Gdyby znali zamiar, z jakim pojawił się przed bramką mężczyzna na białej hondzie 500, jakieś sto metrów od miejsca, w którym stali, uznaliby prawdopodobnie, że ich modlitwy zostały wysłuchane. Do motocykla zbliżył się uzbrojony strażnik.

– W czym mogę pomóc? – spytał.

Bernard lekko opuścił gogle nie ryzykując ukazania podbitego oka.

– Jestem posłańcem z Harris Bond Courriers. Mam list dla i»na Roberta Baileya. Pan Bailey go oczekuje.

– A czy bierze on udział w konferencji?

– Hej, człowieku, jestem zwykłym gońcem. Po prostu kazali ni przywieźć list do Kwatery Mafii.

Strażnik wrócił do budki. Na stole miał listę uczestników, na której znalazł nazwisko Baileya.

Przy nazwisku był podany wewnętrzny numer telefonu. Zadzwoił. Telefon odebrał Rogers, powiedział, że pan Bailey nie przyjechał jeszcze, lecz tak, spodziewa się listu z Waszyngtonu. Strażnik otworzył szlaban.

– Proszę zostawić list któremuś z ludzi dyżurujących przy wejściu, dopilnujemy, by pan Bailey go otrzymał.

Ruszając, Bernard pokazał strażnikowi wyprostowany kciuk.

Zatrzymał się przy wejściu, pozostawił motocykl z włączonym silnikiem, podszedł do najbliższego z wartowników i wręczył mu kopertę. Ten sprawdził nazwisko adresata na swej liście, skinął głową, po czym znikł we wnętrzu gmachu. Terrorysta ruszył w powrotną drogę, jednak nie dojeżdżając do bramki skręcił w wąską alejkę. Zaparkował przed bocznym wejściem. Zsiadł z motoru, zdjął hełm i odłożył go na siedzenie. Zdjął także kurtkę, miał właśnie rzucić ją na siedzenie, kiedy w alejce pojawił się mężczyzna, którego nigdy przedtem nie widział. Podobny był do niego wzrostem i budową ciała, a na sobie miał identyczną co on jasnoniebieską koszulę, spodnie khaki i czarne buty. Tylko skinął głową, po czym natychmiast włożył kurtkę, kask oraz gogle. Wsiadł na motocykl i odjechał w kierunku wyjścia.

– Były jakieś problemy?

Terrorysta obrócił się błyskawicznie. W drzwiach pojawił się Rogers, trzymający w dłoni kopertę.

– Nie – odparł krótko.

– Cholera, a co się stało z twoim okiem?

– Wypadek.

– Wchodź.

Rogers natychmiast zamknął za nimi drzwi. Znaleźli się w wąskim korytarzu, po jego obu stronach mieściły się pokoje, do których prowadziły pomalowane na biało drzwi. Rogers otworzył jedno z nich wyjętym z kieszeni kluczem. W małym wnętrzu stało tylko krzesło i obdrapana szafa.

– Tam jest ubranie – powiedział agent.

– Co to za miejsce?

– Kiedyś były tu magazyny. Parę miesięcy temu przeniesiono je do większych pomieszczeń bliżej centrum konferencyjnego. Teraz stoją puste. Gliny już tu wszystko sprawdziły, więc nie obawiaj się, nikt cię nie będzie niepokoił. – Rogers wręczy terrorystę klucz. – Tylko nie zapomnij zamknąć za mną tych

– Nie zmieniono planów? Mobuto ma przemawiać o drugiej?

Agent skinął głową i zerknął na zegarek.

– Teraz jest czternaście po dwunastej. Powinieneś być na pozycji nie później niż za dwadzieścia druga.

– I będę.

– Trzeba ukryć to oko. Ściągnie na ciebie niepotrzebną uwagę. Załatwię ci okulary przeciwsłoneczne.

– Nie musisz. – Bernard wyjął z kieszeni parę ciemnych szkieł.

– To w porządku. – Agent ruszył w kierunku drzwi. Wychodząc obejrzał się jeszcze i powiedział: – Życzę szczęścia.

– Tylko amatorzy potrzebują szczęścia – odparł terrorysta a potem, wskazując kopertę, spytał: – Co w niej jest?

– Nic. – Rogers z uśmiechem zamknął za sobą drzwi. Bernard przekręcił klucz w zamku, usiadł na krześle i znieruchomiał. Pozostawało mu tylko czekać.

To Whitlock wpadł na pomysł, by Mobuto przybył do World Trade Center na pokładzie policyjnego helikoptera. Przy jednym ogniu upieczono w ten sposób dwie pieczenie – nie tylko omijano dziennikarzy, oczekujących na samochód, lecz także zapobiegano możliwości zastrzelenia go z któregoś z otaczających centrum budynków. Snajperzy SWAT czuwali na dachu już od świtu, także lądowisko przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny było chronione przez uzbrojonych strażników. We wnętrzu, w strategicznych miejscach zostali rozmieszczeni uzbrojeni funkcjonariusze policji. Nie otrzymując żadnych wieści o pojawieniu się Bernarda, C.W. miał przyjemną pewność, że w pełni kontroluje sytuację.

Oslonił oczy. Helikopter wylądował właśnie precyzyjnie pośrodku lądowiska. Rogers ruszył w jego kierunku krzywiąc się w podmuchach wiatru. Otworzył drzwi od strony pasażera. Jako pierwszy wysiadł Masala. Rozejrzał się dookoła, dostrzegł przy wejściu Kolczynskiego i Whitlocka oraz czterech snajperów SWAT stojących na rogach dachu. Usatysfakcjonowany, skinął na prezydenta. Mobuto wyskoczył z helikoptera i skulony pobiegł w stronę agentów UNACO. Kolczynski otworzył mu drzwi, Jamel Mobuto schronił się w budynku najwyraźniej szczęśliwy, że może zejść z porywistego wichru. C.W. i Masala znaleźli się wewnątrz zaraz za nim. Rosjanin gestem udzielił pilotowi pozwolenia na start, helikopter poderwał się w powietrze, przez chwilę wisiał nieruchomo, po czym pochylił się w prawo i poleciał w kierunku Manhattanu. Kolczynski zamknął drzwi i dołączył do czekających na niego w korytarzu czterech mężczyzn.

– Dobrze się pan czuje, panie prezydencie?

– Trochę mnie przewiało, ale poza tym dziękuję, wszystko w porządku. Jakie mamy plany na popołudnie? Czy moje przemówienie nadal jest wyznaczone na drugą?

– Tak. – Rosjanin wygładził marynarkę smokingu. – Koktajl odbędzie się zaraz po jego zakończeniu.

– Doskonale. Bardzo pragnę dowiedzieć się, co najważniejsi biznesmeni pańskiego kraju mają do powiedzenia o zaproponowanych przeze mnie zmianach ekonomicznych w Zimbali. – Mobuto uśmiechnął się do siebie. – Mam nadzieję, że spodobają się im na tyle, że poprą mój program inwestycyjny. Cóż, poczekamy i zobaczymy, prawda, panowie?

– Dyrektor centrum czeka na nas na dole – wtrącił Whitlock. – Zaproponował wycieczkę po kompleksie, jeśli pana to zainteresuje.

Mobuto zerknął na zegarek.

– Mamy jeszcze pięćdziesiąt minut. Tak, byłbym zachwycony mogąc obejrzeć World Trade Center.

Zjechali windą na czwarte piętro, gdzie znajdowały się biura dyrektora i jego głównych współpracowników. Sam szef, niewysoki, nienagannie ubrany mężczyzna około pięćdziesiątki, czekał na nich w swym gabinecie. Na jego biurku znajdowała się plakietka z nazwiskiem Anthony Lieberwitz.

– Czy ma pan ochotę napić się czegoś, panie prezydencie? – spytał zaraz po powitaniu.

– Nie, dziękuję. Kawę wypilem przed wyjazdem z hotelu.

Rozległo się pukanie do drzwi. W chwilę później pojawiła się w nich recepcjonistka, która przedtem wskazała im gabinet Lieberwitza, z informacją, że w jej biurze czeka pan Bailey. Dyrektor polecił, by go wprowadziła. Wchodząc do gabinetu Bailey krótkim uśmiechem podziękował dziewczynie. Skinął głową gospodarzowi, obrócił się do Mobuto i wyciągnął do niego rękę.

– Miło mi znów pana spotkać, panie prezydencie.

– Jestem zachwycony, że mógł pan przyjść. – Mobuto potrząsnął dłonią funkcjonariusza CIA.

– Za nic nie chciałbym stracić takiej okazji. – Bailey przywitał się także z Kolczyńskim, po czym usiadł na wolnym krześle.

– To do pana. – Rogers podał zwierzchnikowi kopertę.

– Ach, dziękuję bardzo. Bałem się, że nie doszło.

– Wręcz przeciwnie, proszę pana, dotarło całkiem szybko.

Lieberwitz wstał zza biurka.

– Panie prezydencie – spytał formalnie – może zechciałby pan obejrzeć resztę budynku?

– Ależ oczywiście. – Mobuto również wstał.

W tym momencie zadzwonił telefon. Lieberwitz podniósł słuchawkę, przez chwilę trzymał ją przy uchu w milczeniu, a potem oznajmił: – To do pana, panie Kolczyński.

– Tak? – powiedział do słuchawki Rosjanin.

– Pan Kolczyński?

– Przy telefonie. Czy to ty, Saro?

– Tak, ja. Przed chwilą rozmawiałam z Mike’em Grahamem. Jest z Sabriną na JFK. Wylądowali jakieś dziesięć minut temu. Zdaje się, że na autostradzie był wypadek, w każdym razie nie mogą się wydostać z lotniska. Graham prosi o transport helikopterem do World Trade Center. Twierdzi, że sprawa jest bardzo pilna.

– Natychmiast rozkaż jednemu z naszych pilotów, żeby poleciał na lotnisko.

– Z kim mam uzgodnić kwestie związane z lądowaniem?

– Nie obawiaj się, ja to załatwię. Po prostu zarządz natychmiastowy start helikoptera.

– Tak jest.

– Czy Graham powiedział coś więcej?

Dziękuję. – Kolczyński odłożył słuchawkę i spojrział na Mobuto. – Będzie pan musiał wybaczyć C.W. i mnie. Nie możemy towarzyszyć panu podczas zwiedzania budynku. Coś się stało.

– Mam nadzieję, że nic poważnego?

Lieberwitz otworzył drzwi, prezydent, Masala i Rogers przeszli do sekretariatu. Bailey nie ruszył się z miejsca. Dyrektor zatrzymał się na progu, niepewnie spoglądając to na Rosjanina, to na funkcjonariusza CIA, po czym wyszedł, dyskretnie zamykając drzwi.

– Ominie pana wycieczka. – Kolczyński spojrział na Bailey’a nieprzyjaźnie.

– „Natychmiast rozkaż jednemu z naszych pilotów, żeby poleciał na lotnisko”. Dlaczego?

– To nie pańska sprawa.

– Jeśli dotyczy prowadzonej właśnie akcji, moja!

– C.W., odprowadź tego pana do drzwi.

– Nie ma potrzeby, sam trafię. – Bailey wstał. – Jeśli coś przede mną ukrywasz, Kolczyński, to pożałujesz. Opiszę wszystko w raporcie, który składam Białemu Domowi. UNACO ma

wystarczająco wiele problemów bez tych, których mogę jej przysporzyć.

Whitlock zamknął za nim drzwi.

– Kto to właściwie dzwonił? – spytał niecierpliwie.

– Sara. Michael i Sabrina właśnie wrócili z Zimbali. Graham dzwonił po helikopter. Twierdził, że sprawa nie cierpi zwłoki.

– Nie cierpi zwłoki? Oznacza to, że Bernard jest w budynku. Powiedział, kiedy ma dojść do zamachu?

Kolczynski potrząsnął głową.

– Nie. Ale powinni znaleźć się tu, nim prezydent rozpocznie mowę.

– A jeśli się im nie uda?

– Moglibyśmy opóźnić wystąpienie Mobuto, ale nie wiemy ani tego, czy morderca jest w budynku, ani czy jest nim Bernard, ani kiedy zamierza dokonać zamachu.

– Dodatkowe posterunki znajdują się już w sali obrad i wokół niej. Nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić.

– Jak na razie – nic. – Rosjanin z wściekłością walnął pięścią w biurko. – Dlaczego drań nie zadzwonił do nas? Przecież musi wiedzieć, że tu jesteśmy. Póki nie przyleci, mamy związane ręce.

– Z pewnością ma swoje powody – stwierdził spokojnie Whitlock.

– Jeden na pewno. Bernard! – warknął Kolczynski. – Do zobaczenia na sali. Muszę jeszcze zadzwonić na lotnisko i załatwić pozwolenie lądowania dla helikoptera.

C.W. wyszedł. Jego szef otarł brodę, po czym podniósł słuchawkę.

Bernard skończył nakładać na twarz podkład i puder. Przejrzał się w pękniętym lustrze, przymocowanym od wewnątrz do drzwi szafki. Uśmiechnął się do siebie. Blizna znikła. Uważnie nałożył na głowę czapkę. Doskonale przebranie – teraz był tylko jednym z wielu nowojorskich gliniarzy. Tabliczkę identyfikacyjną przypiął do marynarki munduru, otworzył drzwi i przez szczelinę wyjrzał na zewnątrz. Pusto. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Już na korytarzu zakrył oczy ciemnymi okularami, po czym ruszył w kierunku schodów.

Zerknął na zegarek. Dwadzieścia pięć po pierwszej. Wszedł po schodach, skręcił w kolejny korytarz. Doskonale wiedział, gdzie jest – w Bejrucie sporo czasu poświęcił studiowaniu planów. Ruszył w kierunku drzwi prowadzących na kolejną klatkę schodową, zszedł piętro niżej. Według planów powinny znajdować się tu toalety, które tego dnia przeznaczono specjalnie dla policjantów

i policjantek. Wszedł do męskiej, przy urynale stał jakiś gliniarz. Uśmiechnął się do niego i zaczął myć ręce.

Policjant podszedł do sąsiedniej umywalki. W lustrze przyjrzał się jego twarzy.

– Hej, ktoś nabił ci niezłego guza.

– Tak, tej nocy. – Bernard z powodzeniem imitował nowojorski akcent. – Facet mnie zaskoczył. Miał kij baseballowy. Nic wielkiego... w porównaniu z tym, co zrobiłem z jego twarzą.

Wycierający ręce w papierowy ręcznik gliniarz roześmiał się wesoło.

– Jestem Hank Medford. Komisariat osiemnasty – przedstawił się.

– Jose Mendoza z dwudziestego szóstego. – Bernard potrząsnął dłonią Medforda. – Gdzie cię dziś postawili?

– Na dachu. – Obaj ruszyli w kierunku wyjścia.

– Zupełnie nieźle. – Bernard przytrzymał drzwi nowemu „koledze”. – I pogoda dopisała.

– A z tobą jak?

– Dobre pytanie. Mam pomagać, gdzie trzeba będzie akurat pomóc. Przynajmniej dobrze poznam ten gmach.

– Też mi interes! – zakpił policjant.

– Aha! – „Mendoza” uśmiechnął się krzywo. – Właśnie kazali mi ruszyć tyłek. Mam zameldować się w sali głównej, tam, gdzie będzie przemawiał Mobuto.

– Pójdę z tobą. Akurat mi po drodze na dach.

– Świetnie! – Bernard poparł ten radosny okrzyk mocnym klepinięciem w ramię. Dwaj policjanci nie budzą takiego zainteresowania jak jeden, maszerujący gdzieś samotnie, zwłaszcza w okularach przeciwsłonecznych maskujących podbite oko. A jeśli będzie udawał, że Medford jest jego dobrym znajomym... tak, obecność tego gliny może się bardzo przydać.

Przeszli do windy. Wsiedli i Bernard nacisnął guzik szóstego piętra. Przyłożył dłoń do czapki niedbale salutując dwóm znajdującym się wewnątrz pracownikom kompleksu, lecz zignorował ich zaciekawione spojrzenia, rozmawiając wyłącznie z Medfordem. Dziewczyny wysiadły na piątym piętrze, wyżej jechali już tylko we dwóch.

– Powiedziałbym, że zrobiłeś na nich oszałamiające wrażenie, przyjacielu. – Policjant uśmiechnął się dwuznacznie.

– Nie ja, lecz kij do baseballu. Interesowało je tylko to, kto podbił mi oko, i nic więcej.

– Jak możesz być tego taki pewien?!

– Wyczytałem to z ich oczu. – Bernard uśmiechnął się, widząc na twarzy gliniarza niepewny uśmiech. – Musisz jeszcze wiele się nauczyć o kobietach, przyjacielu.

– Niewielkie mam szansę. Jestem żonaty.

Winda stanęła na szóstym piętrze. Otworzyły się drzwi. Bernard wyszedł na korytarz.

– Do zobaczenia, Hank – powiedział.

– Do zobaczenia. Uważaj na kije baseballowe.

Zaczekał, aż winda ruszy, nim obrócił się w stronę podchodzącego policjanta.

– Szukam kapitana D’Arcy – powiedział mu.

– Jest na sali. Jeśli masz dla niego jakąś wiadomość, dopilnuję, żeby ją dostał.

– Przysłano mnie do pomocy przy pilnowaniu pomostu. Rozkaz pana Whitlocka. – Bernard wyjął z kieszeni arkusz papieru. – Mam go na piśmie – powiedział. Policjant tylko zerknął na kartkę.

– Doskonale. Powiem kapitanowi D’Arcy, gdzie jesteś. Lepiej się pospiesz. Prezydent może się pojawić w każdej chwili.

– A jak się tam dostanę? – Terrorysta musiał udawać, że nie orientuje się w rozkładzie pomieszczeń.

– Przez te drzwi. – Gliniarz pokazał mu palcem. – Zamelduj się sierżantowi Masonowi. Już tam jest.

– Ilu ludzi pilnuje pomostu?

– Trzech.

Bernard podziękował za pomoc. Odchodząc uśmiechał się do siebie. Wszystko szło zgodnie z planem.

Drzwi zastał otwarte. Zamknął je za sobą kluczem, który dał mu Rogers.

Znalazł się na scenie, za ciężką, szarą kurtyną. Z sali dobiegały go dźwięki irytującej, marnej muzyki. Podszedł do umocowanej przy ścianie stalowej drabinki i bez najmniejszego problemu wspiął się na pomost zawieszony jakieś piętnaście metrów nad podłogą. Czekał tam na niego jasnowłosy policjant, którego twarz znał doskonale z dossier, dostarczonego mu przez Baileya na samym początku operacji.

– Sierżant Mason? – spytał, choć była to tylko formalność.

– Tak, to ja.

– Jestem „Kolumb” – przedstawił się, zdejmując okulary.

– Co ci się stało w oko?

– Wypadek. – Bernard obojętnie wzruszył ramionami. – Co z tymi dwoma gliniarzami, którzy tu podobno byli?

– Nieprzytomni.

– Imponujące. – Już obserwował pomost, szukając najlepszego miejsca do strzału.

– Nie dojdą do siebie przed upływem kilku godzin. Takie dostałem instrukcje i...

– A karabin?

– Już jest. Zaraz ci go przyniosę.

Bernard odczekał, aż Mason odejdzie, po czym powoli rozejrzał się wokół siebie. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak wyobraził w sobie, przeglądając plany jeszcze w Bejrucie. Pomost oddzielała od sali wisząca po bokach ciężka, zasłaniająca całą ścianę kurtyna. Znalazł miejsce, w którym stykały się jej połowy, delikatnie odchylił jedną tak, by móc przyjrzeć się wnętrzu. Pierwsi z zaproszonych biznesmenów już zajęli najbliższe sceny miejsca. Rozmawiali, czekając na kolegów.

Spojrzał w dół, na scenę. Mównicę ustawiono nieco z prawej strony, pozycja doskonała do strzału w głowę. Nie miał jednak zamiaru czekać, aż Mobuto rozpocznie przemówienie. Załatwi go zaraz przy wejściu, przy znajdujących się z tyłu drzwiach. Wszystkie oczy będą wtedy zwrócone na prezydenta, nikt nie dostrzeże drgnięcia kurtyny wysoko, pod samym sufitem.

Puścił zasłonę i zerknął na zegarek. Pierwsza trzydzieści trzy. Bailey poinformował go, że Mobuto pojawi się w sali około pierwszej czterdzieści pięć. Ma mnóstwo czasu.

Wrócił Mason, niosąc czarną teczkę dyplomatkę.

– Dobra – powiedział mu terrorysta. – A teraz przypilnuj wejścia. – Kiedy zaś policjant obracał się, złapał jego głowę w dłonie i szarpnął ją, skręcając mu kark. Bezwładne ciało bezszelestnie złożył na pomoście. Wypełniał tylko polecenie Bailey'a – żadnych świadków.

Otworzył teczkę. Wyjął z niej części karabinu snajperskiego Galii i przystąpił do składania broni. Na końcu zamontował celownik optyczny Nimord X6, nakręcił tłumik oraz założył magazynek zawierający dwadzieścia pocisków poddźwiękowych. Znów wyjrzał przez szczelinę w kurtynie. Większość miejsc na widowni była zajęta, lecz Mobuto jeszcze nie przybył, więc mógł dokładnie wyregulować celownik, aż uzyskał doskonały obraz wejścia. Strzał będzie prosty, w głowę... i to wszystko. Nie mógł jednak stąd uciec i doskonale sobie z tego zdawał sprawę. Policja w kilka sekund zorientuje się, że ktoś strzelał z pomostu, z którego prowadzi tylko jedna droga – w dół stalową drabinką. Nie miał szans. Wiedział o tym przyjmując zlecenie. Po zastrzeleniu Mobuto

odłoży więc karabin i podda się władzom. Nie miał jednak zamiaru długo siedzieć w areszcie. Bailey przepłacił już kilku wyższych oficerów, którzy jeszcze tej samej nocy mieli ułatwić mu ucieczkę. Zostanie odwieziony na opuszczone lotnisko, stamtąd zaś przetransportowany do Bejrutu.

Bailey nie miał żadnego interesu w tym, by go wykiwać. Nim zgodził się na tę robotę, przygotował przecież opis wszystkich operacji CIA, w których przez lata brał udział, i zdeponował go u prawnika z poleceniem, by wysłał go do „New York Timesa”, jeśli nie skontaktuje się z nim w umówionym terminie. Bailey doskonale wiedział o istnieniu tego dokumentu. I wiedział, że sam jest bezpieczny tak długo, jak będzie on spoczywał w sejfie prawnika. Bernard zaś nie miał zamiaru go odbierać, przynajmniej nie w najbliższej przyszłości.

Spojrzał na zegarek. Za dwadzieścia druga. Mobuto mógł pojawić się na sali w każdej chwili. Podniósł karabin, trok owinął ciasno na ramieniu, skierowaną na drzwi lufę oparł na poręczy. Pozostało mu tylko czekać.

Kolczyński i Whitlock stali przy lądowisku. Helikopter UNACO właśnie opadał na dach. Nim dotknął go płozami, otworzyły się drzwi, Graham wyskoczył zgrabnie i skulony pobiegł w ich kierunku.

– O co, do cholery, chodzi? – brzmiało pierwsze pytanie Rosjanina.

– Bernard tu jest! Ma ze sobą karabin snajperski – wrzasnął Mike, przekrzykując hałas silnika.

– Mobuto pojawi się na sali za kilka minut – stwierdził Whitlock, zerkając na zegarek. – Musimy go ostrzec.

Rosjanin chciał jeszcze coś powiedzieć, nim jednak otworzył usta, agenci znikli w drzwiach. C.W. złapał Mike’a za ramię, wskazując mu schody przeciwpożarowe. Zbiegli nimi z łoskotem, w niespełną minutę później byli już na szóstym piętrze. Ramię Whitlocka dokuczało mu, kilkakrotnie obił je o pierś, ale C.W. nie zważał na ból.

Przed wejściem dostrzegli rozmawiającego z Baileyem prezydenta. Funkcjonariusz CIA najpierw spojrzał ostro na Whitlocka, lecz gdy dostrzegł biegnącego za nim Grahama, na jego twarzy pojawił się wyraz niepewności. Natychmiast zorientował się, że coś jest nie tak. Musi wprowadzić Mobuto na salę. I to szybko. Otwierał drzwi, kiedy Mike zatrzasnął je potężnym uderzeniem pięści.

– Co robisz?! – warknął Bailey.

– Co się dzieje, Clarence? – Prezydent patrzył niepewnie to na jednego, to na drugiego agenta UNACO. – I kim jest ten człowiek?

– Przedstawiam panu Mike’a Grahama. – W głosie C.W. brzmiała nie ukrywana satysfakcja.

– Mike Graham? – powtórzył zaskoczony Mobuto i natychmiast wyciągnął rękę. – Miło mi wreszcie pana poznać.

– Nawzajem. – Graham szybko potrząsnął dłonią prezydenta. Dostrzegł stojącego za Whitlockiem policjanta. – Czy to pan tu dowodzi? – spytał.

D’Arcy skinął głową.

– To niech pan aresztuje tego sukinsyna – rozkazał, wskazując Bailey’a.

Rogers sięgnął po swego Smith & Wessona, zamarł jednak na widok Browninga w dłoni C.W.

– Tylko mnie tknij, a do końca życia będziesz patrolował ulice na piechotę – ostrzegł kapitan zastępca dyrektora CIA.

– Clarence, co tu się dzieje? – powtórzył wyprowadzony z równowagi Mobuto.

– Zamachy na pana zaplanował Robert Bailey – wyjaśnił Graham. – Ngune i Bernard pracowali dla niego.

– Czy to prawda? – Prezydent zwrócił się bezpośrednio do oskarżonego.

– Oczywiście, że nie!

– Brata pana prezydenta nazywasz łgarzem? – Mike bez drgnienia powiek wpatrywał się w twarz Bailey’a.

– Remy to panu powiedział? – zdziwił się Jamel Mobuto.

– Za pośrednictwem pułkownika Tambese’a. Komu pan wierzy? Jemu czy swojemu bratu?

– To musi być jakieś...

– Zaaresztować go! – pełne pogardy słowa prezydenta przerwały tłumaczenia funkcjonariusza CIA.

Whitlock potwierdził rozkaz skinieniem głowy. Wskazał Rogersa.

– I jego też, przy okazji – powiedział D’Arcy’emu.

Kapitan założył aresztowanym kajdanki. C.W. kazał odprowadzić ich obu do saloniku przy korytarzu, po czym wyjaśnił policjantowi, że Bernard już dostał się do budynku.

– Nie sądzę, byśmy mogli dopuścić do pańskiego wystąpienia przed powtórным sprawdzeniem sali. – Graham zwrócił się bezpośrednio do Mobuto.

– Istnieje tylko jedno miejsce, którego mógłby użyć snajper – wtrącił policjant. – Pomost. Pilnujemy go. – Do Whitlocka zaś powiedział: – Wydaje się, że dobrze pan zrobił przysyłając nam tego dodatkowego człowieka.

– Jakiego dodatkowego człowieka?

– Policjanta. Pojawił się przed kilkunastoma minutami. Miał pisemny rozkaz podpisany przez pana.

– Nie wysyłałem wam nikogo!

– Bernard! – syknął Graham. – Idę na górę. Daj mi swój browning, C.W. I to radio, które masz przy pasie.

– Weź ze sobą kapitana i kilku jego ludzi.

– Nie! – Mike położył dłoń na ramieniu przyjaciela. – Jeśli tam jest, dostanę go sam.

– Lepiej żywego – stwierdził Whitlock.

Graham spróbował otworzyć drzwi.

– Zamknięte – zawołał.

– To dziwne. Powinny być otwarte. – D’Arcy podszedł bliżej.

– Masz klucz?

Policjant wyjął z kieszeni pęk kluczy.

– Nie wiem, który jest właściwy – przyznał.

Jeden jednak pasował do zamka. Graham otworzył drzwi, po czym oddał klucze D’Arcy’emu.

– Jesteś pewien, że nie chcesz wsparcia? – spytał policjant.

Mike tylko potrząsnął głową. Delikatnie wsunął się do środka i natychmiast zamknął drzwi za sobą. Spojrzał w górę, na pomost, lecz niczego tam nie dostrzegł. Bezszelestnie podszedł do drabiny, wsunął browning za pasek spodni i rozpoczął powolną, ostrożną wspinaczkę. W mniej więcej trzech czwartych wysokości zatrzymał się. Wyjął broń.

Kiedy dotarł na samą górę, powoli wysunął głowę na poziom pomostu. Bernard klęczał po jego prawej stronie, w dłoniach trzymał karabin, którego lufa dla dodatkowej stabilności lekko opierała się na poręczy. Był obrócony tyłem do drabiny, głowę przechylił nad celownikiem, w żaden sposób nie mógł go dostrzec.

Trzymając terrorystę na muszce, Mike wspiał się po ostatnich szczeblach i stanął na pomoście. Co się stanie – zastanawiał – jeśli jego przeciwnik, wezwany do poddania, odwróci się i wystrzeli? Nie jest to wcale niemożliwe. Czy stać mnie na podjęcie tego ryzyka? – spytał sam siebie. Przecież może zabić go strzałem. Wystarczy jeden strzał, jeden strzał zakończy pościg, dopełni zemsty. Zacisnął palec na spuście, podniósł broń do oka. Wystarczy jeden strzał. Pomyślał o Carrie i Mikeyu.

Zasługiwali na to, by sprawiedliwości stało się zadość. Pomyślał także o przeprowadzonej na Ngune bezlitosnej egzekucji, której był świadkiem w Kondese, i o tym, jak bardzo nim wstrząsnęła. Ngune zginął, zabity z zimną krwią. Postąpi dokładnie tak samo zabijając Bernarda bez dania mu szansy na poddanie. Czy potrafi żyć ze świadomością tego, co uczynił? Opuścił broń.

– Rzuć karabin – powiedział niegłośnie, lecz bardzo stanowczo. Mięśnie napięły mu się w oczekiwaniu reakcji śmiertelnego wroga.

Bernard podniósł głowę i rozejrzał się powoli dookoła. Nie zaskoczyło go to, z kim ma do czynienia, czuł się tak, jakby niemal spodziewał się Grahama – człowieka, którego twarz prześladowała go od czasu Libii. Stracił już rachubę poranków, podczas których budził się zły potem, mając ją przed oczami. Teraz jednak koszmar zastąpiła rzeczywistość. Wiedział, że nie zostanie zabity, chyba że w samoobronie – to przynajmniej było jasne. Już przedtem odrzucił pomysł strzelenia z półobrotu – nie wygrałby w ten sposób z tym mężczyzną. Zginie, nim zdąży zdjąć lufę z poręczy. Co więcej, samo pojawienie się Grahama na pomoście świadczyło o tym, że Mobuto został ostrzeżony, że nie wejdzie do sali, przynajmniej póki sytuacja nie wyjaśni się w ten lub inny sposób. A on nadal ma otwartą drogę ucieczki. Bailey nie wycofa się z umowy, mimo że Mobuto nie zginął.

Ostrożnie złożył broń na pomoście.

– Połóż ręce na głowie i odsuń się od barierki – rozkazał Mike.

Bernard posłusznie wykonał jego polecenie. Przez radio Graham poprosił Whitlocka, by pod drabiną czekało na nich kilku, policjantów. Zawiesił nadajnik u pasa i gestem nakazał terroryście zejść. Instynktownie zacisnął palec na spuście, gdy minęli się na wąskim pomoście.

Terrorysta zaczął schodzić, gdy Mike zadał mu ostatnie pytanie.

– Bernard?

Począł, aż głowa powoli obróci się w jego kierunku.

– Czy oni cierpieli?

– Nie. Z tego, co wiem, nie cierpieli.

Bernard zszedł powoli wprost w objęcia czekających na niego policjantów. Skuli go kajdankami i odprowadzili. Graham znalazł na dole w chwilę później.

Karabin znajdziecie na pomoście – poinformował D’Arcy’ego, ten zaś natychmiast wysłał po niego jednego z policjantów.

U boku Grahama nagle pojawiła się Sabrina.

– Mike, wszystko w porządku? – spytała cicho.

– No pewnie! – Nagle nad jej głową dostrzegł wchodzącego Kolczyńskiego. – A więc mamy kłopoty – szepnął.

– Przez duże „K” – odparła dziewczyna, odwracając się w stronę szefa.

Rosjanin przyjrzał się uważnie im obojgu.

– Dlaczego nie zabiłeś go, kiedy miałeś szansę? Przecież od początku to właśnie miałeś zamiar zrobić?

– Miałem zamiar – zgodził się agent. – Ten pomysł Sabrina wybiła mi z głowy w Zimbali.

– No, to przynajmniej dobrze o tobie świadczy. – Kolczyński odwrócił się na pięcie i wyszedł.

– Niczego ci nie wybiłam – powiedziała dziewczyna, gdy tylko szef znalazł się poza zasięgiem jej głosu. – Próbowałam, alb przecież nie słuchałeś.

– A może jednak? Zresztą nie w tym rzecz. W Bejrucie to ja rozdałem karty i teraz mnie przyjdzie zapłacić cenę gry. Nie mam zamiaru pogрузić cię wraz ze sobą.

– Jesteśmy zespołem, Mike. Oznacza to, że razem idziemy z górki i pod górkę.

– Nie, nie tym razem, Sabrino – stwierdził Mike i ruszył do wyjścia, a po chwili znikł jej z oczu.

– Cześć – powitała Sara wchodzącą do biura dziewczynę. – Witamy w domu.

– Dzięki – Sabrina odpowiedziała jej uśmiechem. – Siergiej u siebie?

Sekretarka skinęła głową, po czym przycisnęła guzik interkomu.

– Przyszła Sabrina, panie Kolczyński – zaanonsowała.

– Przyjmę ją – padła krótka odpowiedź.

Drzwi otworzyły się i zamknęły za agentką.

– Mike’a nie ma? – zdziwiła się po wejściu i natychmiast spojrzała na zegarek.

– Już wyszedł.

– A ja byłem pewna, że mamy się stawić razem. – Sabrina zmarszczyła brwi.

– Sam też tak myślałem. Siadaj. – Kolczyński gestem wskazał jedną z kanap.

Usiadła, lecz przez cały czas patrzyła mu w oczy

– Coś się stało, Siergiej – powiedziała w końcu. – Co takiego?

Kolczyński niepewnie poruszył się na krześle, po czym sięgnął po leżącą na biurku paczkę papierosów i zapalił jednego.

– Dziś po południu Michael złożył rezygnację – oznajmił w końcu.

Sabrina zakryła twarz dłońmi. Powoli pokręciła głową.

– Powiedziałem, że złożył rezygnację. Nie powiedziałem, że została przyjęta.

Wyprostowała się i spojrzała mu wprost w twarz.

– Przyjmiesz ją? – spytała.

– Zależy to od wyników dochodzenia, które na prośbę sekretarza generalnego przeprowadzę w związku z podjętymi przez was podczas tej akcji działaniami.

– Jak długo to potrwa?

– Kilka dni. – Kolczyński postukał w leżącą na biurku teczkę. – Michael złożył mi już dokładny raport z tego, co zdarzyło się w Bejrucie i w Zimbali. Na twój czekam do jutra rana.

– Zdązę.

– Po jego złożeniu zespół dochodzeniowy zechce porozumieć się z tobą osobiście. Muszą upewnić się, że w zeznaniach twoich, Michaela i C.W. nie ma żadnych sprzeczności. – Rosjanin wyjął z teczek kilka zszytych ze sobą w lewym górnym rogu kartek. – To kopia raportu Michaela. Zadbaj, by twój zgadzał się z nim w każdym szczególe. To jedyny sposób, byś zatrzymała pracę i zachowała nienaganną opinię.

Z wahaniem odebrała od niego zszywkę.

– Dlaczego to robisz, Siergiej? Jeśli ktokolwiek odkryje, co mi dałeś, będziesz miał straszne kłopoty.

– Michael powiedział mi wyraźnie, że będziesz próbowała go kryć. W to akurat potrafię uwierzyć. Jeśli wasze historie będą się różnić, zminimalizujesz konsekwencje czynów nie tylko swoich, lecz i Grahama. Rozmawiałem z C.W. Zasugerował, żebyście dzisiaj noc spędzili wspólnie, pracując nad raportem. Moim zdaniem to niezły pomysł. – Wskazał kopię raportu Mike'a. – Będziecie musieli podzielić się tym. I upewnijcie się, że zostało doszczętnie zniszczone po wykorzystaniu. Sama powiedziałaś, że mógłbym narobić sobie kłopotów, gdyby wpadł w niepowołane ręce.

– Czy pułkownik coś o tym wie?

– Nie. I lepiej, żeby tak zostało.

– Dzięki, Siergiej. – Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie.

– Co nie znaczy, że nie jestem wściekły z powodu sposobu, w jaki przeprowadziliście tę operację. Chodzi przede wszystkim o ciebie i C.W. Zawiedliście mnie.

– Nie mieliśmy wyjścia, Siergiej.

– Michael powtarzał to bez przerwy. Bardzo nieprzekonywające usprawiedliwienie, prawda?

– Chyba tak – przyznała smutno.

– Przedyskutujemy to sobie dokładnie, kiedy dostanę już wasze raporty.

Sabrina wstała.

– A gdzie są teraz Mike i C.W.?

– Nie wiem nic o Mike’u. Powiedział tylko, że potrzebuje trochę czasu dla siebie. To chyba zrozumiałe, biorąc pod uwagę okoliczności. C.W. jest w hotelu z prezydentem.

– A Bailey, Bernard i Rogers? Mamy o nich jakieś wiadomości?

– Nic. Oczywiście Bailey i Rogers będą milczeć, póki nie przygotują ich do zeznań najlepsi prawnicy agencji. Bernarda oskarżono już o podwójne morderstwo – chodzi o tych policjantów zabitych w Murray Hills – lecz on też skorzystał z rady adwokata i od chwili aresztowania nie powiedział ani słowa. C.W. odchodzi od zmysłów ze strachu o Rosie. Przypuszczam, że wszystko ci opowiedział?

Sabrina skinęła głową.

– Naprawdę nic nie możemy zrobić? – spytała.

– Sprawdziliśmy wszystkie znane nam bezpieczne lokale, które CIA ma w Nowym Jorku i okolicach. Nie znaleźliśmy ani śladu dziewczyny. Rozmawiałem już z dyrektorem agencji, obiecał przysłać faxem pełną listę, którą ma w Langley. Sprawdzimy je, oczywiście, ale i to może nic nam nie dać. Wszyscy wyżsi funkcjonariusze mają takie lokale, o których wiedzą tylko oni. Jeśli Rosie została ukryta w miejscu znanym wyłącznie Baileyowi, nie znajdziemy jej bez jego współpracy.

– A to oznacza układ, prawda? – W głosie dziewczyny brzmiała gorycz.

Kolczyński wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – wyznał. – Pułkownik jest w drodze do Waszyngtonu. Ma się tam spotkać z dyrektorem CIA.

– Nie wiedziałam, że wrócił do pracy – zdziwiła się Sabrina.

– Wyszedł ze szpitala wczoraj wieczorem. Miał odpoczywać w domu, ale kiedy dowiedział się o tym, co zaszło, postanowił zabrać się do roboty mimo wszystko.

– A co na to lekarze?

– Wątpię, czy cokolwiek wiedzą. No, przynajmniej na razie. Wystarczająco dobrze znasz pułkownika, by zdawać sobie sprawę z tego, że jak raz coś postanowi, nic go nie powstrzyma.

– Chyba, że kolejny zawał.

– To jego decyzja, prawda?

– A tak, jego – syknęła przez zaciśnięte zęby. – Coś jeszcze?

– Na razie nic. Spotkajmy się w holu Plaža o siódmej. Prezydent Mobuto wyraził życzenie spotkania się z tobą i Michaeliem przed odlotem. Michael prosił, bym usprawiedliwił jego nieobecność. Wobec tego ty musisz się pojawić.

– Oczywiście. – Wychodząc, Sabrina zatrzymała się jeszcze przy drzwiach. – Aha, a co z Dave'em Forsythe'em? Rzeczywiście pracował dla Bailey'a?

– Rzeczywiście. Najwyraźniej założył podsłuch w naszym biurze, żeby Bailey mógł informować Bernarda na bieżąco o sytuacji w Zimbali.

– Co się z nim stanie?

– Już został zwolniony.

– Nie będzie żadnego dochodzenia?

– Tylko narobiłoby nam wstydu. Nie, Dave i tak jest skończony. Po tym, co się zdarzyło, nie weźmie go żadna agencja wywiadowcza. Utracił zaufanie. Skończy jako właściciel sklepiku z elektronicznym złomem gdzieś na prowincji. To dostateczna kara.

– No, bo ja wiem...? – Sabrina nie dokończyła myśli. Wyszła.

Kolczyński zamknął za nią drzwi, po czym zapalił kolejnego papierosa i zabrał się do papierkowej roboty.

Gdy Sabrina dojeżdżała do hotelu, zaczęło mżyć. Swego srebrzystego mercedesa 500 SEC zaparkowała blisko hotelu i energicznym krokiem ruszyła w stronę wejścia, postukując wysokimi obcasami pantofelków. Zdawała sobie sprawę, że przyciąga wzrok każdego mężczyzny w okolicy. Żadnemu jednak nie odpowiedziała spojrzeniem. To tylko dodałoby im odwagi, a poza tym byłoby oznaką próżności, a ona nienawidziła próżności w każdej formie. Z ulgą zeszła z ulicy. Natychmiast po wejściu do hotelu rozejrzała się z nadzieją, że Kolczyński już na nią czeka. Tak, wraz z C.W.

siedzieli obok windy, Whitlock nawet zerwał się i pomachał ręką, by zwrócić na siebie jej uwagę. Uśmiechnęła się, podeszła i delikatnie pocałowała go w policzek. Kolczyński skłonił się jej lekko, po czym natychmiast popatrzył na zegarek. Przyjechała piętnaście minut wcześniej. Wiedział, że zrobiła to specjalnie dla niego. Doskonale, niech się trochę podenerwuje. Napił się kawy.

– Ślicznie wyglądasz – powiedział Whitlock, z wyraźnym zachwytem patrząc na jej beżową garsonkę i rzucającą się w oczy, wzorzystą bluzkę.

– Dziękuję. A jak tam ramię?

– Nadal boli, ale rana goi się dobrze.

– Słyszeliście może coś o Mike’u? – spytała ich.

Rosjanin przecząco pokręcił głową.

– Powiedział, że zadzwoni rano, dzisiejszą noc pragnął spędzić samotnie. Potrafię to zrozumieć. Stał twarzą w twarz z Bernardem, musiało mu to przypomnieć żonę i synka.

C.W. dostrzegł wyraz niepewności na twarzy dziewczyny.

– Będzie dobrze – powiedział z ciepłym uśmiechem.

– Wiem – odparła cicho.

Kolczyński dopił kawę. Wstał.

– Zadzwonię do apartamentu prezydenta – oznajmił. – Dowiem się, czy jest gotów nas przyjąć.

Ruszył w kierunku recepcji. Sabrina odprowadziła go wzrokiem, a potem spojrzała na przyjaciela.

– Są jakieś wieści o Rosie? – spytała.

– Nie – odparł ponuro C.W. – Bailey i Bernard nadal odmawiają współpracy z władzami, a tylko oni wiedzą, gdzie jest przetrzymywana.

– Bardzo mi przykro. Tak bym chciała jakoś ci pomóc. Wiem, jak wiele znaczy dla ciebie ta dziewczyna.

– Jest córką, której nigdy nie miałem. – Agent uśmiechnął się smutno. – Przynajmniej tak twierdzi Carmen. Zawsze byliśmy sobie bliscy. Eddie nie jest najlepszym ojcem. Kiedy musiała z kimś porozmawiać, zwracała się do mnie. Nie zdarzało się to zbyt często. Jak Mike lubiła samotność i zachowywała się bardzo... oryginalnie.

Kolczyński wrócił i wezwał windę.

– Prezydent nas oczekuje – oznajmił.

Wjechali na trzynaste piętro. Masala wyszedł na korytarz i wprowadził ich do apartamentu. Mobuto siedział na kanapie, na stojącym przed nim niskim stoliku leżały jakieś papiery. Podniósł wzrok i gestem ręki nakazał ochroniarzowi odejść.

– Dobry wieczór – powiedział, wstając. – Nie ma z wami Mike’a Grahama?

– Obawiam się, że niestety nie mógł przyjść – odparła Sabrina. – Bardzo przeprasza.

– Pani jest z pewnością Sabriną Carver. Żałuję, że nie spotkaliśmy się w World Trade Center. – Nie spuszczać wzroku z twarzy dziewczyny Mobuto uściśnął jej dłoń. – David Tambese nie mylił się. Jest pani bardzo piękna.

– Dziękuję. – Sabrina delikatnie cofnęła dłoń – uścisk prezydenta wydał się jej nieco za długi.

– Jak się miewa pański brat? – Kolczyński przerwał przedłużającą się niezręcznie ciszę.

– Opuścił szpital dziś rano. Wróci do pracy w ciągu kilku dni. – Mobuto gestem wskazał krzesła. – Proszę, proszę, siadajcie. Czy ktoś chciałby się czegoś napić?

Usiedli, ale grzecznie odmówili poczęstunku.

– Czy nie będzie panu przeszkadzało, jeśli zapalę? – spytał Rosjanin.

– Ależ nie. – Prezydent podszedł do barku i nalał sobie mak whisky. – Zaprosiłem was tu dzisiaj, by osobiście podziękować za wszystko, co zrobiliście dla mnie i dla mego kraju w ciągu ostatnich trzech dni. Sądziłem, że z pewnością będzie spotkać się prywatnie, a nie na lotnisku, gdzie z pewnością roić się będzie od dziennikarzy. Wiem, jak bardzo UNACO ceni swą... prywatność.

– Dziękujemy. – Kolczyński sięgnął po popielniczkę.

– Na tę okazję przygotowałem sobie nawet mowę, ale im dłużej myślę, tym bardziej wydaje mi się to pretensjonalne. – Mobuto spojrzał na Whitlocka. – Ty ocaliłeś mi życie kilkakrotnie. Kula, która cię zraniła, równie dobrze mogła zabić. A pani – zwrócił się do Sabriny – pani i Mike nie zważając na własne bezpieczeństwo, pomogliście Davidowi odbić Remy’ego z Branco. Nie musieliście tego robić, ale zrobiliście. Mam wobec waszej trójki dług wdzięczności, który nigdy nie zostanie spłacony. Przy takich okazjach trudno znaleźć odpowiednie słowa, ale zapewniam, że do śmierci będę wam wdzięczny za to, co zrobiliście, i za to, że zrobiliście to w sposób tak doskonale profesjonalny. Dziękuję.

Po tych słowach prezydent sięgnął po dwa małe czerwone pudełka, nie większe od opakowań na płyty kompaktowe, jedno z nich wręczył Sabrinie, drugie – Whitlockowi. Ich nazwiska były wytłoczone na wieczkach złotymi literami. Obdarowani wymienili spojrzenia, po czym ostrożnie otworzyli pudełka. W obu spoczywały złote medaliony z portretem Mobuto na awersie, na rewersie znajdowała się inskrypcja zawierająca ich nazwiska i datę.

– To medal za niezwykłą odwagę w obliczu nieprzyjaciela – wyjaśnił. – Przez ostatnie czterdzieści lat wręczono go zaledwie kilkakrotnie, te zaś są pierwszymi i na razie jedynymi, na których jest mój portret jako prezydenta Zimbali. Po raz pierwszy też odznaczenie to zostało przyznane cudzoziemcom. Będę zaszczycony, jeśli przyjmiecie je w imieniu rządu i ludu Zimbali.

Karta UNACO stanowiła wyraźnie, że agentowi nie wolno przyjąć ani opłaty, ani wyrażonych w formie materialnej wyrazów wdzięczności od jednostki lub rządu, bowiem coś takiego łatwo mogłoby zostać użyte do zdyskredytowania agenta lub organizacji. Lecz... czy order można uznać za taki wyraz wdzięczności? Spojrzeli na Kolczynskiego, oczekując jego reakcji. On zaś wie dział, że gdyby medale te kiedykolwiek zostały sprzedane, mogły zostawić ślad prowadzący wprost do organizacji. Lecz ci dwoje jego najlepszymi, najbardziej odpowiedzialnymi agentami – mimo tego, co zdarzyło się w ciągu ostatnich dni. Nieprawdopodobne, by kiedykolwiek zastawili to odznaczenie. Zdawał też sobie sprawę, że jeśli zażąda zwrócenia medali, nie tylko zawstydzi prezydenta w obecności świadków, lecz także wobec jego rządu, który najwyraźniej udzielił zgody na ich wręczenie. Choć sytuacja była delikatna, cieszył się jednak, że żadne postanowienie Karty nie zostaje naruszone. Skinieniem głowy wyraził zgodę.

C.W. i Sabrina podziękowali za zaszczyt, wyświadczony im przez głowę państwa i rząd Zimbali.

Mobuto wręczył im także trzeci medal.

– To dla Mike’a Grahama – wyjaśnił Sabrinie. – Czy dopilnuje pani, by go dostał?

– Ależ oczywiście.

Zadzwonił telefon.

– Proszę o wybaczenie. – Prezydent podniósł słuchawkę. Rozmawiał krótko w suahili, a kiedy skończył, wyjaśnił: – Właśnie przybył ambasador Zimbali z delegacją. Niestety, musimy się rozstać. Bardzo mi przykro, że nie mieliśmy więcej czasu na rozmowę.

– Zaczekam tu i będę towarzyszył prezydentowi na lotnisko – oznajmił Kolczynski. – Ty i Sabrina możecie od razu brać się do pisania raportu.

Whitlock spojrział na zegarek. Prezydent miał wyjechać na lotnisko dopiero za godzinę.

– Jeśli jesteś pewien, że to w porządku?

– Nie proponowałbym czegoś, co nie jest w porządku. Idźcie już, czeka was długa noc.

– Miło było wreszcie się z panem spotkać. – Sabrina potrząsnęła dłonią Jamela Mobuto.

– Cała przyjemność leży wyłącznie po mojej stronie. Jeszcze raz wam dziękuję. – Prezydent zwrócił się do Whitlocka. – Zawdzięczam ci życie, Clarence – stwierdził. – Dla Zimbaczyka oznacza to dług, którego nie spłaci do końca życia. Jeśli jest coś, co mogę dla ciebie zrobić...

– Jest – przerwał mu Whitlock.

– Co takiego? – Mobuto spojrzał mu w oczy.

– Przestań nazywać mnie Clarence!

Prezydent zachichotał i poklepał go po ramieniu.

– Przepraszam. Po prostu w Oksfordzie znałem cię zawsze pod tym imieniem.

– Od tego czasu zmieniliśmy się obaj, ale ty bardziej. I powiedziałbym, że na korzyść.

– Zawsze bezpośredni – uśmiechnął się Mobuto. – Do zobaczenia, C.W.

– Do zobaczenia, panie prezydencie.

Oboje z Sabriną skierowali się ku drzwiom.

– Gdzie chcesz pracować nad raportem? – spytała, kiedy wyszli na korytarz.

– Eddie i Rachel są prawdopodobnie z Carmen w naszym mieszkaniu. Byłoby znacznie prościej, gdybyśmy mogli pojechać do ciebie.

– Nie ma problemu. Zatrzymamy się tylko i kupimy coś do jedzenia. Nie miałam nic w ustach od opuszczenia samolotu. Umieram z głodu.

– Teraz, kiedy o tym wspomniałaś, uświadomiłem sobie, że i ja bym coś zjadł. – Wsiedli do windy. – Siergiej miał rację – to będzie długa noc.

– Jakbym nie wiedziała.

Winda ruszyła w dół.

Kolczyński wrócił do swego apartamentu w Bronksie tuż przed północą. Włączył automatyczną sekretarkę i poszedł do kuchni zrobić sobie kawę. Otrzymał tylko jedną wiadomość: dzwonił Philpott prosząc pilnie o telefon. Kolczyński zaparzył kawę, po czym zadzwonił do pułkownika z kuchennego telefonu.

– Malcolm? Mówi Siergiej. Prosiłeś, żebym zadzwonił. Co się stało?

– Pół godziny temu miałem telefon od komisarza. Bailey, Bernard i Rogers zostali zwolnieni bez wniesienia oskarżenia.

– Na czyje polecenie? – Rosjanin przyciągnął sobie nogą stół i usiadł ciężko.

– Wydaje się, że Morgan Chilvers, dyrektor CIA, natychmiast po naszej popołudniowej

rozmowie pojechał do Białego Domu. Rozmawiał bezpośrednio z prezydentem. Prezydent był bardzo stanowczy. Za wszelką cenę pragnie uniknąć skandalu, zwłaszcza takiego, w który byłby wplątany wysoki funkcjonariusz agencji, na przykład Bailey. Nie można go było zwolnić, nie zwalniając pozostałych dwóch. No i tak.

– A co z wniesionym przeciwko Bernardowi oskarżeniem o morderstwo?

– Uchylone. Komisarz wściekał się strasznie, ale Chilvers słusznie zauważył, że jak na razie nic z tego nie przedostało się do prasy. Stać ich na przyzwoite maskowanie. – Philpott był wyraźnie wściekły.

– Gdzie jest teraz Bernard?

– Nie mam zielonego pojęcia. Kiedy się o wszystkim dowiedziałem, już wyszli. Nie miałem możliwości puścić za nimi ogona.

Kolczyński ze złością potrząsnął głową.

– Takie rzeczy już się zdarzały, owszem... ale w Rosji, dwadzieścia lat temu.

– Mamy niewielką szansę namierzenia Bernarda. Obserwujemy Rogersa. Jest w swoim domu w Yorkville. Przypuszczam, że Bailey będzie próbował usunąć Bernarda z kraju tak szybko, jak to tylko możliwe – nim go dorwiemy. Najpewniej użyje do tego Rogersa lub Bretta.

– Co z Brettem?

– W tym problem. Nie wrócił do domu. Przecież mówiłem, że szanse są niewielkie. Moim zdaniem Rogers pojawi się jednak w tej sprawie, pytanie tylko, w jakiej roli? Na razie musimy czekać.

– Co mam powiedzieć C.W.?

– Nic. Damy Rogersowi sznur i zobaczymy, czy się na nim powiesi. Zadzwoń do ciebie, gdyby się ruszył. Cóż, dobranoc, Siergiej.

– Dobranoc, Malcolm – powiedział Kolczyński cicho i odłożył słuchawkę.

Bernard zatrzymał samochód tak, by nie można było dostrzec go z domu. Wysiadł trzymając w dłoni wyjętego ze skrytki desert eagle'a. Gruntową drogą ruszył ostrożnie w kierunku swej kryjówki.

Ubranie cuchnęło celą, w której spędził niemal całe osiem godzin aresztu. Czas ten wydawał mu się wiecznością. Oczywiście, ani przez chwilę nie wątpił, że CIA w końcu go wydostanie, nawet wtedy, gdy oficjalnie oskarżono go o zamordowanie dwóch policjantów w mieszkaniu na Murray Hills. Nie mogli przecież dopuścić do procesu – za wiele mógłby powiedzieć. A dokładny opis akcji, gdyby dotarł do „New York Timesa”, także wywołałby burzę. W obu wypadkach agencja zostałaby publicznie napiętnowana. A gdyby znalazł się na łasce sądu, nie miałby żadnych powodów, by trzymać język za zębami.

Z Nowego Jorku przyleciał adwokat, który wyjaśnił mu dokładnie, jakie prawa przysługują zatrzymanemu. Poradził, by milczał. Bernard miał nie odpowiadać na żadne pytania, niezależnie od tego, jak bardzo prowokowałyby go policja. Próbowali, oczywiście, lecz wszystko na próżno. Zastosował się do rady prawnika – nie powiedział ani słowa.

Siedział w celi, kiedy adwokat poinformował go, że jest wolny. Zwolnienie bezwarunkowe – tak to nazwał. Bernard zaś był prostu zadowolony, że może wyjść. Przed komisariatem dostrzegł Bailey'a – bardzo mądrze – obaj udali, że się nie znają. Zastępca dyrektora wszedł do czarnej limuzyny, która zabrała go na lotnisko La Guardia, gdzie czekał już na niego wycarterowany samolot lecący do Waszyngtonu. Rogers również zignorował go, po prostu złapał taksówkę przy końcu ulicy. Bernard zagłębił się w ciemne uliczki, a kiedy miał już pewność, że zgubił ewentualny ogon, taksówką pojechał na Grand Central Station. W informacji odebrał klucz, zdeponowany tam w dniu przyjazdu do Nowego Jorku. Ze skrytki zabrał czarną torbę – przygotował ją na wypadek takiego właśnie rozwoju sytuacji. Była w niej zmiana ubrania, pistolet Desert Eagle i kluczyki do wynajętego forda, zaparkowanego w garażu niedaleko stacji. Znów sprawdził, czy nie jest śledzony, po czym pojechał do domu.

Dotarł do granicy lasu. Przykucnął za drzewem. Dostrzegł światło w przedpokoju. Nic w tym dziwnego, Brett został już z pewnością poinformowany o ich zwolnieniu – przypuszczalnie przez Rogersa. Lecz... co jeszcze mu powiedziano? Bernard zdawał sobie sprawę, że najprawdopodobniej przesadza. Dlaczego właściwie Bailey miałby chcieć go zabić wiedząc, że w tym wypadku kompromitujące dokumenty z pewnością dotrą do „New York Timesa”? Nie miało to żadnego sensu. A jednak czuł niepokój. Nie potrafił wskazać jego przyczyny i to właśnie martwiło go najbardziej.

Idąc wzdłuż linii drzew okrążył dom. Zatrzymał się w ich mroku i otarł pot z czoła. Od celu dzieliło go dwieście metrów otwartej przestrzeni. Widział palące się w kuchni światło, zasłony były jednak zasunięte. Przesunął się powoli jeszcze trochę w bok – mógł już dostrzec znajdujące się przy ścianie, prowadzące do piwnicy schody, nadal jednak nie widział okna, umieszczonego obok nich, nad drewnianymi drzwiami. Zostawił je otwarte. Jeśli Brett rzeczywiście włączył alarm, była to

jedyna bezpieczna, prowadząca do wnętrza droga. Chyba że po jego wyjeździe okno zostało zamknięte. Cóż, był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Wybiegł zza osłony drzew i pognał w kierunku domu. Automatyczny sensor nad kuchennymi drzwiami rozpoznał jego ruch. Polanę zalało przeraźliwe, białe światło. Od celu dzieliło go jeszcze dziesięć metrów, kiedy kuchenne drzwi otworzyły się, padł dokładnie w chwili, gdy Brett zasypał polanę gradem kul z wyposażonego w tłumik uzi. Bernard wystrzelił kilkakrotnie, zmuszając go do szukania osłony, zyskane w ten sposób cenne sekundy wykorzystał na dobiegnięcie do schodów. Zatrzymał się przy nich, dysząc ciężko. Zszedł na dół, cały czas oglądając się za siebie. Szarpnął oknem – a jednak było zamknięte! Na schody nad nim padł cień. Tkwił w pułapce! Nie miał nawet czasu, by obrócić się i strzelić! Rzucił się na drzwi, uderzając je ramieniem. Siła tego uderzenia wybiła zamek, drzwi otworzyły się szeroko. Wpadł głową naprzód do ciemnego pomieszczenia, dokładnie w chwili, kiedy Brett przejechał serią po schodach. Upadł na bok, wypuszczając z ręki pistolet, który z głośnym stukiem wylądował na podłodze.

Na ten dźwięk Brett zbiegł na dół. Wpadł do środka, ściskając uzi w obu dłoniach. Kątem oka dostrzegł ruch i już zaczął się obracać, kiedy łopata trafiła go w skroń. Krzyknął z bólu, padając na ścianę. Upuścił broń, Bernard kopnął ją w kąt, podniósł własny pistolet i wycelował go w agenta CIA, który klęczał trzymając się za ucho. Przez palce sączyła mu się krew, spływając po policzku na szyję i kołnierz niebieskiej koszuli.

– To Bailey kazał ci mnie zabić? – spytał terrorysta.

Brett powoli podniósł głowę. Twarz miał skrzywioną z bólu.

– Czyżbyś nie zdawał sobie sprawy, że jesteś zbędny? – odpowiedział pytaniem.

– Oczywiście. Dlatego właśnie zabezpieczyłem się, opisując ze szczegółami akcje CIA, w których brałem udział i...

– Przed paroma dniami Bailey wyciągnął ten opis od prawnika – przerwał mu agent, uśmiechając się lekko z mściwą satysfakcją. – Nie zagrażałeś już firmie. Właśnie wtedy stałeś się zbędny,

– Skąd wiedział, komu go zostawiłem?

– Jesteśmy wielką organizacją, przyjacielu. Wszędzie mamy ludzi. Kiedy powiedziałeś nam o tym liście, wytropiliśmy kairskiego przyjaciela. Zdaje się, że nie od razu umarł.

W tym momencie Brett rozpaczliwie rzucił się na trzymany przez Bernarda rewolwer, ten jednak, uchylając się przed niezręcznym atakiem, strzelił agentowi w głowę. Potem zamknął drzwi i podparł je trupem, żeby się nie otwierały.

Klucze do domu znalazł w kieszeni Brett. Podeszedł do drzwi kuchennych, znajdujących się u szczytu schodów. Nie były zamknięte na zamek. Otworzył je ostrożnie i wszedł do kuchni. Okazała się pusta. Sprawdził wszystkie pokoje, z wyjątkiem sypialni, w której więził Rosie. Nikogo. Lecz

drzwi do sypialni były zamknięte na zamek. Zaklął pod nosem, wyjął klucze, wybrał właściwy, lecz otwierał je mocno przyciśnięty do ściany. Gdyby współnik agenta ukrył się właśnie tu – co zresztą wydawało się nieprawdopodobne – z pewnością strzelałby w momencie otwierania drzwi.

Pchnął je i głową naprzód skoczył do wnętrza. W wyciągniętej ręce trzymał pistolet.

W kącie siedziała Rosie, nadal przykuta do kaloryfera. Poza nią w pokoju nie było nikogo.

Bernard pozbierał się z podłogi i podbiegł do dziewczyny, w jego oczach malowała się autentyczna troska. Sprawdził jej puls, serce biło równo, mocno. Na podłodze stał przewrócony kubek. Resztką wylanej kawy zaplamiła wykładzinę. Podniósł jej powiekę – dziewczynie podano narkotyki. Delikatnie złożył ją na wznak upewniając się, że kajdanki nie są napięte. Pod głowę podłożył poduszkę.

Spojrzał na zegarek. Dwadzieścia po dwunastej. Noc. Jak długo potrwa, nim milczenie Bretta wywoła niepokój jego zwierzchników? Najwyżej kilka godzin. Samolot, który wynajął poprzedniego dnia i który miał przewieźć go na Kubę, skąd złapałby lot do Libanu, miał być gotowy dopiero na piątą. Musi czekać jeszcze cztery i pół godziny.

Spojrzał na Rosie. Oczywiście, zabierze ją ze sobą, co najmniej na Kubę. Potem dziewczyna zostanie zwolniona w dobrym zdrowiu. Nie miał zamiaru jej zabijać... chyba, że zmusiłyby go do tego władze. Wątpił jednak, by do tego doszło. W tej chwili zachowywała się dokładnie tak, jak tego pragnął: była nieprzytomna. A jemu pozostała jeszcze do załatwienia jedna sprawa. Nie zajmie mu wiele czasu, najwyżej godzinę. Potem wróci po dziewczynę, zabierze ją na pole poza miastem i razem poczekają na samolot, oznaczający jedno – wolność!

Bernard uśmiechnął się do siebie, zamknął sypialnię na klucz i wyszedł z domu. Na podjeździe stało audi Bretta. Przez chwilę wahał się, czy go nie użyć, ale odrzucił tę myśl. Przebiegł trzysta metrów dzielące go od miejsca, w którym przy bocznej drodze zaparkował forda. Zawrócił i ruszył z powrotem w kierunku miasta.

Pojazd na miejsce zabrał mu jakieś dwadzieścia minut. Zaparkował w bocznej uliczce, wysiadł i – ukrywszy broń za paskiem spodni – ruszył w stronę głównej ulicy. Powoli rozejrzał się wokół siebie. Było niemal pusto, tylko jakaś para wracała z nocnego seansu w kinie, a pod ścianą drzemał pijak. Odczekał, aż przejedzie samochód, po czym przeszedł na drugą stronę. Mieściły się tam sklepy i niewielkie firmy. Wszystkie miały szyby wzmocnione galową siatką, każda była też zabezpieczona nowoczesnym alarmem – Ruszył w kierunku znajdującej się na końcu agencji handlu nieruchomościami. Była to fikcyjna firma, mająca kryć agencję wywiadowczą – w tym wypadku UNACO – on zaś dysponował kluczami do doskonale zabezpieczonego tylnego wejścia. Dał mu je Dave Forsythe. Znali się jeszcze z czasów, gdy pełnił on funkcję – eksperta od elektroniki przy Baileyu, jego wiedza umożliwiła im nawet zarobienie niezłych pieniędzy. Nie pieniądze były jednak głównym motywem działań Bernarda, Dave zaś nie miał najmniejszego pojęcia o jego prawdziwych, złowrogich intencjach.

Terrorysta skręcił w wąską alejkę, biegnącą równoległe do budynku. Wkrótce znalazł się na jego tyłach. Choć ze względów bezpieczeństwa niewielkie podwórko było jasno oświetlone,

wiedział, że w środku nie ma nikogo. Budyńku tego nie uważano za ważny.

Z kieszeni wyjął klucze. Dwa z nich włożył do dwóch zamków, jednego u góry, drugiego u dołu drzwi. Gdyby nie przekrecono ich równocześnie zarówno tu, jak i w Kwaterze Głównej rozległby się alarm. Wytarł spocone dłonie o koszulę, po czym ustawił się tak, by móc obrócić je jednocześnie. Policzył do trzech, przekręcił klucze zdecydowanym ruchem... alarm nie odezwał się. Odetchnął głęboko i wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

Forsythe powiedział mu, że komputery znajdują się w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu w piwnicy. Jedyne wejście prowadziło przez gabinet dyrektora. Przeszedł korytarzem i zatrzymał się dopiero przy drzwiach z szybą z matowego szkła. Wyjął trzeci z kluczy, które skopiował dla niego Forsythe.

Gdy już znalazł się w środku, ruszył wprost do sejfu, którego kombinację Dave przekazał mu zaledwie wczoraj. Wyjął z niego nadajnik, którym otworzył drzwi znajdujące się za biurkiem. Za nimi były schody prowadzące w dół. Zszedł nimi i dzięki temu samemu nadajnikowi dostał się do kolejnego wnętrza.

Całą ścianę niewielkiego pokoju zajmowały terminale komputerowe. Uruchomił jeden z nich i dostał się z niego do systemu. Za pomocą modemu połączył się z telefonem, który również podał mu Forsythe. Odłożył słuchawkę na specjalny adaptor, stukając palcami w blat stołu czekał niecierpliwie, by na ekranie pojawił się program, który próbował wywołać. Jest! Włączył się do domowego komputera Bailey'a.

To właśnie Dave Forsythe instalował system na komputerze Roberta Bailey'a, on także przygotował wszystkie jego zabezpieczenia. Ale... zastępca dyrektora CIA ze względów bezpieczeństwa regularnie zmieniał kody od czasu, gdy zaczął posługiwać się systemem. Wszystkie oprócz jednego, który Dave opracował dla siebie. Ten jeden był nadrzędny w stosunku do pozostałych, uruchamiał program i wykazywał ich listę na monitorze. Forsythe, który przez lata uruchamiał kolejne komputery agencji, założył coś podobnego w każdym z nich. Były niewykrywalne. U siebie Bailey trzymał kilka specjalnie... delikatnych plików, w których nawet Chilvers nie wiedział nic. A teraz Bernard mógł dostać się do każdego z nich, skopiować je na dyskietkę i sprzedać temu, kto więcej zapłaci. Wśród potencjalnych klientów prym wiedli oczywiście CIA i KGB, lecz w gruncie rzeczy było mu wszystko jedno, jeśli otrzyma odpowiednią cenę. Pieniędźmi podzielił się z Forsythe'em, uczciwie, pół na pół. Gdyby wiedział, że wywalono go z UNACO, zawarłby inną umowę. Zrywać już zawartą teraz... nie, to nie było w jego stylu. Jean-Jacques Bernard nie należał do ludzi skąpych. Po prostu potrzebował pieniędzy, żeby zacząć nowe życie – nowa twarz, nowa tożsamość – z dala od Bejrutu. Taki układ zawarł z Forsythe'em. Teraz, kiedy Bailey puścił ludzi jego tropem, sytuacja się zmieniła.

Tak, układ nabrał nowych wartości. Nadszedł czas zemsty.

Oczy Frances Bailey były czerwone i podpuchnięte od długich godzin płaczu. Nim pozwoliła sobie na ten objaw rozpacz, upewniła się, że jej dwie dorastające córki są bezpieczne w domu

dziadków w Alexandrii. Frances zawsze była idealną żoną i idealną matką. Przyjaciele powtarzali, że będzie idealną Pierwszą Damą, gdy jej mąż zostanie wybrany prezydentem. Jak ona, oni też niezachwianie wierzyli w zdolności Roberta Baileya. A przecież wystarczyło kilka godzin, by jego kariera – cała jego przyszłość – legły w gruzach. Była zdruzgotana. A także wściekła. Nie chodziło przecież wyłącznie o jego przyszłość, jego karierę. A dziewczęta? Do końca życia będzie ciążyć nad nimi zdrada ojca. Jakie miał prawo zniszczyć ich przyszłość swymi intrygami? Wiedziała, że Morgan Chilvers zrobi wszystko, dosłownie wszystko, by prasa nie dowiedziała się o aresztowaniu jego zastępcy, ale wieść o tym błyskawicznie dotarła na Capitol Hill. A ją interesowało wyłącznie to. Samantha, jej starsza córka, była już zaręczona z synem wpływowego republikańskiego senatora. Jaką przyszłość ma przed sobą ten związek? Katherine marzyła o karierze dziennikarki zajmującej się sprawami politycznymi. Oznaczało to przebywanie w towarzystwie polityków, którzy jako pierwsi będą śmiać się za plecami z tego, co przydarzyło się jej ojcu. Ona sama ubóstwiała męża. Teraz zaczynała nienawidzić.

– Dlaczego? – spytała go. Stał za nią, przy oknie.

– Nie rozumiałabyś, Frances – odparł cicho Bailey.

– Spróbuj! – Niemal krzyknęła, obracając się i patrząc mu wprost w oczy.

– Zimbala zajmuje strategiczną pozycję w Afryce Środkowej. We wszystkich sąsiednich państwach trwają wojny domowe. Gdybyśmy mieli tam swojego człowieka, moglibyśmy wysłać mu broń, która trafiałaby przez niego do oddziałów antykomunistycznych. Mając wystarczająco wiele broni, antykomuniści zwyciężyliby w końcu w tych walkach. Wbilibyśmy kolejny gwóźdź w trumnę komunizmu.

– Dlaczego nie próbowałaś porozmawiać z Jamelem Mobuto? To rozsądny, inteligentny człowiek. Można być tego pewnym ze sposobu, w jaki rozegrał wizytę w Stanach.

– Jest lojalny wyłącznie wobec Zimbali. Będzie rozmawiał każdym, kto obieca mu pomoc, nie wyłączając Rosji i Chin.

– Innymi słowy jest lojalny wobec obywateli swego kraju, W odróżnieniu od tego twojego Ngune. On przecież niczym nie różnił się od zwierzęcia. Ilu ludzi zamordowała dowodzona przez niego tajna policja?

– Ngune i Alphonse Mobuto przez czterdzieści pięć lat powstrzymywali komunizm. To spore osiągnięcie jak na niewielkie afrykańskie państewko.

– Powstrzymywali komunizm? Torturując i mordując! Jak mogłeś popierać kogoś takiego?!

– Ponieważ on popierał mnie! – Bailey odwrócił się od okna. – Tito Ngune był jednym z najlojalniejszych współpracowników CIA wśród tych, których znałem.

– Cóż, Robercie, mam nadzieję, że jesteś dumny z tego twojego „lojalnego współpracownika”. A ja zawsze myślałam, że wierzysz w wartości demokracji. Oto kolejny dowód na to, jak mało cię

znam. – Frances wstała. – Spakowałam walizki – oznajmiła. – Są w samochodzie. Zatrzymam się u rodziców, tam odzyskam równowagę. Między nami wszystko skończone.

Bailey postanowił nie kłócić się z nią. Wiedział, że przy tym jej nastroju nie ma to najmniejszego sensu. Zadzwoń za parę dni, da jej czas, by oprzytomniała.

– Nie masz mi nic do powiedzenia? – warknęła zaczepnie jego żona.

– A co mógłbym powiedzieć? Wiedziałem, że nic nie zrozumiesz.

– Tak, rzeczywiście, nic nie rozumiałam! – Frances Bailey podeszła do drzwi, obróciła się i spojrzała mężowi prosto w oczy. – Jesteś żalosnym fanatykiem, Robercie. Niech Bóg ma w opiece ten kraj, jeśli kiedykolwiek zostaniesz jego prezydentem. No, przynajmniej znalazłam w tym bagnie jedną dobrą rzecz.

Trzasnęły drzwi. Bailey skrzywił się. W chwilę później usłyszał, jak jego żona wychodzi z domu. Zawarczał silnik samochodu. Zapiszczały opony – Frances ruszyła gwałtownie i w chwilę później minęła bramę posiadłości. Czekał, póki nie zamilkł dźwięk silnika, po czym nalał sobie kolejny kieliszek burbona i wyszedł na korytarz. Siedzący w pobliżu strażnik na widok szefa wstał. Bailey gestem nakazał mu usiąść, ruszył w kierunku schodów i zszedł do gabinetu. Wystukał kod na cyfrowym zamku, drzwi przesunęły się posłusznie. Zamknęły się za nim, kiedy siadał do komputera.

Pomyślał o spotkaniu z Morganem Chilversem, które miało miejsce dziś rano. Poproszą go, by złożył rezygnację. Jeśli jej nie złoży, po prostu go wyrzucą. Chilvers zawsze był dla niego dobry. Wykazywał pewną naiwność, jeśli chodzi o tajne operacje CIA w Afryce i w Ameryce Środkowej, Bailey zamierzał zniszczyć wszystkie dotyczące ich pliki, nim pojawi się ekipa mająca zbadać jego system komputerowy.

Włączył komputer i wpisał kod. Na ekranie pojawiły się słowa ACCESS DENIED. Przeczesał palcami włosy, podrapał się w głowę. Brak dostępu? Ziewnął. Potrząsnął głową. Jesteś zmęczony, Robercie. Spróbuj się skoncentrować. Wpisz właściwy kod. Zamarł, trzymając dłonie nad klawiaturą. Nigdy przedtem nie popełnił podobnego błędu. Przez chwilę zastanawiał się, czy przypadkiem w jego kodach nie grzebał jakiś profesjonalny haker, ale natychmiast odrzucił tę myśl. Po co zmieniać kod? Haker zainteresowałby się przede wszystkim zawartymi w plikach informacjami. Zresztą, jeśli nawet kody zostały zmienione, zawsze może wydać komendę „9”, oznaczającą natychmiastowe wyjście z programu. Wprowadził ją w system Dave Forsythe. Jeśli chodzi o komputery, ten facet rzeczywiście był geniuszem.

Bailey przeklął sam siebie za swe głupie podejrzenia. Pomyliłeś się wpisując kod – powiedział sobie. Nacisnąłeś zły klawisz. Na miłość boską, spróbuj jeszcze raz, powoli.

Wpisał kod i natychmiast położył palec na dziewiątce, tak na wszelki wypadek, gdyby musiał wyjść z programu. ACCESS DENIED. Wcisnął „9”... i nic się nie stało. Drzwi zamknęły się za nim, komputer rozpoczął odliczanie, na ekranie migają kolejne cyfry. Raz za razem wciskał dziewiątkę. Ktoś unieważnił komendę! Kopnięciem odsunął krzesło i pobiegł w kierunku drzwi. Jego gabinet był jednak dźwiękoszczelny. Nikt nie mógł go usłyszeć. Po raz ostatni spojrzał na monitor, wiedząc już,

że musi umrzeć. Przemykające po nim cyfry zastąpiło jedno słowa: ACTIVATE.

Z kanistra, wbudowanego w ścianę tuż nad drzwiami, zaczął się wydobywać gaz. Bailey potknął się, upadł na podłogę. Na usta wystąpiła mu piana, walcząc o oddech orał gardło paznokciami. Miał wrażenie, że płuca zaraz mu wybuchną. Oddychał urywanie, dostał konwulsji. Wreszcie wszystko się skończyło: ciało drgnęło i znieruchomiało z nienaturalnie wykręconą głową.

Na monitorze pojawił się napis. Odczytali go ludzie, którzy następnego dnia rano znaleźli zwłoki.

PO ZAMACHU NA JAMELA MOBUTO ZLIKWIDOWAĆ.

Jack Rogers siedział przy oknie w swym ulubionym fotelu. Dłoń położył na słuchawce telefonu. W głowie aż wirowało mu od domysłów. Sam nie wiedział, ile już razy telefonował w ciągu ostatniej godziny do bezpiecznego domu. Rezultat był zawsze taki sam.

Spróbował jeszcze raz. Nadal nikt się nie zgłaszał. Spojrzał na zegarek. Pierwsza piętnaście w nocy. Co się dzieje z Brettem? Dlaczego nie dzwoni? Czyżby Bernard jednak go dostał?

Sprawdził broń i włożył marynarkę. Ze stolika w przedpokoju zabrał kluczyki do samochodu.

Wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Idąc ścieżką do bramy zadrzał, choć przecież nie było zimno. Czyżby zła wróżba? Odrzucił tę myśl. Nie wierzył w podobne idiotyzmy. Wsiadł do swojego fiata, włączył silnik i odjechał.

Dave Swain, niegdyś prezydencki ochroniarz, pracował w UNACO od pięciu lat, a obecnie przewodził Grupie Uderzeniowej Siedem. Siedział za kierownicą mazdy, zaparkowanej mniej więcej pięćdziesiąt metrów od domu Rogersa. Pojawił się tu poprzedniego dnia, o wpół do jedenastej, wezwany rozkazem pułkownika Philpotta. Przed nim, na półeczce pod oknem, stał kartonowy kubek po kawie i na pół zjedzony hamburger. Kiedy Rogers wyszedł, Dave słuchał akurat płynącej z radia muzyki, stukając palcami po kierownicy do rytmu. Widząc obiekt wyłączył radio, po czym uaktywnił odbiornik, nastawiony na sygnały nadajnika, który już wcześniej umocował do podwozia fiata. Odczekał pół minuty i ruszył za nim, utrzymując odpowiedni dystans.

Kierowca czarnego kombi, zaparkowanego u wylotu uliczki, zgasił papierosa, włączył silnik samochodu i pojechał za mazdą.

Zadzwoił telefon.

Kolczyński przewrócił się na bok. Nie otwierając oczu macał ręką tak długo, aż natrafił na słuchawkę.

– Siergiej? – usłyszał.

– Tak? – odparł, nie całkiem jeszcze rozbudzony. – Malcolm, czy to ty?

– Ja. Właśnie otrzymałem telefon od oficera służbowego w centrum. Dave Swain jechał za Rogersem do domu przy Garden State Parkway. Rogers zaparkował nie dojeżdżając do celu. Próbował dotrzeć do niego pieszo. Po pewnym czasie Dave usłyszał strzały. Kiedy poszedł

sprawdzić, co się dzieje, znalazł zwłoki Rogersa, leżące na polanie przed budynkiem.

– Co robi teraz?

– Utrzymuje obserwację. Nie chcę, by podejmował jakiegokolwiek działania, póki nie podeślemy mu posiłków.

– Kogo? Siódemkę?

– Nie. Trójkę. To ich operacja. Oficerowi służbowemu kazałem już wezwać C.W., Mike'a i Sabrinę. Za dwadzieścia minut pojawią się przed gmachem ONZ. Ja jadę porozmawiać z Dave'em.

– Doskonale. Zaraz będę gotów.

– Wysłałem po ciebie samochód. Przyjedzie za parę minut.

– Dzięki, Malcolm.

– Do zobaczenia.

Kolczyński odłożył słuchawkę, ziewnął i wstał. Przede wszystkim zapalił papierosa, po czym ubrał się i wyszedł. Na samochód poczeka ma ulicy.

– Co oni tu do diabła robią? – Mike'a Grahama zdenerwowały policyjne samochody, zaparkowane u wylotu prowadzącej do domku dróżki.

– Zaraz się dowiemy. – Sabrina zahamowała delikatnie, przed autem pojawił się policjant, gestem nakazując jej stanąć. Zatrzymała i przez otwarte okno spytała: – Co tu się dzieje?

– A kim wy jesteście? – odpowiedział pytaniem policjant.

Kolczyński, zajmujący miejsce pasażera, pokazał mu kartę identyfikacyjną. Gliniarz sprawdził ją dokładnie, obejrzał sobie siedzących z tyłu Grahama i Whitlocka, po czym oddał dokument Rosjaninowi.

– Możecie jechać – zezwolił łaskawie.

– Nadal nie wiemy, co się dzieje – warknął Mike. – Ludzie, co wy tu właściwie robicie?

– Tam dalej znajdzie pan dowódcę SWAT. – Policjant niedbałym gestem wskazał kierunek. – On wam wszystko wyjaśni.

– To SWAT też tu dotarło? – zdumiał się Kolczyński. – No, tylko ich nam brakowało.

Sabrina wrzuciła jedynekę i wolno ruszyła dróżką.

– O, jest Philpott! – Rosjanin wskazał pułkownika stojącego ze Swainem przy samochodzie SWAT.

Dziewczyna zaparkowała na poboczu, wysiadła pierwsza i z uśmiechem podeszła do szefa.

– Miło widzieć, że stanął pan już na nogach – powiedziała. – Jak pan się czuje?

– Wszystko było świetnie, póki tu nie dotarłem. – Philpott szerokim gestem wskazał na stojących w pobliżu ludzi. – To jakiś cholerny cyrk!

– Co tu się dzieje, panie pułkowniku? – Obok nich pojawił się Graham.

Szkot obrzucił Swaina bardzo nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Za Dave’em jechał jeden z bystrzaków ze SWAT. Stąd się tu wzięli. Zameldujesz się jutro w moim biurze, punktualnie o dziewiątej – rozkazał agentowi, który tylko pokornie skinął głową, wsiadł do mazdy, włączył silnik i ruszył w kierunku autostrady.

Philpott zwrócił się do Whitlocka.

– Zaraz po przyjeździe rozmawiałem z Bernardem przez telefon – powiedział. – Ma Rosie.

– Co z nią?

– Wszystko w porządku. Pozwolił nam zamienić kilka słów. Biorąc pod uwagę okoliczności, Rosie czuje się dobrze. To niezwykła dziewczyna. Powinieneś być z niej dumny.

– Tak. Jest wspaniała. Czy Bernard wysunął już jakieś żądania?

– Na razie nie.

– A co z Rogersem? – wtrącił Koleczynski.

– Nie żyje. Bernard pozwolił ludziom ze SWAT zabrać ciało i... – Philpott przerwał. Na drodze pojawił się nie oznakowany samochód policyjny. – No, a to ci niespodzianka! – stwierdził, zdumiony.

– Kto to jest, proszę pana? – zwróciła się do niego Sabrina.

– Sean Hagen, zastępca komisarza nowojorskiej policji. Co go tu sprowadza o tej bezbożnej godzinie?

Hagen czekał, aż kierowca otworzy mu drzwi i dopiero wtedy wysiadł. Ubrany był w garnitur i szary płaszcz, na głowie zaś miał nisko nasunięty na czoło kapelusz.

– Nie sądziłem, że aż do tego stopnia nie ufasz swym ludziom, Sean – stwierdził Szkot, kiedy komisarz podszedł bliżej.

– Oddział SWAT podlega bezpośrednio mnie – stwierdził Hagen, wkładając dłonie w kieszenie płaszcza. – Jak myślisz, kto rozkazał śledzić twojego człowieka? Tylko w ten sposób mogliśmy odnaleźć Bernarda. Podobnie jak wy, zgubiliśmy go, kiedy został zwolniony.

– A teraz przyjechałeś, żeby nadzorować jego egzekucję? – stwierdził chłodno Philpott.

– Jestem tu, bo tu są moi ludzie – odparł gniewnie komisarz. – A skąd się wzięło UNACO?

– To w dalszym ciągu nasza operacja, Sean. Ja nią dowodzę. Chcę, żeby to twoje SWAT wyniosło się stąd natychmiast. Zagrożenie życiu Rosie Kruger.

– Tego nie mogę zrobić, Malcolm. Dziewczyna została porwana w Nowym Jorku, na terenie podlegającym naszej jurysdykcji. Rozmawiałem już z porucznikiem Stephensem, który dowodzi oddziałem SWAT, stwierdził, że w zaistniałej sytuacji jest skłonny współpracować z UNACO celem jej uwolnienia. Więcej od nas nie dostaniesz. Nie wycofamy się przed osiągnięciem celu.

– To wszystko nie ma nic wspólnego z jurysdykcją, prawda, Sean? – Kolczyński z trudem powstrzymywał wybuch gniewu. – Rosie Kruger nic cię nie obchodzi. Chcesz tylko zemsty za śmierć dwóch zastrzelonych przez Bernarda funkcjonariuszy, niczego więcej. Ciągłe wściekasz się na to, co się zdarzyło dzisiaj. Teraz, kiedy już wiesz, że Bernard nigdy nie stanie przed sądem, masz tylko jedno wyjście – musisz go zabić.

Zapadła cisza.

– Być może tak postępuje się w Rosji, Siergiej, ale nie w tym kraju – odparł Hagen. – Równie gorąco jak ty pragnę zobaczyć pannę Kruger wolną i w dobrym zdrowiu. By to osiągnąć, gotów jestem sam udać się na rozmowę z Bernardem. Jestem pewien, że zdołam rozwiązać stojący przed nami problem bez rozlewu krwi.

– A kto powiedział, że Bernard zechce z tobą rozmawiać? – spytał z przekąsem Philpott.

– Tylko w jeden sposób możemy się tego dowiedzieć. – Hagen zastukał w tylne drzwi półciężarówki SWAT, a kiedy się otworzyły, rozkazał, by połączono go z Bernardem. Zaczekał, aż obsługujący urządzenia komunikacyjne oficer dostanie połączenie, po czym wszedł do środka i wziął od niego słuchawkę.

– Bernard? – spytał.

– Tak, to ja. Z kim mówię?

– Nazywam się Hagen. Jestem zastępcą komisarza policji miasta Nowy Jork.

– Sean Hagen? To dla mnie zaszczyt.

– Znasz mnie?

– Słyszałem o panu. Czego pan chce?

– Porozmawiać z tobą. Osobiście.

– A to dlaczego?

– Mam wrażenie, że odpowiedź na to pytanie powinna być oczywista dla nas wszystkich. – Hagen zerknął na Philpotta. – Chcę rozwiązać nasz problem bez rozlewu krwi.

– No to mamy wspólny cel. – Zapadła cisza. Wreszcie Bernard stwierdził: – Ma pan przyjść sam. Bez broni. Drzwi będą otwarte. Ale uprzedzam pana, Hagen: jeśli ten pana SWAT spróbuje wziąć dom szturmem, Rosie zginie. Nie mam nic do stracenia. Już nie.

– Daję słowo, że nie będzie żadnej próby ataku na dom.

Połączenie zostało przerwane.

Hagen odłożył słuchawkę i wyszedł z samochodu.

– Zgodził się na spotkanie – oznajmił. – To przynajmniej coś, na początek. Czy wiecie, gdzie znajdę porucznika Stephensa? Chcę zamienić z nim kilka słów.

– Jest ze swoimi ludźmi przy samej polanie – odparł Philpott.

– Aha. Dziękuję.

– Bardzo przepraszam, panie komisarzu – krzyknął do Hagena specjalista od komunikacji. – Czy mam przygotować dla pana jeden z tych naszych małych nadajników?

– Oczywiście, doskonały pomysł. – Zastępca komisarza nowojorskiej policji ruszył w kierunku drzew.

Philpott już miał go ostrzec przed potrzaskami, kiedy Hagen stanął nagle jak wryty, pokiwał głową, a potem odwrócił się i wyszedł na drogę.

Kolczyński dostrzegł, jak Szkot zaniepokojony zmarszczył czoło.

– Co się stało, Malcolm? – spytał.

– Nic. – Philpott tylko wzruszył ramionami patrząc, jak sylwetka Hageny znikła za zakrętem drogi. Dlaczego tak nagle zrezygnował z wejścia w las? Dlaczego celowo wybrał dłuższą, prowadzącą na polanę drogę? Czyżby wiedział skądś o potrzaskach? Nieprawdopodobne, Stephens dowiedział się o nich dopiero, gdy jeden z jego ludzi omal w nie wdepnął. To on poinformował o wszystkim Philpotta. Szkot zdawał sobie sprawę, że najprawdopodobniej istnieje logiczne wyjaśnienie zachowania komisarza, ale nadal czuł niepokój. I jakoś nie mógł się pozbyć tego uczucia.

– Bernard ma prawo opuścić ten dom wyłącznie martwy! Zrozumiano?

Nie. Mark Stephens nic z tego nie rozumiał. I w ogóle co, do diabła, Hagen właściwie tu robi? Stephens, który niewiele przekroczył trzydziestkę, służył w formacji SWAT nowojorskiej policji od pięciu lat, ostatnie półtora zaś w stopniu porucznika. Uczono go, jak postępować podczas porwania. Taką miał pracę. Interwencja Hagen podważała jego autorytet. Ale... co mógł zrobić? Hagen był tu w końcu szefem, przynajmniej formalnie. Oznaczało to, że jego słowo jest prawem. Porucznik wiedział, że żołnierze – podobnie jak on sam – pogardzają nim jako facetem od przekładania papierów, przyznającym się do swych podwładnych tylko wtedy, gdy odnieśli kolejny sukces.

– Zadałem panu pytanie, poruczniku! – warknął komisarz.

Stephens zdjął czarną czapkę z daszkiem. Przeczesał dłonią krótkie, jasne włosy.

– To zależy od okoliczności, panie komisarzu – odparł.

– Jakich okoliczności?

– Czy wyjdzie nam na strzał, panie komisarzu. Ma szesnastoletnią dziewczynę. Interesuje mnie przede wszystkim jej bezpieczeństwo.

– Interesuje pana przede wszystkim to, że Bernard nie ma prawa opuścić tego domu żywy!

– Panie komisarzu, on ma zakładnika i...

– Nie obchodzi mnie jego zakładnik! – przerwał Hagen. Oczy mu płonęły. – Na miłość boską, przecież to narkomanka! Co znaczy jej życie w porównaniu z życiem dwóch funkcjonariuszy, których ten sukinsyn zabił z zimną krwią! To ja musiałem odwiedzić wdowy po nich. Proszę pomyśleć i o tym, poruczniku. Niech pan pomyśli o dzieciach, które nigdy nie zobaczą ojca!

Stephens jeszcze nie widział komisarza tak niespokojnego. Ten człowiek wyprowadził go z równowagi. Do diabła, co w niego wstąpiło?! Próbował wciągnąć ich w jakąś nienormalną, chorą grę, zmienić porwanie w akt zemsty. Porucznik nie chciał mieć z tym nic wspólnego, nawet gdyby odmowa kosztowała go utratę dowództwa. Nie będzie uczestniczył w morderstwie Bogu ducha winnej szesnastolatki.

– Niech pan to sobie przemyśli, panie poruczniku. Od wyniku tych przemyśleń może zależeć pańska przyszłość w mojej jednostce. Spróbuję skłonić Bernarda do zwolnienia dziewczyny, lecz jeśli odmówi, wyda pan rozkaz ataku na dom, a jeśli pan tego nie zrobi, ja go wydam. Teraz proszę dać mi głośnik.

Stephens opanował się z wysiłkiem i wręczył głośnik komisarzowi, po czym rozejrzał się dookoła. Jedno dobre – żaden z jego ludzi nie słyszał tej wymiany zdań. Z pewnością nie wyda rozkazu ataku – nie przed wysłuchaniem żądań Bernarda – lecz... czy jego ludzie go poprą? Hagen może zawiesić ich wszystkich za odmowę wykonania rozkazu. Czy wolno mu narażać na szwank karierę podwładnych? Nagle zaczął mieć wątpliwości... i sam siebie za nie znienawidził.

– Bernard! Wchodzę! – krzyknął przez głośnik komisarz. – Nie mam broni. Będę sam! – Oddał głośnik porucznikowi. – Niech pan się zastanowi nad swą przyszłością – powiedział jeszcze. – Kto

wie, może nawet czeka pana awans?

Stephens przygryzł wargi i nie powiedział komisarzowi, gdzie może sobie wsadzić ten awans. Odpiął tylko od pasa radio i poinformował swych ludzi, że Hagen zaraz podejdzie do domu oraz że jeśli któryś z nich będzie miał czystą pozycję strzelecką, ma koniecznie zdjąć Bernarda. Zdawał sobie sprawę, jak niewielka jest na to nadzieja. Mieli do czynienia z zawodowcem, a ci bardzo rzadko popełniają błędy.

Hagen zdjął płaszcz, wyszedł na polankę i powoli ruszył w kierunku domu.

Stephens obejrzał się. Na dróżce dostrzegł idących w jego kierunku Philpotta i Whitlocka. Szkot przywitał go uprzejmie i przedstawił mu C.W. jako wuja zakładniczki. Porucznik zastanowił się przelotnie nad tym, co by powiedział ten mężczyzna, gdyby znał plan Hageny. No, może uda się mu nakłonić Bernarda do poddania.

Wiedział, że nie ma na to najmniejszej szansy, i tylko miał nadzieję, że się myli.

Hagen doszedł do furki i zatrzymał się, by spojrzeć na dom, pogrążony w całkowitej ciemności od czasu, gdy SWAT zajęło pozycję w lesie, na granicy polany. Kiedy ją poruszył, skrzypnęła. No, teraz już Bernard z pewnością wie, że ma gościa. Poszedł ścieżką i już miał wejść na schodki, kiedy zapaliło się zewnętrzne światło. Zamarł w pół kroku, wpatrzony w zamknięte drzwi wejściowe. Czekał. Trwał tak nieruchomo, niczym w transie, przez kilkanaście długich sekund, po czym przewyciężył słabość i wszedł na ganek. Już chciał położyć dłoń na klamce, kiedy zaświtało mu w głowie, by raczej uprzedzić gospodarza, że to on, a nie jeden z żołnierzy SWAT. Zapukał więc.

– Bernard? To ja, Hagen.

Z wnętrza dobiegła go cicha odpowiedź.

– Otwarte.

Nacisnął klamkę i wszedł. Świecące na ganku światło zalało korytarz. Z niechęcią myślał o konieczności zamknięcia drzwi. W świetle czuł się bezpieczny.

– Zamknij drzwi – z saloniku, znajdującego się przy końcu korytarza, dobiegł go głos Bernarda.

Komisarz zamknął drzwi. Stał w mroku i już nie czuł się bezpiecznie.

– Mam ze sobą dziewczynę, Hagen. Jeśli spróbujesz jakiejś sztuczki, zginie. Zapal światło w korytarzu i odejdź od drzwi.

Komisarz potulnie wypełniał kolejne rozkazy. Z saloniku wyszedł terrorysta, sam. W dłoni miał desert eagle, wycelowany wprost w żołądek komisarza.

– Gdzie dziewczyna? – spytał ostro Hagen.

– Bezpieczna – odparł Bernard, podchodząc bliżej. Zamknął drzwi na zamek, po czym szybko i z wprawą przeszukał gościa.

– Przecież obiecałem, że przyjdę bez broni – stwierdził komisarz, kiedy skończyło się przeszukiwanie.

– Oczywiście. – Bernard uśmiechnął się krzywo.

– Chcę zobaczyć dziewczynę!

– Jest tam. – Terrorysta wskazał ręką sypialnię. – Nie zapalaj światła.

Hagen otworzył drzwi. Rosie, która odzyskała przytomność niespełna godzinę temu, nadal była przykuta do kaloryfera. W ustach miała knebel. Patrzyła na niego szeroko otwartymi, zdumionymi oczami.

– Rosie, nazywam się Hagen. Jestem zastępcą komisarza nowojorskiej policji. Robimy wszystko co w naszej mocy, by cię uwolnić. Nie bój się, nie pozwolimy, by coś ci się stało.

– Jakież to rozkoszne! A teraz wyjdź.

– Trzymaj się, Rosie – powiedział jeszcze Hagen i zamknął drzwi. – Porozmawiajmy w saloniku, dobrze? – zwrócił się do Bernarda.

– Jasne. – Terrorysta wzruszył ramionami. – Ale bez światła. Wystarczy go nam tyle, ile dociera z korytarza. Pan idzie pierwszy, Hagen.

Gość spojrzął na wycelowany w niego pistolet i niechętnie ruszył przodem. Kiedy znaleźli się na miejscu, bez wahania ruszył do stojącego pod oknem fotela i usiadł na nim.

– Zakładam, że ma pan przy sobie nadajnik. – Bernard przerwał panującą w pokoju ciszę. – Mikrofon jest pewnie w spince do krawata.

– Nie.

– Co „nie”? Nie ma pan nadajnika, czy mikrofon nie został umieszczony w spince?

– Jedno i drugie.

– Czemu nie potrafię panu uwierzyć? – Terrorysta wzruszył ramionami. – No, nie obchodzi mnie, czy ktoś – i kto – przysłuchuje się naszej rozmowie. Pana jednak powinno to obchodzić.

– Co? – Hagen zmarszczył brwi.

– Napije się pan czegoś? – Bernard gestem wskazał stojący w rogu, dobrze zaopatrzony barek.

– Z przyjemnością. – Komisarz lekko skinął głową. – Najchętniej burbona, jeśli go pan ma.

– Oczywiście. – Niczym dobry gospodarz, terrorysta ruszył w stronę barku.

– Co pan miał na myśli mówiąc, że podsłuchanie naszej rozmowy może mi zaszkodzić?

Wolną ręką Bernard nalał mu drinka, po czym postawił szklaneczkę na niskim stoliku obok fotela. Przeszedł przez pokój i przez chwilę, wyglądając na korytarz, stał plecami do komisarza. Kiedy znów się odwrócił, Hagen rozpaczliwie macał pod siedzeniem.

– Tego pan szuka? – spytał, wyjmując z kieszeni smith & wessona. – Niezłe miejsce, żeby tak na wszelki wypadek schować broń, ale ja znalazłem ją pierwszy, jak tylko się tu dostałem. Pozostaje oczywiście pytanie, skąd wiedział pan, że schowano ją pod tym szczególnym fotelem? Fotelem, do którego niemal pan podbiegł, natychmiast gdy tu weszliśmy. Teraz, jeśli ma pan przy sobie nadajnik – czego, nawiasem mówiąc, jestem pewien – pana koledzy z pewnością czekają niecierpliwie, by wyjaśnić im pan to nieprzyjemne nieporozumienie. No i jak?

– Nie wiem, o czym pan mówi. – Hagen nerwowo bawił się spinką do krawata.

– A więc miałem rację. To ta spinka. – Bernard uśmiechnął się szerokim, wszystkowiedzącym uśmiechem. – Powiedziałbym, że podpadł pan pod paragraf dwadzieścia dwa. Jeśli rozłączy pan mikrofon, będzie to niewątpliwie przyznanie się do winy. Jeśli go pan nie rozłączy, pana przyjaciele dowiedzą się, skąd wiedział pan o rewolwerze. Proszę wybierać, Hagen. A może powinienem powiedzieć: „Albatrosie”?

Komisarz zbladł jak ściana. Sięgnął po szklaneczkę i opróżnił ją jednym haustem. Ręka drżała mu wyraźnie.

Zapomniał pan języka w gębie? – Terrorysta wygodnie rozsiadł się na kanapie. – Potrafię to zrozumieć. Z początku rzeczywiście mnie pan oszukał. Byłem pewien, że „Albatrosem” jest Bailey. Jak sądzę, w tych okolicznościach moja pewność była całkiem usprawiedliwiona. A potem, dziś wieczorem, podłączwszy się do domowego systemu komputerowego Baileya, znalazłem kompletny plik zawierający wyłącznie informacje o „Albatrosie”. Okazał się nim nie kto inny jak zastępca komisarza policji miasta Nowy Jork, Sean Matthew Hagen. Proszę mi wierzyć, że byłem niesłychanie zdumiony. Jednak gdy przemyślałem sobie tę sprawę dokładniej, wszystko nagle nabrało sensu. Wtyczka Baileya w departamencie policji: jego przyszły szef. Jakież to obiecujące. To pan nakazał Forsythe’owi założyć podsłuch w Kwaterze UNACO, prawda? Nie Bailey. To pan miał zapewnić mi możliwość ucieczki, gdybym został aresztowany po zamachu na Mobuto. To pan załatwił mi pomoc Masona w World Trade Center. Kto mógłby zakwestionować pana rozkaz, by to on objął dowództwo nad drużyną strzegącą pomostu? Sprytnie, Hagen, bardzo sprytnie. I nikt niczego by nie odkrył, gdybym nie dobrał się do informacji, ukrytych w domowym systemie komputerowym pana Baileya. Fascynująca lektura. Na wypadek gdyby miał pan nadzieję, że jakimś cudem uda się panu z tego wykręcić, informuję, że mam wszystko na dyskietce. Może pan nazwać ją polisą ubezpieczeniową... bardzo drogą polisą ubezpieczeniową. – Wolno potrząsnął głową. – „Albatros”. No, no, kto by się tego spodziewał?

Hagen przełknął nerwowo. Grzbietem dłoni przetarł mokre od potu czoło. Próbował coś powiedzieć, ale słowa jakoś nie chciały mu przejść przez wyschnięte gardło. Wstał i powoli

podszedł do barku. Plecy miał zgarbione, głowę opuszczoną, wyglądał żałośnie. Nalał sobie wielką porcję burbona i wypił ją jednym haustem.

– Przyszedłeś tu tylko po to, żeby mnie zabić, prawda? Dokończyć dzieła, którego nie udało się dokończyć ani Brettowi, ani Rogersowi. Zostałeś już tylko ty. Zamierzałeś udawać, że udało ci się mnie rozbroić i zastrzelić? Gdybyś schował tego desert eagle, mógłbyś utrzymywać, że cały czas miałem smith & wessona. Mam rację?

– Jesteś już trupem, Bernard. Nawet jeśli uda ci się stąd wydostać, znajdą cię. Nie przestaną cię szukać.

– „Oni” oznacza zapewne CIA?

– „Oni” oznacza najlepszych zabójców CIA. Jesteś dobry, ale po prostu grasz w niższej lidze.

– Być może ma pan rację. Dlatego przedsięwziąłem pewne... środki zabezpieczające. – Terrorysta wstał. – Cóż, Hagen, sądzę, że przestałeś być w tym domu osobą mile widzianą. Jestem pewien, że czekają na ciebie ludzie pragnący zadać ci mnóstwo pytań – myślę przede wszystkim o tych z UNACO. Założę się, że są na ciebie cholernie wkurzeni.

Hagen rzucił w niego pustą szklanką, chybając o centymetry, szklanka rozprysła się na ścianie. Chwycił butelkę i skoczył. Bernard bez wysiłku uniknął szerokiego ciosu, po czym trafił go paraliżującym uderzeniem w nerki. Komisarz zatoczył się na drzwi, upuszczając butelkę.

Terrorysta wymierzył do niego z pistoletu.

– Nie – powiedział. – Zastanowiłem się. Po prostu znów zatuszowano by całą sprawę, prawda? Coś podobnego zdarzyło się przecież wczoraj. Odszedłbyś po cichutku na emeryturę i to wszystko. Nie, nie wywiniesz się z tego tak lekko. Do zobaczenia w piekle.

Strzelił komisarzowi w pierś, siła kuli rzuciła martwe już ciało na ścianę. Osunęło się po niej, z ust pociekła krew, ślad krwi pozostał także na tapecie.

Bernard zadzwonił pod numer telefonu umieszczonego w półciężarówce SWAT.

– Chcę rozmawiać z pułkownikiem Philpottem – oznajmił. Czekał zaledwie kilka sekund.

– Tu Philpott.

– Zakładam, że słyszał pan tę miłą pogawędkę?

– Czy Hagen żyje?

Terrorysta spojrzął na leżącą na podłodze, skuloną postać.

– Ośmielam się wątpić, panie pułkowniku. Ale nad tymi zwłokami nie wylewałbym gorzkich łez. Przecież nie doszłoby do procesu, dokładnie tak, jak to było w moim wypadku. Niech pan nie

zrobi jakiegoś głupstwa, na przykład wydając rozkaz ataku. Rosie zginęłaby jako pierwsza. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

– Wystarczająco – syknął Philpott.

Bernard zerknął na zegarek. Druga siedemnaście nad ranem. Na Kubę miał odlecieć za dwie i pół godziny. W tym czasie SWAT z pewnością odkryje wyrwane drzwi do piwnicy. A drzwi łączące piwnicę i kuchnię zabezpieczał wyłącznie wąty rygielek. Nie, bezpieczny dom nie był już dłużej bezpieczny. Musi koniecznie mienić taktykę.

– Niech pan siedzi przy telefonie, Philpott. Zadzwonię za parę minut.

– Czy Rosie...?

Przerwał połączenie, nim Philpott miał szansę skończyć zdanie. Położył słuchawkę obok telefonu, podszedł do szafki i otworzył najniższą szufladę. Był w niej inny telefon, wyposażony w zgłuszacz podsłuchu. Wyjął go, usiadł i zadzwonił pod numer, który zapamiętał dawno temu. Ktoś zgłosił się natychmiast.

– Tu „Kolumb” – przedstawił się terrorysta.

– O co chodzi? – padła niechętna odpowiedź.

– Plany uległy zmianie. Czy samolot jest zatankowany i gotów do startu?

– Od wczoraj. Co się stało?

Bernard krótko wyjaśnił sytuację.

– Twierdziłeś, że potrafisz pilotować wszystko – powiedział na zakończenie.

– Nooo, tak – w odpowiedzi wyraźnie wyczuwało się wahanie.

– Helikopter?

– Jasne. Latałem na nich w Wietnamie.

– Masz pojawić się tu tak szybko, jak to tylko możliwe. Załatwię gotową do lotu maszynę. Podlecimy nią do samolotu i w drogę.

– Mam tam przyjechać? Oszalałeś?

– Posłuchaj, Demerest, do tej pory za twe usługi płaciliśmy ci dobrze, najprawdopodobniej za dobrze. Uwierz mi, jeśli mam utonąć, upewnię się, że toniemy razem. Nie wywiniesz się. Nie masz sposobu.

– Chcę hueya – powiedział po dłuższej chwili Demerest. – Jego znam najlepiej.

- Załatwione.
- Twierdzisz, że wokół pełno jest glin. Jakim cudem mam się przez nich przedostać?
- Czym przyjedziesz?
- Datsunem.
- Kolor?
- Jasnoniebieski.
- Dopilnuję, żeby nikt cię nie zatrzymał. Masz dojechać do samego domu. Zaparkujesz tak blisko kuchennego wyjścia, jak to tylko możliwe.
- Jasne. Ale jak coś się nie uda...
- Wszystko się uda – przerwał mu Bernard. – Jeśli zagrasz według moich reguł.

Po rozmowie z Bernardem Philpott odwiesił słuchawkę i spojrzał na ludzi zgromadzonych wokół półciężarówki.

– Zagroził, że zabije Rosie, jeśli do trzeciej nie dostarczymy mu helikoptera. Koniecznie hueya. Bardzo na to nalegał.

– Mamy hueya na lotnisku w Newark – powiedział Kolczyński.

– Potrafisz go pilotować?

Rosjanin tylko skinął głową. Od czasu gdy jeszcze jako agent KGB zrobił licencję, latał chyba każdym istniejącym typem śmigłowca.

Pułkownik spojrzał na Stephensa.

– Możemy mieć go tu na trzecią.

– Jasne. – Porucznik powiedział to tak, jakby w ogóle nie usłyszał pytania. Oszłomiła go rewelacja, która objawiła mu się, gdy na stanowisku z tyłu samochodu wysłuchał przez słuchawki rozmowy Bernarda i Hagena. Komisarz wtyczką CIA w policji? Choć nie znosił tego człowieka, nie uwierzyłby w to, gdyby nie świadectwo jego własnych uszu. Ale sukinsyn!

– Natychmiast ruszam na lotnisko – oznajmił Kolczyński. – Załatwisz wszystkie formalności?

– Oczywiście. O to możesz się nie obawiać. Sabrino, zabierz Siergieja swoim samochodem.

– Lepiej, żebyśmy pojechali któryś z policyjnych radiowozów. Na sygnale. To przyspieszy

sprawę.

– Z Sabriną dojedziesz najszybciej. Ma dobry wóz i wie, jak go prowadzić. Dopilnuję, żebyście mieli wolną drogę.

Dziewczyna uśmiechnęła się do szefa, pokazując mu, że ma już w dłoni kluczyki.

– Na co jeszcze czekamy? – spytała.

Kolczyński spojrzał na pułkownika niezadowolony i poszedł za nią.

– Mam do załatwienia parę telefonów – zwrócił się Philpott do Stephensa, wskazując na stojący przed nim aparat. – Mogę skorzystać?

– Ależ oczywiście – odparł porucznik.

– To rozmowy prywatne – powiedział pułkownik oficerowi komunikacyjnemu, stojącemu za jego plecami.

Stephens skinął głową i oficer wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Porucznik zaczekał, aż odejdzie poza zasięg głosu, potem powiedział Whitlockowi, jakie rozkazy dostał od Hageny.

– To ma sens – stwierdził C.W. – Ale wątpię, czy ci dwaj funkcjonariusze obchodzili go o wiele bardziej niż Rosie. Najwyraźniej Bailey przysłał go tu po to, żeby zabił Bernarda. Dlatego tak pana naciskał, by go zastrzelić bez względu na okoliczności. Bernard zbyt wiele wie o samej CIA i jej operacjach.

– W jednym Hagen miał rację. Agencja wyśle za Bernardem swych zabójców, zwłaszcza teraz, kiedy wiedzą już, że ma dyskietkę – stwierdził Stephens. – Jeśli udostępni te informacje, najtajniejsze operacje CIA natychmiast przestaną być tajne.

– I właśnie z tego powodu liczy, że od dziś agencja będzie obchodzić go szerokim łukiem – wyjaśnił Whitlock. – Bernard nie jest durniem. Z pewnością chce ukryć dyskietkę w bezpiecznym miejscu z instrukcją, że gdyby coś mu się stało, zawarte na niej informacje mają być natychmiast opublikowane. A tego Bailey z pewnością boi się jak ognia.

– Zgadza się z C.W. – wtrącił Graham. – Bailey nie może dopuścić do ujawnienia zawartości tej dyskietki, nawet jeśli nie pracuje już w CIA. Jego i resztę zwolniono przecież z aresztu tylko po to, żeby zapobiec skandalowi. Gdyby Bernard ujawnił informacje, które posiada, nie byłoby już mowy o zapobieżeniu czemukolwiek. Opinia publiczna zmusiłaby władze do przeprowadzenia procesu – a on jako pierwszy zasiadłby na ławie oskarżonych.

– Zapominacie panowie o jednym – powiedział Stephens, przyglądając się uważnie agentom UNACO. – Najpierw musi wyjść z domu i dotrzeć do helikoptera. Jeśli którykolwiek z moich ludzi będzie miał szansę, zabije go. Takie dostali rozkazy. A wtedy zobaczymy, co zostanie z pana Bernarda i jego cennej dyskietki.

– Jeśli skutek działania pańskiego zespołu cokolwiek stanie się Rosie, będzie pan miał do czynienia ze mną. – Whitlock powiedział te słowa cichym, groźnym głosem. – Niech pan o tym pamięta, poruczniku.

– To doskonale wytrenowani ludzie. – Stephens poczuł, że został zachnięty do defensywy. – Strzelają tylko wtedy, gdy mają stuprocentową szansę, że trafią.

– W pana interesie leży, by było tak rzeczywiście. – C.W. odwrócił się i poszedł w kierunku samochodu.

Graham nie widział go jeszcze takim: chłodnym, cynicznym, niebezpiecznym. Dopiero teraz zrozumiał, jak głębokie uczucie łączyło go z tą dziewczyną. Gdyby nie wiedział, że jest tylko wujem, przysięgłby, że ma do czynienia z jej ojcem. Uśmiechnął się smutno do siebie. C.W. był świetnym materiałem na ojca. Może pewnego dnia... przecież ma dopiero czterdzieści parę lat! Tak, wspomniały ojciec...

Philpott zdjął z uszu słuchawki i położył je na stoliku.

– Siergiej już leci – powiedział. – Powinien tu być za jakieś dziesięć minut.

Whitlock spojrział na zegarek. Za czternaście trzecia.

– Jest z nim Sabrina?

– Nie. Sabrina wraca samochodem. Gdyby nagle oboje wysiedli z helikoptera, Bernard mógłby pomyśleć, że to jakaś pułapka. Nie obchodzi mnie, do jakiego stopnia jest zawodowcem, tak czy inaczej musi być na granicy wyczerpania nerwowego. To całkowicie zrozumiałe, w końcu na karku wisi mu kilku doskonale wyszkolonych snajperów czekających tylko na jego najmniejszy błąd. Nie ma sensu niepokoić go jeszcze bardziej.

Whitlock usiadł obok Philpotta i spojrział na Grahama. Mike siedział na najwyższym stopniu oparty od drzwi. Popijał kawę z plastikowego kubka. Wyczuł jego spojrzenie i obrócił się.

– Powinieneś od czasu do czasu spróbować kawy. Właściwie mogę ci oddać moją.

C.W. uśmiechnął się na widok wyciągniętego w jego stronę kubka.

– Aż taka dobra? – spytał.

– Nie, cholera! – Graham wylał zawartość kubka w rosnące samochodzie krzaki. – Dlaczego gliny kojarzą się zawsze z kawą? Już na akademii powinni nauczyć ich, jak się ją parzy!

Philpott uśmiechnął się słabo, podniósł słuchawkę i nakręcił telefonu. Kiedy usłyszał głos Bernarda, powiedział:

– Chciał pan wiedzieć, kiedy wystartuje helikopter, prawda? Właśnie do nas leci.

– Czy to huey?

– Oczywiście. Gdzie ma wylądować?

– Jak najbliżej domu. Pański pilot ma wyłączyć silniki oraz wszystkie światła i wynosić się. Niedługo pojawi się tu mój człowiek. Przyjedzie jasnoniebieskim datsunem. Nie wolno wam go zatrzymać. Zrozumieliście?

– Oczywiście. – W głosie pułkownika brzmiała pogarda. – Kiedy zwolnisz Rosie?

– Gdy tylko upewnię się, że nie oszukaliście mnie ani wy, ani CIA. Może wyda się to panu dziwne, pułkowniku, ale – podobnie jak wy – nie chciałbym, by stała się jej jakaś krzywda. To wspinała dziewczyna. Nie zmuszajcie mnie, bym zrobił coś, czego wszyscy będziemy żałować.

– Jak się dowiem, że została zwolniona?

– Och, proszę się nie obawiać. Dowie się pan, i to jako pierwszy. Może pan być tego pewien.

Połączenie zostało przerwane.

Słyszac dźwięk silnika śmigłowca Bernard spojrzal na zegarek. Za trzy trzecia. Ładnie się postarali. Zgasił światło w przedpokoju, przeszedł do sypialni od frontu i – przyciśnięty do ściany – przez rozsunięte firanki ostrożnie wyjrzał na polankę. Nie dowierzał ciemności, w której się krył, wiedział, że w lesie rozstawiono snajperów SWAT, wyposażonych w karabiny z najnowszymi, działającymi na podczerwień celownikami. Jeśli pozwoli sobie na najdrobniejszy błąd, zastrzelą go bez chwili wahania. Najwyraźniej przekonanie to umacniało tylko jego pewność siebie. Nie załatwi go żaden glina.

Nagle znad lasu nadleciał helikopter, zawisł w odległości metrów zaledwie od furtki i ostrożnie wylądował. Kolczyński wyłączył silnik, wygasił światła, odpiął pasy i wysiadł. Przez chwilę patrzył na dom, po czym szybkim krokiem ruszył w kierunku krawędzi lasu, wśród drzew czekał tam na niego Philpott. Bernard pozwolił opaść lekko uniesionej zasłonie i wyszedł z pokoju. Philpott dotrzymał słowa. Tylko gdzie, do cholery, jest Demerest?

Warren Demerest dostrzegł rząd policyjnych samochodów – ich światła złowrogo migały w półmroku świtu – i delikatnie dotknął hamulców. Z deski rozdzielczej zdjął kominiarkę, naciągnął ją na głowę, po czym ruszył przed siebie. Po stu metrach drogę zagroził mu policjant z latarką, którą oświetlił samochód. Promień światła na chwilę zatrzymał się na kominiarce. Pilot nerwowo przełknął ślinę. Być może Bernard zginął już lub został schwytany? Cholera, nawet nie wziął pod uwagę tej możliwości! Kolejny wyrok i nie będzie już mowy o warunkowym zwolnieniu. Tak powiedział mu kurator, kiedy na początku roku pilot został zwolniony z San Quentin.

Policjant, poinstruowany przez Stephensa, wiedział, że nie wolno mu zatrzymać tego

samochodu. Zszedł na pobocze, gestem wskazując kierowcy kierunek. Demerest wrzucił bieg i powoli pojechał przed siebie. Miał półciązarówkę, którą otaczali ubrani w czarne mundury żołnierze SWAT. W co do diabła Bernard go pakuje? Cóż, za późno już, by się wycofać. Wjechał w wąską dróżkę prowadzącą do kuchennego wejścia, dokładnie tak, jak został poinstruowany i zatrzymał się w odległości kilkudziesięciu centymetrów od drzwi. Co właściwie ma teraz zrobić? Zostać w samochodzie? Wejść do domu? Cholera, gdzie ten Bernard?!

Drzwi otworzyły się lekko. Z wnętrza dobiegł go syk: „Zgaś światła!”

Wykonał polecenie.

– Właż do środka!

Demerest wysiadł z samochodu i wszedł do domu. Bernard skuł się kajdankami z Rosie. W wolnej ręce trzymał pistolet.

– Hej, człowieku, ostrożnie z tym. – Pilot wskazał pistolet, wycelowany w jego żołądek.

– Najpierw zdejmij kominiarkę – powiedział cicho Bernard.

Demerest zdjął ją, pokazując twarz. Dobiegał czterdziestki, miał przystrzyżone na jeża kasztanowate włosy i złoty kolczyk w uchu.

– Zadowolony? – spytał ostro.

– Weź to. – Bernard wskazał leżący na stole koc. – Przykryj nim Rosie i mnie, i doprowadź nas do samochodu. Pojedziemy na tylnym siedzeniu. Nie zaryzykują strzału, jeśli nie będą mogli nas odróżnić.

Pilot naciągnął sobie kominiarkę na głowę, szybkim spojrzeniem obrzucił dziewczynę, rozwinął koc i nakrył nim ich oboje. Bernard przyciągnął do siebie zakładniczkę, wbił jej w żebra lufę pistoletu. Skrzywiła się, czując ból, lecz nic nie powiedziała. Nie sprawi Bernardowi tej satysfakcji – nie pokaże mu, że cierpi.

– Idziemy! – warknął terrorysta.

Demerest dłonią otarł pot z czoła. Wiedział, że w tylne drzwi są wymierzone snajperskie karabiny. Co będzie, jeśli po ich otwarciu karabiny te pluną ogniem?

– O co do cholery chodzi? – rozległ się spod koca gniewny głos. – Powiedziałem „idziemy”!

– Dobra, dobra – mruknął zirytowany pilot.

Powoli otworzył drzwi i wstrzymując oddech wyszedł na zewnątrz. Nikt do niego nie strzelił. Na razie jest nieźle. Chwycił przez koc ramię Bernarda i poprowadził go do samochodu. Otworzył tylne drzwi. Bernard z kolei prowadził Rosie, oboje wsiedli, snajperzy nie byli w stanie rozróżnić sylwetek pod przykryciem. Demerest zamknął za nimi drzwi. Usiadł za kierownicą i spojrzał

w lusterko. Pasażerowie położyli się na tylnym siedzeniu, nadal przykryci. W tej sytuacji nikt nie podejmie ryzyka strzału. On sam jednak czuł się bardzo niepewnie. Mogą go mieć w każdej chwili, wystarczy jedna kula.

– Ruszaj do cholery! – krzyknął Bernard. – I żadnych świateł!

Demerest cichutko szepnął „przepraszam”. Próbował wrzucić pierwszy bieg, ręce mu się trzęsły, rozległ się przeraźliwy zgrzyt przekładni. Spróbował po raz drugi. Tym razem mu się udało. Zawrócił i pojechał podjazdem, tylko tym razem, zamiast zakręcić w drogę dojazdową, skierował się do stojącego na granicy polanki hueya.

– Zaparkuj jak najbliżej helikoptera – rozkazał Bernard.

Samochód podjechał do samych drzwi kabiny. Demerest zatrzymał go, wysiadł i zerknął w kierunku drzew. Miał wrażenie, że dostrzega poruszające się w cieniu sylwetki. Z pewnością nie żołnierzy SWAT – ci w swych czarnych mundurach byli praktycznie niewidzialni. To go jeszcze bardziej zdenerwowało. Ile niewidzialnych karabinów mierzy do niego w tej właśnie chwili? Odepchnął od siebie tę myśl. I tak wystarczająco się bał.

Otworzył drzwi do kabiny, zajrzał do środka. Znalazł metalową drabinkę. Odczepił ją od ściany i podstawił.

– Gotowe – oznajmił Bernardowi przez otwarte okno od strony kierowcy.

– Otwórz tylne drzwi.

Spełnił to polecenie. Bernard wysiadł tyłem, prowadząc za sobą Rosie. Kiedy poczuła pod stopami ziemię, niewidzialna dłoń zmusiła ją do pochylecia głowy. Ubezpieczała ją, póki dziewczyna nie wysiadła z samochodu.

– Przy drzwiach jest drabinka. Będziecie musieli...

Rozległ się huk strzału. Kula uderzyła w helikopter centymetry od głowy Demeresta i zrykoszetowała. Bernard zamarł, największym wysiłkiem woli zmusił się, by nie pociągnąć za spust. Czuł, jak ciało Rosie sztywnieje. Dziewczyna zamknęła oczy, czekając na śmierć. Pilot przyklęknął, w oczach miał paniczny strach. Z lasu dobiegł ich jakiś krzyk, niczym rozkaz. Potem wszystko umilkło.

– Bernard? – rozległ się nagle głos przemawiającego przez głośnik Stephensa. – Nie skrzywdź dziewczyny. To był przypadek. Nikt nie będzie do ciebie strzelał.

Terrorysta skrzywił się, to kropla potu wpadła mu do oka. Rozluźnił zaciśnięty na spuście palec, ale nie cofnął lufy pistoletu. Nagle zdał sobie sprawę, że westchnął z ulgą. Niewiele brakowało. Omal nie stracił asa atutowego.

– Demerest – syknął. – Demerest!

– Tu jestem. – Pilot wreszcie się wyprostował.

– Prowadź nas do środka.

Dłoń ujęła przez koc ramię terrorysty, pomogła mu wejść po drabince i ulokowała bezpiecznie na tylnych siedzeniach helikoptera. Demerest kopniakiem odrzucił schodki, zamknął drzwi i zajął miejsce pilota.

Bernard odrzucił koc. Uważając, by nie unieść się zbyt z podłogi, odpiął ze swej dłoni kajdanki i przymocował je do metalowej rury, biegnącej wzdłuż ściany maszyny. Otarł pot z twarzy, skrzywił się, gdy palec podrażnił mu opuchliznę wokół oka.

– Kiedy startujemy? – spytał.

– Już.

Uśmiechnął się z zadowoleniem. Spojrzał na Rosie. Dziewczyna tylko patrzyła na niego, twarz miała absolutnie nieruchomą. Helikopter powoli oderwał się od ziemi.

Kryjąc się w ciemnościach, Graham i Whitlock zdołali niepostrzeżenie oderwać się od grupy, lecz nim dotarli pod ścianę od tyłu domu, datsun jechał już drogą dojazdową. Zaczekali, aż skręci na polanę, nim wybiegli z ukrycia i podbiegli do schodów z boku domu. To tam właśnie C.W. znalazł ciało Bretta, oparte o półotwarte drzwi do piwnicy. Graham, skulony, pozostał na górze, z samochodu, podjeżdżającego właśnie do helikoptera, nikt nie mógł go dostrzec.

Choć uzbrojony, Mike doskonale zdawał sobie sprawę, że beretta nie nadaje się do strzelania na tę odległość. Wokół domu byli rozlokowani snajperzy, którzy bez problemu mogli zdjąć Bernarda, gdyby ten popełnił choć jeden błąd. Właśnie, błąd. On jednak znał Bernarda lepiej niż ktokolwiek i wiedział, że nie popełni błędu. Właśnie dlatego wraz z Whitlockiem opracowali alternatywny plan. Z powodu zranionego ramienia C.W. mógł pełnić wyłącznie funkcję obserwatora, co tylko go denerwowało. Chciał jednak towarzyszyć Grahamowi podczas wcielania ich planu w życie. Byli teraz sojusznikami. Po śmierci Carrie i Mikeya Bernardowi udało się uciec, a teraz znów zagrażał życiu niewinnego człowieka – Rosie. Doskonale zdawali sobie sprawę, że życie dziewczyny nie będzie warte złamanego grosza, jeśli terroryście uda się uciec i zacząć od nowa gdzieś daleko. Trzeba było go koniecznie zatrzymać.

C.W. delikatnie dotknął ramienia Mike'a, który pokazał mu uniesiony w górę kciuk, zerwał się i podbiegł do startującego właśnie helikoptera.

Demerest dostrzegł Grahama kątem oka, gdy był on jakieś dziesięć metrów od maszyny. Instynktownie zwiększył obroty silnika i podciągnął drążek, próbując przyspieszyć tempo wznoszenia. Zdając sobie sprawę, że z ziemi nie uda mu się dosięgnąć płozy, Mike wskoczył na maskę, a potem na dach datsuna. Palce jego prawej dłoni musnęły zimną stal. Uczepił się jej z całej

siły, podczas gdy helikopter coraz szybciej wzbijał się w powietrze. Czuł się tak, jakby ktoś wyrwał mu ramię z barku. Powoli, ostrożnie, chwycił się płozy także lewą ręką, tak że prawa mogła nieco odpocząć. Następnie zaczął kołysać się w przód i w tył, a kiedy wyczuł odpowiedni moment, podciągnął się i zarzucił na płozę także prawą nogę. Spojrzał w dół. Śmigłowiec był już trzydzieści metrów nad ziemią i wznosił się nadal.

Przez boczne okno Demerest obserwował Grahama, sparaliżowany zrećnością, z jaką uchwycił się on płozy. Bernard, zawiadomiony przez pilota o tym, co się dzieje, trzymał w ręku pistolet. Czekał. Instynkt podpowiadał mu, że ma do czynienia z najgroźniejszym przeciwnikiem. Tylko jego stać było na taki wyczyn. Ten człowiek po prostu prosi się o śmierć! Terrorysta nie mógł jednak zrobić nic, póki maszyna wisiała nad rojąącym się od snajperów lasem. Dzięki temu Graham zyskał cenne sekundy, umożliwiające mu zajęcie bezpieczniejszej pozycji.

Bernard doskonale wiedział, co ma zrobić, kiedy będzie już mógł otworzyć drzwi. Mocniej zacisnął dłoń na pistolecie.

Początkowo Demerest zamierzał przelecieć tuż nad wierzchołkami drzew ocierając o nie płozy – w ten sposób być może zdołałby strącić pasażera na gapę, Bernard jednak szybko wybił mu z głowy ten pomysł jako zbyt niebezpieczny. Gdyby trafili na grubszą gałąź, helikopter mógłby stracić wysokość i spaść na ziemię. Pilot rozpaczliwie huśtał maszyną, próbując strącić Grahama, ten jednak leżał na płozie pewnie jak kot, czekając, aż Bernard będzie mógł otworzyć drzwi kabiny. Nagle znaleźli się nad autostradą, pilot krzyknął, że las wreszcie się skończył.

Bernard wyciągnął rękę i szarpnięciem otworzył drzwi. Podnosił pistolet do strzału, gdy Rosie trafiła go butem w twarz, dokładnie w podbite oko. Krzyknął z bólu i upuścił broń, zatoczył się do wnętrza, rękami osłaniając ranę. Przez palce ciekła mu krew. Otwartą dłonią z całej siły uderzył dziewczynę, cios rzucił ją na ścianę kabiny, ze znajdującej się tam półki spadło drewniane pudełko.

Nim zdążył odzyskać pistolet, Graham był już w środku. Powalił go piłkarskim rzutem. Terrorysta wylądował na podłodze, gubiąc pistolet, który zatrzymał się tuż przy nadal otwartych drzwiach. Mike wyciągnął berettę, lecz przeciwnik zdołał uchwycić go za nadgarstek i wykręcić mu dłoń tak, że lufa została skierowana w górę. Uderzył jego rękę o ścianę, beretta wypadła z dłoni agenta, a zaraz potem otrzymał on oszałamiający cios w skroń i mocno uderzył głową w podłogę. Mimo to trafił przeciwnika łokciem w zranione oko. Terrorysta krzyknął z bólu, lecz zareagował wystarczająco szybko, by Mike nie zdążył chwycić pistoletu.

Walczyli o posiadanie broni, lecz gdy Bernard wyrwał mu ją z ręki, Graham znów trafił go w ranę na twarzy. Terrorysta wypuścił berettę, która wypadła przez otwarte drzwi, zdołał jednak kopnąć przeciwnika w żołądek, a potem – kulącego się odruchowo – trafić hakiem w szczękę. Graham upadł na kolana, oczy łzawiły mu po morderczym ciosie. Bernard skoczył po swego desert eagle'a. Mike zdawał sobie sprawę, że nie zdąży mu przeszkodzić.

– Łap! – krzyknęła Rosie.

Obejrzał się błyskawicznie. Dziewczyna trzymała pistolet Very, który wypadł na podłogę kabiny z drewnianego pudełka. Rzuciła mu go, nie wiedział nawet, czy broń jest naładowana, ale

przecież nie miał czasu sprawdzać. Bernard obracał się właśnie, za chwilę strzeli. Graham wymierzył i pierwszy pociągnął za spust.

Pocisk w aluminiowym płaszczu uderzył terrorystę w pierś z siłą parowego młota. Bernard zatoczył się, stracił równowagę i wypadł z kabiny. Rozpaczliwie próbował chwycić się podłogi, lecz zakrwawione palce ześlizgnęły się po niej, z panicznym strachem w oczach runął w dół. Wiatr wyrwał mu z gardła jeden przeraźliwy, krótki krzyk.

Graham podniósł z podłogi broń upuszczoną przez Bernarda i wymierzył ją w podstawę czaszki Demeresta.

– Wracaj do domu – rozkazał mu.

– Jasne, przyjacielu – odparł nerwowo pilot. – Nie chcę żadnych kłopotów.

– To oddaj mi to, co masz gdzieś tam, pod pachą.

– Nie noszę broni. – Demerest energicznie potrząsnął głową. – Nie uznaję przemocy. Przyjacielu, ja jestem zwykłym pilotem.

Udało mu się stuprocentowo przekonać o tym agenta.

– Dawaj radio!

Demerest zdjął mikrofon z zacisku i wręczył go Mike'owi, który zawiadomił Philpotta, że helikopter wraca tam, skąd wystartował. Potem zamknął drzwi kabiny, usiadł obok dziewczyny i delikatnie odchylił jej głowę. Na policzku Rosie rozkwitał fioletowy siniak.

– Nic mi nie będzie – powiedziała cicho.

– Załadowałaś go? – spytał, wskazując głową leżący przed nimi na podłodze very.

Skinęła głową.

– Chciałam zastrzelić go sama, ale nie potrafiłam pociągnąć za spust. Przepraszam.

Mike uśmiechnął się do niej łagodnie.

– Za co przepraszasz? Ocaliłaś mi życie. Dziękuję.

– Kim pan jest?

– Mam na imię Mike.

– Mike Graham?

– Tak. Skąd wiesz?

Rosie wręczyła mu wyjętą z kieszeni kasetę.

– Bernard... on tak się nazywał, prawda...? – Mike skinął głową. – ...no, więc Bernard dał mi to, nim wyszliśmy z domu. Powiedział, że mam ją oddać wujkowi, kiedy znowu się z nim zobaczę, i że wujek przekaże to panu.

– A powiedział, co jest na tej kasecie?

Rosie potrząsnęła głową.

Graham oparł się wygodniej o ścianę kabiny. Obracał kasetę w palcach. Jego nazwisko było wypisane czarnym piórem z obu stron. Na pewno zawiera jakieś informacje o Carrie i Mikeyu, choć przecież to zupełnie bez sensu. Bernard nie należał do ludzi, którym samochwalstwo sprawiałoby przyjemność. Nie leżało to w jego naturze. Dlaczego więc nagrał kasetę?

Mike myślał o tym przez całą drogę powrotną.

Po wylądowaniu helikopter otoczyli żołnierze SWAT. Demerest wyłączył silnik, odpiął pas i niechętnie opuściłabinę. Natychmiast zakuto go w kajdanki i odprowadzono.

Drzwi do części pasażerskiej zostały otwarte od zewnątrz. Do środka zajrzał zaniepokojony Whitlock. Rosie uśmiechnęła się do niego, a potem przygryzła wargi. Po jej policzku spłynęła łza. Graham pomógł przyjacielowi wejść, a sam udał się na poszukiwanie czegoś, czym można byłoby przeciąć więzy dziewczyny.

– Dzięki Bogu, jesteś bezpieczna! – C.W. niemal podbiegł do skulonej pod ścianą postaci.

Przytuliła się do niego i wreszcie, bez żadnych wątpliwości, zapłakała. Wycierając łzy uśmiechała się jednak do siebie.

– Kto cię uderzył? – w głosie jej wuja nagle pojawił się gniew. – Bernard?

Skinęła głową.

– Ale nic mi nie jest. Co ci się stało w rękę?

C.W. skwitował to pytanie wzruszeniem ramion.

– Nic takiego. Twój rodzice chyba oszaleją z radości, kiedy dowiedzą się, że jesteś bezpieczna. Carmen też. Odchodziliśmy od zmysłów ze strachu.

– Nadal uważacie, że mogę zostać z wami na kilka dni? Nie czuję się wystarczająco dobrze, by stawić czoło rodzicom.

– Już posłaliśmy ci łóżko. Przecież wiesz, że możesz mieszkać u nas tak długo, jak długo zechcesz.

– Puk, puk! – Do kabiny zajrzał Graham.

– Wchodź, wchodź!

Mike trzymał w dłoni małą piłę.

– Zaraz cię uwolnimy, Rosie. Zobaczysz! – stwierdził wesoło.

– Skąd wy się znacie? – spytała dziewczyna, gdy Graham wziął się do roboty. Nie przerywając jej Mike spojrział na przyjaciela. Od niego tylko zależało, czy powie Rosie o UNACO. Uważał, że zasłużyła na wyjaśnienie sprawy, ale nie zamierzał się wtrącać – a w każdym razie nie chciał uprzedzać Whitlocka.

C.W. uśmiechnął się.

– Dyplomata spotyka wielu ciekawych ludzi. Poznaliśmy się na przyjęciu w gmachu ONZ. Od tamtej pory od czasu do czasu na siebie wpadamy. Mike zadzwonił do mnie, gdy odkrył, gdzie zostałam uwięziona. Przyjechałem tak szybko, jak tylko mogłem.

– Jest pan gliną? – Rosie zwróciła się bezpośrednio do Grahama, który przerwał piłowanie kajdanków i – zaskoczony – podniósł wzrok.

– Tak, w pewnym sensie – odparł po krótkiej chwili milczenia.

– Glina w pewnym sensie? A co to za odpowiedź?

– Jedyna, jaką otrzymasz – stwierdził Mike i wrócił do piłowania.

– Chyba rozumiem.

Skończył po mniej więcej minucie. Rozdzielił części obręczy tak, że Rosie mogła wysunąć rękę.

– Cóż, teraz czeka cię gorąca kąpiel, wielki posiłek i ciepłe łóżko – stwierdził Whitlock. – Gotowa?

– No pewnie! – Dziewczyna pocierała obolały przegub. Wuj pomógł jej wstać.

– Idziemy! – rozkazał.

Rosie delikatnie pocałowała swego wybawcę w policzek.

– Dzięki, Mike – powiedziała cicho.

– Uciekaj – odparł wesoło.

W drzwiach kabiny dziewczyna obróciła się jeszcze.

– Jesteś tajnym gliną, prawda? – spytała.

– No, w pewnym sensie rzeczywiście jestem tajnym gliną.

– Do zobaczenia, Mike – powiedziała z uśmiechem.

– Do zobaczenia, Rosie – Graham także uśmiechnął się do niej.

Sabrina czekała, aż wszyscy wysiądą, nim zwróciła się do partnera:

– Jesteś szalony, wiesz?

Mike skinął głową.

– Pewnie. Ciekawe, że zrozumiałaś to dopiero teraz!

– Dalszego nie zawiadomiliście nikogo, że spróbujecie czegoś tak zwariowanego?

– A pułkownik z pewnością by się na to zgodził, prawda? Założę się, że nieźle go wkurzyliśmy.

– Owszem. Wścieka się, bo nie poinformowaliście go, co zamierzacie zrobić. Natomiast wydaje się raczej zadowolony z rezultatu. Masz mu się zameldować. Natychmiast.

Mike podszedł do wyjścia i już zamierzał wyskoczyć z kabiny, kiedy zauważył coś kątem oka. Na podłodze leżała dyskietka. Podszedł i podniósł ją.

– Co to? – spytała Sabrina.

– Dyskietka komputerowa. – Obejrzał ją dokładnie i odwrócił się ku dziewczynie. – Czy myślisz to samo co ja? – spytał.

Skinęła głową.

– Chyba tak. Polisa ubezpieczeniowa Bernarda?

– Musiała mu wypaść z kieszeni podczas walki. Duży plus dla UNACO.

– Zwłaszcza że CIA nawet nie wie, iż ją posiadamy.

– Co, biorąc pod uwagę antypatię, jaką darzą się nasz pułkownik i ludzie z Langley, zapewne nieprędko się zmieni.

– Oczywiście, będziemy musieli ją zwrócić – oznajmił Philpott, biorąc dyskietkę z ręki Mike'a.

Agent popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Zwrócić? – wykrztusił. – Nie rozumiem pana, panie pułkowniku. Przecież możemy przez całe lata obserwować te ich operacje, o których dowiemy się z dyskietki! Niczego się nie domyśla!

– I zrobimy to. Są one zapewne tak ważne dla agencji, że nie zaniecha ich nawet po śmierci Bernarda. Po prostu dostaną nowego kontrolera, zapewne następcę Bailey'a. Jeśli jednak Langley będzie świadome tego, że je obserwujemy, dopilnuje, by żaden z jej agentów nie został skompromitowany. I to możemy obrócić na naszą korzyść. Wyznaczymy cenę za milczenie. Zapewne sam dostrzeżesz, że w przyszłości CIA będzie nam znacznie bardziej pomocna. Spójrzmy prawdzie w oczy: to całkiem niezły zysk.

– Oczywiście. – Graham uśmiechem dał do zrozumienia, że wie, o co chodzi.

Pułkownik schował dyskietkę do kieszeni.

– A teraz porozmawiamy o tej waszej małej wycieczce.

– To był mój pomysł, panie pułkowniku.

– Ciekawe. C.W. powiedział mi dokładnie to samo, nawet tymi samymi słowami. Czyj to był pomysł, nie jest jednak sprawą najważniejszą. Martwi mnie to, że żaden z was nie pofatygował się, by poinformować kogoś o tym planie. Miałem wrażenie, że oduczuliście was samowoli, że wiecie, jak niebezpiecznie jest trzymać mnie i Siergieja w nieświadomości. Najwyraźniej myliłem się jednak.

– I tak nie wyraziłby pan zgody, panie pułkowniku.

– Nie w tym rzecz, Michaelu – wtrącił ostro Kolczyński. – Jesteśmy twoimi przełożonymi. Sądząc z tego, co zdarzyło się w przeszłości, zwłaszcza w ciągu ostatnich kilku dni, fakt ten nie ma dla was, zwłaszcza dla ciebie, wielkiego znaczenia. Twoja samowola sprawiła, że Oddział Trzeci jest teraz przedmiotem wewnętrznego dochodzenia.

– Bernard zamordował moją żonę i pięcioletniego synka. Co do diabła miałem zrobić, kiedy dowiedziałem się, że odlatuje do Bejrutu? – Mike uciszył Rosjanina wyciągając rękę. – Tak, wiem, powinienem wszystko ci powiedzieć. Uczyniłbyś co w twojej mocy, by został zatrzymany. A dalej? Wydaliby go, by tu odpowiadał za swe zbrodnie? Przecież wiesz, że nie. Wsadziliby go pewnie do samolotu lecącego do Libii, a tam czekało go powitanie godne bohatera. Nawet się nie spodziewam, że zrozumiesz, co przeżywałem przez te wszystkie lata.

Do diabła, nie mam zamiaru tłumaczyć się przed tobą, Siergiej. Zrobiłem, co uważałem za stosowne nie tylko przez wzgląd na rodzinę, lecz także dla spokoju własnego sumienia. Żałuję tylko, że wplątałem w to Sabrinę i C.W. Rezygnację złożyłem dlatego, że chciałem pomóc im uniknąć dalszych kłopotów. Jeśli masz odrobinę zdrowego rozsądku, przyjmiesz ją i zakończysz całą tę sprawę.

– Twoją rezygnację mam na biurku ja. – Philpott patrzył agentowi prosto w oczy. – Rozpatrzę ją bardzo dokładnie dopiero wtedy, gdy będą znane wyniki dochodzenia. Na razie nadał jesteś

członkiem naszej organizacji. Co oznacza także pełną współpracę z zespołem prowadzącym śledztwo. Dziś po południu każde z was zostanie przesłuchane osobno. Przesłuchania będą przeprowadzone w moim biurze. Masz stawić się tam punktualnie o drugiej.

– Kiedy poznamy wnioski komisji? – zainteresowała się Sabrina.

– Tego samego dnia. Jestem umówiony na kolację z sekretarzem generalnym. Wtedy je przedyskutujemy.

Spojrzała na zegarek. Za trzynaście czwarta. Bardzo wczesny ranek.

– Panie pułkowniku, czy możemy się trochę przespać?

– Oczywiście. Jesteście wolni. Dziś już się nie spotkamy. Lecę do Waszyngtonu na rozmowę z Morganem Chilversem, dyrektorem CIA. Siergiej będzie jednak na miejscu. Jutro rano o dziewiątej spotkamy się w moim biurze, by przedyskutować rezultaty dochodzenia. Będę już wtedy wiedział, co myśli o wszystkim sekretarz generalny. Sabrino, podrzucisz Mike'a do hotelu?

– Oczywiście. Czy C.W. wie o spotkaniu jutro rano?

– Tak. Poinformowałem go o wszystkim, nim odwiózł Rosie do domu. – – Philpott zerknął na Grahama. – Doskonale sobie dzisiaj poradziłeś, Mike – oznajmił.

– Rosie jest bezpieczna, a to przecież najważniejsze. – Graham zerknął na Sabrinę. – Gotowa? – spytał.

Dziewczyna skinęła głową. Pożegnała się z Philpottem i Kolczyńskim, po czym pospieszyła za odchodzącym już partnerem.

– Masz w samochodzie magnetofon? – spytał, kiedy go dogoniła.

– Nie. Tylko odtwarzacz kompaktowy. Dlaczego pytasz?

Wyjął z kieszeni kasetę i pokazał jej.

– Bernard dał to Rosie, nim opuścił kryjówkę – wyjaśnił. – Dla mnie. Musi dotyczyć Carrie i Mikeya.

– W domu mam magnetofon. Możesz posłuchać jej u mnie.

Mike zerknął na zegarek.

– Jesteś pewna, że nie będę ci przeszkadzał?

Sabrina właśnie otwierała drzwi samochodu.

– Nie wygłupiaj się – powiedziała tylko.

– Dziękuję.

Dziewczyna usiadła za kierownicą i odblokowała drzwi od strony pasażera. Mike schował kasetę. Wsiadł. Wyjechali na autostradę.

– Dzięki. – Graham wziął kubek gorącej czekolady, który mu wręczyła. – Ładne mieszkanie.

– Łgarz – odparła Sabrina z uśmiechem.

– Jasne, jak na mój gust trochę to wszystko zbyt wydumane, ale spodziewałem się, że będzie znacznie gorzej. Naprawdę. Powiem ci, co mi najbardziej zaimponowało. Kolekcja kompaktów. Masz tu mnóstwo świetnego jazzu.

– Wiesz, jak bardzo kocham tę muzykę. – Dziewczyna nieświadomie zerknęła na rząd płyt, stojących obok odtwarzacza, a potem na leżącą na stole kasetę. – Możesz ją przesłuchać w samotności. Kiedy już skończysz, znajdziesz mnie w kuchni.

– Dzięki.

Odczekał, aż zamkną się za nią drzwi, i włączył magnetofon. Siedział nieruchomo z rękami opartymi na kolanach, nie odrywając wzroku od przesuwającej się jednostajnie taśmy.

„Kiedy dostaniesz tę kasetę, Graham, opuść już Stany i w jakimś odległym kącie świata zacznę nowe życie. Wiem, że nigdy nie przestaniesz mnie szukać i – szczerze mówiąc – nie mam do ciebie pretensji o to, że czynisz mnie bezpośrednio odpowiedzialnym za śmierć swej żony, Carol i syna, Michaela. Nie nagrywam tej kasy, by się usprawiedliwić. To byłoby niemożliwe. Przynajmniej w części jestem odpowiedzialny za ich śmierć, z czego doskonale zdaję sobie sprawę. Ale masz prawo wiedzieć, co zdarzyło się tego dnia przed domem w Nowym Jorku, gdzie mieszkaliście.

Byłem wówczas w Libii, wypełniając rozkazy CIA czy też, mówiąc dokładniej, Bailey'a. Jak już niewątpliwie wiesz, od samego początku był on moim kontrolerem z ramienia agencji. Znalazłem się w Libii, ponieważ Salim Al-Makesh, podówczas doradca Abu Nidala i jego Czarnego Czerwca, opracował plan serii zamachów bombowych na terenie Stanów Zjednoczonych. Zamachy te miały mieć miejsce przede wszystkim w centrach handlowych, na stadionach i w szkołach – prościej mówiąc, kampania była obliczona na uderzenie w zwykłych ludzi. CIA dowiedziała się o tym od swego informatora w Czarnym Czerwcu, człowiek ten zginął jednak w tajemniczych okolicznościach, nim zdążył przekazać agencji szczegóły akcji. Nie wiadomo, czy był to wypadek, czy zabójstwo. CIA potrzebowała informacji o tym, gdzie i kiedy mają wybuchnąć bomby. Dlatego właśnie na spotkanie z Al-Makeshem wysłano mnie – miałem dostarczyć im wiadomości niezbędnych, by zamachowców aresztowano w momencie przekroczenia granicy.

Rozmawialiśmy już ze czterdzieści minut – pozwolę sobie dodać, że bez rezultatów – kiedy dowiedzieliśmy się, że wraz ze swymi żołnierzami otoczyłeś obóz. Na razie nie mieliśmy jednak

najmniejszego pojęcia, kim jesteś i skąd przychodzisz. Połączyłem się z Baileyem i poinformowałem go, co się dzieje. Wiedział, że w razie śmierci Al-Makesha CIA straci wszelkie szansę na zapobieżenie serii zamachów. Nie wiem, w jaki sposób się tego dowiedział, ale po pięciu minutach zadzwonił i poinformował mnie, że mamy do czynienia z żołnierzami antyterrorystycznego oddziału Delta. Uświadomiłem sobie, że to poważny problem. Łącznie z nami w obozie było dziesięciu mężczyzn – za mało, by stawić czoło komandosom. Bailey obiecał, że «coś załatwi» – powiedział to dokładnie tymi słowami. Znowu zadzwonił po paru minutach i oznajmił, że Delta się wycofa. Cieszyliśmy się wszyscy... lecz ty zaatakowałeś. Al-Makesh rozkazał swym ludziom walczyć na śmierć i życie, mnie zaś wyprowadził tunelem. Uciekliśmy na kilka minut przedtem, nim zdobyłeś obóz.

Tego samego dnia zadzwoniłem po informacje, co się właściwie stało. Bailey wszystko mi wyjaśnił. Dowiedział się o obecności Deltę na tym terenie i o tym, kto dowodzi całością akcji. Nie mógł jednak wyjaśnić twemu dowódcy, kim naprawdę jestem, bez ujawnienia mej prawdziwej roli. Wiedział, że po raz pierwszy dowodzisz oddziałem uderzeniowym i – co chyba zrozumiałe – pomyślał, że załamiesz się, jeśli wywrze na ciebie odpowiedni nacisk. Twoją żonę i dziecko porwano na jego rozkaz w nadziei, że kiedy się o tym dowiesz, odwołasz atak. Wiem, że świadkowie zeznali, iż porwania dokonali Arabowie, wszyscy w kominiarkach, ponieważ porywacze mówili językiem «podobnym do arabskiego». Rzeczywiście, porywacze mówili po arabsku, lecz nie byli Arabami, ale ludźmi Bailey'a. Nazywali się Paul Brett, Jack Rogers i Kennedy, Rick Kennedy. Ten ostatni przed kilkoma miesiącami zginął w wypadku, pilotując swój własny samolot.

Twoją żonę i synka przewieziono tu, do tego domu. Dlatego właśnie i ja tutaj przyjechałem, kiedy musiałem opuścić mieszkanie w Murray Hills, w całych Stanach znam tylko ten bezpieczny lokal CIA. Nie wiem, czy Bailey zamierzał zwolnić zakładników, ale wiem, że twoja żona rzuciła się na jednego z porywaczy, kiedy uderzył chłopca, wywiązała się walka, podczas której zdarła mu z głowy kominiarkę. Po tym ich los był już przesądzony. Oboje zastrzelono tego samego dnia, a ciała zakopano za domem. Nie wiem dokładnie gdzie, ale gdzieś w pobliżu. Tak właśnie było, Graham. Nie spodziewam się, byś mi uwierzył na słowo. W komputerze Bailey'a był plik zatytułowany «Operacja Delta». W nim znalazłem wszystkie te informacje. Jestem pewien, że CIA udostępni jego zawartość pułkownikowi Philpottowi.

Pewnie zastanawiasz się teraz, dlaczego nagrałem ci tę taśmę. Cóż, odpowiedź na to pytanie zawiera się w jednym słowie: «szacunek». Jesteś jak ja żołnierzem, który walczy w polu, i to bez wątpienia jednym z najlepszych. Bailey zza biurka manipuluje życiem ludzi ze swego otoczenia. Był moim kontrolerem, ale nie oznacza to przecież, że powinienem go szanować. To niemożliwe, prawda? Ty jednak zyskałeś mój szacunek już w chwili, gdy dałeś rozkaz ataku. Masz zasady i poświęciłeś dla nich życie najbliższych. To cecha prawdziwego żołnierza.

Mimo wszystko jednak przeszłości nie da się zmienić. Obaj musimy żyć ze świadomością tego, co się zdarzyło. Każdy z nas dźwiga swe własne brzemie winy. I niezależnie od tego, co się jeszcze zdarzy, będziemy je dźwigać aż po grób. *Assalam alaikum*, Graham”.

Michael wyprostował się na krześle. Przetarł twarz dłońmi. Wiedział, że wkrótce pojawi się gniew, na razie czuł jednak wyłącznie ulgę – oto ostatnie fragmenty łamigłówek wreszcie znalazły się na miejscu. Poznał prawdę. Skończył się dwuletni ból i męki niepewności. Lecz, co najważniejsze,

Carrie i Mikey spoczną wreszcie w poświęconej ziemi. Carrie była taka religijna – wiedział, że pragnęłyby tego nie tylko dla siebie, lecz także dla ich syna. Zawsze razem, za życia i po śmierci.

Wyłączył magnetofon, schował kasetę, wziął kubek i poszedł do kuchni. Sabrina siedziała przy prostym, sosnowym stole.

– Wszystko w porządku? – spytała cicho.

– Tak – odparł i streścił jej pokrótce to, co Bernard nagrał na kasetę.

Kiedy skończył, dziewczyna powiedziała miękko:

– Szczerze ci współczuję, Mike.

– Od początku byłem pewien, że nie żyją, choć nie potrafię wytłumaczyć dlaczego. Ludzie, którzy są sobie tak bliscy, coś chyba wyczuwają. Przez te wszystkie lata gnębiła mnie tylko jedna myśl: że nie mieli pogrzebu. Teraz wreszcie mogę o to zadbać. Potem co tydzień pójde na ich grób i znowu będziemy razem. – Niepewnie wzruszył ramionami. – Wiem, że brzmi to trochę niesamowicie...

– Tylko w twoich uszach. Od chwili ich zniknięcia ani razu nie ujawniłeś swych uczuć, prawda? Pozowałeś na twardego, bezdusznego samotnika. Cóż, chciałeś, by ludzie widzieli cię właśnie takim i z większością z nich ci się udało. Na początku nawet ze mną. Ale ja zmadrzałam. Dostrzegłam innego Mike'a Grahama. Nie jest on taki twardy, jakim chciałby przedstawić się światu.

– Doprawdy? – Graham odstawił kubek na stół. – Późno już. Lepiej sobie pójde.

– Jest tu druga sypialnia. Używają jej wyłącznie moi rodzice, kiedy przyjeżdżają z Miami.

– Nie. Chcę wrócić do hotelu. Ale dziękuję.

– W porządku. Muszę jeszcze wziąć kluczyki.

– Złapię taksówkę. Powinnaś trochę się przespać.

– Nie bądź głupi...

– Biorę taksówkę. – Mike gestem wskazał stojący na stole kubek. – I bardzo dziękuję za czekoladę.

Dziewczyna skinęła głową, wstała i odprowadziła go do drzwi.

– Mogę cię podwieźć – powiedziała w progu. – To żaden problem.

– Nie, dziękuję. – I już wychodząc dodał: – Do zobaczenia po południu.

Pocałowała go lekko w policzek.

– Dobranoc, Mike.

– Dobranoc – odparł zamykając za sobą drzwi.

Epilog

– Cześć, Mike – powiedziała Sara, gdy Graham wszedł do jej gabinetu.

– Cześć – odparł, zamykając za sobą drzwi. – Widziałas może C.W. i Sabrinę?

– Tak. Są u szefa. – Sekretarka przez interkom poinformowała pułkownika o przybyciu Grahama.

Rozsunęły się drzwi, mógł wejść do gabinetu Philpotta. Przywitał się z nim oraz z Sabriną i C.W.

– Nie spóźniłem się, prawda? – Zerknął na zegarek. – Powiedział pan, że mamy się spotkać o dziewiątej.

– Nie spóźniłeś się. Siadaj. Graham zajął miejsce.

– Czy są jakieś wiadomości dotyczące tego domu? – spytał.

– Tak. Przyszły z godzinę temu. Policja coś znalazła. Siergiej tam pojechał. Czekam na jego telefon.

– Co to znaczy „coś”, panie pułkowniku?

Philpott wziął z biurka pustą fajkę, obrócił ją w palcach i odłożył.

– Znalazła ludzkie szczątki – powiedział po chwili przerwy. – Będiesz mógł tam pojechać, jak tylko skończymy.

– Dziękuję panu.

Szkot postukał w leżącą przed nim na biurku teczkę.

– Mam tu rezultaty dochodzenia – oznajmił. – Są wyjątkowo krytyczne wobec działań Sabriny i C.W., przede wszystkim za niepoinformowanie Siergieja o podjętej akcji. Dotyczy to zwłaszcza ciebie, Sabrino. Wplątałaś się w politykę obcego państwa. Sekretarz generalny kilkakrotnie o tym wspominał. Wiem, że łatwo wpaść w tę pułapkę, zwłaszcza jeśli zadanie zatraća o politykę, ale trzeba wyznaczyć sobie granicę, której nie wolno przekroczyć. Po to mamy Kartę, ona właśnie ułatwia nam wyznaczenie tej granicy. A jeśli nie ma się pewności, co należy zrobić, trzeba zapytać. Mamy już wystarczająco wielu przeciwników w ONZ, nie musimy powiększać ich szeregów, występując tak jawnie, jak to uczyniliście w Zimbali. Co by się stało, jeśli konflikt zakończyłby się inaczej? Co by się stało, gdyby do władzy doszedł Ngune? Nazwano by nas najemnikami. Ze strony co radykalniejszych azjatyckich i afrykańskich państw już zaczynają padać podobne określenia. Po co dawać im do ręki broń, której mogą użyć przeciwko nam? Jesteście tu, ponieważ uchodzicie na

najlepszych w swym fachu. Działajcie więc w zgodzie z waszą reputacją.

– Tak jest, panie pułkowniku. – W głosie Sabriny brzmiało wyraźne poczucie winy.

Philpott spojrział na Grahama, lekko potrząsając głową.

– A jeśli o ciebie chodzi, nie wiem nawet, od czego zacząć. Nie mam zamiaru wymieniać wszystkich zasad, które złamałeś w ciągu ostatnich kilku dni, sam wiesz, o czym mówię. I przez to sprawa przedstawia się jeszcze gorzej. Świadomie zlekceważyłeś kolegów i w ogóle UNACO. Nawet kiedy Sabrina pojechała do Bejrutu, żeby cię sprowadzić do Nowego Jorku, postawiłeś ją w sytuacji bez wyjścia. Nie miała wyboru, mogła tylko się zgodzić na twój plan. Przez to właśnie wpadła w kłopoty.

– Sama zdecydowałam, co robić, panie pułkowniku – powiedziała Sabrina. – Mogłam przedstawić sprawę Siergiejowi podczas rozmowy telefonicznej, ale uznałam, że lepiej jest pracować z Mike'em niż przeciw Mike'owi. Wątpiłam, czy Siergiej potrafi to zrozumieć. A pan by nie wątpił?

– Twoja lojalność chwyta za serce, Sabrino. Faktem jednak jest, że Mike zlekceważył rozkaz powrotu do kraju.

– I o to ma pan do niego pretensję? Co by się stało, gdyby Wrócił ze mną? Bernardowi udałoby się najprawdopodobniej zabić Rezydenta Mobuto. Tylko determinacja Mike'a doprowadziła nas do Remy'ego, w ostatecznym rozrachunku ratując Biały Dom przed ośmieszeniem.

Lecz Mike nie ścigał Bernarda z powodów, które podałaś, prawda? – Philpott patrzył to na Grahama, to na dziewczynę. – Jedyne, czego pragnął, to wsadzić mu kulę w łeb?

– Z początku tak – przyznał agent. – Lecz gdy zacząłem współpracować z Sabriną, chodziło mi już wyłącznie o ocalenie prezydenta Mobuto przed zabójcami, a nie o zemstę na Bernardzie. Wyjaśniłem to wczoraj podczas przesłuchania.

– Właśnie przypomniałeś mi o kolejnej sprawie. Udało ci się także obrazić grupę dochodzeniową. Dlaczego to zrobiłeś?

– Ale mi grupa! Dwaj byli faceci z FBI i dwaj z CIA, wszyscy wprost zza biurka? Co oni wiedzą o robocie w terenie? Całe życie tylko przekładali papiery. Zadawali złośliwe, tendencyjne pytania, a kiedy próbowałem im coś wyjaśnić, przeinaczali moje odpowiedzi. To co miałem zrobić, panie pułkowniku? Podziękować im za to?

Philpott, rozczarowany, tylko potrząsnął głową.

– Sekretarz generalny chce cię wyrzucić, wiesz?

– Ma pan moją rezygnację, panie pułkowniku.

– Racja, mam twoją rezygnację. Ale nie oznacza to, że ją przyjmę. Jesteście moimi ludźmi i ja

decyduję, kogo i kiedy usunąć z UNACO. Sekretarz generalny zdaje sobie z tego sprawę. – Szkot wyjął z teczki pismo i rzucił je na biurko. – Pozbądź się go, nim wpadnie w niepowołane ręce – doradził.

Graham uniósł się i zabrał je z biurka.

– Nie oznacza to, że pochwalam twoje postępowanie, Mike, lub choćby najmniejszy jego fragment. Musiałem długo przekonywać sekretarza, że warto dać ci szansę.

– Doceniam to, co pan dla mnie zrobił, panie pułkowniku.

– Mam szczerą nadzieję, że jest tak rzeczywiście. Jak rozumiem, był to jednorazowy wyskok. Teraz, kiedy Bernard i Bailey nie żyją, być może zaczniesz wreszcie grać w drużynie. Uwierz mi, Mike – jeśli nawalisz raz jeszcze, jesteś skończony. Nieodwołalnie. Masz w aktach plamę, musisz udowodnić zarówno UNACO, jak i sekretarzowi generalnemu, że warto ci było zaufać.

– Nie zawiodę pana, panie pułkowniku.

– Z całą pewnością, ponieważ mnie tu nie będzie.

– Nie rozumiem. – Graham zmarszczył brwi.

– Mój lekarz sam omal nie dostał ataku serca, kiedy dowiedział się, że wróciłem do pracy. Był pewien, że odpoczywam sobie w domu. Powiedział, że następnym razem nie wywinę się z tego tak łatwo. Poprzedniego wieczora na ręce sekretarza generalnego złożyłem więc rezygnację. Odchodzę, gdy tylko uporządkuję sprawy i przekażę je Siergiejowi. On właśnie zostanie nowym dyrektorem.

– A kto zastąpi jego? – spytała Sabrina.

Philpott gestem wskazał Whitlocka.

– Wiem, że wszystkie nasze oddziały operacyjne udzielą mu pełnego poparcia.

Sabrina pogratulowała C.W. pierwsza, nawet delikatnie pocałowała go w policzek. Mike mocno uścisnął jego dłoń.

– Wiem, że C.W. nie jest w pełni zachwycony tą pracą, bowiem – podobnie jak ty, Mike – nie kocha wysiadujących za biurkiem urzędasów. Ale spójrzmy prawdzie w oczy: nikt z nas nie robi się młodszy. Prawda?

C.W. uśmiechnął się nieznacznie.

– Carmen bez przerwy mi o tym przypomina – powiedział.

– Od kiedy o tym wiesz? – zainteresowała się Sabrina.

– Od kilku miesięcy. Słuchajcie, powiedziałbym wam wcześniej, ale zobowiązano mnie do

zachowania tajemnicy.

– Czy jest już ktoś na miejsce C.W.? – spytał Graham.

Szkot skinął głową.

– Od sześciu tygodni przygotowuję dla was jego zastępcę. Pracowaliście z nim podczas waszej poprzedniej misji, kiedy był jeszcze członkiem tej włoskiej formacji antyterrorystycznej, NOCS.

– Fabio Paluzzi?! – krzyknęła Sabrina.

– Oczywiście. Wiecie, że kiedy przyszedł do nas z NOCS, pracował w dziewiątce. Przydzieliliśmy go tam, by po prostu oswoił się z organizacją. W ciągu najbliższych kilku tygodni przejmie obowiązki C.W.

– Świetnie! – Sabrina uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała. Poklepała Whitlocka po ramieniu. – Tylko nie zrozum mnie źle, C.W. – poprosiła.

– Za dobrze cię znam.

– Porozmawiam z Fabiem dziś po południu, więc jeśli zobaczycie go wcześniej, nic mu nie mówcie.

– Zapraszam was do siebie na drinka – oznajmił Whitlock. – Pogadam z Fabiem, kiedy pułkownik już z nim skończy. Mike, mam nadzieję, że wpadniesz, ale jeśli wolisz być sam, rozumiem.

– Oczywiście, że wpadnę, przyjacielu. Nie zapomnij schłodzić butelki Perriera.

– Już jest w lodówce. – Whitlock uśmiechnął się szeroko.

– C.W., Sabrino, chciałbym jeszcze zamienić kilka słów z Mike'em. Zobaczymy się wieczorem.

Dziewczyna delikatnie dotknęła ramienia Grahama.

– Jeśli chciałbyś porozmawiać, wiesz, gdzie mnie szukać – powiedziała.

– Trzymam cię za słowo. Wszystko zależy od tego, kiedy stąd wyjdę.

– Do zobaczenia, Mike. – Whitlock opuścił gabinet wraz z Sabriną. Philpott zamknął za nimi drzwi.

– Po spotkaniu z sekretarzem rozmawiałem jeszcze z Siergiejem i C.W. Obaj udzielili ci pełnego poparcia. Nie zawieź ich.

– Siergiej? Przecież on wrzeszczał na mnie bez przerwy od kiedy wróciłem z Zimbali.

– I miał rację. Spieprzyłeś sprawy, Mike. Spieprzyłeś je beznadziejnie. Każdemu może się to przytrafić i tylko dlatego jeszcze tu jesteś. Ale wątpię, by w podobnej sytuacji jakimś innemu agentowi upiekło się tak jak tobie. Stać cię na to, by być najlepszym agentem terenowym w historii UNACO, ale musisz walczyć z tą tendencją do samodzielnego podejmowania szalonych decyzji, która najwyraźniej objawia się zawsze w najgorszym momencie. Wiem, że częściowo winne jest temu to, co przytrafiło się twojej rodzinie. Przez cały ten czas uważałeś, że to ktoś z Deltę zdradził cię Bernardowi i Al-Makeshowi. Słowo „zaufanie” nagle fałszywie zaczęło brzmieć w twoich uszach. Teraz już znasz prawdę. Nie miało to nic wspólnego z twoimi ludźmi. Wykorzystaj tę wiedzę i skieruj wszystkie swe zdolności, by pomóc zespołowi trzeciemu.

Nie muszę ci przecież mówić, ile masz szczęścia, że twym partnerem jest Sabrina. W UNACO nie ma agenta, który nie oddałby prawej ręki, by się z tobą zamienić. Co więcej, ona cię niemal uwielbia, a to wielki komplement – jest przecież wspaniałą profesjonalistką. Do tego dochodzi jeszcze Fabio. Póki nie stanie pewnie na własnych nogach, będzie opierał się na was. Musicie mu pomóc, a jak to zrobisz, jeśli nadal będziesz się bawił w samotnego wilka? Teraz, kiedy C.W. odchodzi za biurko, jesteś najbardziej doświadczonym agentem terenowym nie tylko w trójce, ale w całej organizacji. Wiąże się z tym wielka odpowiedzialność, Mike. Co więcej, kiedy Fabio już do was dołączy, zostaniesz oficjalnie mianowany dowódcą oddziału. Dobry dowódca daje przykład, prawda? Zwłaszcza ty powinieneś doskonale zdawać sobie z tego sprawę.

– Oczywiście, panie pułkowniku.

– Samochód, którym pojedziesz na Parkway, już na ciebie czeka.

– Dziękuję, panie pułkowniku.

Philpott otworzył mu drzwi, a potem zamknął je i zabrał się do papierkowej roboty. Kiedy Mike podszedł do biurka, Sara na chwilę oderwała się od maszyny do pisania.

– Przepraszam – powiedział, pochylił się i wrzucił list do maszyny do mielenia dokumentów. – O tym, co zrobione, nie warto mówić. Tego, co minione, nie warto o nic oskarżać.

Sara zmarszczyła brwi.

– Konfucjusz – wyjaśnił Mike.

Sekretarka patrzyła, jak wychodzi z biura, po czym wzruszyła ramionami i wróciła do pracy.